

Rafał Kosik

Obywatel, który się zawiesił

Opowiadania

Tom I



Spis treści

<u>Spis treści.....</u>	<u>2</u>
<u>Obywatel, który się zawiesił.....</u>	<u>3</u>
<u>Skrytożresznicy.....</u>	<u>15</u>
<u>Mgła.....</u>	<u>52</u>
<u>Za dobre to zrobiliśmy.....</u>	<u>85</u>
<u>Coś, czego nigdy nie pamiętamy.....</u>	<u>102</u>
<u>Ohyda.....</u>	<u>119</u>
<u>Pokoje przechodnie.....</u>	<u>150</u>
<u>Szczelina.....</u>	<u>154</u>
<u>Czy ktoś tu widział Boga?.....</u>	<u>202</u>
<u>Wyprawa szaleńców.....</u>	<u>213</u>

Obywatel, który się zawiesił

Listonosz. Miałem ochotę go udusić; ledwo się powstrzymałem. Sztywną ręką podpisałem pokwitowanie. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli zmuszając się do uśmiechu, oddałem mu długopis, miał wbić mu go w dłoń.

Chyba to zauważył, bo błąd cofnął się i odszedł nienaturalnie szybkim krokiem.

List polecony. Czego znowuż chcą? Nic więcej im nie dam.

* * *

Porucznik Wiśniewski siedział na chłodnym asfalcie za kołem granatowego Passata. Wymieniał baterie w niewielkim megafonie. Cztery, kupione przez niego za własne pieniądze, baterie. Żenująca sytuacja. Musiał wysłać młodego mundurowego do kiosku, żeby dalej prowadzić negocjacje.

Wsparcia wciąż nie było. Trzy radiowozy. Razem z nim siedmiu ludzi otaczało dom z zabarykadowanym wewnątrz właścicielem.

Z piskiem opon zajechał kolejny radiowóz. Otworzyły się drzwi i obok Wiśniewskiego klęknął młodszy mężczyzna w skórzanej kurtce.

- Kapitan Preis - przedstawił się. - Prosił pan o wsparcie.

- Prosiłem o brygadę antyterrorystyczną.

- Są w drodze. Kto tam jest?

- Nazywa się Łukasz Wroński. Były biznesmen. Miał sporą firmę handlującą roślinami doniczkowymi. Obecnie pewniak do psychiatryka albo jeszcze lepiej do kostnicy. Na posesji leżą ciała czterech ochroniarzy i dwóch naszych.

- Jezu! Co mu odważyło?

- Odmówił zapłaty należności dla skarbu państwa. Po trzech wezwaniach przyjechał komornik, ale gość go spławił, więc komornik wrócił ze wsparciem. Wsparcie leży w ogródku, komornik w szpitalu.

- A nasi?

- Próbowali sforsować tylne drzwi. Rozwalił ich przez szczelinę strzelniczą.

- Szczelinę strzelniczą?!

- Ten dom to twierdza. Okna kuloodporne, drzwi z pancernej stali. Nie pozwolił nawet zabrać ciał.

Młody policjant oparł głowę o błotnik i zapytał:

- Ile miał do zapłacenia?
- Trzysta osiemnaście złotych i pięćdziesiąt trzy grosze.

* * *

Chciałem po prostu hodować i sprzedawać rośliny, a stałem się biurokratą przewalającym dziennie kilkaset bezsensownych papierów. Bywało, że przez cały tydzień nie dotykałem liścia. Rośliny zamieniły się w pozycje w bazie danych. Ilość sprzedanych doniczek, należny podatek VAT, podatek dochodowy, ZUS, opłaty na fundusze emerytalne, korekty faktur, druczki WZ, PIT-y, RMUA, delegacje, rozliczenie kart wozów, formularze zgłoszenia odbiorników radiowych w samochodach. Niemal całą energię poświęcałem na wypełnianie zobowiązań wobec państwa i udowadnianie kolejnym urządcom, że nie próbuję ich oszukać. Zrzuciałem kolejne obowiązki na asystentkę, księgowego, prawnika, managerów, ale wciąż nie miałem czasu na zwykłe wytarcie fantasia japonica z kurzu.

W końcu uschły mi kwiaty w moim własnym domu - zapomniałem ich podlewać.

* * *

Trzy policyjne radiowozy, nadjeżdżając w tej samej chwili z różnych stron, zatrzymały się, blokując uliczki osiedlowe. W ułamku sekundy wypadło z nich dwunastu mężczyzn w czarnych uniformach. Rozlokowali się za śmietnikami, latarniami, murkami i zaparkowanymi samochodami.

Dowódca antyterrorystów nie uznał za stosowne przedstawić się. Przyklęknął za latarnią obok samochodu Wiśniewskiego i zapytał:

- Są zakładnicy?
 - Nie.
 - Czego chce?
 - Chce spokoju. - Wiśniewski próbował po raz kolejny zamknąć klapkę na baterie w megafonie.
 - Pytam, jakie ma żądania?!
 - Żąda, żebyśmy się wycofali i dali mu spokój. Święty spokój.
 - Nienormalny?
 - Zapewne.
- Czarny dowódca uniósł do ust własny megafon i powiedział:
- Jesteś otoczony. Wyjdź z rękoma do góry przez frontowe drzwi.
 - Tego już próbowałem - wyjaśnił Wiśniewski. - Baterie zużyłem. Tak nie odpowie.

Wysłała e-maile przez serwer w Stanach. Dyżurna nam je czyta.

- Dlaczego nie rozmawia normalnie?

- Proszę go o to zapytać.

Dowódca opuścił głowę, myśląc nad czymś intensywnie. Potem rzucił do walkietalkie szybkie rozkazy.

Granaty z gazem łzawiącym i dymem odbiły się od szyb i spadły na trawnik. Otwory strzelnicze były zbyt wąskie, by dało się w nie trafić z tej odległości. Po kilkunastu sekundach dom wraz z ogródkiem spowijały kłęby dymu.

Trzech antyterrorystów przeskoczyło ogrodzenie z tyłu domu. Przebiegli ledwie kilka kroków, gdy zapadła się pod nimi ziemia. Trzask gałęzi zagłuszył ciche młaśnięcia naostrzonych kołków.

Dwóch innych z metalowym taranem ruszyło w stronę frontowych drzwi. Kolejnych dwóch przypadło do muru po obu stronach ganku. Taran zadźwięczał głośno, odbijając się od pancernej stali. I tak jeszcze trzy czy cztery razy. Potem padło kilka strzałów.

Dym rozwiął się, ukazując ciała leżące na wypielegnowanym trawniku.

- Kurwa, mogliście zapytać! - krzyknął Wiśniewski do czarnego dowódcy kłęczącego za latarnią.

- Pan już tu nie dowodzi - oświadczył tamten.

Pierwszy strzał w ramię odrzucił go zza latarni, drugi rozsmarował jego mózg po asfalcie. Hełm turlał się po jezdni, klekocząc sprzączkami.

- Pan też... - powiedział Wiśniewski, leżąc na ziemi.

Chwilę później eksplodował pierwszy radiowóz.

* * *

Prowadzenie działalności gospodarczej w tym chorym kraju mnie przerosło. Raz w miesiącu kontrola z kolejnego urzędu była już ponad moje siły. Nie pomagały łapówki, nie pomagało zatrudnienie drugiego księgowego i zmiana prawnika. Państwo chciało ode mnie coraz to więcej pieniędzy i troski. Tak to odbierałem - troski. Głównie o nią chodziło; o dopieszczenie urzędników. Systemu. Kolejne druczki, które musiałem osobiście dostarczać i sygnować własnym podpisem. Wyjaśnienia, które musiałem składać i kolejki, w których musiałem stać. Gdybym chciał czytać wszystko to, co podpisuję i znać paragrafy, na które każą mi się powoływać, życia by mi nie starczyło.

* * *

Pociski z działka zwanego przez policjantów bazooką rozpryskiwały się na drzwiach domu i ledwie matowiły szyby. Gdy zginęło następnych dwóch antyterrorystów, wszyscy wycofali się za najbliższe budynki.

Minęła dwudziesta godzina oblężenia. Ewakuowano ponad sto osób z okolicznych domów. Bezprecedensową sytuację obserwowało z bezpiecznej odległości kilkanaście wozów transmisyjnych.

- Gość musi mieć własną studnię i agregat prądotwórczy - powiedział jakiś mundurowy. - W tym całym syfie wciąż działają zraszacze trawy.

* * *

Jasne, że każdy łamie prawo, by móc funkcjonować, a nawet nieumyślnie - nie nadążając za lawiną nowych, niespójnych przepisów. Człowiek, który próbowałby żyć w zgodzie ze wszystkimi paragrafami, po kilku dniach skończyłby w domu bez klamek. Dzięki temu na każdego jest hak. Każdy jest potencjalną ofiarą systemu.

* * *

- Jakie są żądania pana Wrońskiego? - zapytała reporterka kanału informacyjnego.

Rzecznik Komendy Stołecznej w niemodnej, skórzanej kurtce patrzył gdzieś w bok.

- Morderca, który zabarykadował się we własnym domu - powiedział powoli - nie ma żadnych żądań. Prawdopodobnie jest chory psychicznie.

- Nasze anonimowe źródła mówią co innego. Ponoć ochrona komornika pierwsza sięgnęła po broń.

- Państwa anonimowe źródła nie są wiarygodne.

- Podobno pan Wroński chce tylko spokoju. Czy to prawda?

- Proszę pani... każdy przestępca chce, żeby policja zaprzestała ścigania.

- O co jest oskarżony?

- Będzie oskarżony o wielokrotne morderstwo.

- Nasza redakcja jest w posiadaniu listu, który pan Wroński napisał trzy tygodnie temu. Już wtedy twierdził, że chce wyłącznie, żeby urzędnicy państwowi przestali go prześladować.

- Proszę przekazać ten list do prokuratury. To jest dowód w sprawie.

* * *

To była ostatnia rzecz, którą chciałem załatwić. Poszedłem do urzędu o wyznaczonej godzinie. Kolejka składała się wyłącznie z ludzi mających wezwania na wyznaczoną godzinę. Z zaciśniętymi zębami stałem tam dwie godziny, aż urzędniczka ubrała się i przeproszającym głosem oświadczyła, że skończyła właśnie pracę. Nie byłem na nią wcale zły. Płacą jej grosze, to pracuje, jak pracuje.

Podarłem wezwanie i obiecałem sobie, że od tej pory przestaję dopieszczać administrację państwową. Urzędnik ma służyć obywatelowi, a nie kłaść się na plecach i kazać

się głaskać po brzuchu. Będę ich ignorował.

* * *

Z północy nadleciał wojskowy helikopter. Hucząc i targając koronami drzew, zawisł nad domem. Dwie czarne postacie zjeżdżały po linach. Jedna po drugiej puściły linę i bezwładnie, ze zdecydowanie zbyt dużej wysokości, spadły na dach domu. Na spodzie helikoptera zatańczyły żółte iskry. Znad kabiny buchnął czarny dym. Spływał po kadłubie jak czarna żałobna suknia. Tylny wirnik rozleciał się z łoskotem, słyszalnym mimo pracującego silnika. Maszyna przechyliła się, obróciła kilka razy wokół swojej osi i runęła na ulicę, zamieniając się w poskręcana, płonąca kupę stali.

* * *

Zwolniłem wszystkich pracowników, rozwiązałem wszystkie umowy, płacąc wszystkie kary. Nikt nie został pokrzywdzony. Zamknąłem firmę. Dałem wszystkim odprawę, ale już po miesiącu przyszedł wyrok z sądu, nakazujący przywrócenie do pracy dwóch magazynierów. Nie dość więc, że nie zgadzają się, bym zamknął firmę, to jeszcze każą mi zatrudniać konkretnych ludzi, płacić im i odpowiadać za ich czyny jak za własne. Ci dwaj przyszli do mnie i zażądali ekstra kasy za wycofanie pozwu. Dałem im. Chciałem tylko mieć spokój.

* * *

Akcję transmitowały na żywo CNN, Sky News, BBC, TVN 24 i kilkanaście innych stacji.

Z naczepy wojskowego Kraza zjeżdżał tyłem czołg PT-91 „Twardy”. Przy zwrocie o sto osiemdziesiąt stopni rozniósł w drzazgi położone dla ochrony asfaltu deseczki. Ważąca ponad czterdzieści ton maszyna niezgrabnie przecięła trawnik, miażdżąc krawężniki, klomb stokrotek i blaszaną śmietniczkę.

- To jest twoja ostatnia szansa - mówił do megafonu sierżant w mundurze polowym. - Masz dwie minuty na wyjście z podniesionymi rękoma. W przeciwnym wypadku dom zostanie zburzony.

Niemal wszyscy, którzy nie trzymali domu na muszce, zerknęli na zegarki. Gdy minęło półtorej minuty, walkie-talkie Wiśniewskiego zatrzeszczało:

- Jest kolejny e-mail: „Odejdźcie. Nie chciałem i nadal nie chcę nikogo zabijać. Chcę tylko spokoju, nic więcej. Dajcie mi święty spokój”.

- Trochę na to za późno - mruknął sierżant, obserwując wskazówkę sekundnika. Gdy doszła do szczytu tarczy powiedział krótko - ognia!

Huk wystrzału i eksplozja pocisku burzącego. Stojący bliżej ludzie odczuli to całym ciałem. Drzewami szarpnęło w nagłym podmuchu. Od stojącego opodal Lanosa odpadł

błotnik.

Pył opadł, ukazując wykruszony fragment frontowej elewacji. Płytki otwór odsłaniał pogięte pręty zbrojeniowe. Ściana nie została przebita.

- Pieprzony bunkier - powiedział Preis, palcami wierząc w uszach. - Celujcie lepiej w okna.

Rozległo się głucho puknięcie i nad domem wzbił się niewielki pióropusz dymu.

- Co jest?

- Wszyscy kryć się! - krzyknął Wiśniewski, biegnąc w kierunku najbliższego budynku.

Tym razem huk był jeszcze głośniejszy. Z okolicznych domów posypało się szkło. Czołg stał się płonącym wrakiem z rozwleczonymi dookoła pogiętymi fragmentami gąsienic. Szczątki wieżyczki opadały w promieniu kilkudziesięciu metrów, wybijając dziury w jezdni.

Wiśniewski, z włosami białymi od pyłu, wychylił się zza rogu budynku i przyłożył do oczu lornetkę. Na posesji Wrońskiego właśnie włączyły się zraszacze trawnika.

* * *

W oficjalnych pismach powiadomiłem wszystkie urzędy, że firma zakończyła działalność i splotem wszelkie zobowiązania. Jasne, że są do tego przewidziane specjalne procedury. Gdyby robić to w zgodzie z nimi, spędziłbym ładny kawałek życia na pętaniu się po labiryntach pokoi pełnych ospałych bab. Nie miałem siły drapać potwora za uchem.

* * *

- Cóż można zrobić z tym problemem? - zapytała prezydent miasta, Kralska, prostując się znad leżącej na stole konferencyjnym mapy dzielnicy. - To trwa już trzy dni.

- Mógłbym wprawdzie ostrzelać dom z większej odległości - zaproponował generał Mazur - ale to wymagałoby ewakuacji ludności cywilnej w promieniu kilometra.

- Za tamten czołg może pan jeszcze mieć poważne nieprzyjemności... A ludzie i tak już sami wyjechali. Ci co mają nieco oleju w głowie.

- Nie można spuścić bomby? - zapytał ktoś z zebranych w ratuszu.

- E... nasze lotnictwo nie posiada bombowców. Ewentualnie może być rakietą powietrze-ziemia. Trafia z dokładnością do pięćdziesięciu metrów.

- Trochę duży rozrzut - zauważyła Kralska. - Proszę pamiętać, że to nie jest wrogie miasto.

- Takimi środkami dysponujemy. - Generał wypiął pierś z kilkoma orderami. - Z całym szacunkiem: pani ugrupowanie ponownie obcięło budżet Ministerstwa Obrony na ten rok.

- Hm. Tak, tak... Musi być jakaś alternatywa. Co to za armia, która nie może załatwić jednego człowieka?

* * *

Podświadomie wiedziałem, że to nie przejdzie. Byłem przecież tylko martwą pozycją w bazie danych, podobnie jak moje kwiaty. Wirtualny świat papierowych dokumentów upomniał się o swoją porcję piaseczot już po dwóch miesiącach.

* * *

Gorący wieczór zamienił się w czwartą noc oblężenia. Generał Mazur, prezydent Kralska, Minister Spraw Wewnętrznych i kilku oficjeli dwie ulice od domu Wrońskiego oglądało plan sieci kanalizacyjnej rozłożony na masce granatowego BMW. Wskazywali palcami jakieś przypadkowe punkty, pozując do zdjęć dla porannej prasy i portali informacyjnych. Gdy fotografowie sobie poszli, oficjele stracili zainteresowanie mapą, bo i tak nie umieli jej czytać.

- Jakieś pomysły? - zapytała Kralska.

Kanalarz w żółtym kasku wskazał na papierze miejsce pełne przerywanych i ciągłych kresek różnej grubości.

- Obok domu przechodzi zbiorczy kanał ściekowy - wyjaśnił. - Ma półtora metra wysokości. W ogródku, pięć metrów od tylnego wejścia, jest właz rewizyjny.

- Facet jest sprytny - zauważył Wiśniewski. - Nie przeoczyłby tego. Zresztą wejście do ogródka nie jest problemem. Gorzej z przeżyciem tam minuty.

- Założymy ładunki wybuchowe pod domem - powiedział Mazur. - Dwadzieścia kilo plastiku powinno wystarczyć aż nadto.

- Kanał zapadnie się na sporej długości - nieśmiało wtrącił kanalarz.

- Chce pan wysadzić w powietrze pół ulicy? - Kralska spojrzała na generała. - Wie pan, ile kosztuje odbudowa infrastruktury?

- Dla Polski to już jest sprawa honoru - oświadczył Minister Spraw Wewnętrznych.

Generał w milczeniu przytaknął głową.

Godzinę później kanalarz i dwóch saperów zeszło po stalowych stopniach w głąb cuchnącego otworu. Ich mlaskające kroki powtarzane echem cichły stopniowo w mrocznym kanale. Oficjele patrzyli po sobie dumnym wzrokiem i zastanawiali się, jak będą brzmiały tytuły w jutrzejszych gazetach.

Stłumiony wybuch zatrzęsł służbowymi limuzynami nieco za wcześnie. Sto metrów przed domem Wrońskiego ulica uniosła się i z dudniącym grzmotem wystrzeliła wysoko w górę w gejzerze płomieni, ziemi, betonu i asfaltu. Kłapy studzienek w promieniu kilkuset

metrów wyleciały w powietrze. Elewacja pięciopiętrowej kamienicy, straciwszy podparcie, osunęła się. Po chwili huk przeszedł w pojedyncze uderzenia spadających coraz to mniejszych odłamków.

Jęki rannych dochodziły zewsząd.

- Nie wierzę w to! - krzyknął generał. - Zaminował kanał!

Nikt nie usłyszał kilku głuchych puknięć od strony domu.

Pierwszy granat przeciwpiechotny eksplodował tuż obok rządowego BMW, siekąc odłamkami po ścianach okolicznych budynków.

* * *

Pierwszy list otworzyłem z nadzieją. Chcieli, żebym się zgłosił w ciągu trzech dni i złożył wyjaśnienia. Odpisałem, że dla mnie sprawa jest zamknięta. Jeśli chcą jakiś pieniędzy, to z chęcią im zapłacę. Niech napiszą ile i podadzą numer konta.

* * *

- Straciliśmy trzydziestu siedmiu ludzi, w tym ministra, prezydent miasta, generała brygady i komendanta głównego policji. Ponad pięćdziesiąt osób jest w szpitalu z czego kilka w stanie krytycznym. Cywil zniszczył nam dziewięć radiowozów, czołg, helikopter i trzy samochody rządowe. O sporym kawałku miasta nie wspomnę. Nawet nie ma kogo karać, bo winni nie żyją. Oczekuję od panów jakichś propozycji.

Zebrani popatrzyli po sobie.

- Potrzebnych będzie kilka czołgów, które jednocześnie zaatakują z różnych stron.

- Czołgi na ulicach źle się kojarzą... Opozycja będzie miała używanie. Nie wystarczą moździerze?

- Próbowaliśmy. Podczas montażu stanowisk ogniowych... Wroński był szybszy.

- Kim jest ten facet? Ogrodnikiem czy pirotechnikiem?... OK. Użyjmy tych czołgów.

Na co czekacie?

- Kilka czołgów rzuca się w oczy. Oficjalnie, zgodnie z prawem, do wyprowadzenia wojska na ulice miasta potrzebny jest pisemny rozkaz prezydenta państwa.

- W porządku. Już odkręcam pióro.

* * *

Tydzień później przyszedł kolejny list. Oficjalne pismo, mówiące, że sprawa jest niezwykle skomplikowana i musi zostać wyjaśniona przeze mnie osobiście. Załączono też długą listę dokumentów, które muszę zdobyć lub przygotować i czynności, które muszę wykonać, by moje wyjaśnienia mogły być rozpatrzone.

* * *

- Zostawmy go w spokoju. Nawet nie dopuszczacie do siebie takiej myśli?

- Żarty! On zabił kilkudziesięciu ludzi. Zabił ministra.

- Zabija wyłącznie w obronie własnej. Minister zatwierdził plan wysadzenia budynku.

Nie zginęła ani jedna postronna osoba. Zabił czterech ochroniarzy, którzy próbowali wdrzeć się do jego domu. Po nich przyszedł patrol policji. Po nich antyterrorysty i w końcu komandosi wojskowi. Budujemy piramidę trupów w obronie trzystu osiemnastu złotych.

- Jeżeli już, to w obronie procedur...

- Bezsensownych procedur. To państwo traktuje obywateli jak swoją własność. W ten sposób nie zdobywa się szacunku, a co najwyżej kreuje wizerunek bezmyślnej maszyny.

- Wiesz, co myślę? Myślę, że nie wyszedłeś jeszcze z szoku. Kto wiedział, że psychol posunie się tak daleko? Czy obywatelowi wolno stawać ponad prawem tylko dlatego, że ma w domu, nielegalnie zresztą, mózdzierz i kałacha?

- Można było uznać dług za nieściągalny albo jeszcze lepiej odcepić się, zanim dług powstał. Co to właściwie jest za suma?

- Kara za niezłożenie w terminie deklaracji VAT. Przebadałem to. To czubek góry lodowej.

- Przecież zamknął firmę osiem miesięcy temu.

- Nie dopełnił wszystkich formalności, więc firma oficjalnie nadal istnieje. Poza tym ciągną się od paru lat jakieś niezamknięte kontrole z kilku urzędów. Jego wykroczenia polegały wyłącznie na niedopełnianiu formalności. Po jakimś czasie każde przewinienie ulegało samoczynnemu wzmocnieniu, bo dochodziły do tego, w sposób nieunikniony, kolejne wezwania, na które nie reagował i kary, których nie płacił, bo nie odbierał ponagleń. Można powiedzieć, że zerwał kontakt z systemem. Jego drobne przewinienia zostały teraz wzmocnione do rangi najcięższych przestępstw. Jest krnąbrny do granic możliwości.

- Obywatel, który się zawiesił... Jak myślisz, kto będzie następny? Kogo teraz zabije?

* * *

Wszystkie księgi, faktury, w ogóle wszystko zapakowałem i wysłałem im, nie podając adresu zwrotnego. Dane z komputerów skasowałem. Teraz nawet gdyby chcieli, nie mieliby czego kontrolować.

Po kilku dniach przyszedł następny list. Nie otworzyłem go. Żadnego więcej już nie otworzyłem, a wkrótce przychodziło ich po kilka każdego dnia. Z coraz to innych urzędów.

Firma nie istnieje. Dlaczego oni nie chcą tego zrozumieć?

* * *

„Dzisiejszy dzień został ogłoszony dniem żałoby narodowej. Mimo kilkugodzinnej

walki o życie, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zmarł wczoraj o godzinie dwudziestej trzeciej dwadzieścia...”.

Z kuchni rozległ się rumor przewalających się garnków.

- Ciszej tam, stara! - wrzasnął emeryt wgapiony w telewizor.

W odpowiedzi z kuchni odezwał się nie mniej gderliwy głos:

- Znów napakowałeś garnków do szafki tak, że jak otworzyłam, to się wszystko wywaliło.

- Wiesz, że prezydenta nam odstrzelili?

- Busha zabili?!

- Nie... Tego, no... Naszego. Samolotem.

- Zestrzelili mu samolot?

- Nie, głupia babo! Słuchaj, co mówię, zamiast gadać. Trafili go samolotem.

- Jezu! Takim prawdziwym?!

- Takim na radio. Ktoś stał dalej i podczas przemówienia wleciał mu w głowę. Nie dało się jej poskładać z powrotem.

* * *

Do każdego z urzędów napisałem odręcznie pismo o identycznej treści: „Nie jestem wam nic winien. Proszę dajcie mi święty spokój”. A listy i tak wciąż przychodziły.

W końcu przyszedł komornik.

* * *

Na dużym metalowym stole leżały szczątki zdalnie sterowanego samolotu.

- Proszę zwrócić uwagę, panie generale, na ten niewielki cylinder w przedniej części kadłuba. - Technik wskazał metalowym długopisem fragment wnętrza martwej maszyny.

- To kamera. Tuż za nią znajduje się odbiorczo-nadawczy wielokanałowy moduł zdalnego sterowania dużej mocy.

- Co to znaczy?

- Można tym sterować z odległości wielu kilometrów. Podobne kamery - stacjonarne - odkryliśmy dziś w wielu miejscach, nawet w odległości kilkuset metrów od jego domu. Widział każdy nasz ruch.

- Skończyły się żarty! - Generał Miklusz uderzył pięścią w stół. Odwrócił się do stojącego za nim oficera i powiedział ciszej - poderwijcie F-16. Potem będziemy to uzasadniać. Niech odpali Mavericka z bezpiecznej odległości. Myśliwca przecież nie zestrzeli.

- Naprawdę uważam, że powinniśmy odpuścić i zatuszować sprawę. Chodzi mi o to,

co może się stać. Wroński dotychczas ograniczał się do działań defensywnych.

- Na miłość boską! Zabił prezydenta!

- Godzinę wcześniej prezydent podpisał rozkaz ataku na jego dom. Próbowałem panów powstrzymać, gdy ofiar było kilka.

- Teraz nie możemy się cofnąć, panie Wiśniewski, cokolwiek się stanie.

- Ten sam mechanizm działa od początku, od chwili gdy Wroński nie złożył w terminie deklaracji VAT.

- Sądzi pan, że on nas zabije? Jak niby miałby to zrobić?

* * *

Kiedy spostrzegłem, że coś z tym wszystkim jest nie tak? Wtedy, kiedy zginął mi kwiat - polyscias. Niezbyt cenna roślina tropikalna, ale ten egzemplarz miał być doprowadzony do sporych rozmiarów, by podwyższyć jego wartość. W bazie figurowało sztuk siedem, a w magazynie było tylko sześć. Historia kwiatu zapisana była w moim systemie od chwili zakupu nasionka. Potem kolejne przesadzenia do większych doniczek, nawożenie. Były też raporty kontroli jakości na kolejnych etapach. Kwiat przebył długą drogę przez moje dokumenty, ale w rzeczywistości nigdy go nie widziałem. Nie miałem czasu się nim zajmować.

Może ktoś go ukradł? Może usechł albo niechlujny pracownik go złamał?

Czasem myślę, że ten kwiat nigdy nie istniał.

* * *

Wiśniewski, kulejąc, jako pierwszy przekroczył to, co kiedyś było granicą posesji. Dymiące zgliszcza domu otoczone były kilkunastometrową strefą śmierci - rumowiskiem usianym kraterami po niecelnych trafieniach rakiet. Z trawnika nie zostało nic. Zamiast drzew stały zwęglone kikuty. Domy w zasięgu wzroku były zburzone lub poważnie uszkodzone. Ulicę blokowały wraki kilku czołgów, a na pobliskim placu zabaw leżały szczątki myśliwca.

Stojące między gruzami, sto metrów dalej, czyściutkie granatowe limuzyny wyglądały, jak wyjęte z innej bajki. Najwyżsi rangą oficerowie i przedstawiciele cywilnych władz państwa obserwowali ground zero przez lornetki. Po ich twarzach nieśmiało błąkał się uśmiech triumfu.

Wiśniewski nie podzielał ich nastroju. Wszedł na kilkumetrową stertę gruzu, rozwinął białą-czerwoną flagę i wetknął ją krzywo w szczelinę.

- No to masz ten swój święty spokój - powiedział smutno.

Trącił nogą kawałek betonu. Pod spodem błysnął fragment sporej, cylindrycznej obudowy z matowej stali. Czerwone cyfry zegara odliczały ostatnie sekundy.

Warszawa 2002

Skrytogrzesznicy

Koniec lata zalewał Warszawę ciężkim upałem. Nagrzane były mury i ulice. Ludzie zaczęli śmierdzieć.

Zatęsknię za tym cholernym skwarem w grudniu, pomyślał Żarnowski, wachlując przepoconym T-shirtem. Zastanawiał się, jak jego starszy kolega wytrzymuje w grubym ubraniu. Holtz szedł przodem, siwe włosy powiewały mu wokół głowy. Żarnowski ledwo nadażał za żwawym profesorem. Obserwował jego potężne, przygarbione plecy, ukryte pod tweedową marynarką koloru psiego rozwolnienia, i starał się słuchać rzucanych przez tamtego uwag. Profesor robił tajemnicze miny i nie zdradzał nic konkretnego.

I tak od parkingu: co kilka sekund kolejny *teaser* zamiast uczciwej informacji.

Weszli, prawie wbiegli po kamiennych stopniach. Grube mury Politechniki dawały nadzieję na chłód. Rzeczywiście, już po chwili Żarnowski kichnął.

- Powiedzże mi wreszcie, co zmajstrowałeś - poprosił, głośno wydmuchując nos w chusteczkę.

- Nie uwierzysz.

- Daj mi szansę.

- Więc słuchaj. - Profesor nieco zwolnił i ściszył głos - uwierzyłybyś, że od pół roku testuję urządzenie, które umożliwia komunikację z prędkością nadświatlną?

- Niemożliwe. - Żarnowski z wrażenia zatrzymał się.

- Mówiłem, że nie uwierzysz... - Profesor ruszył dalej, w stronę laboratorium.

- Chcesz to ogłosić?! - przeraził się Żarnowski. - Obwieszczą cię hochsztaplerem i wyklną!

- Dlatego zwlekałem, aż będę miał pewność.

- Nie mówisz chyba poważnie?!

- A jednak!

Chwilę szli w milczeniu.

- Działa? - nie wytrzymał Żarnowski. - Zweryfikowałeś to?

- Wiele razy i na wiele sposobów.

Znów wyszli na zewnątrz.

- Jaka jest zasada działania? - Żarnowski czuł, jak kolejna strużka potu rozpoczyna

wędrówkę wzdłuż jego pleców.

- Pojęcia nie mam! To drugi powód, dla którego siedziałem z tym cicho.

- Przecież... Kto to zbudował?

- Ja i mój zespół. Wtajemniczyłem trzech studentów. Wiem, jak wszystko działa, ale dlaczego właśnie tak... - Rozłożył ręce. - Czuję się jak facet, który narysował motyla, a motyl pomachał skrzydełkami i odleciał. Wierz mi - ciągnął profesor - to, że transmisja odbywa się z prędkością nadświetlną, to pikuś, choć i tak z równań ciągle wychodzą sprzeczności. Dziwniejsze jest zupełnie coś innego. Wyobraź sobie, że stoisz w korku, dzwonisz do żony i mówisz: „Stoję w korku. Będę za kwadrans”, a ona słyszy: „Straszny korek. Spóźnię się piętnaście minut”.

- Nie rozumiem... - Żarnowski wyciągał nogi, by iść równo z rozmówcą.

- Mamy dwa urządzenia. Jedno tu, drugie w Płocku. Odległość na tyle duża, by nie było żadnych wątpliwości, że przekaz jest natychmiastowy. Pobór mocy ma spory, więc eksperymenty nigdy nie trwały dłużej niż minutę. Transmisja była płynna, ale pojawiały się w niej błędy, których nie mogliśmy wyeliminować żadnym algorytmem. Spróbowaliśmy zwiększyć moc, ale wtedy liczba błędów zamiast maleć, rosła. No absurd. Nie wiedzieliśmy co robić. Potem okazało się, że natura tych błędów jest znacznie bardziej skomplikowana, niżby się mogło wydawać. Tomczyk wpadł na dziecinny na pozór pomysł, żeby zrobić prostą przejściówkę i do urządzenia dopiąć telefon. Zwykły, analogowy telefon. Jak u babci. Przepustowość kanału jest wystarczająca, by puścić tamtędy wszystkie programy satelitarne, które masz w domu... Jest na tyle duża, że nie udało nam się nigdy zapchać łącza, choć próbowaliśmy. No więc, podłączyliśmy telefony: jeden tu, drugi w Płocku. I zadziałało. Spodziewaliśmy się trzasków, pisków, słowem zakłóceń. Ale nie! Nic z tych rzeczy. Przy kolejnych próbach używaliśmy coraz większej mocy. I ani jednego pyknięcia w słuchawce. Pewnie nie zorientowalibyśmy się, że coś jest nie tak, gdyby podczas jednej z rozmów ten sam Tomczyk nie umówił się na piwo w sobotę z kolegą Koteckim. Kotecki wyraźnie nie miał chęci na to piwo, ale dał się przekonać. W sobotę Tomczyk czekał na Koteckiego w pubie, a Kotecki nie przyszedł. No i pokłócili się. Co najciekawsze, my słyszeliśmy wyraźnie, że Kotecki obiecał przyjść, natomiast cały zespół z Płocka twierdził, że wcale nie.

Weszli do kolejnego budynku, zdaje się docelowego, bo Holtz prowadził korytarzami i schodami do piwnicy.

- Przyjeliśmy zakłady, po czym przeanalizowaliśmy dokładnie nagrania z Warszawy i Płocka.

- Kto kłamał?

- Otóż to! Nikt! - Profesor pokiwał głową. - Nagrania różniły się!

Żarnowski był coraz bardziej przejęty.

- Próbowaliście jednoczesnej transmisji tym urządzeniem i zwykłą komórką? - zapytał.

- No jasne! Zapis z komórki różnił się od zapisu z telefonu przypiętego do urządzenia. Różnice były tym bardziej znaczące, im większa moc startowa. Jakby gdzieś po drodze siedział pieprzony elektryczny krasnoludek i przekręcał słowa. Sam rozumiesz, że to nie może być zwykły błąd transmisji, kiedy ja mówię „drzewo”, a ty słyszysz „jodła”.

- Na miłość boską! - wykrzyknął Żarnowski. - To urządzenie chyba nie analizuje sensu wypowiedzi?

- Nie ma jak... Wszystkiego próbowaliśmy. Dalsze zwiększanie energii prowadziło do coraz większych rozbieżności.

- Oczywiście analizowaliście dokładnie nagrania z obu stron?

- Oczywiście. - Profesor zatrzymał się przed wiszącą na ścianie szafką z bezpiecznikami i otworzył ją kluczykiem. - Za każdym razem są inne. Przy małych napięciach też się różnią. A to klakson w tle jest przesunięty o ułamek sekundy, a to ktoś kicha w innym momencie. To wyszło dopiero przy dokładnej analizie w laboratorium dźwięków.

Żarnowski z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc, spodziewam się poważnych kłopotów. - Profesor włożył na prawą dłoń grubą skórzaną rękawicę.

- Kłopotów? Ty? Wszyscy tu kłękają przed tobą.

- Więc posłuchaj! Użyję maksymalnej mocy urządzenia. - Holtz kolejno wyjmował bezpieczniki. - Prawdopodobnie je przy tym zniszczę.

- Ile ono kosztowało?

- Od wczoraj staram się zapomnieć i prawie mi się udało.

- Wyjął z kieszeni stalowe tuleje i starannie włożył je w miejsce bezpieczników.

- To chyba trochę ryzykowne... - zasugerował nieśmiało Żarnowski.

- Mój drogi, czy sądzisz, że Kolumb przed swoją wyprawą wykupił polisę na życie? Dziś zamierzam sprawdzić szaloną teorię, o której wie zaledwie garstka moich najbliższych współpracowników. Za parę minut dołączysz do tego zacnego grona. Jeśli wcześniej nie wylecimy w powietrze, rzecz jasna.

Żarnowski uświadomił sobie powagę sytuacji. Podniecenie i ciekawość naukowca były jednak silniejsze niż strach. Podążył za profesorem do sporej salki na końcu korytarza.

Wewnątrz było siedem osób. Wszyscy w białych, laboratoryjnych fartuchach. Jedni siedzieli przy komputerach, inni majstrowali przy szafach elektrycznych. Wyraz ich twarzy upewnił Żarnowskiego, że znali zamiary profesora. Żarnowski stał chwilę przy drzwiach, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Podeszedł więc do czegoś, co zapewne było owym tajemniczym urządzeniem. Wystający z podłogi, opleciony kablami obły kształt przypominał górną część kadzi do warzenia piwa. Nie było niestety widać, co jest niżej.

- Zaraz zaczynamy. - Holtz klepnął go w ramię. - Testament spisany?

Żarnowski przełknął ślinę.

- Nie powinniśmy się... odsunąć?

- Musiałbyś już teraz zacząć biec. Za minutę powstanie tu mała czarna dziura.

Profesor podeszedł do największej szafy elektrycznej i przesunął w górę główną dźwignię zasilania. Światła przygasły, UPS-y piknęły ostrzegawczo, a podłoga zadrżała bardziej niż delikatnie. Wszyscy odruchowo się przygarbili. Przesadna nonszalancja, z jaką profesor zabrał się do pracy, nie udzieliła się reszcie zespołu. Wyglądali, jakby spodziewali się najgorszego. Żarówki znów pojaśniały. W napięciu patrzyli na ekran stojącego na podwyższeniu komputera. Kolorowe słupki pięły się wolno w górę.

- Jedziemy! - oznajmił profesor. - Maksymalna moc! Gaz w podłodze!

Włączył speakera w stojącym przed nim telefonie. W powietrzu rozszedł się swąd przegrzanej izolacji.

- Tu Holtz. Słyszycie mnie?

- Zgłasza się Płock. Grabowski, dzień dobry, panie profesorze.

- Witam. Dasz mi Rzepeckiego?

Żarnowski zauważył, że na dźwięk tego nazwiska wszystkie głowy czujnie uniosły się znad komputerów. Zobaczył w ich twarzach przerażenie.

- Rzepecki, słucham? - rozległo się z głośnika.

Siedząca najbliżej Żarnowskiego blondynka, zakryła usta dłonią. Reszta trwała skamieniała.

- Jak zdrowie, kolego docencie? - ignorując reakcje swojego zespołu, zapytał Holtz.

- A, nie narzekam. Jeśli nie wylecimy w powietrze... Co właściwie sprawdzamy tym przeciążeniem, profesorze?

- Potwierdzam pewną hipotezę, dotyczącą pośrednio również pana osoby...

W tym momencie na korytarzu coś huknęło i połączenie zerwało się. Słupki na ekranie zaczęły szybko opadać.

- Straciliśmy zasilanie - rzucił ktoś cicho. - Pewnie przepalił się główny bezpiecznik...

Swąd spalonej izolacji gryźł w nos, ale wciąż nikt nie ruszał się z miejsca. Wyglądało na to, że najważniejsza część urządzenia wyszła z eksperymentu cała. Holtz opuścił główną dźwignię. Pikały UPS-y.

- O Boże! - Blondynka wybiegła z sali.

Holtz spojrział na Żarnowskiego i wyjaśnił:

- Docent Rzepecki uległ wczoraj nieszczęśliwemu wypadkowi, w wyniku którego stracił życie. To więcej niż przekłamanie paru słów. Facet nie żyje od ponad dwudziestu godzin.

* * *

Prawie okrąg błękitu, obramiony cienką kreską zieleni. Wokół czerń.

Zamrugalem i znów spojrzałem w górę. Okrąg nie był okręgiem. Jak się lepiej przyjrzeć, był dość krzywy. Najważniejsze jednak, że znajdował się dziesięć metrów wyżej.

Usiadłem. Ostry ból w lewej nodze. Zacisnąłem zęby. Nie musiałem podciągać nogawki, żeby wiedzieć. *Status report*: złamana piszczel. Reszta?... Poza kilkoma siniakami i zadrapaniami, chyba w porządku.

Jak się tu znalazłem? Znów spojrzałem w górę. Tak, jasne, że stamtąd...

Wysiliłem pamięć. Czarna dziura. No tak, zwykle nie pamięta się samego wypadku.

Gdzie jestem? Jakaś dziura w ziemi... Pomacałem rękoma dookoła. Wilgotny piasek, drobne kamyczki, trochę liści. Dalej kamień, skała. A więc jaskinia, studnia właściwie. Jak się tutaj znalazłem? Dobre pytanie! Ostatnie wspomnienie? Chaotyczna zbitka scenek. Chronologia wystrzeliła w kosmos.

Jednak jedno wspomnienie pasowało do sytuacji. Góry, szlak, wycieczka, przede mną idzie Marek. Mój najbliższy przyjaciel.

To było... no właśnie. Kiedy to mogło być? Lato z pewnością, bo mam na sobie T-shirt, a trawa zieleni się soczyście. Z lasu wychodzi niedźwiedź. Ważący ćwierć tony futrzany monster ot tak wyłazi na szlak akurat kilka kroków przed nami. W tej części Tatr pozostały przy życiu ostatnie dwa osobniki tego gatunku, a jeden z nich, tak od niechcienia, pojawia się dokładnie tu, dokładnie teraz. Już samo to powinno wzbudzić moje podejrzenia. Z lewej strony skalna ściana, z prawej porośnięte kosodrzewiną dramatycznie strome zbocze, a za plecami trudne podejście.

Gdybym wtedy mógł trzeźwo myśleć, to zauważyłbym, że niedźwiedź wybrał idealne miejsce na zasadzkę. Zaledwie kilka kroków dalej zaczynał się łagodniejszy stok, umożliwiający ucieczkę w las.

Rozglądam się. Pogoda jak drut, błękitne niebo, kilka chmur. Cisza. Tylko wiatr

szumi w gałęziach potężnych świerków po przeciwnej stronie dolinki. Gdzieś w dole, niewidoczny z tego miejsca, cichutko szmerze potok. Marek cofa się o krok, niemal dotykając mnie plecakiem. Niedźwiedź obraca w naszą stronę brązowy pysk.

- I ty je chronisz? - szepcze mój przyjaciel.

Fakt, jestem prezesem Towarzystwa Ochrony Niedźwiedzia Brunatnego. Dzięki temu wiem, że misie nie atakują ludzi, jeśli się ich nie prowokuje. I na pewno nie zasadzają się przy przewężeniach szlaku. Mimo całej mojej sympatii dla tego gatunku - są na to za głupie.

- Cofaj się spokojnie, to nic ci nie zrobi - mówię cicho, robiąc krok w tył. Potykam się i siadam na kamieniach. Serce mi wali, oddycham szybko.

Niedźwiedź ryczy i rzuca się do przodu. Zrywam się i odskakuję, z trudem łapiąc równowagę na wąskiej ścieżce. Marek próbuje się odwrócić. Niedźwiedź przewraca go i przygniata swoim ciężarem. Nie wbija w niego zębów ani pazurów. Tylko go przygniata.

Chwytam przytroczony do plecaka czekan. Waham się. Niezły dylemat: mogę uratować przyjaciela, zabijając jedyne samca niedźwiedzia brunatnego w Polsce. Co za ironia losu. A jednak robię to. Biorę zamach i wbijam czekan w brązowe futro na karku zwierzęcia. Błysk, iskry i niedźwiedź nieruchomieje. Marek wyczołguje się spod brunatnego futra. Nie ma żadnej krwi. Tylko dym i swąd spalonej izolacji. Czas zwalnia i zaczynam wszystko rozumieć.

Niedźwiedź jest robotem. Androidem, czy raczej bearoidem.

Z lasu wychodzą technicy w zielonych kombinezonach z logo agencji Paradox. Zupełnie mnie ignorując, zajmują się oceną zniszczeń ich pupilka. Patrzę na to szeroko otwartymi oczami, wciąż ściskając w dłoni czekan.

- Sorry stary - Marek wzrusza ramionami. - Ale... zrobiłem to w zasadzie dla ciebie.

W górze błękitne niebo, obramione czarnymi ścianami skalnego komina. Nie, nie wpadłem tutaj podczas tamtej wycieczki. Wtedy, nie oglądając się za siebie, zszedłem do chatki, w której się zatrzymaliśmy. Szedłem szybko i nieostrożnie, ale pamiętam, że dotarłem na dół.

- Co, testują? - zaskrzeczała stara góralka, śmiejąc się ochryple i wyciągając w moim kierunku artretyczny palec zakończony wielkim, szarym pazurem. - Testują?

Zapłaciłem, zarzuciłem na ramiona plecak i wyszedłem. Musiała wiedzieć, musiała brać w tym udział, wredna starucha. Nielotna czarownica.

Nigdy nie odkryłem, kto mnie wtedy testował. Możliwe, że i sama agencja po TEJ stronie nie wiedziała.

Nagle nabrałem ochoty na spacer. Zrezygnowałem z zamówienia taksówki do

Warszawy.

Marek. Przyjaciel ze szkolnej ławki. Sprzedał mnie. To było przykre, nawet bardzo. Zastanawiałem się, ile za to dostał. Chociaż może wcale nie chodziło o pieniądze. Obiecano mu wyleczenie chorej na raka siostry? To by go w jakimś sensie tłumaczyło... Tyle że on nie miał chorej siostry. W ogóle nie miał siostry. Ani brata. Był jedynakiem, kutas jeden. Może jak przejdzie mi złość, zdołam zadać mu parę pytań, nie rozpoczynając rozmowy od walnięcia go w mordę?

Jakie cechy sprawdzali? Lojalność? Odwagę? Może refleks i zdolność do działania w sytuacjach kryzysowych? Nie dowiedziałem się, to pewnie już się nie dowiem. Agencja pilnie strzeże swoich tajemnic.

To wspomnienie miało dalszy ciąg. Usłyszałem za plecami szum silnika. Biały Opel przeleciał nade mną i wylądował na pokruszonych resztkach asfaltu dawnej drogi do Łysej Polany. Drzwi od strony pasażera uniosły się, przesuwając się po łuku nad dach. Zwolniłem kroku. Zdecydowanie nie byłem asertywny i zrobiło mi się głupio na samą myśl, że mógłbym go minąć i pójść dalej. Co tam! Podbiegłem i wgramoliłem się na fotel pasażera, ładując sobie spory plecak na kolana. Drzwi wolno opadły i zatrzasnęły się. Spojrzałem na kierowcę i zamarłem. Marek położył dłonie na wolancie i natychmiast wystartował.

- Chciałem ci to wszystko wytłumaczyć - zaczął. - Uciekłeś ze szlaku, na kwaterze też cię już nie było...

- Co tu tłumaczyć? - Jednak nie uderzyłem go, choć sam się sobie dziwiłem. - Mógłbyś wylądować?

- Wysadzę cię w centrum. Chcę ci to wszystko wyjaśnić.

Mogłem zacząć się z nim szarpać, próbować zatrzymać pojazd. Dziecinada.

- Co to za bryka? - Nerwowo rozejrzałem się po kabinie. - Dostałeś tyle kasy, że stać cię na nowy?

Pokręcił głową.

- Pożyczyłem od nich, żeby cię dogonić.

- No więc słucham. Byle szybko!

- Nie mówię, że mi nie zapłacili, ale tak naprawdę zrobiłem to głównie dla ciebie.

Odwrociłem się do niego gwałtownie.

- Kurwa, ile lat się znamy?! No, ile?

- Ze dwadzieścia - wzruszył ramionami, patrząc na mnie z zażenowaniem. - Po prostu uważałem, że to dla ciebie szansa... Musiałem się zgodzić, nawet jeśli tak to się miało skończyć.

Wypuściłem powietrze przez zaciśnięte zęby. Dotarcie do Zakopanego zajęło nam minutę leniwego lotu.

- Ładuj natychmiast! - zażądałem kategorycznie.

Zacisnął zęby, ale wylądował. Otworzyłem drzwi i wyskoczyłem na bruk.

- Pomyśl, ile to musiało TAM kosztować! - krzyknął jeszcze za mną. - To dla ciebie szansa!

Odwrociłem się na pięcie i odszedłem. Zrobił to dla mnie! A to dobre! Wszystko musiało być ustawione od dawna, odkąd tylko zaczęliśmy planować wspólny wypad na weekend. Najlepszy kumpel... Zwykły kutas, nie kumpel.

Prezes, który zabija jednego z ostatnich niedźwiedzi, by ratować przyjaciela? A że miś mechaniczny? Cóż z tego? W życiu nie widziałem prawdziwego. Nawet wyliniałego półtrupa w zoo... Mechaniczny niedźwiedź? To naprawdę kosztowna sprawa. Musieli go skonstruować od podstaw. Chyba, że to mechaktor z jakiegoś rozrywkwiska. Tak czy inaczej wkalkulowali zapewne w koszty, że go nieźle uszkodzę.

Prezesem przestałem być miesiąc później. Przynajmniej TU przestałem nim być, choć raczej nie z powodu tego mechaniedźwiedzia. Prezes to brzmi dumnie, ale towarzystwo składało się z dwóch osób: prezesa i sekretarki, a nasza aktywność ograniczała się do działań pozorowanych w rodzaju pisania petycji do prezydenta o ustanowienie któregoś tam lipca Europejskim Dniem Niedźwiedzia Brunatnego. Żenada. Nawet jednego członka nie udało mi się zwerbować.

Złamana noga drętwiała i zaczynała puchnąć. Spróbowałem nią poruszyć. Zaprotestowała od razu ostrą igłą bólu.

- Hej! - krzyknąłem w górę. - Pomocy!!! Słyszysz mnie ktoś?!

Mało prawdopodobne...

Sięgnąłem do plecaka. Wymacałem latarkę i nagle zawahałem się. Znalazłem ją od razu, więc pamiętałem, że włożyłem ją właśnie tu. Idąc tym tropem, cofnąłem się do momentu pakowania plecaka. Nie, to na nic - zawsze nosiłem latarkę i scyzoryk w tej samej kieszeni.

Zacząłem omiatać światłem jaskinię. Ściany mojego skalnego więzienia były nieregularne, ale nie udało mi się dostrzec żadnego występu, którego mógłbym się chwycić. Nawet ze zdrową nogą wyjście stąd byłoby niezwykle trudne.

Wyciągnąłem z kieszeni naklika - naparstek sterujący całą moją osobistą elektroniką i założyłem go na palec. Przekręciłem pierścień i wyświetlił się niematerialny ekran z kilkunastoma ikonami. Tak jak przypuszczałem, wskaźnik komunikatora był nieaktywny.

Wszyta w rękaw kurtki antena miała za słabą moc, by z wnętrza granitowej skały złapać zasięg sieci.

Czy powiedziałem komuś, gdzie idę?

Przejrzałem zawartość plecaka. Było wszystko, co zawsze zabierałem w góry. Miałem wodę i prowiant na jedną dobę. Brakowało za to czerwonych rac, czy nanojetów, które, zaprogramowane i rozpylone, wlatywały w powietrze i leciały z informacją aż do sieci chwytników służb ratowniczych. Mściło się zmniejszanie wagi plecaka.

Moje położenie powoli ukazywało całą swoją beznadzieję. Nie mogę przesunąć się nawet o metr! W życiu nie wyjdę stąd o własnych siłach!

* * *

Stark obudził się ze strasznym przeświadczeniem, że ktoś chce go zabić. Usiadł i klepnął w lampkę. Gruby, półmetrowy penis zabujał się i zajarzył na czerwono. Prawe jądro wyświetlało godzinę, lewe minutę.

Stark siedział na łóżku, niczym bezwłosy goryl, od wysiłku umysłowego wysuwając dolną szczękę.

- Ktoś chce mnie zabić - rzucił w przestrzeń.

Odruchowo pogładził łysą czaszkę. Zaczęły mu się robić zakola, więc załatwił sprawę pastylkami na wypad włosów.

Po chwili nocna lampka rozpałała się na dobre, wyławiając z mroku jaskrawą, różową tapetę, pokrywającą ściany wielkiej sypialni, wielkie łóżko ze złotymi gałkami i wielki biust śpiącej na wznak dziewczyny.

- Ktoś chce mnie sprzątnąć - powiedział głośniejsz.

Właścicielka perfekcyjnie wymodelowanego nanotechnicznie biustu obudziła się i nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na Starka. Ciemne włosy miała nawinięte na kilkanaście wałków. Od częstych wizyt na solarium jej skóra była opieczona na kolor dobrze wysmażonego schabowego. Błękitne oczy świeciły jak dwie lampki odblaskowe.

- Powiedziałeś, że ktoś chce cię sprzątnąć, misiu? - zapytała sennie.

- Tak właśnie powiedziałem. - Stark zmarszczył brwi. Oczy zwężyły się w małe szparki nad kulfonowatym nosem. Myślał. Zdecydowanie nie był mistrzem intelektu i szło mu to opornie. Sięgnął po leżący na nocnym stoliku naklik i wsunął na gruby paluch. Wcisnął kilka przycisków na ekranie, który rozświetlił się nad kółką.

- Jeremi?! Śpisz?

Wyżej pojawił się obraz szczupłego szatyna koło czterdziestki.

- Jest czwarta w nocy - rozległ się zaspany głos. - Skąd, szefie... Nie śpię!

- Ktoś chce mnie zabić.

- Szefie! Pana?

- Tak, kurwa, mnie. - Stark wstał i nago zaczął krążyć po pokoju. Jego stopy zapadały się w puszysty dywan. Obydwa ekrany przemieszczały się wraz z nim, tak by miał je stale w zasięgu wzroku. - Kto chce to zrobić?

- Nie wiem... - Głos Jeremiego, emitowany wprost z tapety, pobudzanej miejscowo przez centralny system komunikacyjny, podążał za Starkiem.

- Więc wysił mózg i wymyśl.

- Tak jest, szefie! Ale... Dlaczego pan tak myśli?

- Wychodziłem dziś z agencji. Pamiętasz? Wtedy zleciał kawał gzymsu. Upadł obok mnie.

- Zabił jakiegoś jełopa.

- Chuj mnie obchodzi, kogo zabił. Mógł zabić mnie. To nie wypadek. Złącza były podpiłowane.

- Jest pan tego pewien?

- Sprawdź, kto to zrobił.

Stark wyłączył naklika, rzucił w kąt i założył ręce. Zapatrzył się w bujający się wciąż syntetyczny, świetlisty członek.

- Wszystko to kwestia erekcji - rzucił sentencjonalnie.

Dziewczyna wstała z łóżka, podniosła naklik i położyła na stoliku, gdzie leżał przedtem. Stark spojrział na nią. Wytrzeszczył oczy i ryknął:

- Co ty masz, kurwa, na głowie?!

- To metoda naturalna... - zaczęła tłumaczyć. - Żeby nie przesuszać włosów. Lokówki mikrofalowe niszczą cebulki...

- A po co ci majtki?

- Mam okres...

- Posłuchaj, świnko mała! - Wycelował w nią palcem. - Jak dla mnie, to możesz wyłysieć za pięć lat. Ale póki tu mieszkasz, nie chcę cię więcej widzieć w takim stanie. Masz być, kurwa, piękna, pachnąca i chętna non stop! Bez, kurwa, humorów, żalonych minek i okresów. Zrobisz sobie jeden wielki okres, jak cię wykopię. Fontannę sobie wtedy zrobisz. Doszło?

Klepnął ją w czoło tak, że dziewczyna straciła równowagę i usiadła na łóżku. Zrobiła podkówkę, bez słowa zaczęła wyplątywać wałki z włosów i, jak diva przed koncertem, rozciągać usta.

* * *

Milena nie była piękną. Nie była też brzydka. Za to zdecydowanie można ją było nazwać kochaną. Byłem pewien, że mogę jej w pełni ufać. No i żadna moja poprzednia dziewczyna tak dobrze nie robiła laski - tak odpowiadałem, gdy pytała mnie, dlaczego ją wybrałem. Wolałem nie pytać, dlaczego ona wybrała mnie. Była przytulińska, miękka, całuśna, wilgotna, kiedy było trzeba. Mój własny, lokalny ideał kobiety.

Prawie okrąg błękitu obramiony cienką kreską zieleni.

Przeglądałem dalej pamięć podręczną. Stan baterii czytnika - dwadzieścia procent. Starczy na trzy godziny, ale co tam! Wewnątrz kamiennego katafalku moi elektroniczni przyjaciele nadawali się tylko do tego: do odkurzania wspomnień. Krótkie migawki, niektóre animowane: ja i Milena w Chorwacji, ja i Milena w Szczyrku, w Grecji, w Londynie, w Łebie, w Nowym Jorku... Parę tysięcy obrazów... Nie starczy akumulatora, by wszystko obejrzeć.

Kocham cię, mała, pomyślałem, patrząc na rozpikselowane zdjęcie unoszące się w powietrzu. Jeśli z tego wyjdę, spędzimy wspólnie resztę życia. Jeśli z tego wyjdę...

Przekroczyliśmy przepuszczalną barierę. Prostokątny fragment przezroczystej ściany znikł, gdy się do niego zbliżyliśmy i pojawił ponownie tuż za naszymi plecami. Kryształ powietrzny.

Wielki hall agencji Paradox. Podążyliśmy w stronę kabin terminali Holtza.

- Ty nie chcesz porozmawiać? - spojrzałem na Milenę.

Pokręciła głową. Niepotrzebnie pytałem, nigdy nie chciała.

Wszedłem do kabiny, a drzwi z cichym szelestem zasunęły się za mną. Stałem w szarym, owalnym pokoju z idealnie wygłuszonymi ścianami. Mdle światło plafonu nie potrafiło uczynić go przytulnym. Zresztą nie miał być przytulny. Usiadłem w fotelu przed terminalem i nałożyłem naklik na palec wskazujący. Obróciłem pierścień sterujący. Dioda z wierzchu zapłonęła na zielono, potwierdzając gotowość do pracy. W powietrzu zawisł niematerialny przycisk. Dotknąłem go naklikiem, potwierdzając tym samym, że zapoznałem się z umową. Rzecz jasna, nie zrobiłem tego. Umowa miała kilka tysięcy linijek tekstu, a licznik już bił. Minuta przebywania tutaj kosztowała mnie prawie pięćdziesiąt euro. Przycisk zniknął, a zamiast niego szarą ścianę zasłonił czarny ekran. Wybrałem pierwszą z opcji. Oczekując na połączenie, zagapiłem się w animowane logo agencji.

Wreszcie na środku pojawiło się moje zdjęcie i opis, a poniżej zegar. Mieli mnie w pamięci, cały mój profil od A do Z.

- Co u ciebie? - zapytałem.

- Nie marnujmy czasu - przerwał mi dobiegający do mnie mój własny głos. - Sądzę, że wiemy, o czym chcemy porozmawiać.

Niegrzecznie, ale mądrze. Sekunda kosztowała prawie jedno euro.

- Jak z Mileną? - sprecyzowałem.

- Zamierzamy podpisać kontrakt małżeński.

- My też. - Zawahałem się. Głupio mi było pytać o kogoś, do kogo miałem bezgraniczne niemal zaufanie. Ale przecież po to właśnie przyszedłem. Sama mnie namówiła.

- Co o niej sądzisz? - wydukałem wreszcie, jakieś pięć euro później.

- To samo, co ty.

- Zrobiła coś... niestosownego?

- Nic mi nie przychodzi do głowy. - W jego głosie wyczułem wahanie, choć rzecz jasna było to niemożliwe. Transmisja szła w trybie tekstowym, inaczej minuta kosztowałaby pięćset euro. Dopiero terminal, używając wzorca mojego własnego głosu, czytał ten tekst. Wypowiadane przeze mnie zdania również zamieniał na tekst. Algorytm nie był doskonały, więc należało unikać trudnych wyrazów i skrótów. Dziwne wrażenie, choć nie tak bardzo, jak wtedy, gdy przyszedłem tu pierwszy raz, porozmawiać z ojcem kilka dni po jego śmierci.

- A u ciebie?

- U mnie też nie - powiedziałem szybko. - Jest kochana.

- Kryształ bez skazy.

- Róża bez kolców.

- Tylko się upewniam. Sama mnie namówiła.

- Mnie też.

„Mnie też”, „ja też” i parę podobnych to były najczęściej używane zwroty podczas rozmów na małe dystanse.

- Kończmy - powiedział mój alter.

- Zdecydowanie kończmy.

- Aha! - przypomniał sobie jeszcze. - Wypadła mi plomba w górnej, prawej szóstce. Uważaj też na głowicę do drylowania owoców w naszym robocie kuchennym. Zaciąłem się nią w kciuk i mam teraz strup w kształcie krzyża. Za mały, żeby leczyć nano, ale upierdliwy.

- Będę uważał - uśmiechnąłem się. - Dzięki i żegnaj.

- Dzięki i żegnaj.

Rozłączyliśmy się. Nie tak źle, sześćdziesiąt trzy euro. Puknąłem w niematerialny ekran, potwierdzając zgodę na przelew. Wyłączyłem naklik i schowałem go do kieszeni. Ekran znikł i patrzyłem teraz w szarą ścianę. Niczego się nie dowiedziałem...

Natarczywy pisk przypominał, że powinienem zwolnić kabinę. Jasne, już zapłaciłem. Dobrze, że nie instalują tutaj mechanicznego buta do wykopywania klientów. Odetchnąłem i wyszedłem.

Milena stała kawałek dalej w kremowej jesionce i rozmawiała z przygarbionym, łyśawym facetem w płaszczu. Sprawiał wrażenie kogoś, kogo wywalono z poradni antydepresyjnej za dołowanie innych pacjentów. Uśmiechała się do niego, coś tłumaczyła, pocieszała go. Cała ona.

Zaczekałem, aż skończą rozmowę. Szurając nogami, facet oddalił się w kierunku bariery wejściowej.

- Umarł jego kolejny alter - wyjaśniła z przejęciem, gdy podszedłem. - Od dwóch miesięcy coraz dłużej czeka na połączenie.

- Zdarza się.

- Zlecił agencji odszukanie swojego altera w kilku światach. Na pięć prób, pięciu nie żyło.

- Przykre... Jakaś nieuleczalna choroba... - Objąłem ją ramieniem.

Pokręciła głową. Ta krótka rozmowa z nieznanym wywarła na niej spore wrażenie.

- Same nieszczęśliwe wypadki. - Szybkim ruchem odgarnęła ciemny kosmyk włosów, opadający na oczy. - Awarie maszyn, błędy ludzkie... Jeden z alterów spadł ze schodów.

- Fatum? - Pokręciłem głową. - Nic takiego nie istnieje. Wszystko jest wyliczone. Nie ma przypadku, są tylko alternatywy.

- Dziś wykupił test Straussa na tysiąc pozycji. Ponad siedemset było czerwonych, a sto pomarańczowych. Powiedział „pętla się zaciska”. On ledwo żyje ze strachu.

Popatrzyliśmy za oddalającą się postacią. Szary pingwin drepczący w stronę światła. Nieszczęście parowało z niego przez ubranie. Inni, pewnie nieświadomie i odruchowo, omijali go szerokim łukiem. Jakby bali się zarazić. Dziura w uporządkowanym świecie kontrolowanej szczęśliwości. Hall był pełen ludzi, ale między nami a tym nieszczęśliwym nikt nie przeszedł. Bali się nawet przekroczyć jego ślady. Przez chwilę miałem ochotę pobiec za nim, postawić mu piwo, porozmawiać. Już zamierzałem zrobić krok w jego stronę, gdy dotarł do mnie głos Mileny:

- Co powiedział?

Bujnąłem tylko nogą w nieudany początek ruchu, oderwałem wzrok od pingwina i nieprzytomnie spojrzałem na dziewczynę.

- Kto? Aaa... ja. To, co już wiem. Jesteś różą bez kolców.

Pocałowałem ją delikatnie. Czuję, że jesteśmy wysepką wszelkich staromodnych

cnót wśród cynicznego, chorego społeczeństwa egoistycznych hedonistów.

Wtedy poczuliśmy wstrząs, a ułamek sekundy później dotarło do nas głuchoe tąpnięcie. Zbiegliśmy po schodach i wraz z innymi przeszliśmy przez barierę. Przepchnęliśmy się przez tłum.

Milena odwróciła głowę i wtuliła twarz w moją bluzę. Szary pingwin przekroczył masę krytyczną nieszczęścia i jego alterowi, który również wkrótce zginie, kolejna komórka matrycy Straussa zmieniła kolor z żółtego na czerwony. Ledwo go poznałem, nie miał głowy, a ściślej mówiąc, miał coś, co głową było pół minuty wcześniej. Za to szary płaszcz nie pozostawiał wątpliwości. Z ciała wypływała ciemna rzeka krwi. Obok leżała roztrzaskana kamienna płyta. Zrobiłem wtedy to samo, co większość gapiów - spojrzałem w górę. Piętnastometrową barierę wejściową wieńczył obłożony marmurem gzyms. Jednej płyty brakowało.

Z góry rozległ się ostrzegawczy sygnał syreny policyjnej i migający niebieskimi lampami grav wolno opuścił się na najbliższe miejsce parkingowe.

Nie czekaliśmy dłużej. Objąłem Milenę i odeszliśmy.

Szary pingwin przychodził tam codziennie, by sprawdzić, jak zmniejsza się dystans dzielący go od śmierci, w ilu procentach jest już nicością. Wydawał ostatnie pieniądze, żeby dowiedzieć się, kiedy umrze.

I odpowiedź została mu dana.

* * *

Jeremi szedł jak na skazanie. Słoneczny pasaż Krakowskiego Przedmieścia tętnił życiem. Lądowały i startowały gravy, przy wystawionych przed kawiarnie stolikach ludzie rozmawiali, pili kawę lub z ekranami przed sobą oddawali się freesurferingowi. Stark, ubrany w garnitur wart więcej niż niejedno życie, wyróżniał się z tłumu jak wilk ze stada owiec. Siedział rozparty na krześle. Pan i władca wszystkiego, co w zasięgu wzroku.

- Witam, szefie. Sprawdziłem to. - Jeremi czuł się niepewnie, jak zawsze gdy zbliżał się do Starka. - Zmęczenie materiału, wada konstrukcyjna, przypadek.

Stark siedział, a Jeremi stał, ale i tak patrzył na szefa jakby z dołu.

- Usiądź, co tak stoisz? - Stark odsunął nogą wolne krzesło. - Nie ma pośpiechu.

Jeremi posłusznie usiadł. Dopiero teraz usłyszał dość głośną muzykę, emitowaną na krótki dystans przez blat stołu. Na dziewczynę szefa nawet nie zerknął. Ona zresztą udawała, że jej tutaj nie ma. Czujnie łowiła jednak każde spojrzenie i grymas twarzy Starka, który w milczeniu obserwował przechodzących ludzi. Jeremi czekał, aż tamten się odezwie. Obserwował go i nieświadomie pocierał dłonie. Bał się go jak nikogo innego na świecie, choć

na szacunek nie mógł się zdobyć.

Do stolika podeszła kelnerka. Stark rozkazującym gestem zachęcił Jeremiego, by coś zamówił.

- Espresso - rzucił Jeremi. - Podwójne.

Szef wreszcie zaszczycił asystenta spojrzeniem.

- Więc ot tak sobie urywa się kawał betonu? - zapytał niedbale.

- Właściwie to marmuru, nie betonu.

- Co to, kurwa, za różnica? - Kropelki śliny, wypłute wraz z przekleństwem, upadły na stolik i rękę Jeremiego. - Pytam: czy to coś zmienia, że prawie zleciał mi na łeb kawał marmuru, a nie betonu?

- Ma to pewne znaczenie. - Jeremi wsunął głowę między ramiona, jakby naśladował strachliwego żółwia. - Beton ma inną kurczliwość termiczną niż marmur. Każda zmiana temperatury powodowała mikropęknięcia i zmęczenie stalowych kotew...

- Co ty mi tu pierdolisz?

- Mówię, że to był przypadek, szefie. Błąd powstał pewnie ze trzydzieści lat temu. Będą teraz wymieniać wszystkie płyty. Ośmielę się zauważyć, że gdyby ktoś chciał pana sprzątnąć, szefie, to istnieje sto lepszych sposobów.

- Tak? - Stark nachylił się do Jeremiego. - Masz jakieś pomysły?

- Skąd! - Jeremi skurczył się jeszcze bardziej, ale nie zamierzał przerwać wątku. - Chodzi tylko o to, że trafienie kamienną płytą z wysokości piętnastu metrów w ruchomy cel jest bardzo trudne.

Schabowa dziewczyna w milczeniu sączyła drinka przez słomkę. Wodziła wzrokiem od jednego do drugiego mężczyzny i starała się osiągnąć stan niewidzialności. Znała Starka już trochę i wiedziała, że w każdej chwili może wybuchnąć.

Ten jednak nie zamierzał wybuchnąć. Serdelkowatymi palcami obracał kufel piwa. Myślał intensywnie i widać było, że kosztuje go to wiele wysiłku. Marszczył łyse brwi i patrzył po zabytkowych kamienicach. Brzydził się strachliwym charakterem Jeremiego, ale wiedział, że tamten ma rację. Dobry snajper nie miałby problemu ze zdjęciem go tutaj, poza barierami. Jednak nie chciał się chować - jego pozycja wymagała, żeby nie okazywał strachu. Gdyby naprawdę obawiał się zamachu, musiałby siedzieć w domu za barierami energetycznymi jak szczur w norze. Komu pisana jest śmierć, umrze i tak. Zginać a zdechnąć to nie to samo.

Kelnerka przyniosła kawę i szybko się ulotniła. Jeremi pociągnął pierwszy łyk i przełknął z trudem. Zakaszał, bo przełykanie nie całkiem mu wyszło.

Stark przeniósł na niego wzrok i dłuższą chwilę przyglądał się spod przymrużonych powiek.

- To kamuflaż - ocenił wreszcie. - Zależy mu, żeby to wyglądało na wypadek.

- Komu? - zapytał czujnie Jeremi.

- Tego się właśnie, kurwa, dowiedz. - Stark popatrzył na niego innym wzrokiem, po czym wrzasnął. - Nie siedź tak! Szukaj go! No już!

* * *

Czy wierzyłem w przeznaczenie? Jak można wierzyć w przeznaczenie, skoro każde możliwe rozwiązanie i tak musi nastąpić? Chyba że przeznaczeniem jest suma tych rozwiązań.

Wyciągnąłem do góry dłoń. Niemal zakryła błękit. Tu, na dnie skalnej studni świat skurczył się do rozmiarów dłoni. Wszystko wydawało się inne. Ledwie po godzinie.

Po raz kolejny spróbowałem się poruszyć, ale uderzenie bólu w nodze było obezwładniające. Nawet mając linę i czekan, nie zdołałbym się wspiąć. Ciekawe, w ilu światach stało się to samo? Jeśli w niewielu, to znaczy, że mogłem tego uniknąć.

Światy rozchodziły się wolno, a proces ten byłby jeszcze wolniejszy, gdyby nie same agencje, testujące wybranych ludzi. Działalność agencji wzmacniała efekt oddalania się, bo gdy w jednym świecie przeprowadzano test, w innym korzystano z jego wyników. Sami testowańcy, jako jednostki wyjątkowo oddalone od swoich nietestowanych alterów, byli bardzo pożądanymi przy opracowywaniu choćby kodów dostępu. Zwykle algorytmy mogły zawodzić, bo w identycznej postaci istniały w innych światach. A skoro były identyczne, można je było kupić i wykorzystać. Ingerencja testowańca zapewniała wysoką niepowtarzalność. Nielegalny handel między światami oczywiście istniał, bo skoro był fizycznie możliwy, musiał istnieć. Na dziesięć legalnych generatorów Holtza, co najmniej jeden był nielegalny. Okazja czyni złodzieja. Zdobyta w jednym świecie informację można było wymienić w stu kolejnych na inne, a te z kolei sprzedać za prawdziwe pieniądze. Kandydat na prezydenta może być pewien, że swoją karierę buduje na trupach swoich alterów, którzy stają się celem ataków jego wrogów i źródłem informacji, wydobywanych na najprzeróżniejsze sposoby. To zagrożenie spowodowało powołanie instytucji zajmujących się tylko i wyłącznie różnicowaniem. Ich celem było doprowadzenie do sytuacji, w której decyzje podejmowane przez ważne osoby w bliskich światach różniłyby się choć trochę. Zwykle polegało to na tym, że VIP poddawał się serii kilku losowych zdarzeń, których efektem była delikatna zmiana jego przyszłych decyzji. Do wyboru zadań zatrudniano świeżych testowańców. Rzecz jasna nie ma takiego narzędzia w polityce czy ekonomii, które

byłoby używane wyłącznie w celach, do jakich zostało stworzone. Jedni nazywają to postępem, inni nadużyciem. Przy stopniu skomplikowania procesu decyzyjnego w wieloświatowej rzeczywistości, nie było sposobu na określenie, co jest użyciem, a co nadużyciem. Dodatkowo sam testowany w świecie, skąd przyszło zlecenie, miał nikłe szanse dowiedzieć się, że jego alter został poddany testowi. Nie dawało mi spokoju, że w światach równoległych wciąż będę uważał Marka za przyjaciela.

Od pół wieku badania nad światami rozgałęzionymi prawie nie posuwały się naprzód. Natrafiono na barierę, która wydawała się nie do przekroczenia. Cóż po badaniu, kiedy możliwych wyników może być wiele, a skoro wszystkie są możliwe, to wszystkie muszą zostać otrzymane. Tyle że my TUTAJ mieliśmy szansę poznać tylko jeden z nich. Równie dobrze można rzucać kostką.

* * *

Elegancki czarny Mercedes wylądował na najdroższym miejscu tuż przed wejściem do gmachu agencji G5. Tym razem, na wyraźne polecenie szefa, Jeremi wybrał inną firmę. Stark najpierw przez szybę upewnił się, że tutaj z gzymsu nic nie może odpaść, po czym wysiadł i w asyście dwóch roślących ochroniarzy i Jeremiego wszedł do środka. Zamiast bariery wejściowej zamontowano staromodne, kwarcowe drzwi. Rozsunęły się z terkotem wyrobionych rolek, wpuszczając ich do chłodnego wnętrza.

Purpurowy dywan prowadził przez obszerny hall do kolejnych drzwi. Ściany wyłożono bukową boazerią i zmatowioną stalą. Ze środka sufitu zwieszał się ogromny kryształowy żyrandol. Kilka osób siedziało w fotelach z boku. Poza nimi i recepcjonistką nie było nikogo więcej.

- To jest ta twoja alternatywa? - rzucił kpiąco Stark, oceniając solidność mocowania żyrandola.

- Pozory mylą - odparł Jeremi. - Sprzęt mają taki sam, a ceny niższe.

- Pieprzyć ceny! Co mi po forsie, jeśli będę martwy. - Zastanowił się, po czym wycelował palec w asystenta i wycedził - a jak ja będę martwy, to wszystko pierdolnie.

Jeremi nie był przekonany, czy cokolwiek po śmierci szefa pierdolnie, ale przez rozwagę nie zaprzeczył. Żeby nie przejść pod żyrandolem, Stark zszedł z dywanu i wraz z obstawą zbliżył się do recepcji. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i zapytała:

- Pan Stanisław Kroszyc?

- Tak - warknął Stark.

Nie lubił ani swojego imienia, ani nazwiska.

- Zapraszam do kabiny ósmej. Wejście z głównego korytarza.

Stark bez słowa ruszył we wskazanym kierunku, łapiąc się po drodze na nerwowym obracaniu naklika. Wszedł do kabiny i opadł na skórzany fotel. W powietrzu pachniało starością. Stark akceptował tylko sztuczne aromaty. Cytryna śmierdziała mu zgnilizną, przyjemny zaś był zapach syntetyczny.

Założył naklik, a w powietrzu zmaterializował się ekran z kilkoma opcjami. Stark nie lubił techniki. Od tego miał ludzi. Był dobry w zarządzaniu, nie w przyciskaniu guzików. Nie chciał rozmawiać ze swoim alterem („Po co, do kurwy nędzy, rozmawiać z samym sobą?!“). Wysunął palec i, ku własnemu zaskoczeniu, zawahał się przez ułamek sekundy, nim dotknął przycisku z napisem „Matryca Straussa“. Potem, nieporadnie suwając w powietrzu czubkiem naklika, wybrał przedział oddalenia na dwa miesiące. Ekran zgasł, a po chwili zaczęły się na nim pojawiać zielone kwadraty. Było też kilka żółtych i pomarańczowych. Na końcu rozświetlały się czerwone - w tych światach już nie żył. Ponuro wpatrywał się w migające światełkami istnienia jego alterów. Po dwóch minutach wszystkie tysiąc komórek wypełniło się kolorami. Na dole wyświetliło się podsumowanie. Stark nie żył w osiemdziesięciu przetestowanych światach. W dwudziestu jeden chorował. Gdy patrzył na ekran, jedna zielona komórka zaczęła migać, żółkła i zapłonęła krwistą czerwienią.

Zacisnął zęby i machnął ręką, by wyłączyć ekran. Ten przepuścił jego dłoń, zafalował i wyświetlił menu główne.

Przez głowę Starka przeleciała myśl, żeby jednak wywołać rozmowę z alterem i dowiedzieć się czegoś. Zrezygnował szybko.

Waham się, pomyślał. Puszczają mi nerwy.

* * *

Przypomniałem sobie kolejną rzecz. Wizyta w Zakopanem, która zakończyła się testem z mechaniedźwiedziem, rozpoczęła się od lądowania w okolicach starego dworca kolejowego. Podróż z Warszawy trwała dość długo - ponad pół godziny. Mimo zdalnej rezerwacji, wielu wciąż przybywało tutaj w ciemno, dopiero na miejscu szukając noclegu. Moją uwagę zwrócił koleś trzymający kartkę z napisem „Szybkie wojny“. Dowcip zrozumiałem dopiero po chwili, gdy spostrzegłem, że inni naganiacze trzymają tabliczki „Wolne pokoje“. Facet reklamował salon gier. Marketing semantyczny.

Włóczyłem się trochę po mieście. Zakopane zmieniło się bardzo od czasów, gdy jako pięcioletni smyk widziałem je po raz pierwszy. Centrum obrosło biurowcami w obowiązkowym stylu zakopiańskim. Co najmniej piętnaście pięter, szklane ściany i takież ostrospadzisty dach. Mogło być gorzej, chociaż z pewnej odległości, na przykład z Gubałówki, nawet nieźle to wyglądało. Jak pączkujące kryształowe góry.

Spacerkiem dotarłem do Krupówek. Mechaniczne konie zawsze mnie fascynowały. Obciążone sztuczną sierścią mechanizmy ze stali, silikonu i kilku prostych chipów odpowiedzialnych za równowagę i synchronizację ruchu. W końcu co to za frajda przejechać się elektryczną rykszą? Musi być bryczka i koń. A przynajmniej coś, co konia udaje. Mechakonie stwarzały znacznie mniej problemów niż żywe i nie męczyły się. Ale niedźwiedź? Musiał się poruszać sprawnie w trudnym terenie. To dla konstruktora zupełnie inna skala trudności. Na sztucznym koniu nie dawało się nawet jeździć wierzchem, a ten miś perfekcyjnie przygniótł Marka do kamieni, nie raniąc go przy tym. Jak ćwierćtonowy robot mógł być tak precyzyjny i delikatny? Ile może kosztować taka zabawka? Trzeba sprawdzić producentów. Przy okazji, bo to i tak niczego nie wyjaśni. Istniały wprawdzie agencje śledzące agencje, szukające ich motywów, zleceniodawców, ale ta zabawa była jeszcze droższa. Najciekawsze, kto za to wszystko zapłacił, kto poddał mnie testowi. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie dowiem się nigdy. Agencja nie musi się tłumaczyć, prawo sankcjonuje jej działalność.

Ugryzłem batonik. Chrupnęło i zaboląło. Pomacałem językiem. Wypadła mi plomba z górnej, prawej szóstki. Zlokalizowałem ją językiem i wyplułem. Jeszcze to! Jakby mało było nogi, która zaczynała już puchnąć. Ktoś, kto nigdy nie próbował zdejmować but ze złamanej nogi, której nie można zgiąć, nie zrozumie, jakie to trudne. Zagryzając z bólu wargi, przeciąłem scyzorykiem zapięcia. Kiedy ściągałem but, chyba było mnie słychać w kilku najbliższych dolinkach.

Gdy ból nieco osłabł, zauważyłem, że po ciemku dwa razy zaciąłem się w kciuk. Płytkie skaleczenia ułożyły się w znak krzyża.

Ogarniało mnie przygnębienie. Ile czasu będę tu tkwił? Czy w ogóle mam szansę, żeby ktokolwiek mnie odnalazł?

Po raz pierwszy pomyślałem, że tu, w tej norze jestem obiektem kolejnego testu. To się nie bardzo zgadzało, złamana noga oznaczała bowiem również złamane prawo. Chociaż... takie ograniczenia nie dotyczyły przecież nielegalnych agencji. W osiągnięciu założonych celów przeszkadzały im tylko niedostatki wyobraźni. Tyle że to też wiązało się z kilkakrotnie większymi kosztami. Czyżby jakaś korporacja chciała mnie zatrudnić? Firmy zazwyczaj testowały kogoś, zanim się do niego odezwały. Ale ja? Nie byłem ani nie planowałem być nikim ważnym. W końcu, po latach pracy w durnej korporacji, robiłem coś fajnego. Projektowałem gry, dawałem ludziom fun. A wcześniej? Byłem informatykiem, kreatywnym trybikiem nudnej maszyny korporacyjnej. Wykonywałem prace wciąż zbyt trudne dla programów AI - te wymagające wyobraźni. Ale ta moja kreatywność była mocno

ograniczona, bo dotyczyła kilku, nieustannie udoskonalanych algorytmów rozpoznawania linii papilarnych przez nakliki. Nie wykorzystywałem swoich umiejętności. No i w dużej firmie przeszkodą w rozwoju kariery zawsze był mój charakter. Ludzie wykorzystywali mnie, jakby znali moje słabe strony lepiej niż ja sam. Tak właśnie straciłem pracę: nie chciałem wydać kolegi, choć on sam pewnie zadenuncjowałby mnie bez wahania. Popełnił błąd i firma poniosła spore straty. Miałem znaleźć winowajcę. I znalazłem, ale wnioski zachowałem dla siebie, bo uznałem, że facet nie zrobił tego celowo. Przełożeni z kolei uznali, że najpewniej to moja sprawka i wywalili mnie. W moim przypadku nieszczęścia nie chodzą parami, tylko stadami: Milena straciła pracę zaraz po mnie. Znaleźliśmy się na krawędzi bankructwa, ale ona potrafiła odbić się od dna. Ze mną było gorzej. Odrzuciłem propozycję z jakiejś szemranej firmy. Inni by się nie wahali, za czterokrotnie wyższą pensję niż poprzednio... Ale ja czułem się wypalony, miałem wszystkiego dosyć.

Gdyby nie Milena, pewnie bym się załamał.

Milena... Jeśli z tego nie wyjdę, czy znajdzie sobie innego faceta? Mówiła wiele razy, że nie wyobraża sobie życia beze mnie. Ja bez niej zresztą też nie. Teraz to zrozumiałem - podjęła pierwszą pracę, jaka się nadarzyła i bez skargi, choć wiem, że praca była poniżej jej ambicji, zarabiała pieniądze. Dzięki temu ja mogłem realizować marzenia. Robić to, na co miałem ochotę.

Czy myślałem wtedy o niej?

Co ja tak naprawdę o niej wiem?

* * *

Zdychająca dzielnica przemysłowa. Nie, nie zdychająca - zdechła. Ciągące się kilometrami magazyny z porzewiałej blachy i upadłe fabryki. Bez namiaru satelitarnego niczego nie dałoby się tu znaleźć. Wszystko wyglądało jednakowo obrzydliwie. Brakowało nawet dróg dojazdowych. Od czasu upowszechnienia się gravów nie były już konieczne. Ziemię podzielono na ogrodzone parcele. Jak wydostać się stąd na piechotę? Człowiek zdechłby z głodu, nim przebiłby się do cywilizacji. To nieźle wzmacniało motywację wśród pracowników. Policja monitorowała teren raz na kilka dni, a że grafik przelotów sond był znany, nadzwyczajna ostrożność nie była nawet konieczna.

Stark lubił oglądać zapadające się dachy, rozpadłe, wrastające w grunt szczątki pojazdów. Przeszkadzały mu tylko drzewa - wszelka materia ożywiona, poza ludźmi, a i to nie wszystkimi, napawała go obrzydzeniem.

Rozwój metropolii omijał te okolice. Jeszcze pięćdziesiąt lat i Białowieża odzyska te tereny, połykając resztki czasowej bytności ludzi. Może tylko magazyny chemiczne będą się

dłużej odcinać martwymi plackami kolorowej ziemi. Ale kogo obchodzi, co będzie za pięćdziesiąt lat?

Autopilot zniżył lot. W zasięgu wzroku nie było żadnego pojazdu, czyli wszystko w porządku. Chwilę później Mercedes zawisł metr nad ziemią, przed ścianą wyglądającej na opuszczoną dawno temu blaszanej hali. Wielkie wrota wolno odsunęły się. Wciąż na autopilocie, grav wpłynął do mrocznego wnętrza i zaparkował obok kilku niższej klasy maszyn. Stark nie pilotował za dobrze i zdawał sobie z tego sprawę, jednak dla lepszego wrażenia, dłonie trzymał na wolancie.

Górna część kabiny otworzyła się jak zdziwiona pistacja. Stark wygramolił się na ziemię i odruchowo rozprostował błyszczący garnitur, choć materiał sam niwelował zagniecenia. Jak na model sportowy przystało, wsiadanie i wysiadanie było bardzo niewygodne. Dziewczyna, chwiejąc się na niebotycznych obcasach, z trudem wyszła z drugiej strony. Poprawiła spowitą ogromną ilością lakieru nienaganną fryzurę i obciągnęła niezwykle krótką spódniczkę.

Stojący przy drzwiach kantorka mężczyzna pozdrowił szefa. Wiszące między kratownicami dachu kule cyberstrażników odprowadziły przybyłych elektronicznym spojrzeniem.

- Spokój? - Stark podał rękę podwładnemu.
- Spokój, szefie. Nie wiem, za co pan mi płaci.
- Żebyś się nudził.

Dziewczyna dogoniła Starka w drzwiach. Strażnik udał, że jej nie widzi. Szef nie okazywał zazdrości, ale lepiej nie ryzykować. Ochroniarz wpuścił ich do środka, otworzył kłapę w podłodze, a gdy zeszli po stromych schodach, zamknął ją za nimi.

Wokół wielkiego stołu, zajmującego centralną część niskiego pomieszczenia, kręciło się kilka osób w białych fartuchach. Na nim znajdowały się grube cylindry z chromowanej stali, oplecione siecią przymocowanych do rusztowania rur i rurek. Część biegła pod sufitem do urządzeń stojących przy ścianach.

Pracownicy przywitali się ze Starkiem, kłaniając się nieco zbyt nisko. Gestem dał znać, by nie przerywali pracy.

- Co to jest? - Schabowa dziewczyna rozglądała się po instalacjach.
- Hodowla neuroaktywatorów. Nie interesuj się.

Najstarszy z pracowników podszedł do szefa. Podali sobie ręce.

- Jak praca? - zapytał Stark. - Jakież problemy?
- Nic podobnego, szefie - zaprzeczył energicznie bioneurochemik. - Te nowe

inkubatory są genialne.

- Co to są neuratory? - nalegała dziewczyna.

- Neuroaktywatory. Wy tłumacz jej. - Stark wskazał dziewczynę kciukiem. Podeszedł do terminalu stojącego na małym stoliku, by sprawdzić dokładne wyniki produkcji.

Naukowiec udał, że dopiero teraz zauważył dziewczynę. W minispódniczce, pończochach kabaretkach i obcisłej różowej bluzce wyglądała w laboratorium niczym wielbłąd w centrum handlowym. Patrzyła na bioneurochemika jak na automat do udzielania odpowiedzi.

- Neuroaktywator to rodzaj wysoko specjalizowanych biomechanicznych bakterii. To... - szukał prostego słowa - coś pomiędzy nanorobotami a bakteriami. Sztuczny organizm jednokomórkowy. Nic nowego. Jak łapie pani przeziębienie, to właśnie uspięne mechabakterie są w tabletkach na katar. W parę godzin niszczą przeciwnika, a potem same obumierają.

Dziewczyna kiwała głową, ale widać było, że niewiele rozumie. Niezrażony tym naukowiec kontynuował:

- Neuroaktywatory to specjalny rodzaj mechabakterii. Podróżują w krwioobiegu, a kiedy trafią na komórki nerwowe, przywierają do nich i zaczynają działać jak wzmacniacz sygnałów. Neuroaktywator pozbawiony dostatecznie silnych bodźców umiera... wyłącza się po kilkunastu minutach, ale zasilany częstymi impulsami zyskuje długowieczność, czyli około miesiąca... Zasada jest prosta. Wprowadza się do krwioobiegu roztwór neuroaktywatorów. - Gestem pokazał wstrzykiwanie w przedramię. - Potem należy się oddać czynności, w której doznania chce się wzmocnić. Najczęściej jest to seks.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

- To bezpieczne? - Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie. Dzięki temu, że sygnał jest wzmocniony, łatwo przesterować i wtedy dostaje się wylewu. - Skrzywił się nieco. - Jeśli podczas fazy instalacji kogoś rozboli ząb albo uderzy się w nogę, to te odczucia zostaną wzmocnione. Również na okres miesiąca... W batonikach dla dzieci też są neuroaktywatory wspomagające naukę, ale znacznie słabsze. Niestety, potem świat oglądany bez wspomagania, wydaje się płaski i szary, a doznania są zupełnie nijakie.

- Aha... - dziewczyna pokiwała głową. - To ja tak chyba mam. Czyli powinnam to brać? Jak często?

Naukowiec spojrzał na nią z zaskoczeniem, potem szybko przeniósł wzrok na szefa.

- Przepraszam. Muszę... wracać do pracy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Stark zakończył kontrolę rachunków. Nie mógł jej robić zdalnie, cała fabryczka była bowiem odcięta od świata. Ten system przynosił szereg korzyści, a wadę miał tylko jedną - co jakiś czas Stark osobiście musiał się tu pofatygować. Nie robił niezapowiedzianych wizyt, wszystko według planu. Uważał wprawdzie, że zaufanie nie jest niczym mądrym, ale pozory zaufania wprost przeciwnie. I tak miał kamery we wszystkich swoich zakładach - podczas każdej wizyty ściągał również plik z nagraniami. Dzięki temu wiedział, że akurat ci tutaj są uczciwi. W większości zawdzięczali mu życie. Wyciągnął ich z samego dna, dając możliwość pracy. Żeby być szczerym, w kilku przypadkach najpierw sam pomógł im tego dna sięgnąć. Ale skoro o tym nie wiedzieli, nie miało to znaczenia. Najważniejsze, że wszyscy myśleli, iż pracują w jedynej fabryce Starka, podczas gdy miał ich kilkanaście.

Wyjął z kieszeni małą puszkę sprayu i dyskretnie psiknął. Kilka tysięcy mikroskopijnych obiektywów poszybowało w górę, by przykleić się do ścian w całym pomieszczeniu. Jakość obrazu z tej fabryki od tygodnia się pogarszała.

Spojrzał na dziewczynę. Oglądała ampułki z autoiniektorami. Nie powinien jej tu zabierać. Przez ostatnie kilka dni stracił wewnętrzny spokój i zaczynał popełniać idiotyczne błędy.

Podszedł do niej.

- Nie interesuj się tym - rzucił. - I bez tego jesteś dość głupia.

Chwycił ją za rękę, by pociągnąć w stronę wyjścia. Rozległo się ciche syknięcie i poczuł ukłucie. Cofnął rękę. Opróżniona ampułka zadzwięczała o podłogę. Stark spojrzał na małą czerwoną kropkę na swojej dłoni.

- Oglądałam tylko, a ty...

Dziewczyna nie dokończyła, bo Stark otwartą dłonią uderzył ją w twarz. Upadła, trzymając się za policzek.

- Ty głupia pizdo... - wysyczał.

Bioneurochemik dopadł do szefa i chwycił jego dłoń.

- Szefie! - wykrzyknął. - Tak mi przykro...

- Niech ci nie będzie przykro, kretynie! Rób coś!

Praca w laboratorium zamarła. Wszyscy z bezpiecznej odległości przyglądali się zajściu.

- Mogę panu podać mechacyty... - gorączkowo zastanawiał się bioneurochemik. - Nie, nie zdążą się roznieść. Wprawdzie poszło domięśniowo, ale... to da nie więcej niż pięć minut.

Stark wyciągnął dłonie w stronę dziewczyny, jakby chciał ją udusić. Z przerażeniem cofnęła się w kąt i skuliła. Mógł to zrobić i zapewne nikt by nie przeszkodził. Wściekły

spojrzał na naukowca.

- Kurwa, wymyśl coś! - wrzasnął.

Tamten cofnął się o krok.

- Nigdy wcześniej nie analizowaliśmy takiego przypadku... Przede wszystkim nie może się pan denerwować! Bo się panu utrwali. Może pan się prześpi... Nie, to jeszcze gorzej! Może pan poczyta?

- Mam poczytać?! - ryknął Stark. - Odpierdoliło ci?!

Pod tym względem Stark nie odbiegał od większości społeczeństwa. Przeczytanie więcej niż trzech prostych zdań było dla niego wyzwaniem, przy którym na pewno by się nie uspokoił.

- Powinien pan robić coś, co pan lubi. Przez... dziesięć minut.

- Może bym was powystrzelał?

- To akurat zajęłoby mniej niż minutę...

- Założysz się, że zajmie dłużej?! - warknął Stark. Rozejrzał się i zmarszczył brwi. - Wszyscy wyjść! - Obecni rzucili się do drzwi. - Ty nie!

Chwycił za ramię dziewczynę i pchnął na podłogę obok stołów laboratoryjnych. Siłą rozpędu przesunęła się po błyszczącej posadzce. Krzyknęła krótko i spojrzała na niego przerażona.

W dwadzieścia sekund laboratorium opustoszało.

Bała się bronić, więc tylko się opierała łokciami o podłogę. Sięgnął dłońmi do jej spódnicy, chwilę szarpał się z guzikami, wreszcie, zdenerwowany, rozerwał ją i odrzucił. Złączyła nogi. Nie miała majtek. Przejechał wzrokiem po wygolonym podbrzuszu, potem wielką łapą sięgnął do jej bluzki i zerwał ją, odsłaniając nadrealnie sferyczne piersi. Dziewczyna leżała na podłodze naga, choć w szpilkach, pończochach i biżuterii. Oddychała szybko i nie śmiała się ruszyć. Mężczyzna rozpiął spodnie, z których wyskoczył naprężony członek. Rzucił się na nią. Zastoniła się ręką, ale nie zwrócił na to uwagi. Docisnął ją do podłogi i bez trudu rozchylił jej nogi. Ręką przytrzymał członek, ustawił go odpowiednio i pchnął. Dziewczyna jęknęła cicho i zamknęła oczy.

Posuwał ją kilka minut, przewracając, jakby była plastikową lalką. Nie zwracał uwagi, że jej początkowy opór przerodził się w uległość. Robił, co chciał. Dyszał z wysiłku, ale nie przestawał. Wreszcie przewrócił ją na plecy. Oplotła go nogami i odrzuciła głowę do tyłu. Skończył kilkoma mocniejszymi pchnięciami i znieruchomiał, łapiąc oddech.

- Wiedziałaś, że mnie kochasz, misiu - szepnęła mu do ucha.

Po twarzy ciekły jej łzy.

* * *

Kochaliśmy się w deszczu na porośniętej gęstą trawą polanie. Deszcz moczył nasze rozgrzane ciała i rozrzucone ubrania, ale jego krople były ciepłe, a słońce wraz z radosnym błękitem przebijało już przez kłęby brudnej szarości.

Zsunąłem się z Mileny i opadłem na plecy, w mokrą trawę. Dziewczyna leżała bez ruchu. Oddychała głęboko. Krople wody spływały po jej skórze, błyszczały w ostrych promieniach. Deszcz przestał padać, jakby ktoś wysoko w górze zakręcił prysznic, i oddał się cichnącym szumem w stronę lasu.

Spojrzelśmy do tyłu, wyginając karki. Tęcza. Podwójna.

Słońce schowało się za kolejną chmurę i zrobiło się chłodno. Narzuciliśmy na siebie mokre ubrania. Dopiero ich nieprzyjemne zimno przypomniało nam, że to nie raj, tylko tygodniowy urlop i wynajęta za kosmiczne pieniądze chatka na Podhalu. Raz na dobę można było włączyć bariery, zagradzające obcym wstęp na mały kawałek terenu. Pobiegać nago po lesie. Oczywiście płatne ekstra.

Z kiedy pochodziło to wspomnienie? Późne lato - ciężki upał za dnia, ale noce już zimne.

Wróciliśmy do chatki i zająłem się rozpalaniem w kominku.

Gdy Milena zdejmowała z siebie mokrą sukienkę, w blasku pierwszych płomieni obserwowałem krzywizny jej bioder i ud. Poczulem, że nie zaspokoilem jeszcze pragnienia. Z uśmiechem podchwyciła moje spojrzenie, podeszła, wsunęła nogę między moje uda i pomogła mi się wyswobodzić z koszuli i spodni.

Kochaliśmy się powoli na skórze niedźwiedzia przed kominkiem. Rajska chatka w rajskim, dwuhektarowym ogrodzie. Czuliśmy się lepsi od tej całej masy inżynierków i menedżerków, co to nie mogli wziąć trzech dni urlopu, żeby nie stracić premii i płynności finansowej.

Po kolacji odwinąłem niedźwiedzie futro na lewą stronę, by się upewnić, że jest sztuczne.

Nim wybiła północ, kochaliśmy się jeszcze raz - pod pierzyną, w wielkim, trzeszczącym łożu, które miało ze dwieście lat.

* * *

Wściekły Stark siedział w łóżku. Nie mógł spać. Jednak doszło do tego, że zamknął się we własnym domu z czterema ochroniarzami, zdublowanymi barierami i zdalnie zarządzał firmą, łamiąc własne zasady bezpieczeństwa transmisji danych.

Świetlisty penis bujał się, jądra wyświetlały trzecią dwadzieścia trzy.

- Nie wiem... - Dziewczyna zrobiła dość głupią minę. - Po co miałbyś sam się zabijać?

Wyglądała teraz jak typowa idiotka, ale Starkowi to nie przeszkadzało. Wcale na nią nie patrzył. Myśli galopowały mu w głowie, nieprzywykłej do rozwiązywania takich problemów. Od kilku dni obsesyjnie przeglądał transmisje na żywo ze wszystkich fabryk. Dzięki pokrywającej ściany i sprzęty fabryczek chmurze nanoobiektów, mógł umieszczać wirtualną kamerę w dowolnym miejscu i zaglądać niemal wszędzie. Najczęściej wyświetlał na środku sypialni zmniejszony model 3D wybranego wnętrza. Metrowego wzrostu widmowi laboranci przechadzali się w prostokątnej, widmowej bryle, pomiędzy widmowymi stołami i widmowymi inkubatorami.

- Poluje na mnie mój własny alter - warknął.

- Ale misiu... - Dziewczyna pogłaskała go po ramieniu. - Dlaczego?

- Sądzi, że ja chcę zapolować na niego.

- Ale skąd on to wie?

- Bo on to ja, a ja to on. Myślimy tak samo. Skoro pomyślałem tak, to on też tak pomyślał.

- Nic nie rozumiem...

- Ta ampułka neuroaktywatora to nie był przypadek.

Stark wyszedł z łóżka i narzucił na potężne plecy jedwabny szlafrok. Przeszedł przez środek zaludnionego przezroczytymi liliputami laboratorium i zniknął w drzwiach garderoby.

Dziewczyna spojrzała na poduszkę i otworzyła szerzej oczy. Na różowym nanojedwabiu leżał jej włos.

- O ja... Zaczyna się - szepnęła z przerażeniem. - Lokówki mikrofalowe...

Dziesięć minut później Stark siedział w Mercedesie i programował trasę do agencji G5. Wszelkie sprawy związane z wymianą informacji między światami trzeba było załatwiać w siedzibie agencji. Generatory Holtza były zbyt duże i energożerne, aby je instalować w domu.

Zadał komputerowi nieco okreśną trasę i przepisową prędkość. Nie, żeby się bał glin, dawno zdjął blokady i wyłączył subprogram powiadomiania policji o wykroczeniu powietrznym. Do czasu usunięcia zagrożenia chciał jak najbardziej zmienić swoje przyzwyczajenia, żeby uniknąć ewentualnego zamachu.

Inne gravity w tym samym korytarzu pozostawały niemal idealnie nieruchome względem siebie. Dążyły do świetlistych wieżyc centrum i czekających tam atrakcji. To miasto nigdy nie zasypiało. Tysiące maszyn poruszało się niewidzialnymi korytarzami jak

świecący plankton między ukwiałami wieżowców, jak fosforyzujące krwinki w płynie zakręcających i łączących się naczyniach krwioobiegu miasta.

Gapiąc się na świecąca wszystkimi kolorami metropolię w dole, górze... ze wszystkich stron, Stark złapał się na tym, że cały czas spodziewa się ataku, chociaż wiedział, że wyłowienie spośród innych i trafienie lecącego grava było bardzo trudne.

Pojazd podszedł do lądowiska najbliższej budynku, ale Stark w ostatniej chwili przejął stery i posadził Mercedesa dwa miejsca dalej. Żeby tylko inaczej niż zwykle.

Agencje, jak większość firm w tym mieście, były czynne całą dobę. Teraz, w środku nocy, miały nawet więcej klientów niż w dzień. Ludzie, którzy wybrali nocny tryb życia, reagowali sennością na brzask. Jak wampiry, w dzień musieli nosić ciemne okulary, snuli się wtedy w swoim-nieswoim świecie.

- Potrzebuję kabiny - rzucił do recepcjonistki, odruchowo patrząc na jej okazały biust.

- Ma pan rezerwację? - Uśmiechnęła się profesjonalnie, ignorując jego ton i spojrzenie.

- Nie mam.

- Kabina piętnasta będzie wolna najdalej za pięć minut. Dam znać. Może pan usiąść i skorzystać z neurorelaxatora.

Odwrócił się bez słowa. Nie zamierzał siadać ani się odprężyć. Niecierpliwie krążył po hallu. Najchętniej strzeliłby w ryj faceta, który wyjdzie z kabiny numer piętnaście.

Nie, wiedział, że tego nie zrobi. Panował nad sobą. Panował nad swoim życiem. Wyeliminował konkurentów, potem wspólników. W jego świecie to był naturalny proces. Startowało kilku, przeżyć mógł jeden. Największa sztuka to wyczuć moment, kiedy należy zaatakować. Zaatakować bez wahania i bez skrupułów. Nauczył się zachowywać zimną krew.

Ale jaką konkurencją można być dla samego siebie?

Liście sztucznego kwiatu obok Starka piknęły i głosem recepcjonistki oznajmiły, że kabina numer 15 jest wolna. Nałożył na palec naklik i minął szurkowatego faceta, którego nawet żal było bić.

Zwalił się na fotel i zczekał, aż pojawi się ekran. Wybrał opcję rozmowy z alterem.

- Chciałeś mnie zabić - zaczął bez wstępów, gdy pojawiło się połączenie.

Jego alter dokładnie w tym samym momencie powiedział dokładnie to samo. Działo się tak często, gdy obaj rozmówcy rozgałęzili się niedawno. System przewidywał to i opóźniał następną wypowiedź, albo wręcz ją wycinał. Przy dwóch reagujących identycznie osobach rozmowa była niemożliwa.

- Dwa przypadki w dwa dni? Uważasz, że to nic?

- Nie chcę cię zabijać. To ty planujesz usunięcie mnie!
- Kłamiesz, głupi chuju! Chciałeś mnie zabić!
- To ty chciałeś mnie zabić tym betonem! Marmurem, kurwa, czy jak mu tam...

W tym momencie Stark zrozumiał, że rozmawia z alterem, z którym musiał rozgałęzić się już po zamachu kamienną płytą, może nawet tuż przed wejściem do kabiny. Bezsensownie wybrał najmniejszy współczynnik oddalenia. Wyciągnął dłoń, żeby przerwać połączenie, ale tamten zrobił to pół sekundy wcześniej. Palec Starka przebił powietrze. Miał dość. Zerwał się z fotela i wściekły wypadł z kabiny.

Jeśli mój alter planuje sprzątnięcie mnie, pomyślał, wsiadając do grava, to przecież ja też powinienem planować sprzątnięcie jego! Wiedziałbym o jego planach, bo sam bym je wymyślał. Jesteśmy tą samą osobą.

Wystartował, włączył program powrotu do domu i zagłębił się w przykrych rozmyślaniach.

Nie, to bez sensu. Czy ja w ogóle planuję zabicie altera? Bo jeśli nie, to on nie planuje zabicia mnie... Chwilę wahał się, po czym powiedział na głos:

- Tak, planuję sprzątnięcie mojego altera. Zanim on sprzątnie mnie.

* * *

Zasada jest prosta. Jeśli rozważasz popełnienie morderstwa, to już je popełniłeś. Jeśli zastanawiasz się, czy komuś o tym powiedzieć - już powiedziałeś. Nie TU, to TAM, gdzieś na pewno. TAM popełnisz błąd, a TU wylądujesz to w twojej kartotece policyjnej i w razie czego będziesz głównym podejrzanym w sprawie, o której nie masz pojęcia. Świat był cudownie prosty przed wynalazkiem profesora Holtza. Zamiary były zamiarami, czyny czynami. Dla ścisłości - nie były, ale o tym nie wiedzieliśmy. A liczy się przecież stan wiary, a nie rzeczywistość.

Tak, rozmawialiśmy o tym...

Prawie okrąg błękitu w górze szarzał. Zjadłem drugiego batona i wypilem jedną trzecią porcji wody. Ząb bolał chwilami, noga cały czas, nawet gdy nią nie ruszałem. Po skórze łążyły mi ołowiane mrówki w szpilkach. Powoli wzbierała we mnie złość, choć jeszcze nie potrafiłem jasno określić jej adresata.

Rozmawialiśmy o tym. Ostatniego dnia przed wygnaniem z dwuhektarowego raj. Teraz, oglądając kolejne zdjęcia na półprzezroczystym dla oszczędności energii ekraniku, przypominałem sobie. Otoczenie tak samo piękne jak wcześniej, ale już smutne spojrzenia. Sami sobie zepsuliśmy ostatni dzień urlopu, skupiając się na tym, że był ostatnim dniem.

- Możemy stworzyć nasz własny, przenośny raj - powiedziała przy kolacji. - Przecież

szczęście zależy od nas, nie od scenografii.

W milczeniu przytakiwałem, dłubiąc widelcem w sojowej dziczyźnie. Nie smakowała jak dziczyzna, smakowała jak soja.

- Ale musimy być pewni, że to będzie prawdziwy raj - odparłem po dłuższej chwili. - Że potrafimy go stworzyć.

Skinęła głową. Wiedziałem, że na taką odpowiedź liczyła. Wrażliwa i delikatna, gdy dochodziło do kwestii zasadniczych, zamieniała się w pragmatycznego księgowego.

- Bo cóż z tego - dodała - że nam się wydaje, że jesteśmy lepsi. Naprawdę możemy być tak samo beznadziejni jak inni. Raj musi mieć solidne podstawy.

Rzeczywiście, znałem wiele par, które mimo wielkiego uczucia rozpadły się bądź przekształciły w trójkąty. Potem przyszło mi do głowy, że raj nie da się stworzyć ze wzorów matematycznych i precyzyjnych projektów. Nie powiedziałem tego na głos.

Tamtej nocy spaliśmy plecami do siebie, śniąc trudne sny.

Rozmawialiśmy o tym. Zastanawialiśmy się. A jeśli się zastanawialiśmy, to znaczy, że to zrobiliśmy.

* * *

- Jest pan pewien szefie, że chce pan to zrobić? - Wyciągnięty ze snu Jeremi miał problemy z wejściem w swoją zwykłą rolę unizonego podwładnego. - To zadziała w dwie strony.

- Wiesz, czego się nauczyłem przez te wszystkie lata? - Stark puknął go palcem wskazującym w pierś. - Tego, że wygrywa szybszy i sprytniejszy.

Jedli przedśniadanie w robotniczym barze na przedmieściach. Słońce dopiero wdrapywało się na niewidoczną stąd krawędź horyzontu. Czarne kontury wieżowców strzępiły różowiejące niebo. Szef mechanicznie gryzł i przełykał, myśląc o czym innym. W zapyziałym wnętrzu siedziało jeszcze kilku klientów. Zerkali podejrzliwie w stronę zbyt dobrze, jak na to miejsce, ubranych obcych.

- To trochę przypomina samobójstwo... - zauważył ostrożnie Jeremi.

- Nieważne, co to przypomina. Muszę to zrobić.

Stark wierzył święcie, że wszystko ma swoją cenę i dotychczas pomylił się tylko raz. Wynałazł zdolnego informatyka, facet marnował się w jakiejś podrzędnej firemce. Poddał go testowi, który wypadł bardzo dobrze, a potem swoją starą metodą zniszczył jego karierę i wystąpił w roli zbawcy. A facet odmówił, co zaskoczyło Starka do tego stopnia, że nawet go nie zabił. Ale to był jeden, jedyny raz.

- Powiedz mi tylko - powiedział wolno - jak to zrobić i ile to będzie kosztowało.

- Dobrze, pomyślę. - Asystent w milczeniu żuł kanapkę. Po chwili uśmiechnął się. - Samobójstwo! Nieudane samobójstwo to jest to, o co nam chodzi! Popelni pan samobójstwo.

- Pozorowane?

- Nie, prawdziwe. Tyle że nieudane.

- A jeśli przypadkiem mi się uda?

- O to chodzi! - Jeremi ożywił się. - Im mniejsze prawdopodobieństwo, że pan przeżyje, tym mniej alterów w blisko rozgałęzionych światach będzie panu zagrażać. Założmy, że zagra pan w rosyjską ruletkę starym rewolwerem, takim z kręconym magazynkiem. Tylko jedna komora pusta. Kręci pan i strzela.

Stark spojrział na niego jak na idiotę. Nie wybuchnął jednak złością, tylko zapytał:

- A jeśli to akurat ja zginę, a reszta przeżyje?

- Ależ przed rozgałęzieniem pan jest nimi wszystkimi. Zyska pan gwarancję, że w pięciu na sześć światów nie będzie pańskiego altera. Jeszcze lepiej, gdyby wybrał pan taki rodzaj samobójstwa, w którym tylko cudem może pan przeżyć.

- Popieprzyło cię? - powiedział wolno Stark - Jeszcze jeden taki pomysł i przetestuję go na tobie.

- To tylko prototyp pomysłu - zaznaczył szybko Jeremi. - Już żałował, że w ogóle o tym powiedział.

Zgnietli papierki po kanapkach i wrzucili na wklęsłą pokrywę recyklatora. Przyspieszona osmoza przeciągnęła papierowe kulki przez strukturę molekularną filtra i rozseparowała je na kilka składników. Stark patrzył na kosz.

- Mnie zagrażają też ci, z którymi już się rozgałęziłem - powiedział. - Chcę zlikwidować mojego altera, który już teraz jest w innym świecie.

- Z tego, co wiem, teoria mówi, że jest ich nieskończona ilość.

- Chcę zabić tylko tego, który poluje na mnie.

Jeremi chciał powiedzieć, że jeśli któryś rzeczywiście poluje, to zdążył się rozgałęzić w nieskończoną ilość polujących.

- Wydaje mi się, że kiedyś słyszałem o kimś, kto zajmuje się takimi sprawami. - Podrapał się w głowę. - Popytam... jak ludzie się pobudzą.

* * *

Ale jeżeli to miał być test... To czemu, do kurwy nędzy, nie przysłała mi po prostu dziewczyny do łóżka, żeby sprawdzić, czy się skuszę? Proste, tanie i bez angażowania agencji... przynajmniej takiej agencji.

Test... Sztuka w tym, aby obiekt nie domyślił się za wcześnie, że jest testowany. Skoro

ja się domyśliłem, to albo sfuszerowali robotę, albo... chodziło o to, żebym się domyślił. Milena, moja Milena zleciła coś takiego... Nie mogłem w to uwierzyć. Wielu ludzi traktowało fakt istnienia innych światów jako abstrakcyjną ideę. Jak atomy, o istnieniu których wiemy, ale patrząc na własną dłoń, nie widzimy w niej złożonej struktury zlepionej z molekuł. W powszechnym pojmowaniu alter był raczej podrzędnym cieniem, człowiekiem z lustra, z fotografii. Prawdziwy świat był zawsze TU, reszta to obce byty, może nawet istniejące, ale na pewno mało ważne.

Wiedziałem, że Milena tak nie myślała. Ogarnęła mnie rozpacz. Zacisnąłem pięści ze złości.

- I dlaczego to robisz, głupia suko?! - krzyknąłem w prawie okrąg szarzejącego błękitu. - Przecież ja cię kocham! Kocham cię!!! Słyszysz?! Chcesz mieć pewność?! Sto procent? Nigdy nie będziesz mieć stu procent!

Odpowiedziało mi tylko echo.

- Musisz to sprawdzić... - szepnąłem. - Jasne, kurwa, że musisz to sprawdzić. Zawsze chciałaś mieć gwarancję. - Oprzytomniałem nagle. - To oczywiste! Chcesz sprawdzić, jak długo TU wytrwam, co? TAM nadal będę cię kochał, nie wiedząc o niczym, o tym... świństwie. Uważaj! Może i sam wykupię test na twoją lojalność! Co za idiotyzm...

Noga przypomniała, bym się nie wiercił. Dlaczego zdecydowała się wydać tyle kasy? Nie byliśmy zbyt bogaci. A może tam byliśmy? Nie, różnice kursów między wersjami niemal nie istniały. Globalne trendy szły równo, jakby na złość zwolennikom teorii efektu motyla. A może to nie ona? Może tam była jakaś inna Milena? Taka, z którą rozgałęziłem się bardzo dawno? Nie, niemożliwe. Maksymalna moc generatorów Holtza pozwalała na kontakt ze światem rozgałęzionym nie dalej niż trzy miesiące. Dokładnie było to osiemdziesiąt siedem dni. Kosztowało zresztą fortunę, bo groziło przeciążeniem i zniszczeniem samego reaktora. Przy tej wartości wykres energia/odległość w czasie raptownie piął się do góry. By sięgnąć trzy dni dalej, potrzeba mocy wszystkich ziemskich elektrowni.

Ta myśl nagle przywróciła mi nadzieję, że to nie ona, nie Milena. Jeżeli się dowiem, kiedykolwiek, bo przecież ona, tutaj, o niczym nie będzie wiedziała. Jakże w ogóle mieć do niej pretensję? Nawet jeżeli Milena, to... kto inny dał zlecenie, jej alter, nie ona!

Ależ właśnie jej alter, to ona. Trochę inna, ale ona. Czy ta miła dziewczyna, którą poznałem parę lat temu, mogła mi to zrobić?

Zaraz... Jeśli to test, to przecież podsłuchują! Szarpnąłem się i zacząłem obmacywać załomy skalne w poszukiwaniu mikrofonów. W końcu, było nie było, muszą przedstawić dowody. Film najlepiej! Więc gdzie kamery? Nie, niczego nie znajdę. Mogą być mniejsze od

wszy i bardziej od nich mobilne. Bardziej zdradzieckie. Wszoszpiedzy. Wszędowszospiedzy.

- Kocham cię! - zawylem ponownie. - Kocham cię ponad wszystko! Czego więcej chcesz?!

Poczułem wstrząs i oślepiło mnie jasne światło. Świetlisty tunel! Wygląda na to, że te wszystkie religijne oszołomy miały rację... Trochę za wcześnie, żeby umierać, ale już nie mnie o tym decydować.

* * *

Czoło Vailanta ciągnęło się aż do potylicy. Owłosienie jego głowy zaczynało się potężnymi wąsami, schodzącymi do zawiasów szczęki. Tam wspinało się do góry bokobrodami, zakreślało nad uszami i obiegało głowę jakby wysokim, futrzanym kołnierzem. Jeśli kiedyś osiwieje, będzie wyglądał jak cesarz Franciszek Józef skrzyżowany ze Świętym Mikołajem.

Vailant pochłonięty był czyszczeniem zabytkowego pistoletu z połowy XIX wieku. Na środku jeszcze starszego biurka leżała flanelowa szmatka, a na niej równo porozkładane błyszczące części. Cały gabinet, choć umiejscowiony na sto trzydziestym ósmym piętrze, był zastawiony antykami.

Stark obserwował ruchy odzianych w bawełniane rękawiczki rąk Vailanta. W rytm pompatycznej włoskiej opery płatny zabójca przesuwiał delikatnie ściereczką po metalu. Starka te dźwięki wprawiały w jeszcze większy niepokój. Nie lubił takiej muzyki. I nie lubił broni, która wymagała tyle zachodu i potrafiła się zacinać w najmniej odpowiednich chwilach. Osobiście używał bezobsługowego smartguna, który nie wyróżniał się specjalną celnością, ale nie miał prawa się zaciąć. Do pierwszego strzału był hermetyczny. Po wystrzeleniu dwudziestu trzech pocisków, pistolet stawał się bezużyteczny.

- Dużo pierdolenia z tą zabawką - stwierdził Stark.

- Ależ to przyjemna czynność - zaproponował Vailant. - Co cię do mnie sprowadza?

- Mój alter chce mnie sprzątnąć.

Gospodarz pokiwał głową.

- Nie jesteśmy lojalni wobec nikogo - powiedział. - Nawet wobec siebie.

Stark chrząknął. Ta wizyta już na początku wydała mu się dziwaczna, ale reputacja mordercy powstrzymała go przed wyciągnięciem pochopnych wniosków.

- Weźmy mnie. - Vailant nie patrzył na rozmówcę. Kolejną szczoteczką polerował kolejny otwór. - Miałem czyścić mojego Glocka wczoraj, ale pomyślałem sobie, że mi się nie chce i że zrobię to dziś rano. Rano byłem zły na siebie z wczoraj, że nie zrobiłem tego wcześniej, ale nie powstrzymało mnie to przed przełożeniem tej czynności na południe. No i

teraz muszę jednocześnie czyścić broń i rozmawiać.

Stark był już zupełnie zbity z tropu. Po raz pierwszy od bardzo dawna siedział i czekał na rozwój wypadków. Gospodarz milczał, jakby kpił sobie z gościa. Zasluchany w muzykę, obracał korpus broni.

Od co najmniej ćwierć wieku lepsze i bardziej wydajne były blastery plazmowe. Strzelały cicho, nie siały wokoło łuskami, a w ranie nie pozostawał pocisk, który ktoś kiedyś mógł zbadać i stwierdzić, z jakiej broni pochodzi. Dla podziemnego świata narzędzie, zdawać by się mogło, idealne. Niestety, każdy wystrzał z blastera to również charakterystyczny, wykrywalny natychmiast impuls elektromagnetyczny, po którym w okolicy roilo się od policji. Z dwojga złego lepiej zbierać łuski.

- Podejmiesz się sprzątnięcia mojego altera? - zapytał Stark. - Znaczy... czy zlecisz swojemu alterowi, zlikwidowanie mojego altera?

Vailant skinął tylko głową. Puchatym wyciorem polerował wnętrze lufy.

- A jak przekażesz zlecenie?

- Korzystam z legalnych terminali. Rzecz jasna koduję transmisję.

Stark nie wiedział co odpowiedzieć, więc przeszedł do konkretów:

- Ile to będzie kosztowało?

- Dwadzieścia tysięcy euro. - Vailant zajął się składaniem broni, w kilku miejscach nanosząc na powierzchnię metalu kroplę oliwy.

Stark wiedział, że suma nie była wygórowana. Za podobne pieniądze zlecał zabójstwa w obrębie swojego świata.

- Zgoda. - Sięgnął do kieszeni po naklik i w kilka sekund wykonał przelew.

Vailant z pietyzmem wsunął kolejny element i delikatnie sprawdził, czy przesuwa się płynnie.

- Musisz wiedzieć - powiedział - że istnieje nieskończenie wysokie prawdopodobieństwo, że twój alter odbywa właśnie identyczną rozmowę z moim alterem. Jesteś swoim własnym zakładnikiem.

- Dlatego po wyjściu stąd, zanim zlecenie dotrze do ciebie, zamierzam ukryć się na dłużej w domu i aktywować wszystkie zabezpieczenia.

Oczywiście kłamał. Zamierzał zaszyć się w odległym zakątku Europy, powierzając losowanie każdej z siedmiu cyfr współrzędnych geograficznych testowańcowi. Dzięki temu będzie w innym miejscu niż najbliższy mu alter.

- Dla ścisłości - poprawił się Vailant - istnieje nieskończenie wielka liczba twoich alterów, rozmawiających z moimi alterami. A każdy z twoich alterów jest w nieskończenie

wielkim stopniu twoim sprzymierzeńcem, bo każdy z nich zleca zabicie twojego potencjalnego wroga. Zaledwie jeden z tej całej masy będzie chciał zabić ciebie.

Stark zaczynał się gubić, więc nie analizował sensu wypowiedzi.

- Kiedy zamierzasz przekazać zlecenie?

- Jak najszybciej. - Uśmiechnął się.

Z ustawionych w równym rzędku naboju Vailant wybrał jeden i wsunął do magazynku. Błat biurka i leżące na nim bibeloty piknęły trzy razy, co oznaczało, że na konto wpłynęło dwadzieścia tysięcy euro. Fala akustyczna była kierunkowa, więc siedzący naprzeciw Stark tego nie usłyszał. Vailant włożył magazynek i, pociągając zamek, załadował nabój do komory. Wycelował w Starka i nacisnął spust. Po głośnym huku w powietrzu zawisł wibrujący głos tenora. Stark, z dziurą na środku czoła, pochylił się i spadł z krzesła.

Morderca wstał, włożył pistolet do destruktora, zamknął drzwiczki i wcisnął „start”. Broń rozpałała się do białości i rozplynęła w świecąca kałużę.

- Teraz kilka słów celem wyjaśnienia - powiedział, ściągając rękawiczki. - Ponieważ nie ma znaczenia, którego altera sprzątnę, oszczędzam energię i zabijam tego, który jest najbliżej. Wszystko uczciwe, pamiętaj. Mój alter zabił właśnie twojego altera w rozgałęzionym świecie. Jeśli jestem czegoś pewien, to po co marnować czas i pieniądze? - Pochylił się nad ciałem. - W rzeczy samej, nic nie jest kłamstwem ani prawdą samo przez się, tylko myśl nasza takim to czyni.

* * *

Sunąłem przez świetlisty tunel. Zamknąłem oczy. Jasne światło przeświecało przez powieki. Próbowałem poddać się podniosłej atmosferze, ale coś było nie tak. Czułem dłonie niosących mnie ludzi, czułem ich kroki. Do Nieba nie wstępuje się w ten sposób. Cała ta elegia śmierci zdechła, gdy zostałem posadzony na wózku i ktoś, kogo nie widziałem, powiózł mnie do stolika ustawionego w rogu hali.

Mam o tym mgliste pojęcie, ale wydaje mi się, że w Niebie nie ma styropianowych kubków z kawą.

Ktoś w białym fartuchu założył mi na udo obręcz znieczulającą. Ktoś inny bez krepacji chwycił moją nogę w kostce, pociągnął i nastawił złamanie. Niczego nie czułem. Zabolało dopiero uklucie w szyję. Miałem bardzo spowolnione reakcje, bo gdy spojrzałem w tę stronę, pielęgniarka cofała już dłoń z iniektorem.

- Nano jest już w krwioobiegu - wyjaśniła. - Za dwadzieścia minut kość będzie jak nowa. Proszę nie ruszać nogą i pić to.

Sięgnąłem po kubek i z przykrością przełknąłem pierwszy łyk gęstego płynu

smakującego jak kisiel z gipsem.

Jakiś mężczyzna zdjął mi obręcz znieczulającą i ból, na szczęście już słabszy, powrócił. Tym razem miałem jednak na nodze foremkę z markerami dla nano, więc przynajmniej kość się nie przemieszczała. Zacisnąłem zęby i postanowiłem siedzieć grzecznie, aż małe mechanizmy zajmą się moją gospodarką wapniową.

Dopiłem obrzydliwy napój i odwróciłem głowę. Kilka metrów za mną stały dwa białe cylindry o wysokości około dziesięciu metrów. Dalej inne bryły, podłączone do gniazd w ścianach wijącymi się po podłodze kablami. Symulatory. Najbliższy cylinder w dolnej części miał otwarty, okrągły właz, przez który widziałem wnętrze - ściany ze sztucznej skały.

Zacisnąłem zęby. Chciałem zażądać wyjaśnień, ale nikt się mną nie interesował. Technicy w białych uniformach sprawdzali stan innych symulatorów, zmieniali parametry na konsolach i nawet nie patrzyli w moją stronę. Ciekawe, co miały symulować tamte urządzenia? Zepsute windy, uszkodzone gravity?

Właz drugiego cylindra otworzył się. Na wózku, takim samym jak mój, posadzono Milenę. Serce zabiło mi mocniej. Chciałem wstać, podbiec do niej, ale przypomniałem sobie o nodze. Ona też spróbowała wstać, ale jeden z techników powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu. Poddano ją identycznym zabiegom jak mnie przed chwilą, po czym przysunięto do stolika. Chwyciliśmy się za ręce.

- Już po wszystkim - uspokajałem ją. - Jeszcze dwadzieścia minut i będziemy mogli stąd wyjść. Selektywna amnezja zniknie szybciej. Na razie się nie ruszaj.

Uśmiechając się, patrzyliśmy na siebie. Ukryłem jej drobne dłonie w swoich.

- Myślałam, że to koniec - wyszeptała. - Jak oni mogli nam to zrobić?

- Jak my mogliśmy to sobie zrobić - poprawiłem ją.

- Przecież nie zdecydowaliśmy się na test. Nasi alterowie to zrobili.

- Oni to my.

- Wynik testu pozytywny - odparł technik, stając obok nas.

- Informacja już przesłana, połączenie przerwane.

- Dlaczego nam pan to mówi? - zdziwiłem się.

Włączyłem naklik i bez pytania przesunąłem sprzed niego jeden z wirtualnych ekranów. Zawisł przede mną. Pobieźnie przejrzałem wyniki.

- Takie było państwa zlecenie STAMTAD - wyjaśnił z uśmiechem technik. - Mieli państwo być TU o wszystkim poinformowani. To naprawdę rzadkość, że ktoś interesuje się losem swoich alterów. Często ludzie sprzedają innym światom kody do swoich kont bankowych... Państwu TAM chodziło o to, żeby TU zminimalizować negatywne skutki testu.

Proszę jeszcze nie odchodzić. Już przygotowuję dla państwa certyfikaty przebytego testu. Za kilka minut będą w państwa folderach publicznych. Przy okazji, mają państwo bardzo wysokie współczynniki lojalności. Gratuluję.

Wyjął z teczki dwa arkusze przezroczystego plastiku i położył na nich dwie zadrukowane kartki. Arkusze plastiku na moment stały się nadpłynne, z ciamknięciem przeciekły przez mikropory papieru i zamknęły go hermetycznie w swoich wnętrzach.

- A oto pamiątkowa kopia, którą mogą państwo upiększyć wewnątrz domu - dodał i odszedł w stronę kolejnego otwierającego się symulatora.

Spojrzałem na Milenę. Uwolniliśmy jednocześnie nasze dłonie. Uśmiechnęliśmy się do siebie, ale słabiej niż przedtem. Wepchnąłem ręce do kieszeni i powiedziałem:

- Więc jednak TAM to zrobiliśmy.

Pamięć wróciła niemal całkowicie. Pamiętałem, że tydzień temu TU rozmawialiśmy o teście i niemal się zdecydowaliśmy. Niemal.

- Gdzieś TAM jesteśmy teraz pewni swojego szczęścia. - Próbowała przekonać mnie czy siebie? - Tu też powinniśmy być... W końcu zdaliśmy ten test. Już wiemy wszystko.

- Po dniu spędzonym na dnie skalnej studni nie jestem w romantycznym nastroju.

- Musimy odpocząć. Jak się prześpimy, przejdzie nam.

Pokręciłem głową.

- To kwestia czasu, kiedy zdecydujemy się na kolejny test.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Wreszcie moja foremka na nodze zapiszczała trzy razy, informując, że nanoroboty ukończyły pracę. Po chwili pojawiła się pielęgniarka. Zdjęła foremkę i oznajmiła radośnie:

- Jeśli chodzi o pańską nogę, jest w idealnym stanie. Pani musi poczekać jeszcze pięć minut.

- Spotkamy się przy wyjściu. - Zerwałem się z wózka i, nim Milena zdążyła zaprotestować, ruszyłem szybkim krokiem w stronę drzwi.

Kulałem na lewą nogę, nim sam siebie przekonałem, że poza lekkim zdrętwieniem, jest równie sprawna jak przed testem. Do hallu agencji dotarłem już równym krokiem. Wykupiłem rozmowę z zasięgiem miesięcznym, co było dość drogie, i pobiegłem do wskazanej kabiny.

- Pamiętasz faceta w wymiętym płaszczu? - zapytałem bez zbędnych wstępów. - Był w agencji Paradox, kiedy rozmawialiśmy o Milenie.

- Szary pingwin - przypomniał sobie mój alter.

- Też go tak nazwałem. Ruchoma wysepka nieszczęścia.

- Zabrałem go na piwo. Długo rozmawialiśmy.

- Więc uratowałeś mu życie - powiedziałem. - Ja chciałem za nim pobiec, ale nie zrobiłem tego. Pół minuty później zabiła go kamienna płyta.

- Płytę pamiętam. TU spadła na bysiora w marynarce za dwa tysiące. Potem się dowiedziałem, że to był jakiś gangster.

- Lepiej, że zginął łobuz, a nie ten pingwin. Jak ci się układa z Mileną?

- Będzie moją żoną. Za tydzień podpisujemy kontrakt.

- Zatem życzę wam szczęścia.

Rozłączyłem się i wyszedłem. Przypomniałem sobie o jeszcze jednej rzeczy. Chciałem wrócić, zadać jeszcze jedno, ważne pytanie, ale... nie udało się. Po zerwaniu połączenia, odnalezienie tego samego świata było niemożliwe - to jak odnaleźć ziarnko piasku, które wieczorna bryza zdmuchnęła z dłoni wprost na plażę.

Milena stała już na dole schodów. Zawahałem się na pierwszym stopniu. Potem wolno do niej zszedłem. Wyszliśmy przed budynek agencji, w chłodny, listopadowy wieczór. Spojrzałem w niebo. Nie było widać gwiazd, tylko pomarańczową lunę nad szczytami strzelistych drapaczy chmur i światła pozycyjne setek mknących między nimi gravów. Potem opuściłem wzrok na Milenę. W jej oczach odbijały się światła miasta i ja sam jako czarna sylwetka. Patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę. Przytuliłem ją, pocałowaliśmy się mocno, długo.

A potem, nie oglądając się, rozeszliśmy się w przeciwne strony.

Warszawa 2004-2007

Mgła

Ostatnie pasemka mgły przepływały sennie przez niewielką polanę. Wynurzały się z lasu, omiatały wygasłe ognisko, dwa namioty, starego Jeepa Cherokee i ponownie znikwały między srebrnymi bukami. Wszechogarniającej ciszy nie mącił nawet zwykły o świcie świergot ptaków. Nie poruszył się żaden listek na drzewie.

* * *

Poranne słońce grzało dachy namiotów. Na kamieniach wokół paleniska lśniły ostatnie krople rosy. Chłopak i dziewczyna pochylali się nad ogniskiem, próbując rozpalić je na nowo.

- Boisz się niedźwiedzi? - Adrian uśmiechnął się z ledwo dostrzegalną ironią.

Magda wzruszyła ramionami.

- Boję się, że przyjdzie strażnik i nas stąd wykopie. To rezerwat. Tu nawet nie wolno wchodzić, a my wjechaliśmy samochodem.

- Straż jeździ UAZ-ami bez katalizatorów. Hałasują, gubią olej, straszą mrówki. To oni są intruzami, nie my.

- Wytłumaczysz im to osobiście.

- Nie sądzę. UAZ to nie Jeep i nie da rady tu wjechać.

- A jeśli?

- Powiem, że jesteśmy z wydziału geodezji.

- Jakiego wydziału geodezji?

- Nie będą dociekać. Wydział geodezji brzmi poważnie. W razie czego mam legitymację Wydziału Geodezji Politechniki Warszawskiej. Drugi rok studiów.

- Studiujesz geodezję?!

- Nie. Mam legitymację.

Magda pokręciła z rezygnacją głową i zaczęła kroić chleb na śniadanie.

Zgrzytnął suwak przy namiocie.

- Górale chodzą po górach piechootą - ziewnął Marcin, przeciągając się - a rajdy terenowe wygrywają UAZ-y.

- Bo ich nie szkoda porysować.

- Spójrz lepiej na swój lakier.

- Daj spokój. - Magda smarowała krzywe kromki masłem.
- Zły przykład. Jak ten mu zdechnie, to dostanie od tatusia nowy.
- Dotknęłaś istotnego problemu - powiedział Adrian. - Mój ojciec jest bogaty, owszem. Bardzo bogaty. Płaci podatki, a ten park jest utrzymywany z podatków. Skoro płaci podatki sto razy większe niż przeciętny obywatel, to powinien mieć większe prawa. Logiczne, nie?

- A ty płacisz podatki?
- Ja po nim dziedziczę.
- Jesteś zepsutym...
- Na Mauritiusie nie narzekałaś.
- Jak dają, to biorę. - Uśmiechnęła się, spuszczając nieco z tonu. Zaczęła zakładać buty.
- Nawet nie wiesz, ile razy założyłaś but z pajakiem w środku - Adrian mrugnął porozumiewawczo w stronę Marcina.

- Pieprzysz, poczułabym...
- Jego ciało jest delikatne. Ginie od razu, nim zdąży ugryźć. Potem wysycha, a jego szczątki przez kilka tygodni wyciągasz przyczepione do skarpetek. Może i zapominam czasem torby z żarciem na drogę, ale wiem coś o życiu pod namiotem.

Spojrzała na niego niechętnie, ale wysunęła stopę z buta i potrząsnęła nim. To samo zrobiła z drugim.

W milczeniu żuli chleb z masłem. W zawieszonym nad ogniskiem okopconym kociołku zaczynała wrzeć woda na herbatę.

* * *

- Więc mam iść sam? - zapytał po raz kolejny Adrian.
- Sorry, ale nikt poza tobą nie wierzy w istnienie tego domu - odpowiedziała Renata. - Jeszcze trafimy na jakiś patrol.

- Czy nie po to tu przyjechaliśmy? To miała być przygoda! Oderwanie od tego codziennego młyna! Jaki patrol? Przecież nas nie zastrzelą! To co robimy, to nie jest żadna turystyka. Dupa rośnie tak samo od siedzenia na kanapie i na pieńku.

- Ja się boję nawiedzonych domów.
- Powiedziałem kiedyś, że jest nawiedzony? - Adrian zapiął plecak i zarzucił go na ramiona.

- Coś mi się tak zdaje.
- Będziemy ci wieczorem wskazywać drogę powrotną flarami - zażartował Marcin,

leżąc na słońcu z twarzą ukrytą w cieniu namiotu.

- Dzięki, nie trzeba. Mam GPS. Zostańcie tu, szczury lądowe! Idę sam.

Magda pocałowała go namiętnie w usta, ale nie zmieniło to jego humoru. Poprawił paski plecaka i ruszył ledwie widoczną ścieżką pod górę. Nie znał dokładnego położenia domu, ale z notatek wywnioskował, że może do niego dotrzeć i wrócić do obozu przed nocą. Włączył GPS, by zapamiętywał trasę i umieścił go w pokrowcu na pasku plecaka.

Kamienista ścieżka, będąca prawdopodobnie dnem potoku, jaki spływał tędy w czasie roztopów i po większych deszczach, po kilku minutach marszu zamieniła się w wyboistą szczelinę między omszałymi, wilgotnymi skarpami. Adrian porzucił ją i dalej wspinał się po śliskim i miękkim jak gąbka podłożu. Było to znacznie bardziej męczące, niż początkowo przypuszczał. Nie przeszedł kilometra, gdy usłyszał za sobą ciche kroki tłumione przez mech. Odwrócił się gwałtownie.

- Myślisz, że naprawdę pozwoliłabym ci iść samemu? - Uśmiechnęła się Magda.

Odetchnął z ulgą.

- Już zaczynałem w ciebie wątpić.

Dziewczyna nie była nawet w połowie tak zmęczona jak on. Mniej piwka, więcej basenu, postanowił sobie w myślach. Usiadł na mokrym mchu i spojrzał w górę. Smukłe świerki celowały w błękitne niebo pokryte pojedynczymi obłoczkami. Wyjął manierkę i pociągnął dwa łyki wody. Rytm serca uspokajał się.

- Chodźmy. - Magda wyciągnęła rękę.

Chwycił jej dłoń. Była zimna.

- Zmarzłaś. - Spojrzał na nią z troską. - Załóż coś, bo się przeziębisz.

Posłusznie wyciągnęła polar wystający spod klapki plecaka.

- Chodźmy dalej - powiedziała, zapinając suwak.

- Dlaczego tak ci się spieszy?

- Nie chcę nocować w lesie.

Wpuścił głośno powietrze z ust i ruszył za nią pod górę. Po pierwszym potknięciu się o korzeń przestał się gapić na jej nogi w obcisłych legginsach i już starannie stawiał kroki. Las wyglądał obco i dziwnie - bez wrytych koleinami dróg czy choćby zwykłych ścieżek. Szli szybkim tempem przez pół godziny.

- Zwolnij, babo. - Nie wytrzymał w końcu Adrian. - Jak strzeli mi bezpiecznik od serca, będziesz musiała tachać moje zwłoki do obozu.

Zatrzymał się i wyciągnął aparat fotograficzny.

- Coś ty! - Uśmiechnęła się. - Zejdę do najbliższej wsi i z automatu anonimowo

podam lokalizację twoich szczątków. Im szybciej dotrzemy do domu, tym szybciej dostaniesz swoją nagrodę.

- Jaką nagrodę?

Magda zmrużyła oczy. Włożyła do ust palec i powoli wysunęła go. Oblizwała. Adrian poczuł ogarniającą go falę gorąca. Zrobił zdjęcie i biegiem ruszył w jej stronę.

- A teraz będzie sex show dla sarenek i borsuków!

- O nie! - Chichocząc, wspinała się szybko. - Dopiero na górze. Inaczej cała wyprawa zakończy się tutaj.

- To mi tylko doda powera!

- Zwykle zaraz potem przewracasz się na drugi bok i zasypiasz.

- Podłe insynuacje!

Złapał ją za plecak, przewrócił na plecy i przycisnął swoim ciałem do ziemi. Śmiejąc się, rozłożyła ręce i objęła go nogami. Przez spodnie czuła wyraźnie, że jest gotów zrobić to tu i w tej chwili. Próbował ją pocałować, ale uchyliła głowę i dotknął tylko ustami mchu, ledwo muskając jej czarne włosy. Wyślizgnęła się spod niego, otrzepała z kolek i kawałków trawy.

- Cierpliwości - szepnęła.

Adrian westchnął z zawodem i usiadł. Wyciągnął GPS i przeliczył, że do celu, jaki wyznaczył czytając zapiski dziadka, zostało jeszcze około trzech kilometrów.

- Dobrze, już dobrze. - Pogodził się z sytuacją. - Idąc na północny zachód, za jakiś kilometr powinniśmy natrafić na zarośniętą drogę. Może uda jej się nie przegapić. Potem mniej niż godzina stromego podejścia i już. Jeżeli wszystko dobrze policzyłem.

Czule poklepał dziewczynę po pupie i ruszyli dalej. Drzewa stawały się niższe, bardziej poskręcane i rzadsze. Ominęli nasłonecznioną polanę na stoku, by przypadkiem ich ktoś nie zauważył. Potem znów zagłębili się w gęstszy las świerkowy. Schodzili stromo w dół, chwilami zsuwali się na plecach lub lawirowali między wielkimi, popękanyimi głazami. Odczytana z mapy ledwie kilometrowa trasa, w rzeczywistości okazała się trudną, dużo dłuższą wędrówką.

Prawie przeoczyli dziadkową drogę - tak była zarośnięta. Stał przy niej niewielki, spróchniały, przekrzywiony i zapadnięty w ziemi krzyż bez żadnych napisów.

- Jednak jest - mruknął Adrian z niedowierzaniem.

Wyciągnął mapę i oznaczył ich aktualną pozycję odczytaną z GPS-a.

- Tu nie ma zaznaczonej żadnej drogi - zauważyła Magda, opierając brodę na jego ramieniu.

- To mapa sprzed piętnastu lat, a dziadek był tu ostatni raz czterdzieści lat temu - wyjaśnił. - Teren dołączono do rezerwatu, a wszystkie drogi i szlaki, jakie tędy przebiegały, oficjalnie przestały istnieć.

- Co zrobimy, jeśli ktoś nas tu złapie?

- Zapłacę mandat. Stać mnie. Jeśli mają nas znaleźć, to prędzej odkryją obóz na dole. Zadzwoń do nich i zapytam, co słychać.

Wyciągnął z kieszeni telefon, ale Magda powstrzymała go.

- Daj im spokój. Pewnie ćwiczą kolejną pozycję na masce samochodu.

Ruszyli dalej, łapiąc równowagę na chyboczących się kamieniach.

* * *

Chatka jednak istniała, wtulona między potężne drzewa. Opuszczona od lat, wrosła w zbocze góry. Solidne, poczerńiałe od deszczu belki oparły się czasowi. W oknach nadal były szyby.

Brudne, ale całe. Dach z gontu miejscami opuścił się i na pewno już przeciekał. Schody na ganek były spróchniałe.

Adrian stał, wzruszony. Dom wybudowany przez dziadka. Dom, w którego istnienie nikt nie wierzył. Czy to możliwe, że żaden strażnik nie zajrzał tu przez te wszystkie lata? Chłopak wyciągnął z kieszeni kluczyk i wetknął w otwór starej, ciężkiej kłódki wiszącej na drzwiach. Była przeżarta rdzą. Kluczyk nie obracał się, więc Adrian musiał wyłamać skobel kamieniem. Drzwi zaskrzypiały i uchyliły się. Chłopak i dziewczyna spojrzeli na siebie niepewnie i powoli weszli.

W ciemnym i dusznym wnętrzu śmierdziało stęchlizną. Tak jak na rysunku dziadka, była tu jedna duża izba z prymitywnym, kamiennym kominkiem i dwie mniejsze, mogące służyć za sypialnie. W jednej stały łóżko i skrzynia. Z głównej izby strome schody prowadziły na stryszek. Dostrzegli stół i dwie ławy po obu jego stronach, a w podłodze klapę od piwnicy.

- Obiadek? - zapytał Adrian, wyciągając z plecaka puszkę z parówkami w sosie pomidorowym.

- Rozpalę w kominku. - Magda zdjęła wiszącą przy kuchni starą ścierkę i starła kurz ze stołu.

- Dym zaalarmuje strażników. Wziąłem małą butlę, palnik i garnek... Zaraz! To dlatego ja się zmęczyłem, a ty nie! Przecież mój plecak waży z dziesięć kilo! Co za ulga.

- Ulga? - Magda powoli zdejmowała polar.

- Że z moją kondycją nie jest tak źle.

- Sprawdzimy... - zamruczała zmysłowo i zaczęła rozpinąć koszulę. Adrian znów poczuł przyływ gorąca.

- Zapomniałem o nagrodzie. - Dotknął jej karku. - Ciagle jesteś zimna.

- To mnie rozgrzej...

Zerwał jej T-shirt, odsłaniając nagie piersi. Wziął je delikatnie w dłonie. Dziewczyna drażniła językiem jego wargi. Popchnęła go na stół i nerwowo rozpiniała rozporek, ściągała mu spodnie i buty. Oddychała coraz szybciej, rozebrała się i naga weszła na niego. Całowała jego brzuch, a jej usta zsuwały się coraz niżej. Nie wytrzymał. Brutalnie przewrócił ją na plecy, docisnął do stołu. Była wilgotna i gotowa. Mruczała mu do ucha, uniosła biodra, wychodząc naprzeciw jego coraz szybszym ruchom. Dłonie zacisnęła na blacie stołu, plecy ocierały się o twarde drewno, aż spomiędzy rytmicznych westchnień dziewczyny wydarł się krzyk.

* * *

Światło znalazło szczeliny między gałęziami i wpadało smugami do zakurzonego wnętrza. Muskało krzywe deski podłogi połyskujące w nierównych odstępach łebkami gwoździ. Leżeli w miłym bezwładzie, nie próbując nawet zmienić pozycji. Nogi dziewczyny zwisały swobodnie po obu stronach stołu. Oddychała powoli, unosząc leżącą na jej piersiach głowę chłopaka. On pierwszy uniósł się, zsunął na podłogę i bosy podszedł do otwartych na oścież drzwi. Nie najgorszy widok. Mimo gęstwiny lasu, dokładnie na wprost drzwi, w koronach drzew widniała niewielka luka, przez którą widać było zbocza gór po przeciwnej stronie kotliny.

Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę siedzącą w prowokującej pozie, okrakiem na podłużnym stole. Podpierała się z przodu rękoma, wypinając pośladki i wypychając do przodu piersi.

- W środku też byłaś zimna - rzucił jakby od niechcenia.

- Ale chyba nic sobie nie odmroziłeś. Mówiłam ci, że mój organizm tak reaguje na górski klimat.

Klęknęła na stole. Przeciągnęła się jak kotka. Co jak co, ale prowokować to umiała. Pocałował ją w szyję. Schyliła się, chwytając go ręką od dołu i lekko zacisnęła palce w niemal bolesnym uścisku.

- Przeleć mnie jeszcze raz - szepnęła cicho spod zmierzwionych włosów.

Nie mógł jej się oprzeć. Przyciągnął ją do krawędzi, rozsunął jej nogi, a dłonie zacisnął na pośladkach. Była miękka i twarda jednocześnie.

I cały czas zimna.

* * *

Parówki z puszki, suchy chleb - Adrianowi od dawna nic tak nie smakowało. Rozleniwił się, miał nogi jak z waty i zastanawiał się, czy da radę zejść na dół.

- Powinniśmy wracać - stwierdził.

- Znalazłeś to, po co przyszedłeś?

- Tak. Chciałem tylko zobaczyć, czy ta chatka istnieje.

Zawahał się.

- No dobra, jest jeszcze coś... Zaczęło się to tak, że dziadek po śmierci babci zdziwaczał. A pewnego dnia zniknął. Tak po prostu. Zakończył wszystkie sprawy, sprzedał sklep w Krakowie i słuch po nim zaginął. Przez półtora roku nie dawał znaku życia. Rodzice myśleli, że nie żyje. Potem niespodziewanie wrócił. I nie odezwał się ani słowem. Zjadł kolację, położył się spać, a rano już nie żył.

- Smutne. Musiał bardzo kochać twoją babcię.

- Na to wygląda. Wszyscy mówili, że zwariował i przez te lata żebrał pod kościołami. Rzeczywiście, wrócił brudny i w łachmanach, ale w jego tobołku znaleziono to - wyjął z kieszeni plecaka powycierany zeszyt w twardej oprawie. - Pamiętnik. Napisał w nim, o tym domu, o życiu tutaj. Nie żebrał, bo nie potrzebował pieniędzy. Chciałem udowodnić, że nie wymyślił sobie tego wszystkiego.

- A dlaczego wrócił?

- Nie wiem. Może nie chciał umierać sam w lesie. Miałem nadzieję, że tutaj znajdę odpowiedź.

- Nie ma jej w pamiętniku?

- Pamiętnik jest zapisany do ostatniej kartki i urywa się w połowie wątku. Myślę, że gdzieś tutaj jest ukryta jego druga część.

- Przeszukałeś wszystko?

- Nie zjrzałem tylko do piwnicy, ale tam jest wilgotno i nawet, jeśli tam kiedyś był...

- Może dziadek po prostu przestał pisać, jak zeszyt się skończył.

- Drogi Watsonie! - Pokazał jej ostatnią stronę. - Człowiek wkładający tyle pracy w zapisanie swoich przeżyć, widząc, że kończy mu się miejsce, zaczyna pisać gęściej i mniejszymi literami, a nawet pokrywa maczkiem wewnętrzną okładkę. Tutaj do ostatniej linijki widać staranne, równe gryzmoły. Musiał mieć drugi zeszyt.

- Ale skoro mówisz, że zwariował...

- Co to zmienia? Ale fakt. Sądząc z tego, co napisał pod koniec, to zwariował.

- A co napisał?

- Że babcia wróciła.

* * *

Wyczyścili naczynia i spakowali się. Adrian wyliczył, że powrót zajmie im o połowę mniej czasu.

- Zdążymy zejść przed nocą? - zapytała Magda.

- Tak - Adrian zerknął na zegarek, potem na nisko wiszące słońce. - Kurde, jak to możliwe?! Jest już siódma!

Przeniósł wzrok na Magdę, ale ta wzruszyła ramionami.

- Przecież wyruszyliśmy przed południem! - Wstał i wziął GPS. - Żeby sprawdzić, o której tu dotarliśmy, musiałbym go przypiąć do laptopa. Co nam zajęło tyle czasu?

Dziewczyna zmrużyła oczy.

- Tyle czasu?! - zapytał z niedowierzaniem. - Dałbym głowę, że jest najpóźniej czwarta! Nie zdążymy zejść. Słońce zachodzi za godzinę.

- Więc przenocujmy tu, mój ty ogierze. - Wtuliła się w niego.

- Nie podoba mi się to. Im bliżej nocy, tym mniej fajnie tu się robi.

- Będziemy spać z kocem na głowie - zażartowała.

- Minka ci zrzędzie koło północy. Ale nie możemy ryzykować nocowania w lesie. Zadzwoń tylko do Marcina, jeżeli jest zasięg.

- Ja zadzwonię, a ty w tym czasie zobacz, do czego nadaje się łóżko. I wygoń z niego wszystkie mrówki i pająki!

* * *

W zakurczonym sienniku, o dziwo, nie było żadnych domowników. Znaleźli też jakieś koce, w nie najgorszym stanie. Prawie pół wieku leżenia w suchej skrzyni nie zaszkodziło im.

Wyszedł przed niewielką werandę, żeby je wytrzepać.

- Chodź, coś zobaczysz - usłyszał wołanie Magdy. - Tutaj!

Odwrócił się. Dziewczyna stała na zboczu góry, nieco wyżej od domu i zdejmowała właśnie legginsy.

- Znowu?! No, to chyba sytuacja wymaga mojej obecności. - Ruszył w jej stronę.

Weszła do okrągłego, wyłożonego kamieniami oczka wodnego. Jej skóra lśniła w zachodzącym słońcu.

- Dziadek zrobił jacuzzi, ale zapomniał o podgrzewaniu. - Wyciągnęła się na plecach. Miejsca było akurat tyle, by głowa i stopy dotykały przeciwległych brzegów. - Wskakujesz?

- Nie wziąłem czepka.

- Nie śpię z tobą, jak będziesz brudny.

Adrian westchnął i zaczął się rozbierać. Dziewczyna obserwowała go spod rzęs. Zamoczył stopę w lodowatej wodzie i wzdrygnął się.

- Dżisas! Jak ty możesz w tym wysiedzieć?

- Jestem zahartowana.

Dygocząc i klnąc pod nosem, usiadł obok Magdy. Nad powierzchnię wystawały im tylko głowy.

- Czy już jestem wystarczająco czysty? - zapytał, szczękając zębami.

Dziewczyna objęła go i pocałowała.

- Właśnie sobie przypomniałam, że nie mamy ręcznika.

Ślizgając się na omszałych kamieniach, chichocząc, zegrali ubranie i pobiegli do domu.

* * *

Słońce w kotlinie skryło się za czubkami świerków porastających stok. Cień wędrował po zboczu. Mimo bezwietrznej pogody, pojedyncze pasemka mgły płynęły pod górę wzdłuż zarośniętej drogi. Ominęły pnie drzew i spróchniały krzyż. Gdyby ktoś tam był i spojrzął w dół zbocza, zobaczyłby coraz więcej, coraz wyraźniejszych woali. A kilkaset metrów niżej mgłę gęstą jak mleko. Ale nikogo tam nie było.

Poza mgłą.

* * *

- Jak dziadek sam to wszystko zbudował? - zastanawiał się Adrian, siedząc obok Magdy na werandzie. - Oczko wodne

- OK, meble też, ale jak wystrugał deski na podłogę? A belki na ściany i strop?

- Może babcia mu pomagała...

Powiedziała to takim głosem, że spojrzął na nią uważnie. Wydawała się nieobecna. Po chwili otrząsnęła się i uśmiechnęła.

- Ale nie będziesz mnie straszył w nocy? - Otuliła się szczelniej kocem.

- Zobaczymy. - Wysunął dolną szczękę, przewrócił oczami i zmarszczył brwi, aż dziewczyna klepnęła go w ramię.

Dno kotliny ginęło w mroku. Zrobiło się chłodniej, więc wzięli lampę naftową i weszli do środka, z miejskiego przyzwyczajenia, zamykając drzwi na skobel.

Przy domu, między drzewami, pojawiły się pierwsze pasemka mgły.

- Co na kolację? - zapytał Adrian.

- To, co zrobisz.

Znów zrobił straszną minę, zgarbił się i wyciągnął przed siebie dłonie z palcami

wygiętymi jak szpony. Stawiając wielkie kroki, ruszył w jej stronę. Dziewczyna piszcząc, uciekała naokoło stołu. Po kilku okrążeniach Adrian przeskoczył go i złapał ją w pól.

- Ja ci dam emancypację! - Wymierzył jej klapsa.

- Są tylko tic taki i kawałek chleba. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Jak mam być prawdziwą kobietą, to powinnam mieć prawdziwego mężczyznę. Takiego, który nie zapomina z domu torby z żarciem!

Wysunęła się z jego ramion i uciekła na drugą stronę stołu. Nie chciało mu się jej gonić.

- I tak nie jestem głodny. Rano zjemy ten chleb, a potem zejdę do jakiegoś sklepu.

- Chodź no tutaj - zamruczała ciepło i wyciągnęła rękę.

Podszedł do niej i objął, a ona wtuliła się w niego miękko.

- Nie chciałam być złośliwa - szepnęła. - Oni już wystarczająco ci nadokuczali.

Schudnę troszkę.

Dotknął jej piersi, pocałował w szyję.

- Chodźmy do łóżka - szepnęła. - Bez telewizji i internetu nie ma co robić wieczorami.

- Można rozmawiać... chociaż... niekoniecznie.

Dłonie chłopaka już wsuwały się pod jej T-shirt.

- Wyłączę telefon.

- Wyłączyłam. Oszczędzamy baterie. Ekstremalne sytuacje wymagają zdecydowanych... posunięć.

T-shirt wyśladował na podłodze. Ręka dziewczyny rozpiniała już suwak jego spodni. Jej legginsy sprawiły chłopakowi jeszcze mniej trudności.

Wtedy na zewnątrz coś trzasnęło, jakby pękła gałąź. Dziewczyna odruchowo zasłoniła piersi.

- Niedźwiedź? - zapytał cicho Adrian.

- Strażnik?

Chłopak wyciągnął z kieszeni scyzoryk. Jak na broń na niedźwiedzie, krótkie ostrze wyglądało dość groteskowo. Podszedł do okna.

- Mgła idzie. - Wzruszył ramionami. - Nie możemy się przejmować takimi odgłosami.

To jest las.

Dotknął ją znów, ale szybko zauważył, że jej podniecenie zastąpił niepokój.

- Chodźmy spać. - Pociągnęła go w stronę sypialni.

Z trudem zmieścili się w wąskim łóżku. Dziewczyna przyłgnęła do niego ciasno, Adrian objął ją, próbując ogrzać. Czekali na sen, ale jak zwykle w takich sytuacjach - ten nie

nadchodził.

- Spisz? - zapytała po kwadransie.

- Myślę.

- Co?

- Myślę. Niektórzy ludzie czasem to robią.

- Męczę się zawsze, nie mogąc zasnąć.

- Ja się nie nudzę ze swoimi myślami.

- Nie o to chodzi. Jak bardzo chcę zasnąć, to mi się nie udaje.

- Sen to brak aktywności, a takie chcenie właśnie nią jest. W życiu tak nie zaśniesz.

Znów usłyszeli jakiś trzask na zewnątrz. Dziewczyna przytuliła się mocniej.

- Co było najstraszniejszą rzeczą, jaką widziałeś? - zapytała.

- Pijawka amazońska.

- Boże, brzmi okropnie.

- Brzmi znacznie lepiej, niż wygląda. Można by z nimi nakręcić horror bez użycia efektów specjalnych. Tarantula przy pijawce amazońskiej to miłe pluszowe zwierzątko.

- Nabierasz mnie.

- No, pijawka nie jest jadowita, ale sto razy bardziej wolałbym wziąć do ręki tarantulę.

- Brrr!

- To jeden wielki mięsień. Skurczona jest twarda i wygląda jak... gruba zmutowana cukinia. W ułamku sekundy potrafi się rozciągnąć do długiej na metr sznurówki. Nie sposób jej złapać, a jak się przyssie do ciała, można ją oderwać dopiero ciągnąc z całej siły... - przerwał, czując, jak jej mięśnie napinają się. - Sama pytałaś.

Leżeli czas jakiś w milczeniu.

- Ale żyje tylko w wodzie - mruknął.

- Przestań!

- I to w Amazonii. Chciałem, żebyś się uspokoiła.

- Och... nic już nie mów.

Po chwili zapytała jednak:

- Gdzie ją widziałeś?

- W telewizji.

Odgłos za oknem tym razem był głośniejszy.

- Zobaczę, co to było - Adrian wstał.

- Może lepiej nie - szepnęła Magda.

Włożył buty, nie zawiązując ich, narzucił kurtkę, przeszedł do głównej izby i wyjrzał

przez okno. Przez mgłę nic nie było widać. Wziął więc latarkę i podszedł do drzwi. Chwilę nasłuchiwał, nim odsunął skobel i uchylił je. W wąskim strumieniu światła dostrzegł ledwie koniec werandy i zarysy pni kilku najbliższych drzew. Pasemka mgły wpływały do wnętrza, omijając nogi Adriana. Stał, omiatając światłem latarki mleczną zawieszinę. Potem zamknął drzwi i odwrócił się. Napotkał szerokie ze strachu oczy dziewczyny. Nie mogła wykrztusić ani słowa, pokazała tylko palcem coś za jego plecami. Odwrócił się błyskawicznie, świecąc tam latarką. W cieplejszym powietrzu izby rozwiewała się resztką mgły. Spojrzał pytająco na dziewczynę.

- To tam było - szepnęła.

- Jakie, kurwa, „to”?!

- Nie wiem...

- Nie strasz mnie! Widziałaś cień latarki. W środku jest przecież ciemno.

- Zostaw zapaloną lampę, plis.

Westchnął, nerwowo sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Zapalił lampę naftową i postawił ją na stole. Słabe światło zamieniło mrok w półmrok, pozostawiając jednak kąty pełne drżących cieni. Poza Adrianem w izbie nie było nikogo.

- Co konkretnie widziałaś?

- Nie wiem, zdawało mi się, że ktoś stał za tobą.

- I gdzie on teraz jest?

- Pewnie przywidziało mi się. - Spuściła wzrok.

Kolejny raz omiół izbę światłem latarki i szybkim krokiem wrócił do łóżka.

- Nie martw się - próbował pocieszyć dziewczynę. - Mówiłem, że minka ci zrzędzie.

Leżeli nieruchomo, wpatrując się w drzwi wejściowe i kawałek ściany z małym oknem. Tylko tyle widzieli przez przejście łączące sypialnię z główną izbą. Światło na przemian przygasało i rozjaśniało się, czasem przez chwilę pulsując. Ruchome cienie w łączeniach belek i desek podłogi męczyły wzrok, ale i usypiały.

* * *

Obudził go pisk Magdy. Oprzytomniał natychmiast. Włączył latarkę i omiół sypialnię.

- Co? - zapytał nerwowym szeptem.

- On stał w nogach łóżka! - Dziewczyna była blada, drżały jej usta.

- Kto?! Jak wyglądał?

- Nie wiem. Ciemno jest. Myślałam, że to mi się śni, ale przecież nie spałam.

- Jesteś zdenerwowana...

- Posłuchaj, nie jestem histeryczką i nie boję się ciemności.

- To dlaczego mówisz szeptem?

- Ty też!

Adrian zdał sobie sprawę, że rzeczywiście szepczą konspiracyjnie. To tak, jakby sami dawali przyzwolenie na istnienie... kogoś.

- Tu nikogo nie ma - powiedział głośniej, ale jego głos nie zabrzmiał naturalnie.

- Widziałam go! - szepnęła z przekonaniem Magda. - Wiem, kiedy śpię, a kiedy nie.

- Na tej wysokości jest trochę rzadsze powietrze. Organizm reaguje inaczej.

- Jak inaczej?

- Jak to, jak? Ciągłe jesteś zimna, a skoro spada ci temperatura ciała, to i kojarzysz inaczej.

Adrian nie miał najmniejszej ochoty wychodzić z łóżka, ale wiedział, że musi iść do głównej izby i upewnić się, że nikogo tam nie ma. Musiał to sprawdzić.

Znów założył buty, kurtkę i zaczął się skradać do drzwi. Natychmiast skarcił się za to w myślach i pewnym krokiem wmaszerował do izby. Nikogo. Lampa paliła się na stole, plecaki leżały tam, gdzie je zostawili, na podłodze nie było żadnych śladów. Jego wzrok padł na mroczne wejście do drugiej, mniejszej izby, oddzielonej ścianą od ich sypialni. Z bijącym mocno sercem ruszył w tamtą stronę. Tym razem nie mógł się zmusić, by zrobić to bardziej zdecydowanie. Minął kamienny kominek, leżące obok od czterdziestu lat polana i powolutku dotarł do ciemnego otworu. Latarka oświetlała fragment przeciwległej ściany, ale jeśli ktoś miałby tam być, to na pewno schowałby się tak, by nie było go od razu widać. Logiczne. Trzeba więc tam zajrzeć. Ale czy ktoś, kto tam jest, oczywiście jeśli jest, schował się zaraz za wejściem z lewej czy z prawej strony?

Ja pierdole, co za sytuacja!, pomyślał. Nie mógł się zmusić do ostatniego kroku, ale i nie chciał zawrócić bez sprawdzenia. Kilkanaście sekund wahał się, po czym wykonał szybki ruch głową i jednocześnie zaświecił latarką na lewą stronę pomieszczenia. Wyprostował się. Nic się nie stało. Lewa strona czysta. Teraz przesuwając się do lewej framugi nieistniejących drzwi, powoli wychylił się i zbadał prawą stronę. Nic, nawet pajęczka. Westchnął z ulgą.

Odwrócił się i krzyknął na widok bladej postaci stojącej metr za nim. Poczuł, jak serce zatrzymuje się na chwilę.

- Nie strasz mnie! - wrzasnęła na Magdę.

- Bałam się sama.

- Przecież byłem kilka metrów od ciebie!

- Bałam się...

Zaczęła płakać. Chłopak przytulił ją. Drżała.

- Już dobrze. Po prostu mogłem cię niechcący walnąć. Zmarzłaś... Jak ty w ogóle masz się rozgrzać, jak chodzisz w samym T-shircie?

- Wracajmy do łóżka.

Nad ich głowami rozległo się ciche skrzypnięcie. Zamarli. Adrian poświecił do góry, natrafiając na ziejący czernią otwór wejścia na strych.

- Jasna dupa! - szepnął. - Zapomniałem o tym.

Patrzyli w milczeniu do góry na szczyt stromych schodków.

Dziewczyna ścisnęła ramię chłopaka.

- On tam jest - wyszeptała cichutko wprost do jego ucha.

Adrian zerknął na zegarek. Dwunasta piętnaście. Do świtu co najmniej sześć godzin. Nie mógł tak zostawić problemu i czekać.

- Powiedz, co widziałaś wcześniej? - zapytał ją na ucho.

- Nie wiem - szepnęła.

- Bardziej niedźwiedzia, strażnika czy psychopatę?

- Nie wiem. Gdyby nie to, że będziesz się śmiał... to... ducha.

Adrian się nie śmiał.

- To może być mysz, wiewiórka, cokolwiek - powiedział niepewnie.

- Nie idź tam. - Ścisnęła jeszcze mocniej jego ramię.

- Muszę to sprawdzić.

Miał podświadomą nadzieję, że dziewczyna przytrzyma go za ramię. Będą mogli wtedy wrócić do łóżka i spać do rana. Ale jednocześnie wiedział, że po prostu musi wejść na górę i mieć pewność.

Łagodnym ruchem zsunął jej dłoń z ramienia i zaczął wspinać się po stromych schodkach. Gdzie zacząłby się... ktoś? Z tyłu. Obrócił się i ostatnie kilka stopni pokonał, opierając się na łokciu i trąc o schody plecami.

Wysunął głowę nad poziom stropu, trzymając latarkę koło ucha. Rozejrzał się szybko. Spodziewał się co najmniej nietoperza, który zerwie się do lotu i przestraszy go, tak że spadnie z drabiny, ale strych był pusty. Zupełnie pusty. Tylko w kątach falowała delikatnie mgła, która prawdopodobnie przenikała tu przez szczeliny w dachu.

Wrócił na dół.

- Nic tam nie ma - oznajmił z ulgą.

- Duchy mogą być niewidzialne.

Westchnął, zerkając jeszcze raz na mroczne wejście do pustej izby. A jeśli obcy ukrył

się NAD wejściem? Absurd. Nie miał już najmniejszego zamiaru tego sprawdzać.

Wrócili do sypialni. Magda wskoczyła do łóżka, a Adrian zaczął wciągać spodnie.

- Co robisz?

- Czuję, że zaraz znów będę wstawał, więc nie chcę marznąć. Usiadł w nogach łóżka, podciągnął stopy i oparł się plecami o ścianę.

- Co dziadek jeszcze napisał o tym domu? - zapytała po chwili dziewczyna.

- Niewiele. Jak teraz pomyślę, to z pamiętnika nie wynika wcale, że zbudował go sam. Mógł odnaleźć go przypadkowo i zamieszkać w nim. Pierwsza część pamiętnika to zaledwie kilka dni - ciągnął. - Dziadek pisał, że trudno mu się zasypia z powodu dziwnych odgłosów. To była jednak tylko mała wzmianka. Sądziłem wtedy, że nowy dom osiada i trzeszczy. Ale to pewnie nie był nowy dom. A potem... potem pojawiła się babcia.

- Czyli oczekujemy wizyty?

Spojrzał na nią, ale nie wyglądała na kogoś, kto ma tyle odwagi, by żartować.

- Myślałem, że może dom był zakonserwowany środkiem, którego opary wywołują halucynacje, ale potem dotarło do mnie, że takich środków czterdzieści lat temu nie było. Dziadkowi mogło odwalić z samotności, tyle że nie po kilku dniach.

- A jeśli odwaliło mu wcześniej?

- Przed wyjazdem z Krakowa był smutny, ale na pewno normalny.

- Więc?

- Muszę mieć drugą część pamiętnika.

- To po to tak naprawdę tu przyszedłeś? Przeczytaj mi kawałek pierwszej części.

Adrian przyniósł zeszyt z plecaka i przewrócił kilka kartek.

* * *

Nie mogę powiedzieć, że czuję się tu szczęśliwy. To nie tak. Owszem, wstaję, kiedy chcę i kiedy chcę mogę iść spać. Żaden człowiek nie przerywa mi rozmyślań. A jednak brakuje mi czegoś. Natłok codziennych spraw, jaki atakował mnie w mieście, tutaj nie istnieje. Nie tłumi tego, co siedzi głęboko w duszy. Zapomniane cienie przeszłości powracają do mnie przed snem. Stara maszyna przestawiona na inne obroty nie będzie dobrze działać.

Boję się nocy. Słyszę trzaski, jakby ktoś chodził dookoła domu. Raz zdawało mi się nawet, że widzę postacie. Tłumaczę sobie, że to las i zwierzęta wychodzą nocą na żer. Mieszczuch nigdy nie będzie się czuł w lesie swobodnie.

Może powinienem wrócić? Nie wiem. Czuję, jakbym na coś stale czekał. Ale na co?

* * *

Kolejny dzień. Znów ta mgła. Niepokoi mnie. Nigdy nie lubiłem mgły. Zacierają się

kontury, dźwięki rozchodzą się inaczej - czasem nie słyszeć tych bliskich, czasem znów odległe wydają się dochodzić zza najbliższego drzewa.

* * *

Adrian zdał sobie sprawę, że od pewnego czasu dzieje się coś dziwnego. Przez szczelinę pod drzwiami wejściowymi przepływała mgła. Zupełnie, jakby ktoś ją wdmuchiwał od zewnątrz. Chłopak odłożył zeszyt, zsunął się z łóżka i zajrzał do dużej izby. Na środku, obok stołu, sunąca przy podłodze mgła unosiła się, formując kłęby sięgający niemal powały. Nie rozpyływała się w powietrzu, pozostawała w ciągłym, powolnym ruchu. Adrian nie zastanawiał się. Zdjął kurtkę i machając nią, rozpędził białe smugi po izbie.

- Rozpalę w kominku - powiedział i zaczął układać suche polana w stosik. - Jest za zimno i wilgoć wlatuje.

Dlaczego się tłumaczę? Czy to strach?

Odwrócił się w poszukiwaniu jakiegoś kawałka papieru i zobaczył, że kłęby mgły znów gęstnieje w poprzednim miejscu. Ponownie go rozwiął i nieużywanym kocem uszczelnił drzwi. Zapalił chusteczkę higieniczną i podłożył pod drewno. Wypaliła się szybko. Położył następną, a na niej drobne patyczki i większe drzazgi z polan. Tym razem drewno zajęło się. Odwrócił się i zobaczył pochylającą się nad sobą mglistą postać. Przymknął powieki, a kiedy je otworzył, w miejscu postaci były już tylko niewyraźne kłęby mgły. Dmuchnął, drąc je na pół.

Takiego ducha widziała, pomyślał, ale nie uspokoilo go to ani trochę. Teraz naprawdę się bał.

- Strażnik nie zobaczy dymu? - zapytała z sypialni Magda.

- W nocy nie widać dymu, a tu jest... za dużo wilgoci.

Zaczynam svirować, pomyślał. Wstał, upewnił się, że płomień nie zgaśnie i już miał wracać do łóżka, gdy pod nogą wyczuł nierówność podłogi. Spojrzał w dół. Metalowe kółko od klapy. Piwnica! Nie sprawdził piwnicy... Poczul się rozczarowany, bo dopiero co był pewien, że przeszukiwanie wszystkich ciemnych kątów ma za sobą.

O nie! Nie wejdę tam, pomyślał.

Smuzki mgły sunęły po podłodze i wnikały w szczeliny wokół klapy. Zachowywały się raczej jak pasemka dymu niż mgły. Rozejrzał się. Mgła pokrywała teraz podłogę cienką warstwą, w niezrozumiały sposób ciągnąc do piwnicy - niczym woda w wannie po wyjęciu korka. Patrzył w osłupieniu, jak znika pod klapą w podłodze. Zdawało mu się, że nagle nastala cisza, choć wcześniej też nie słyszał przecież żadnego dźwięku.

Otrząsnął się i ustawił pionowo na klapie kilka polan - prosty alarm, gdyby ktoś lub

coś chciało ją unieść. Ale nie miał już żadnego pomysłu co zrobić, gdyby alarm zadziałał.

Oparł się o framugę drzwi do sypialni i ocenił konstrukcję. Powinna runąć przy delikatnym poruszeniu klapy. Wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów, włożył do ust pierwszego z brzegu i przypalił. Rzucił palenie (po raz kolejny) miesiąc temu, ale profilaktycznie nosił ze sobą paczkę. Równie dobrze mógł nie rzucać.

- Co tam widziałeś? - zapytała Magda, unosząc się na łokciach.

- Nic takiego. Rozpaliłem ogień, żeby było cieplej.

Zaciągnął się mocno i wypuścił dym. Zobaczył gwiazdki przed oczami. Dym leciał rozszerzającym się pasmem przez nieruchome powietrze. Nad stołem zwolnił i rozpląnął się na boki, jakby pod wpływem przeciwnego prądu powietrznego. Po chwili znów zaczął gęstnieć w miejscu, gdzie przedtem gromadziła się mgła. Adrian poczuł niemiły dreszcz. Miał ochotę rozpędzić obłok dymu, ale powstrzymał się. Zamiast tego wypuścił kilka kolejnych chmur, w pół minuty wypalając papierosa do połowy. Zakręciło mu się w głowie, tak że musiał się nachylić i oprzeć dłonie na kolanach, by nie stracić równowagi. Gdy podniósł głowę, dym formował się w słup wysokości dorosłego człowieka. To nie mogło być złudzenie. Nawet w słabym i drżącym świetle lampy naftowej. Adrian wypalił papierosa do końca, posyłając cały dym w jednym kierunku. Niewidzialna siła przechwytywała go i pchała w to samo miejsce. Dawało już się rozpoznać widmowy korpus, głowę, nogi i ręce. Chłopak pod wpływem nagłego olśnienia schylił się i wyciągnął z bocznej kieszeni plecaka aparat fotograficzny. Wycelował i błyskając fleszem zrobił zdjęcie. Postać wykonała ręką powolny, nieokreślony gest i rozpląnęła się w powietrzu, jakby wiążąca ją siła przestała istnieć. Spojrzał na ekran aparatu - kadr był zupełnie ciemny.

Wypluł końcówkę papierosa, w którym zaczynał się już palić filtr, i przydeptał niedopałek. Nie ruszał się z miejsca. Czy wykrył obecność widmowego mieszkańca? Gdzie on się teraz podział? Może to zwykły przeciąg, a strach dopowiedział resztę?

Co tu się dzieje?, pomyślał. Naprawdę przydałaby się druga część pamiętnika dziadka.

Schował aparat do kieszeni i zerknął na Magdę. Spała. W myślach przeszukał dom raz jeszcze. Było tu niewiele sprzętów więc i niewiele możliwych schowków. Wszystko, łącznie ze szczelinami w ścianach i krokwiemi na strychu, sprawdził starannie - a przynajmniej tak mu się wydawało.

Poza piwnicą.

Ponownie skarcił się, że wcześniej, za dnia, nie zrobił tego. Teraz myśl o zejściu na dół sprawiała, że przy próbie wykonania choćby jednego kroku w stronę klapy, nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Wyrzał przez okno. Mgła jakby cofnęła się trochę, ale zejście w nocy do obozu i tak było zbyt niebezpieczne. Zresztą, teraz las wydawał się jeszcze bardziej przerażający od domu. Uchylił drzwi. Zimne, wilgotne powietrze owiało mu twarz. Mgła rzeczywiście cofnęła się, zostawiając wokół domu niemal całkiem przejrzysty krąg o średnicy kilkunastu metrów.

Na granicy kręgu widać było powoli formujące się w równych odstępach zgęstnienia, jakby ktoś próbował stworzyć filary podtrzymujące sklepienie okrągłej sali. Adrianowi po plecach przemknął dreszcz. Zamknął drzwi, dopchnął uszczelniający je koc i oparł się o nie plecami. Spojrzał z niechęcią na klapę w podłodze i stojące na niej polana.

Muszę tam zejść, dopóki jeszcze mogę racjonalnie myśleć!

Nie ruszył się jednak.

Gdybym to zrobił pięć minut temu, już bym to miał za sobą...

Polana stojące na klapie zadygotały. Adrian zdrętwiał. Niebieskawy dym z papierosa, którego wypalił, delikatnymi nitkami snuł się po podłodze i znikał pod klapą. Chłopak zrobił dwa kroki w tę stronę. Potem jeszcze jeden, i na więcej już nie mógł się zdobyć. Zamarł, gdy polano ze szczytu stosu spadło na podłogę.

Najpierw nic się nie działo. Adrian podjął decyzję i zdecydowanym ruchem zsunął polana na bok. Chwycił zimne metalowe kółko. Policzył do trzech i uniósł skrzypiącą zawiasami klapę o kilka centymetrów. Zaświecił latarką w dół, ale zobaczył jedynie ciemność. Serce waliło mu jak po dwustumetrowym sprincie. Zdziwiony nagłym przypływem odwagi, uniósł klapę wyżej i cicho, by nie obudzić Magdy, oparł na podłodze. Latarka oświetlała teraz stopnie drabiny i fragment zbitego z nieheblowanych desek regału. Czuł się jak spadochroniarz amator na progu lecącego samolotu, niepewny, czy spadochron się otworzy.

Z lasu dało się słyszeć przeciągłe westchnienie. Ciche, ale silne. Jakby dochodzące z oddali. Tyle że ono nie dochodziło z oddali. Czuł to.

Stał na krawędzi otworu. Strach pchał go w dół i strach go powstrzymywał. Całym wysiłkiem woli zmusił się, by postawić stopę na pierwszym stopniu. Był niemal pewien, że zaraz jakaś oślizgła i zimna ręka złapie go za łydkę. Czuł ją już niemal, ale nie cofnął się. Ku własnemu zaskoczeniu zszedł jeszcze kilka stopni.

- A miała być zwykła wycieczka w góry - mruknął pod nosem, by dodać sobie otuchy.

Schylił się, oświetlając drżącym światłem regał, na którym stało kilka brudnych słoików. Pachniało... grobem. Tak właśnie pomyślał, choć naprawdę nie miał pojęcia, jaką woń wydziela grób. Rozluźnił nieco dłoń, w której trzymał latarkę i światło ustabilizowało się

odrobinę. Oczekując wpatrującej się w siebie pary oczu, rozejrzał się. Piwniczka miała nieregularne ściany zastawione niemal całkiem pustymi regałami. Ilość zakamarków była wprost nieprawdopodobna, jeśli wziąć pod uwagę niewielkie wymiary pomieszczenia. Oczu nie zauważył. Pamiętnika też nie.

Zszedł z drabiny na ubitą ziemię. Spojrzał przelotnie na prostokątny otwór wejścia jak na raj utracony. Straszne uprzednio wnętrze domu wydawało mu się teraz oazą przytulności.

Zaczął pospiesznie przeglądać zawartość półek, wąskim strumieniem światła rozpraszając mrok. Słoiki, jakieś szmatki, wiązki ziół rozsypujących się przy najlżejszym dotknięciu. Przez chwilę żałował, że nie wziął lampy naftowej, ale zaraz wyobraził sobie, co czułaby Magda, gdyby obudziła się sama w ciemności.

Wtem poczuł czyjaś obecność. Odwrócił się ze stłumionym w ostatniej chwili krzykiem. Dysząc, w panice omiatał przestrzeń światłem, odkrywając coraz to nowe załomy i tańczące na ścianach cienie. Gdyby spojrział w górę, poznałby przyczynę niepokoju. Głowa, pokryta śliską, ziemistą skórą z parą czarnych, mętnych oczu, powoli wycofała się w mrok.

Światło latarki padło na wąskie wejście do jamy prowadzącej w głąb góry, na której zboczu zbudowano chatę. Zagłębienie ociekało wilgocią. Liczne kropelki wody odbijały światło drobnymi, jasnymi igiełkami. Zajrzał do wnętrza jamy, z trudem opanowując drżenie rąk. Błyski w kropelkach wody znaczyły bieg krętego korytarza, gdzie nie sięgało światło latarki. Dwie kropelki poruszyły się. Adrian wyteżył wzrok. Kropelki ponownie zmieniły położenie, a jego wyobraźnia dorobiła do tego resztę: monstrum pełznące ku niemu w ciemności. Po odbłasku nie sposób ocenić odległości. Piętnaście metrów, dziesięć? Trzy? A może nic tam nie ma? Nie miał już siły sprawdzać, czy to złudzenie. Odwrócił się w stronę schodów.

Na półce za słoikami zauważył nagle płaski pakunek starannie zawinięty w brązowy, woskowany papier. Wiedział, co jest w środku. Po prostu czuł to. Chwyił paczuszkę, wskoczył na drabinę i w kilku susach znalazł się na górze. Zatrzasnął klapę i przesunął ciężki stół, prowizorycznie ją blokując. Usiadł na podłodze, ściskając w jednym ręku latarkę, w drugim znalezisko.

Oddychał szybko. Na wprost niego stała Magda ubrana w sam T-shirt. Patrzyła pytająco. Pokazał jej paczkę.

Niecierpliwie rozerwał papier. W środku był zeszyt, taki sam jak pierwszy. Otworzył, przerzucił kilka kartek.

- Bingo! - zawołał.

- Dowiemy się czegoś? - zapytała dziewczyna słabym głosem.

- Tak myślę.

Podszedł do okna i przyłożył twarz do szyby. Było zbyt ciemno. Uchylił więc drzwi i chwilowa euforia znikła natychmiast. Słupy z gęstej, przelewającej się mgły wyraźnie odcinały się od otoczenia. Chłopak wiedział już, co z nich powstanie. W polu widzenia miał siedem kłębow mgły, a mrok skrywał zapewne kolejne.

Co tu się, kurwa, dzieje?!, pomyślał i szybko zamknął drzwi.

- Co tam jest? - zapytała dziewczyna, widząc jego przestraszoną twarz.

- Sprawdzalem, czy mgła się rozwiewa.

- I co?

- Jest już znacznie rzadsza... miejscami. Do rana zniknie.

Przytulił ją niepewnie. Była sztywna, wiedziała, że kłamie.

- Zobaczmy, co napisał dziadek. - Usiadł na ławie przy stojącym teraz w poprzek izby stole. - Chcesz koc?

- Nie, dzięki. Ciepło mi.

Usiadła obok, przytulając się. Adrian otworzył zeszyt, nabrał powietrza i zaczął czytać.

* * *

Kolejny poranek przyjmuję z ulgą. To straszne, jak uzależniamy się od miasta, elektryczności, bieżącej wody i gazet czytanych przy śniadaniu. Tutaj wszystko jest inne. Rytm dnia wyznaczają wschody i zachody słońca. Nocą odczuwam silny niepokój. Niewyjaśniony. Mgła przychodzi co wieczór, a kiedy tu jest, wszystko wydaje się inne. Krzaki stają się zgarbionymi postaciami, ruszają się niemal, gdy się je widzi kątem oka.

Po zmroku nie wychodzę z domu. Nawet teraz, gdy Alma wróciła, nocą mam wrażenie, że wszystko wokół jest obce i wrogie. W dzień czuję, że całe życie spędzone na łataniu codzienności było stratą czasu, ale gdy słońce zbliża się do wierzchołków drzew, nerwowo zerkam za plecy i unikam ciemnych miejsc. Jeśli sobie z tym nie poradzę, będę musiał wrócić. Alma uważa, że powinienem wrócić, ale czuję, że nie jest szczerą.

* * *

- Czekaj - przerwała mu Magda. - Alma to twoja babcia?

-

Spis treści.....	2
Obywatel, który się zawiesił.....	3
Skrytogrzesznicy.....	15
Mgła.....	52

<u>Za dobre to zrobiliśmy.....</u>	<u>85</u>
<u>Coś, czego nigdy nie pamiętamy.....</u>	<u>102</u>
<u>Ohyda.....</u>	<u>119</u>
<u>Pokoje przechodnie.....</u>	<u>150</u>
<u>Szczelina.....</u>	<u>154</u>
<u>Czy ktoś tu widział Boga?.....</u>	<u>202</u>
<u>Wyprawa szaleńców.....</u>	<u>213</u>

Z każdym kolejnym dniem wydaje mi się, że mgła wokół domu jest gęstsza, a słońce z coraz większym trudem rozpędza ją nad ranem. Jak się nad tym zastanawiam, to mgła powinna zakrywać doliny, a nie zbocza gór. Z nią jest coś nie tak. Nie wiem co, ale coś w niej jest, bo zwykła mgła tak się nie zachowuje. Wczoraj w nocy na naszym podwórku zaczęła gęstnieć, tworząc jakby pień drzewa. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że to zwalista postać wielkiego drwala stoi na wprost drzwi, ale w nocy wzrok płata różne figle, a wyobraźnia dodaje do tego całe opowieści. Słyszałem potem kroki wokół domu, ale i tego nie jestem pewien. Zastawiłem drzwi stołem i udało mi się zasnąć. Rano, widząc tę barykadę, sam z siebie się śmiałem.

* * *

Kolejny dzień, już dawno zgubiłem rachubę. Rano znalazłem w lesie glinianą kukłę. Z początku myślałem, że to człowiek, ale kiedy podszedłem bliżej, zrozumiałem, że tylko z oddali przypomina człowieka. Nie wiem kto ani po co zrobił coś takiego. Była wielkości dorosłego człowieka; głowę miała w kształcie jajka, którego czubek stanowił brodę. Oczy bez powiek; duże, mętne i całkiem czarne. Gdyby nie popękana na słońcu powierzchnia zdradzająca strukturę kukły, uciekłbym stamtąd, gubiąc po drodze buty. Odważyłem się jej dotknąć. Zwykła, wyschnięta z wierzchu glina.

* * *

Kolejny dzień. Nawet nie zastanawiam się, czy to sobota, czy wtorek. Rzeczywistość przepływa mi między palcami.

Alma jest taka dobra.

* * *

Próbowałem znaleźć miejsce, gdzie leżała gliniana kukła, ale nie udało się. A właściwie myślę, że znalazłem, ale jej tam nie było. Kto mógłby ją zabrać?

Z pozoru wszystko jest normalne, ale czuję się, jakbym miał gorączkę albo zażył opium. Czy ja to ja?

* * *

- Narkoman, normalnie - powiedział Adrian.

- Nie pisze, że brał - sprostowała Magda - tylko że czuje się, jakby brał.

- Wiem. Może tu są jakieś... źródła gazów?

- Masz przywidzenia?

- Tak jakby. - Zerknął w stronę okna. Poczuł, że zaraz coś się wydarzy. Było to równie nagłe, co irracjonalne. Zmusił się, by czytać dalej.

* * *

Próbuję się wziąć w garść, coś zrobić, żeby znów poczuć grunt pod nogami. Skończyłem kamienną sadzawkę i teraz czekam, aż napełni się wodą. Będzie zapewne zbyt zimna, by do niej wejść, ale może wpuszczę tam kilka ryb. Muszę coś robić. Cokolwiek, co wymaga planowania i wytrwałości. To chyba cena za możliwość pozostania przy zdrowych zmysłach.

* * *

Alma wcale nie narzeka, ale widzę, że nie czuje się dobrze. Martwię się o nią. Próbowałem ją posadzić przy kominku i ubrać w dwa swetry. Po prostu nie potrafię jej ogrzać, jest taka zimna.

* * *

Adrian poczuł gęsią skórę na całym ciele. Poderwał się, zrzucając pamiętnik na podłogę. Kilka kartek przeleciało, ukazując niezdarny rysunek popiersia chudej istoty o wielkich, czarnych oczach. Podniósł wzrok. Magda wydała mu się nagle nieostra. Nie, to było coś innego. To tak, jakby przypomnieć sobie znaną z dzieciństwa piosenkę w obcym języku. Potem, kiedy już się ten język zna, te same, leżące na dnie pamięci dźwięki zamieniają się w jasny przekaz.

Wpatrywał się w dziewczynę, obserwując jej nagłą przemianę, choć nie potrafiłby powiedzieć, na czym polegała. Na miejscu Magdy siedziała gliniana kukła. Patrzyła na niego wielkimi, ciemnymi oczami. Były mętne i zdawały się martwe. Mały nos i wąskie usta poruszały się delikatnie.

Adrian stał nieruchomo, zbyt zszokowany, by się bać. Czuł woń wilgotnej, zatechłej nory. Grobu.

- Teraz wiesz, jak wyglądam - powiedziała istota głosem Magdy. - Iluzja nie może trwać wiecznie. Ja... też wiem dopiero teraz.

Schyliła głowę i przerażająco ludzkim gestem zasłoniła twarz glinianymi dłońmi. Adrian cofnął się o krok, próbując poukładać sobie wszystko, zrozumieć to, co widzi. Istota opuściła głowę niżej, przesuując dłońmi po nieistniejących włosach. Zaczęła szlochać.

- Zabij mnie - szepnęła.

Z cichym plaśnięciem upadła na kolana i dotknęła głową podłogi.

- Zabij mnie! - krzyknęła kukła chropowatym, gardłowym głosem, podrywając się na równe nogi.

Adrian cofnął się, opierając się plecami o ścianę. Czarne, wilgotne oczy wpatrywały się w niego. Strach sparaliżował go do reszty. Nie mógł zrobić najmniejszego ruchu. Wtedy kukła wykonała dwa kroki i rozprężyła się; ramiona bezwładnie zawisły wzdłuż tułowia, głowa opadła na piersi. Całość zachwiała się i przewróciła wprost na Adriana.

Krzyknął, gdy poczuł na sobie zimny ciężar. Zasłonił się odruchowo, chwytając kukłę za ramię. Palce zagłębiły się, nie napotykając prawie oporu. Szarpnął ręką, wrywając przy tym spory kawałek glinianego ciała. Miał konsystencję rzadkiego żelu. Z obrzydzeniem i zdziwieniem strząsnął go na podłogę. Ten plasnął głośno, rozpryskując się u jego stóp. Adrian odepchnął kukłę od siebie. Upadła na ziemię, pękając z cmoknięciem na kilka części. Natychmiast zaczęła się rozplýwać, jak porcja lodów czekoladowych na słońcu.

- Magda?! - zdołał wyksztusić. - To szaleństwo! Zwariowałem...

Usiadł na ławie. Dobre pięć minut zajęło mu dojście do siebie i opanowanie nerwowych dreszczy. Patrząc na kałużę rzadkiego błota, wyciągnął papierosa i już miał przypalić, gdy przypomniał sobie, co poprzednio stało się z dymem.

- Z błota powstałeś i w błoto się obrócisz - powiedział i zaczął się nagle głośno śmiać. Śmiech zamienił się w szloch.

Błoto wciekło w szpary między deskami. Adrian otarł łzy i podszedł do okna. Zobaczył kilka zwałistych postaci otoczonych przelewającą się mgłą. Wyglądało to na ukończone dzieło - cokolwiek miało być efektem i ktokolwiek jego autorem.

Adrian zawahał się i przypalił papierosa. Wypuścił dym w stronę środka izby. Jak poprzednio, poruszony niewidzialną siłą, zaczął się formować nieregularny obłok. Adrian odetchnął i powiedział na głos:

- OK. To się dzieje naprawdę, a ja chcę z tego wyjść w jednym kawałku.

Wypalił papierosa, potem drugiego. Gdy chciał zapalić kolejnego, okazało się, że paczka jest pusta. Z niedowierzaniem i fascynacją obserwował kształtowanie się widmowej postaci. Nie bał się jej. Uważając, by jej nie rozwiać, zdmuchnął z powierzchni stołu pozostały kurz. Drobinke poszybowały ku postaci. Adrian nerwowo rozglądał się w poszukiwaniu budulca. Jego wzrok padł na materac. Powoli, by nie powodować gwałtownego ruchu powietrza, przyniósł go z sypialni i położył na stole. Teraz zaczął go okładać patykiem, którego przedtem używał jako pogrzebacza. Kurz wędrował ku postaci, teraz już prawie

nieprzejrzystej.

- Powiedz mi, jak się stąd wydostać.

Postać wykonała powolny gest i rozwiała się. Minęło prawie pół minuty, nim ponownie się wyostrzyła.

- OK, łapię - powiedział chłopak. - Za mała gęstość. Już myślę...

Rozpruł scyzorykiem materac i podrzucił do góry siano z jego wnętrza. Drobinki pofruwały w stronę postaci, a większe kawałki opadły na ziemię. Wypatroszył w ten sposób cały siennik. Potem wyciągnął z plecaka dezodorant i opróżnił go, kichając przy tym co chwilę.

Wyjrzał przez okno. Dwie postacie przybliżyły się. Wyglądało na to, że czekają na coś w pełnej gotowości. Reszta trwała w kłębiących się oparach mgły.

Popiół!, pomyślał i podbiegł do kominka. Dmuchał i machał rękoma, aż zawartość popielnika uniosła się w powietrze i poszybowała wolno w stronę widma. Postać przybierała coraz bardziej realną formę. Wyglądała niemal jak to coś, co udawało Magdę. Adrian odruchowo otrzepał się z popiołu i podszedł bliżej. Postać zdawała się patrzeć na niego, przekrzywiając wolno głowę. Dlaczego się jej nie bał? Bo na zewnątrz czekało coś znacznie gorszego? Bo sam dał jej ciało?

Twarz miała kształt odwróconego jajka, jak to opisał dziadek. Chłopak przyjrzał się dokładniej i dostrzegł oblicze starszego mężczyzny. Zamknął oczy. Złudzenie? Znał to już. Wiedział, że iluzja powróci ze zwiększoną siłą. Wyciągnął z kieszeni aparat i zrobił dwa zdjęcia. Kadry były ciemne.

Postać wskazała okno. Mgła napierała na dom, tworzyła istny teatr cieni. Teraz wyraźnie słyszał powolne ciężkie kroki zbliżające się ze wszystkich stron.

Postać przesunęła rękę, wskazując kłapę do piwnicy. Adrian pokręcił głową.

- O, nie! Już raz tam byłem i założę się, że mam gdzieś na głowie kępkę siwych włosów.

Podłoga drgnęła kilkakrotnie. Chłopak zrozumiał, co to oznaczało. Coś ciężkiego weszło na werandę. Drzwi skrzypnęły, ale nie otworzyły się - zablokował je od wewnątrz drewnianym skoblem. Kolejne wstrząsy anonsowały następnych gości.

Skrzypnięcie na strychu było zaskoczeniem. Jak tam wleźli? Adrian unióśł głowę, czując niemiłe ssanie gdzieś w dole brzucha. Strach. Gorszy niż wcześniej. Strach realny. Nie bał się już dziwnych istot jako takich, bo zaakceptował ich istnienie. Teraz bał się o własne życie.

Koc, którym uszczelnił drzwi uderzył go w nogi wypchnięty podmuchem powietrza.

Adrian cofnął się o krok. Do wnętrza domu wpływała gęsta mgła. Zastłoniła niemal drzwi, zachowując wyraźny dystans od postaci z dymu i popiołu. Skobel uniósł się i drzwi zaczęły się otwierać. W szczelinie Adrian zobaczył cień potężnej postaci.

Serce łomotało jak oszalałe. Z gliny i kurzu nie da się zrobić topora, pomyślał w nagłym przebłysku Adrian. Gdyby były prawdziwe - rozwaliliby nimi drzwi, zamiast bawić się ze skoblem.

Skrzypnięcie drabiny na strych odwróciło na chwilę uwagę chłopaka. Wielka noga, w ciężkim skórzanym bucie wiązonym na rzemienie, stanęła właśnie na górnym szczeblu.

Postać z popiołu i dymu rozwiała się, wnikając w szczelinę wokół kłapy. Chłopak został sam z dziwnymi tworam i swoim strachem. Potężne postacie ciężkimi krokami weszły do izby i okrążyły go. Czekwały. Odblaski słabego światła w ostrzach ich toporów wyglądały aż nadto realnie. Adrian spojrzał w zapadnięte w pobrużdżonej twarzy oczy najbliższej stojącego stwora. Groźne i okrutne. Złudzenie? Czy gdyby skupił się dostatecznie mocno, iluzja by prysła i zostałyby tylko gliniane kukły?

Cofając się, przesunął stół blokujący klapę. Postacie, jak na komendę, uniosły topory. Chłopak szarpnął do góry klapę i zbiegł w ciemność. W panice przetrząsał kieszenie, nim znalazł latarkę. Krzyknął i usiadł na ziemi. Tuż przed nim stała gliniana kukła - ta sama, którą widział na górze.

Kukła zmieniła się w starszego mężczyznę z siwymi włosami, brodą i sumiastymi wąsami.

- Kim jesteś?!

- Echem sprzed lat. Wiesz przecież, kim jestem naprawdę. Nie bój się. - Wyciągnął dłoń.

Adrian niepewnie dotknął mankietu kraciastej koszuli. Poczł zapach. Świeżo wyprana flanela.

- Idealne złudzenie, nieprawdaż? - Dziadek uśmiechnął się z satysfakcją. - Własnej dziewczyny też nie poznałeś.

- Wiedziałem, że coś jest nie tak - powiedział cicho chłopak. - Była zimna.

- Mgła straciła nad nią kontrolę, więc zginęła. Gdybyś ją przeniósł do piwnicy, żyłaby nadal. Ale co to za życie... Ja nie umieram. Czego bym nie zrobił, odrodzę się na nowo. Nawet nie mogę zwariować.

Te błyski, to jednak nie było złudzenie. To jego widziałem poprzednio w norze.

- Oddzieliłem się od masy macierzystej i jeszcze się powiększam - spojrzał do góry - z wnętrza chaty dochodziły stłumione odgłosy powolnych kroków. - Nie wejda przez jakiś czas

do piwnicy, bo to moje terytorium i tutaj jestem silniejszy. Ale ty, chłopcze, musisz uciekać. - Wskazał wejście do wilgotnej nory.

- Mam tam wejść?!

Dziadek rozłożył ręce.

- Zawsze możesz wrócić na górę. Do nich.

- A nie mogę zostać do świtu? Słońce rozpędzi mgłę.

- Mgłę tak, ale oni mogą tam czekać i rok.

- Dokąd prowadzi to przejście?

- Wylot jest wystarczająco daleko stąd, na zboczu małego wąwozu. Ukryjesz się i przeczekasz do rana.

Kroki na górze ucichły. Adrian nie miał siły przeciwstawiać się. Ani też żadnego innego pomysłu na wydostanie się z pułapki.

- Dla ścisłości: to, na co patrzysz - dziadek wskazał na siebie - to tylko obraz mojej świadomości, bym mógł z tobą rozmawiać. To coś, jak...

- ...*interface*.

- Nowe słowo. - Dziadek uśmiechnął się pod wąsem. - Ile to już lat tu siedzę... Cóż, muszę uważać, żeby się nie rozczulić i nie stracić kontaktu z moją resztą... ze mną, właściwie. - Wykonał nieokreślony ruch w stronę góry. - Twoja dziewczyna właśnie to zrobiła. Oderwała się od masy macierzystej, bo, jakby rzecz... wczuła się do tego stopnia w rolę, że pokochała ciebie naprawdę i jej cel nadrzędny przestał się liczyć. Zresztą, to samo stało się kiedyś z Alną i ze mną.

- Czy to coś... co udawało Magdę... czy ona wiedziała, kim jest?

- Nie. W swojej świadomości była Magdą. Tylko w pewnych chwilach, domniemam, czuła potrzebę wykonania czegoś nienaturalnego, czegoś, po co ją stworzono.

- Dlaczego akurat ona?

- Przypadek. Może wczesnym rankiem przeszła przez rozwiewającą się Mgłę, która przygotowywała się do replikacji? Dlaczego akurat ta mucha wpadła w sieć pająka? Kto wie?

- Jak to wszystko działa?

- A czy ty wiesz, jak działa twój organizm? Na jakiej zasadzie pracują twoja wątroba, trzustka? Nie pytaj, bo albo nie wiem, albo nie potrafię odpowiedzieć. To, że możemy się porozumieć, to już i tak niezła sztuka.

- Czy trzeba umrzeć, aby być skopiowanym? - zapytał z niepokojem w głosie.

- Bynajmniej! Trupa skopiować się nie da. Twoja dziewczyna żyje i nie wie nic o swoim sobowtórce.

- A babcia?

Dziadek zamyślił się i mruknął cicho:

- Mgła wyciągnęła ją z mojej pamięci. Ta Alma, która przyszła do mojego domu, nie była prawdziwa. To był mój ideał.

- Kto zbudował ten dom?

- Nie wiem.

Przez klapę nad ich głowami zaczęła się przesączać mgła.

- No, idź już. Czeka mnie tutaj mała, sąsiedzka kłótnia.

- Co się stało z babcią? - zapytał Adrian.

- Zabrali ją.

Adrian zawahał się i niezręcznie, czując absurdalność sytuacji, uściskał dziadka. Nie myśląc ani o tym, co za nim, ani o tym, co przed nim, wczółgał się do wysokiego na metr otworu.

- Co się ze mną stało, gdy wróciłem do Krakowa? - rzucił za nim dziadek.

- Umarłeś.

* * *

Świtało. Chłopak obudził się zmarznięty, z bólem w plecach. Kilka godzin przespał w niewygodnej pozycji, oparty o pień drzewa. Śniło mu się, że jest w przełyku ogromnego potwora i sam pełźnie do jego żołądka. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Nie działał. Może zamókł, a może... może zepsuła go fałszywa Magda, żeby nie odkrył prawdy.

Rozejrzał się. Na skale kilka metrów za nim stała kozica. Wyciągnął z kieszeni aparat fotograficzny. Postawił go na kamieniu, sprawdzając, czy kadr jest dobrze wybrany. Wcisnął samowyzwalacz i ustawił się plecami do zwierzęcia. Błysk flesza spłoszył ją. Pobiegła za swoim stadem.

Niezłe zakończenie albumu fotograficznego, pomyślał, oglądając kolejne zdjęcia. Najpierw przygotowania do drogi i wspólna fotografia całej czwórki przy Jeepie, potem klub w Zakopanem, kilka fotek z wyciągania samochodu z błota, obozowisko, później... właśnie, zdjęcia glinianych postaci. Niezła historia mrożąca krew w żyłach, ale zakończona śmiesznym zdjęciem - jeśli kozica zmieściła się w kadrze i jeśli nie zasłonił jej własną głową. Nie sprawdzi tego teraz, wyczerpały się bowiem właśnie baterie.

Postanowił nie schodzić do obozowiska, tylko do najbliższej osady. Był zbyt zmęczony, a do tego GPS i mapa zostały w plecaku, więc nadkładanie drogi byłoby nieuniknione.

Po dwóch godzinach, zupełnie wyczerpany, dotarł do miasteczka. Przypomniał sobie,

że od wczorajszego skromnego obiadu nic nie jadł. Zaczął się rozglądać za jakąś knajpką.

Niewielką karczmę znalazł sto metrów dalej. Zamówił kapuśniak, placek zbójnicki i duże piwo. Poszedł do łazienki doprowadzić się nieco do porządku. Z automatu zadzwonił na komórkę Magdy, ale numer nie odpowiadał. Gdy wrócił na salę, przy swoim stole dostrzegł staruszkę. Adrian usiadł obok i pociągnął łyk piwa, które właśnie podała kelnerka. Czekał. Mężczyzna uśmiechnął się i łakomie zerknął na kufel.

- Miałeś małą przygodę, prawda?

Adrian gestem zamówił jeszcze jedno piwo. Może i dziadek to zwykły naciągacz. W końcu, jak ktoś wchodzi do karczmy bez plecaka, za to ubłocony po uszy, to można się domyślić, że co najmniej zgubił szlak. Z drugiej jednak strony, tamten mógł wiedzieć coś ciekawego.

Staruszek poczekał na piwo, pociągnął spory łyk, mlaskając z uznaniem. Rozsiadł się wygodniej.

- Raz do roku, może częściej, przychodzi ktoś taki jak ty. Odnaleziona zguba.

Nie był pierwszym lepszym wieśniakiem, na jakiego wyglądał. Wystawiał się zbyt poprawnie.

Kelnerka przyniosła parującą miskę kwaśnicy i trzy grube pajdy ciepłego jeszcze chleba. Adrian zaczął łapczywie jeść, dmuchając na zawartość każdej łyżki, by ostudzić zupę.

- Widziałeś dziwne postacie - ciągnął staruszek. - Uszedłeś z życiem, a to fart, oj, fart.

- Co to za postacie?

- Golemy. Rodzą się z mgły, a kończą jako kupka gliny. Można je zabić, ale są silne i nie wiedzą, co to ból ani strach.

- A już zaczynałem wierzyć, że to był tylko sen.

- To się nam w głowie nie mieści, więc łatwiej zapomnieć, niż uchodzić za wariata. Baby dzieci nimi straszą, jak te już w czarownicy nie wierzą. W czterdziestym trzecim, na wiosnę, dwunastu ich zeszło z gór. Wyglądali jak drwale. Niewysocy byli, ale w barach - jak dwóch solidnych chłopów. Rodzinę całą wytłukli w domu na końcu wsi, dwóch żandarmów niemieckich solidnie poobijali. Dopiero jak się chłopcy z całej wsi zbiegły, to zdołały ich przepędzić. Dwa golemy padły, reszta odeszła w las powolnym krokiem i nie znalazł się odważny, by ich gonić. Przez tydzień oficerowie z Abwehry przesłuchiwali tu wszystkich. Nawet po wojnie nikt nie chciał się przyznać, co widział. Ojciec opowiedział mi tę historię, kiedy miałem szesnaście lat. Nie uwierzyłem mu wtedy.

- Widziałem dwunastu drwali. Widziałem, jak rodzili się na nowo.

Kelnerka wymieniła pustą miskę na talerz z drugim daniem. Staruszek zamówił

kolejne piwo.

- Mogą wyglądać różnie - ciągnął. - Rzadko opuszczają las, by pokazać się tam, gdzie jest więcej ludzi. Czasem jednak się zdarza. Ze dwadzieścia lat temu stary Chowański spotkał w lesie zmarzniętą dziewczynę. Przeprowadził do domu, nakarmił. Dwa miesiące później na zapowiedzi miał dawać. Znalazł rano w łóżku glinianą lałę wielkości człowieka. Całkiem odszedł od zmysłów, powiesił się.

- To chyba wiem, co czuł.

- Wyjedź stąd. Mgła nie da ci spokoju, skoro raz jej uciekłeś. Golemy nie mogą przetrwać z dala od tego miejsca. - Nachylił się konspiracyjnie, ścisząc głos. - Nie będą cię ściagać. Uciekaj!

Adrian skończył swoje piwo i rozejrzał się za kelnerką, chcąc zamówić następne. Gdy pokazała się w drzwiach kuchni, kiwnął na nią głową.

Kiedy się odwrócił, krzesło, na którym siedział staruszek, było puste.

* * *

Wyszedł na słoneczną ulicę i nagle zatrzymał się. Zdjęcia! Znalazł kiosk, kupił dwa paluszki i trzęsącymi się rękoma wymienił zużyte. Zaczął przeglądać zdjęcia na ekranie. Uśmiechnął się, oglądając wygłupy Magdy i Renaty w nocnym klubie. Potem spoważniał, widząc kolejne zdjęcia, robione w obozie. Wiedział już, co zobaczy za chwilę. Poczuł ciarki. To było to zdjęcie, zrobione wtedy w lesie... Usiadł na ławeczce przystanku autobusowego i zakrył dłonią usta. Zdjęcie przedstawiało zbliżenie kukły pokazującej upiorny gest oblizywania palca.

Coś rzuciło na niego cień. Adrian podniósł głowę. Słońce zasłaniał wysoki mężczyzna w czarnym garniturze i ciemnych okularach. Kilka metrów dalej stał drugi w takim samym stroju. Rękę opierał na otwartych, tylnych drzwiach czarnego Mercedesa S. Samochód miał zapalony silnik. Pierwszy mężczyzna wyjął Adrianowi z ręki aparat i schował do kieszeni. Tym samym ruchem wyciągnął legitymację służbową na metalowym łańcuszku i podetknął chłopakowi przed nos. Powiedział coś, ale Adrian go nie słuchał - zrezygnowany, wstał i pozwolił się zaprowadzić do samochodu.

* * *

Piwnica przypominała bunkier z czasów drugiej wojny światowej. Czarne błyszczące kable biegły po gołych betonowych ścianach, na których widać było odciski desek tworzących niegdyś szalunek. Zimne światło jarzeniówek i echo powtarzające każdy dźwięk czyniły to miejsce bardzo nieprzyjemnym. W przestronnym pomieszczeniu stało biurko, na nim telefon, otwarty aluminiowy laptop i monitor połączony kablem z kamerą na statywie,

teraz wycelowaną w Adriana. Chłopak siedział na twardym drewnianym krześle. Drugie, identyczne, stojące po przeciwnej stronie biurka zajmował mężczyzna w czarnym garniturze. Adrian w myślach nazwał go „Agentem”. Po dwóch stronach drzwi wejściowych stali milczący faceci. Też w czarnych garniturach.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś? - zapytał agent, przerywając trwającą od kilku minut ciszę.

- Dlatego, że wjechałem do parku narodowego samochodem? - Adrian wysilił się na ironię, ale nie odniosło to żadnego skutku.

- Nie. Byłeś świadkiem pewnego wydarzenia. Miałeś kontakt.

- Uznacie mnie za wariata, jak wam to wszystko opowiem.

- Nic podobnego. Te informacje są dla nas bardzo cenne.

Adrian poprawił się na niewygodnym krześle i założył nogę na nogę. Nie był do końca pewien, czy to się dzieje naprawdę.

W ciągu ostatniej doby jego definicja rzeczywistości stała się bardzo pojemna.

- Z czym niby miałem kontakt? - zapytał ostrożnie.

- Mam nadzieję, że pomożesz nam w poznaniu tego czegoś.

- Nie jestem idiotą. Wiem, że chodzi wam o tę mgłę, ale ja prawie nic nie rozumiem z tego, co widziałem.

- Wymienimy się wiedzą - zaczął agent. - W 1987 roku pewien francuski turysta zginął na szlaku. Spadł w przepaść, a ciało odnaleziono następnego dnia rano. Martwe ponad wszelką wątpliwość pojechało w chłodni do Marsylii. Widziano faceta miesiąc później, jak w jednym ze schronisk popijał kawę. Mgła rzadko kopiuje umarłych, a i to tylko, jeśli zapisze wzorzec tuż po śmierci. W większości wypadków oryginał żyje i nie ma pojęcia, że został skopiowany. W 1991 roku polski turysta zablądził we mgle, ale jego golem dotarł do schroniska i przez cały wieczór bawił się w towarzystwie znajomych. Gdy rano zmarznięty oryginał dowlóknął się do celu, w swoim łóżku znalazł kilkadziesiąt kilogramów błota. Dokładnie mówiąc, golem nie są wykonane z samej gliny, ale z pozlepianych ze sobą wszelkiego rodzaju latających drobin, które dają się łatwo formować przy użyciu minimalnych sił i wilgoci. Jeśli chodzi o powodzenie akcji, to przypadek tego turysty był kląpą. Ustaliliśmy, że golem musi wrócić. Inaczej zebrane przez niego informacje nie są przekazywane do masy macierzystej. Ale, prawdę mówiąc, i tego nie jesteśmy do końca pewni.

- Nikt nie robił analiz? Badań?

- Chłopcze, to był PRL, choć nazywało się już inaczej. Jedyne, co zrobiono, to

rozszerzono granice rezerwatu. On nie istnieje po to, by chronić przyrodę - istnieje, by chronić ludzi. Badania - owszem były. Dwóch naukowców zapaleńców z cieniutkimi portfelami. Traktowano ich jak łowców duchów. Zainteresowaliśmy się ich pracą, gdy przeanalizowaliśmy statystyki zjawisk tego typu z raportów milicyjnych, a później - policyjnych. Założyliśmy oczywiście, że zgłaszano znikomy procent przypadków. Sprawa okazała się poważniejsza, gdy w 1995 roku jeden z naukowców, już wtedy u nas na etacie, został skopiowany. Przeciwnik wykazał się inteligencją, zdobywając wyniki badań z ostatnich piętnastu lat. Automatycznie musieliśmy przestać traktować mgłę jako zjawisko naturalne czy raczej paranormalne w rodzaju kręgów wypalanych na polach przez statki kosmiczne. Badania mgły nie są proste. W teren możemy wysłać tylko ludzi niezających sprawy, niewiedzących dobrze czego szukają. Z oczywistych względów obawiamy się, że poufne informacje zostaną wyciągnięte prosto z umysłu. Ty byłeś w samym centrum. Dlatego jesteś dla nas tak cennym źródłem informacji - pierwszym od dłuższego czasu.

- OK, panie Mulder. Skserowano wam naukowca. Znam swoje prawa. Nie możecie mnie tu trzymać bez powodu. Wjechałem samochodem do parku, ale za to grozi mi co najwyżej mandat. Poproszę kredytowy. Słucham - jak mogę wam pomóc? Zrobię, co będę mógł, a potem sobie pójdę.

- Skoro tak stawiasz sprawę... Opowiedz nam po prostu, co wydarzyło się od wczorajszego świtu. Inaczej posiedzisz sobie czterdzieści osiem.

Adrian westchnął, zrezygnowany, i opowiedział po kolei wszystko, pomijając tylko szczegóły zabawiania się z fałszywą Magdą. Agent słuchał i przeglądał zdjęcia na aparacie. Zaczekał na koniec opowiadania i pokazał chłopakowi zdjęcie domku wykonane na krótko przed zachodem słońca. Adrian przypomniał sobie, jak je robił. Obawiał się, że wyjdzie poruszone, bo Magda wplatała mu palce we włosy i...

- Potrafiłbyś odnaleźć to miejsce?

- Za nic na świecie tam nie wrócę!

- Twoja dziewczyna powiedziała, że miałeś odbiornik satelitalny.

- Rozmawialiście z nią? - Adrian poderwał się. - Jest tutaj?

Agent uspokoił go ruchem ręki.

- Nic jej nie jest. Obóz znaleźli strażnicy. Mandat był spory, ale musimy jakoś odstraszać ludzi z tego obszaru. Więc jak z tym odbiornikiem? To nam może bardzo pomóc.

- Pozycję zapisałem w GPS-ie. Niestety, został tam. - Spojrzał na oczekującego odpowiedzi agenta. - Przez dziesięć lat nie potraficie znaleźć chatki w górach? Ja ją znalazłem w trzy godziny.

- Sprawa nie jest taka prosta, jak ci się wydaje.

- Czym jest mgła? Po co produkuje te golemy?

- Nie wiemy, co to jest. Rodzaj świadomej istoty. Bada nas. Jak szczury laboratoryjne.

Jeśli nadal chcemy wierzyć w to, że jesteśmy gatunkiem, który włada tą planetą, nie możemy na to pozwalać.

- Inteligentna mgła?

- Dlaczego cząstki wody i specyficznych dla tego rejonu zanieczyszczeń składających się na nią nie mogą stworzyć świadomości? Przecież ciało człowieka to też struktura powstała z pierwiastków występujących w martwej naturze.

Agent pokazał kolejne zdjęcie. Przedstawiało istotę z dymu i popiołu. Zdjęcie było bardzo ciemne.

- Mówisz, że sam je zrobiłeś? - zapytał.

- Pomogłem mu powstać. Dostarczyłem mu budulca, ale pole siłowe czy coś... czy ja wiem... to coś, co trzymało go w kupie, już tam było. Potem połączył się z moim dziadkiem.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Miałem przeczucie, że pomoże mi się stamtąd wydostać.

- Skąd się wzięło to przeczucie?

- Jak to przeczucie - gdzieś ze środka. Nie wiem. Czy mogę już iść?

- Posłuchaj! - Agent przestał być miły. Wstał z krzesła i usiadł na brzegu blatu. - To, że marnuję czas na dyskusję z tobą, dowodzi tylko jednego: chcemy nawiązać kontakt z tą istotą. Zależy nam na tym. Chcemy to zrobić dla nauki i naszego bezpieczeństwa. Ty możesz nam w tym pomóc. Do niczego innego cię nie potrzebujemy.

- Ja nawiązałem z nią kontakt. Dokładniej mówiąc - z moim dziadkiem.

- Rozmawiałeś również z golemem swojej dziewczyny, co nie znaczy, że porozumiałeś się z masą macierzystą. Może ona wcale nie jest zdolna do wymiany informacji z ludźmi. Symulowanie rozumu nie jest tożsame z posiadaniem świadomości ani nawet inteligencji. Słyszałeś kiedyś o chińskim pokoju? Nie ma pewności, że nastąpiło jakiegokolwiek porozumienie.

- Brak kompatybilności?

- Można to tak nazwać. Musimy to sprawdzić.

- Dlaczego więc uważacie, że mogę wam pomóc?

Agent westchnął i oparł się ciężko na kolanie, podając Adrianowi aparat. Niby niechcący przejechał dłonią po jego dłoni.

- Pamiętasz to dziwne przesunięcie w czasie, kiedy zgubiłeś gdzieś kilka godzin?

- Tak. Nagle okazało się, że jest wieczór. Przez to musieliśmy nocować w chatce.
- W ciągu tych kilku zgubionych godzin wydarzyło się coś...
- Czy coś się komuś stało?
- Zależy, jak to rozumieć. Cała czwórka wraca teraz bezpiecznie do domu.
- Cała czwórka?
- Tak, cała czwórka.
- Nie bardzo rozumiem...

O tak, rozumiał doskonale. Przerzucał zdjęcia aż do ostatniego, niezbyt ostrego przedstawiającego świt w górach i twarz glinianej kukły z kozicą w tle.

- Masz bardzo zimne ręce, chłopcze.

Warszawa 2001

Za dobre to zrobiliśmy

Płócienna torba przeleciała nad stołem, uderzyła o ścianę i zsunęła się na krzesło. Szczupła dziewczyna o krótko ściętych, czarnych włosach przemaszerowała przez kuchnię w stronę automatu z wodą.

- Pytałaś mnie kiedyś, dlaczego nie masz służbowego laptopa... - mruknął stojący obok niepozorny mężczyzna w tweedowej marynarce.

Maria zignorowała uwagę szefa. Sięgnęła po puszkę z kawą.

- Pieprzony buc znów zrobił to samo - zaczęła, wsypując czubatą łyżeczkę do kubka. - Daje nam termin na wczoraj! Robi to celowo, bo na jakimś szkoleniu powiedzieli mu, że agencję reklamową tak się najlepiej motywuje.

Piotr spojrział na zegar ścienny i pokręcił ze smutkiem głową. Była szósta piętnaście wieczorem.

- Więc buc dostanie chałkę - powiedział chłopak w bezrękawniku, płucząc pusty kubek.

- Drogi Adrianie - odparł smutno Piotr - bucowi nie robi dużej różnicy, którą agencję motywuje.

- Miałem właśnie zamiar odstawić ten kubek i iść na dwa piwka do Szpilki...

- Brief będziesz miał za kwadrans. - Maria weszła mu w słowo, uśmiechając się uroczo.

Zalała kawę wrzątkiem.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - westchnął i również sięgnął po puszkę z kawą.

* * *

Na korytarzu prawie wpadł na Ankę. Zapinała właśnie płaszcz.

- Siedzisz jeszcze? - zapytała, wyciągając długie blond włosy spod kołnierza.

- Nici ze Szpilki. Może jutro...

- *No way*. Jutro ja siedzę do nocy.

- Taki lajf...

- To nara.

Chłopak patrzył, jak dziewczyna miękko wchodzi na schody, potem odwrócił głowę w drugą stronę. Maria ubrana w szary żakiet i krótką, czarną spódniczkę szła w przeciwnym

kierunku, energicznie stukając obcasami. Uniósł brew jak znawca win podczas degustacji i, uśmiechając się pod nosem, ruszył za nią.

Agencja zajmowała duży apartament powstały z połączenia kilku mieszkań w starej kamienicy. Mimo późnej pory nadal panował tu spory ruch: w pokoju accountów trwało zacięte klawiszowanie, a studio graficzne atakowało ostrymi dźwiękami techno.

Niewielki pokoik copywriterów odstraszał gości plakatem z wizerunkiem Obcego. Adrian dał monstrum prztyczka w nos i wszedł do środka. Opadł na powycierany, skórzany fotel stojący za jednym z dwóch biur i postawił parujący kubek na podstawce.

Klienci mają cię za nic, pomyślał, a ty od dwu tygodni nie możesz się umówić z dziewczyną na piwo, bo oboje jesteście zajęci wypruwaniem sobie dla nich żył. Motorniczy to ma życie. Fajrant, piwo i telewizor.

Z trudem powstrzymywał się przed wysepieniem od kogoś papierosa. Dym tytoniowy kojarzył mu się z relaksem, choć sam nie palił.

Zerknął na zegar. Szósta siedemnaście.

* * *

Maria usiadła bokiem na biurku, umieszczając kolano dokładnie na wprost Adriana. Położyła przed nim kilka kartek spiętych spinaczem.

- Naprawdę mi przykro, ale musimy to zrobić.

Chłopak przeczytał pobieżnie pierwszą stronę i kawałek drugiej. Przekartkował resztę.

- Wiem, ale ja nie jestem maszyną. - Przejechał ręką po twarzy i zapadł w fotel. -

Dobre pomysły unikają zmęczonego umysłu. Poza tym powinniśmy mieć kilka egzemplarzy tego wynalazku. Tak żeby się wczuć.

Miał ochotę położyć dłoń na jej kolanie.

- Może lepiej nie wiedzieć, jaki bubel mamy reklamować.

- Chodzi o to, że ja nie wierzę, aby to coś w ogóle działało.

- Robi ci to różnicę? - Maria szczerze się zdziwiła.

- Zasadniczo... nie, ale posłuchaj. - Wziął do ręki brief. - Napisałaś tutaj: „Coś więcej niż telefon komórkowy. Połączenie zalet krótkofalówki i telefonu GSM. Komunikator cyfrowy działający bez pośrednictwa sieci naziemnej. Klient kupuje aparat i rozmawia, ile chce, bez abonamentu i jakichkolwiek późniejszych opłat”.

- Dlaczego w to nie wierzysz?

- Nie znam się może na elektronice, ale wiem, że komórka ma zasięg kilku kilometrów. Jak nie ma w pobliżu anteny przekaźnika, to nie będzie działać. Jak zadzwonisz do kogoś z innego miasta?

Maria machnęła ręką.

- Szczegóły techniczne... Przewaliłam ci żywcem plik źródłowy od klienta. Przeczytaj, to zrozumiesz i potem mi opowiesz. Muszę parę rzeczy policzyć i złapać kogoś z domu mediowego.

- OK. Na kiedy chcesz to mieć?

- Na południe - powiedziała ostrożnie. - Jutro...

- To zupełnie nie zabrzmiało jak „za tydzień” - mruknął.

- Ale wiem, nie ma rzeczy niemożliwych. Szkoda tylko, że zostawiłem w domu amfę.

Maria wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Nawet jak wyjdzie chałka, będą musieli to wziąć. *Deadline* na produkcję za tydzień. Pierwsze emisje w TVN i Polsacie za dwa tygodnie. Jutro rano podpisujemy umowę. Do tego mamy tylko Ankę, bo reszta jest zarobiona na maxa.

- Timing napięty jak mięśnie Madonny. A casting? Nie znajdziemy dobrych aktorów w takim czasie.

Maria uśmiechnęła się szeroko.

- To duże pieniądze. Pamiętaj o prowizjach.

- Jestem artystą.

- W snach.

Pocałowała go w policzek i wyszła z pokoju. Nigdy wcześniej go nie całowała.

* * *

Minęła dziesiąta. Adrian został w biurze sam. Sam z Marią.

W ciszy, która panowała, słyszał, jak dziewczyna uderza w klawisze komputera dwa pokoje dalej. Warszawa za oknem zaczynała umierać. Jak co noc. Małe grupki ludzi poszukiwały wolnych miejsc w pubach.

Ciekawe, czy Anka śpi, czy siedzi z kimś w knajpie? Położył głowę na biurku, czując zmęczenie połączone z pobudzeniem. Cztery kawy od południa i tyleż samo piwek wczoraj wieczorem. Czy jadł lunch? Chyba tak, ale o kolacji zapomniał.

Przeczytał ponownie cały brief i wydawało mu się, że go rozumie. Pomysł był elementarnie prosty. Zasięg pojedynczego telefonu wynosił wprawdzie nie więcej niż dwanaście kilometrów, ale każdy aparat był jednocześnie stacją przekaźnikową. Rozmowa z Warszawy do Poznania przechodziła po drodze przez kilkanaście aparatów, bez udziału i wiedzy ich właścicieli. System, wykorzystując zasady logiki rozmytej, sam wybierał najkrótszą i najmniej obciążoną drogę dla połączenia. Ryzyko przy zakupie było niewielkie, bo do komunikowania się na małe odległości wystarczały dwa aparaty.

Adrian rozumiał zasadę, jednak nie wierzył, że to może działać.

Ale czy brak wiary coś zmienia?

Czasem się zastanawiam, czy to my robimy idiotów z naszej grupy docelowej, czy ona z nas, pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści sześć.

Czy Shakespeare potrafiłby coś stworzyć pod taką presją?

Zarysy pomysłów krążyły mu wokół głowy. Zbyt jeszcze mgliste i zbyt delikatne, by je chwycić, nie niszczyć. Te, które unosiły się wysoko, były zbyt wymyślne, te szorujące o dywan - za kiepskie. Oglądał je spokojnie, starając się ich nie spłoszyć. Kilka największych, krążących na wysokości jego głowy dotykał wzrokiem i modyfikował nieznacznie. By nie zepsuć. Mniejsze pękały i ginęły bezpowrotnie, większe rosły w siłę, czasem łączyły się. Zostało kilka. Czas, by je zapisać - nowo narodzone pomysły są bardzo nietrwałe.

Stukanie klawiatury z pokoju accountów ucichło. Po chwili w drzwiach jego pokoju stanęła Maria.

- Jak tam? - zapytała miękko.

- Próbuję być geniuszem i trochę mi nie wychodzi, ale spoko - *fuckup* nie będzie. Mam tutaj malutki szczerp memów - wskazał na swoją głowę - i zaraz umieszczę go w bezpiecznym miejscu, by sobie dojrzał i zaraził kilka milionów Polaków i Polek.

Otworzył laptop, ale Maria przytrzymała jego rękę.

- Jeśli jakiś pomysł wyleci ci z głowy, to znaczy, że był kiepski?

- Nie. To znaczy tylko, że wyleciał mi z głowy.

Pogładziła go dłonią po policzku.

- Pisz - powiedziała. - Szybko...

Rozpięła guzik żakietu. Ten gest wyjaśniał wszystko. Chłopak zaczął w ostrym tempie klepać w klawisze. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że umie pisać metodą bezwzrokową. Patrzył bowiem na Marię, na jej delikatne dłonie rozpinające powoli kolejne guziki. Zdjęła żakiet i przewiesiła przez oparcie wolnego krzesła. Rozpięła pierwszy guzik koszuli.

- Czy to jest dobry pomysł? - zapytała.

W pierwszym momencie nie wiedział, co miała na myśli.

- Wyśpię się i rano będę mógł ocenić.

Nachyliła się nad biurkiem i sięgnęła w dół, chwytając go za klamerkę paska. Pociągnęła w górę. Posłusznie wstał.

- Opisz mi go...

Musnęła ustami jego usta.

- Powoli się rozwija... Wolę teraz zacząć coś innego.

- Zaczynaj więc...

Dotknął dłońmi jej drobnych ramion, czując przez materiał ciepłą skórę. Przyjemnie pachniała, choć nie potrafił powiedzieć czym. Patrzyli sobie w oczy.

- Możliwości są bardzo duże - powiedział. - Czasu za to mało.

- Jest cała noc - szepnęła.

Cofnęła się i dokończyła rozpinanie koszuli. Zrzuciła ją na ziemię. Chwilę potem obok niej wylądowała spódniczka. Dziewczyna stała w bieliźnie i pończochach. Była zgrabna i wysportowana. Adrian sięgnął do laptopa i zachował dokument.

- Mmm... Zarzucić coś, a ja to rozwinę - powiedziała.

- Mam cię zapłodnić?

- Nie dosłownie.

- Tak to nazywam. - Wyszedł zza biurka i zbliżył się do dziewczyny. - Potrzebujemy czegoś totalnego na otwarcie kampanii. Jest kasa, można to zrobić. Coś jak spiętrzenie Wisły z użyciem kesonów. Hasło: „Nagły wzrost możliwości”.

Położył dłonie na jej piersiach zasłoniętych koronkowym stanikiem.

- Bardziej totalne - powiedziała, przywierając do niego.

- Zaćmienie Słońca! Nie kupią X-com, będzie zaćmienie, kupią - nie będzie...

- Zaskarżą nas.

Pocałował ją w usta. Miętko i delikatnie.

- Zabezpieczymy się - odpowiedziała, zdejmując z niego bezrękawnik. - Zaskarżą klienta. Odszkodowanie zawrzemy w kosztorysie jako zaplanowany wydatek. Skandal. Pierwsze strony gazet.

- W zaćmienie nikt nie uwierzy. To musi być coś w zasięgu wyobraźni. - Położył dłonie na jej pośladkach. - Cudowna plama na murze cementarnym. Pielgrzymki z całego kraju po przybyciu widzą wysprejowane logo X-com. - Przerwał, całując jej szyję i rozpinając stanik. - Albo... naukowe potwierdzenie obserwacji syreny w Wiśle.

- Zostaw tę Wisłę... - Wpiła się w jego usta na dłużej, rozpinając mu jednocześnie spodnie. - Potrzebuję czegoś naprawdę wielkiego.

Wyswobodziła się ze stanika.

- Na wejściu kampanii samobójca na iglicy Pałacu Kultury. W T-shircie z logo X-com. Pokażą go wszystkie stacje. - Ściągnął buty. - A może jeszcze lepiej: niech po dwóch godzinach skoczy.

- Uuu... to może boleć. - Ugryzła go delikatnie w ramię i też zrzuciła buty.
 - Będzie miał spadochron. Też z logo X-com.
 - No, dalej. - Ściągnęła pończochy.
 - UFO nad Warszawą.
 - Lepiej! Masz jakieś haselka?
 - Prosto, skutecznie, tanio. - Wydostał się ze spodni. - Dla wygody, dla ludzi, dla ciebie.
 - Albo... - Zsunęła majtki. - Dostęp łatwy jak nigdy dotąd.
 - Zdecydowane uproszczenie.
 - Wchodzisz w to już teraz!
- Pchnął ją w kąt między regałami.
- Mniej miejsca, mniej formalności, mniej kłopotów.
 - Wszystko w jednym...
 - Jeden dla wszystkich, wszystko w jednym!
 - O tak... tego właśnie potrzebuję...

* * *

Maria po prostu ubrała się i wróciła do pracy. Regularne stukanie klawiszy dochodziło z jej pokoju, jakby przed chwilą zrobiła sobie przerwę na papierosa. Zastanawiał się, co z tą sytuacją dalej robić, ale stwierdził, że najlepiej będzie zachowywać się jak gdyby nigdy nic i pracować dalej.

Około pierwszej uznał, że nic nowego nie wymyśli. Miał dwa w miarę trzymające się kupy pomysły na całą kampanię reklamową.

Pierwszy etap kampanii kierowany do młodych ludzi miał na celu sprzedanie jak największej liczby aparatów, by zasięgiem pokryć cały kraj. Po trzech miesiącach drugie wejście miało zawierać przekaz skierowany do odbiorców profesjonalnych. Lepsze i droższe aparaty.

Ale trzy miesiące to bardzo dużo czasu.

* * *

Obudził go dzwonek telefonu. Stwierdził, że leży na podłodze z głową opartą na stercie czasopism. Za oknem był już dzień.

Czwartek. Miał wrażenie, że położył się pięć minut temu, ale zegarek obiektywnie pokazywał dziewiątą pięć.

Usiadł i odebrał telefon.

- Przejrzałam materiał, jaki stworzyłeś wczoraj. - To była Maria. - Całkiem niezłe, ale

musimy nad nim jeszcze popracować. Wpadnę za pięć minut.

Przetarł oczy i wyjrzał przez okno. Korek w obie strony ślimaczył się wyjątkowo. Mamy mniej czasu, pomyślał. Zabrał pusty kubek i otworzył drzwi. Normalny o tej porze ruch zaskoczył go.

Anna, wchodząc do sekretariatu, jako pierwsza zwróciła na niego uwagę. Uśmiechnęła się.

- Wyglądasz jakbyś właśnie wstał z łóżka.

- Wstałem z podłogi...

- Mnie dziś też czeka nocowanie.

- Może zjemy razem lunch? Nie, wróć. Będę na prezentacji.

- A ja muszę skończyć ten folder, żebym mogła po waszym powrocie robić storyboardy. Przynajmniej oderwę się na trochę od komputera.

Posłała mu kolejny uśmiech i znikła w zastawionym kilkunastoma komputerami studiu graficznym. Popatrzył za nią, ale napotkał dziwnie karcący wzrok stojącej w drzwiach pokoju accountów Marii. Wykonał niejasny gest, poszedł nieco się odświeżyć i zaparzyć kawę na śniadanie. Właściwie, to miał ochotę wrócić do pokoju i spać dalej.

* * *

Adrian przy pomocy Marii doszlifował szczegóły i wydrukował całość na czysto. Dziewczyna cały czas odnosiła się do niego dosyć oschle, choć nie była niemiła.

Chce we mnie wzbudzić poczucie winy?, zastanawiał się. Za co? Przecież to ona zaczęła.

- Chcesz porozmawiać? - zapytał, gdy skończyli.

Zostało im dziesięć minut do wyjścia na prezentację.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Chodzi mi o wczoraj...

- Wczoraj to dawno temu.

Uśmiechnęła się jednak i musnęła jego policzek wierzchem dłoni. Wstała.

- Nie martw się. Było całkiem miło.

- Posłuchaj... czy...

- Tak? - Odwróciła się od drzwi, przesadnie udając zainteresowanie.

- Nie... nic.

* * *

- Sprawdzaleś, jak działa X-com? - zapytała Anna.

Siedziała przygarbiona nad stołem i cienkopisem tworzyła dziesiąty arkusz

storyboardu. Obrazek, który właśnie kończyła, przedstawiał uśmiechniętą kobietę prezentującą do kamery opakowanie X-com.

- Nie dostaliśmy żadnego egzemplarza - odparł Adrian, zaglądając jej przez ramię. - Mamy obiecane darmowe aparaty za tydzień. Moim zdaniem to ściema na maxa.

- Sam opracowałeś kreację dla tej ściemy na maxa.

- A ty właśnie rysujesz storyboardy, według których powstanie spot reklamujący tę ściemę na maxa.

Anna westchnęła.

- Właśnie. Gdzie tu etyka zawodowa?

Odgarnęła włosy za ucho.

- Etyka... - zawahał się - etyka tego zawodu jest taka, że jest się wiernym wobec klienta.

- Jeśli nie my, zrobi to ktoś inny - wtrąciła się Maria, stając w drzwiach. - Jesteśmy pierwszą linią frontu wolnego rynku.

Adrian minimalnie się odsunął od graficzki. Znów to idiotyczne poczucie winy.

- Tak się wszyscy tłumaczy - powiedziała Anka, unosząc głowę.

- Bo tak jest. Jesteśmy najemnikami. Jeśli nie chcemy tego robić, to nikt nas nie zmusza. Ja mogę pracować w pierwszym lepszym biurze, Adrian może być niedocenianym poetą, a ty... ty możesz sprzedawać szablonowe widoczki Starego Miasta pod Barbakanem.

Ance drgnęła ręką i postaci, którą właśnie rysowała, uniosła się brew.

- Nie siedzę tu dla pieniędzy - powiedziała cicho. - Moje prace, nawet te przerabiane na kolejnych korektach, gnojone przez klientów-idiotów oglądają miliony. Dużą kampanię outdoorową widzi więcej ludzi niż jakikolwiek obraz w muzeum.

- Widzisz? - zatriumfowała Maria. - Każdy ma swoją cenę.

- Nie mów tak... - Anna opuściła głowę.

- Albo wolny rynek ze wszystkimi tego konsekwencjami, albo komunizm, cenzura, reglamentacja i opakowania zastępcze. Chcesz czy nie - stoisz po którejś stronie.

- Przestań - wtrącił się chłopak.

- No tak, rzeczywiście. Skopie nam storyboardy, jak się wkurzy.

- Zejdź z niej! O co ci chodzi?

- O nic. Rzeczywiście przesadziłam, przepraszam.

Wyszła.

Adrian położył dłoń na ramieniu dziewczyny. Chciał ją cofnąć, ale Anka przechyliła głowę, pocierając wierzch dłoni policzkiem.

- Nie mam siły - powiedziała. - Skończę to rano.

* * *

Było dobrze. Nawet bardzo dobrze. Jedyne, czego teraz się bał, to poprawek klienta. Paradoksalnie, nadzieja była w tym, że zostało tak mało czasu.

Nie umiał powiedzieć, co dokładnie sprawiało, że spot wyszedł tak dobrze. Aktorzy nie byli świetni, bo ci świetni planują czas na miesiące naprzód, a nie siedzą pod telefonem. Scenariusz, zdaniem samego autora, pozostawiał sporo do życzenia, a scenografię zmontowano w godzinę. Jedyne ekipa filmowa i sprzęt były bez zarzutu. Mogli zastosować wszystkie efekty niewymagające godzin pracy stacji graficznych.

Cóż zatem sprawiało, że banalny testimoniał był tak dobry? Banalna historia, banalne postacie i niebanalny fart.

Boże, pomyślał. Za dobre to zrobiliśmy. Za dobre dla tego bubla.

- Dobre, ale to jeszcze nie oznacza, że skuteczne - powiedział Piotr, jakby odgadując jego myśli. Wyciągnął płytkę z odtwarzacza. - Szkoda, że nie ma czasu na focus.

- Musi iść tak - potwierdziła Maria.

- Wiem. Martwi mnie głównie to, że mamy dość kasy na badanie skuteczności.

Wszyscy, za wyjątkiem Adriana, uśmiechnęli się pod nosem.

* * *

Po wieczornym niebie wolno sunęły trzy czarne spodki. Z początku nikt ich nie zauważył, ale gdy dotarły nad Żoliborz, telefony w redakcjach telewizyjnych i radiowych rozdzwoniły się na dobre. Na numery policji jak zwykle niewielu osobom udawało się dodzwonić.

Po piętnastu minutach od pierwszego sygnału widzowie kilku stacji telewizyjnych mogli na żywo oglądać, jak statki kosmiczne Obcych zbliżają się do centrum miasta.

Minęło kolejne pół godziny, nim z lotniska na Bemowie wystartował helikopter. Podążał za lecącymi w nierównym szyku statkami, trzymając się w bezpiecznej odległości. Gdy wreszcie pilot zebrał się na odwagę i zmniejszył dystans, latające talerze zawirowały, umykając mu w wymyślnych ewolucjach.

Nagle jeden ze spodków zmarszczył się i zapadł w sobie, jakby próbował przejść do innego wymiaru. Manewr chyba się nie udał, bo pojazd sflaczał do końca i, furkocząc, opadł na drzewa w Parku Saskim. Kilka minut później dwa pozostałe poszły w jego ślady.

* * *

- „Pomalowane na czarno dekle od Fiata i pneumatyczne ochraniacze. Prosty uchwyt i napęczniony helem balon w kształcie dysku. Oryginalny sposób na prezentację aparatów

telefonicznych nowej generacji. Autorem pomysłu jest ta sama agencja, która kilka tygodni temu przeprowadziła kontrowersyjną kampanię płynu „Flix”. Czy to ty synku wymyśliłeś to UFO?

Mama odłożyła gazetę.

- Tak - odparł Adrian, odsuwając od siebie pusty talerz po kapuśniaku - choć nie przypominam sobie, bym wprowadzał ten projekt w życie...

Wziął gazetę i przeczytał artykuł na pierwszej stronie. Pokręcił z niedowierzaniem głową i postanowił wyjaśnić to następnego dnia. Odniósł talerz do zlewu.

- Używasz tego, mamó? - zapytał, unosząc opróżniony do połowy kanisterek z płynem Flix.

- Skoro sam zrobiłeś reklamę tego środka, to musiałam spróbować, jak to działa.

Przygotował kampanię Flixa dwa miesiące temu. Uniwersalny płyn do mycia wszystkiego, do zmywania i prania. Jego zdaniem były to zwykłe mydliny z wodą.

- I jak działa?

- Nie widzisz, jak tu czysto? - Mama wykonała gest, jakby prezentowała wnętrze skarbcza Bank of England, a nie swoją kuchnię.

Adrian rozejrzał się i stwierdził, że rzeczywiście jest tu bardzo czysto. Jak nigdy, odkąd się wyprowadził do własnego mieszkania.

- Więc według ciebie to naprawdę działa? - upewnił się.

- Działa doskonale.

- Usuwa kamień?

- Zobacz tutaj. - Wskazała na błyszczący chromami kran, który chłopak pamiętał jeszcze z dzieciństwa.

Schylił się i przyjrzał mu się z bliska. Znikły nawet stare odpryski.

- Czyści drewno, dywany i okna?

- Oczywiście. Czemu się tak dziwisz?

Chłopak wyprostował się i spojrzał na swoją matkę, jakby podejrzewał, że na starość jej odbija. Wziął małą miskę stojącą w znajomym miejscu, pod zlewem, nalał do niej wody i nieco płynu z kanistra. Wymieszał zawartość i umoczył w niej ściereczkę. Podeszedł do okna i przejechał nią w poprzek szyby. Matowe smugi Flixa były widoczne zanim jeszcze odparowała cała woda.

- Oj dziecko, dziecko. - Mama wzięła od niego ściereczkę.

- Znajdź sobie żonę, bo zarośniesz brudem.

Przejechała tą samą szmatką po jego śladzie, ścierając go całkowicie. Adrian

przysunął twarz do szyby, wpatrując się w krystaliczną przejrzystość szkła.

Przez okno widział wyraźnie i ostro Pałac Kultury oświetlony dziesiątkami reflektorów.

* * *

Mężczyzna liczył gwiazdy na nocnym niebie. Chłodny, jesienny wiatr targał mu włosy. Słyszał jednostajny szum miasta, dźwięki klaksonów, hamujący tramwaj. I rzęzący megafon, przez który ktoś próbował z nim rozmawiać. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka. Jeszcze dwie minuty. Nogi drętwiały mu od zapierania się o kamienny gzyms. Wstał i spojrzął w dół. Natychmiast oślepiły go reflektory. Zasłonił oczy dłonią i zachwiał się. Przez tłum przeszedł pomruk. Mężczyzna wiedział, że oni chcą, by skoczył. Po to tu przyszli.

Dwa helikoptery stacji telewizyjnych obniżyły pułap, chcąc uchwycić lepsze ujęcia.

Czy to naprawdę jest rozwiązanie? - pomyślał. Nie ma innego sposobu?

Wsluchał się w łomot serca, wziął głęboki oddech i wybił się z całej siły do przodu. Krzyk tłumy słychać było na drugim brzegu Wisły. Mężczyzna przez ułamek sekundy widział wycelowane w siebie dziesiątki kamer, migające stroboskopy ambulansów, radiowozów i pojazdów straży pożarnej. Widział uciekających ludzi. Minął w odległości kilku metrów kolejny gzyms najeżony kamiennymi stalagmitami.

Potem nastąpiło silne szarpnięcie. Mężczyzna spojrzął w górę. Biała czasza spadochronu z wielkim logo X-com otworzyła się poprawnie. Pociągając za linki, skreślił i ominął w odległości dwudziestu metrów krawędź Pałacu. Wykorzystując wiatr, opadał powoli w kierunku parkingu przed Muzeum Techniki.

Motocyklista uruchomił silnik. Mężczyzna sprawnie wylądował na trawniku, uwalniając się od uprząży dla niepoznaki ukrytej pod specjalną kamizelką. Podbiegł kilka kroków, wskoczył na motocykl i objął kierownicę w pasie. Warkot silnika zagłuszył zbliżające się wycie syren.

Mężczyzna przeliczał w myślach zarobek.

* * *

- Nie ma o tym skoczku ani słowa w twoim opracowaniu - powiedział dyrektor. - Ani o latających talerzach. Jest to natomiast dokładnie opisane i wycenione przez Marię.

Adrian zacisnął zęby

- Nie napisałem tego... - przyznał. - Powiedziałem to tylko. Nie sądziłem... że to może przejść.

- Kiedy dokładnie to mówiłeś? - zapytała Maria, patrząc mu prosto w oczy. - Pamiętaj, co wtedy robiłeś?

Adrian miał ochotę zacisnąć dłonie na jej delikatnej szyjce; już wiedział, że przegrał. Nie chodziło nawet o astronomiczną jak na standardy agencji, premię. Chodziło o zasady.

Dyrektor odchylił się do tyłu w fotelu i splótł dłonie na brzuchu, dając do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona.

- Pytanie „Jak mogłaś?” jest chyba zbyt banalne - powiedział, gdy wyszli z gabinetu.

- Wymyśliłimy to wspólnie. Ja tylko pomysł przedstawiłam, bo ty się bałeś. Potrzebowałam tej premii; wykańczam mieszkanie.

- Tłumacz to sobie, jak chcesz.

- Chroniłam cię. Pomyśl, co by się stało, gdyby facet się zabił. Wzięłam na siebie całą odpowiedzialność.

- Założę się, że gdyby się zabił, to ja okazałbym się autorem pomysłu. Wiesz co... jest taka stara zasada, że kobiet się nie bije, ale gdy kobieta uderza pierwsza...

- A gdybym powiedziała dyrektorowi, że mnie molestowałeś? - Uśmiechnęła się jadownicie.

- Ty zaczęłaś... - Adrian poczuł, jak ponownie wzrasta mu ciśnienie.

- Kochanie, to nie ma żadnego znaczenia. Mogłam nawet być wtedy w kinie. Wylecisz z pracy, zanim ktokolwiek zapyta o twoją wersję. Dlatego nie wracajmy już do tego... nieporozumienia.

* * *

Usiedli w przytulnym rogu kawiarni i zamówili po piwie. Udało im się spotkać po trzech tygodniach prób, ale i tak nie umieli uwolnić się od rozmów o pracy.

- Tydzień temu byłem u mojej mamy na obiedzie - zaczął Adrian. - Pokazała mi kuchnię wyczyszczoną Flixem. Ma fioła na jego punkcie. Nie zdziwiłbym się, gdyby nim myła zęby.

- Nie jest w tym odosobniona - przytaknęła Anka. - Czuję się trochę jak potwór. Wcisnęliśmy ludziom kolejną niepotrzebną, do tego niedziałającą rzecz.

- O nie! To naprawdę czyści wszystko!

- Sprawdzalam. Nawet podłoga się po tym lepi.

Kelnerka przyniosła dwa piwa, bułeczki i masło czosnkowe.

- Przetarłem szybę Flixem i zostały smugi. Mama przetarła i smugi znikły.

- Przypadek?

Pokręcił głową.

- Spróbowałem z usuwaniem rdzy z hydrantu na korytarzu, z praniem dywanu i naczyń. To samo. Ja szorowałem i nic, a mama raz przetarła i efekt był rewelacyjny.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zrobiliśmy najbardziej skuteczną reklamę w historii?

- Nie wiem, co o tym myśleć. Wiem tylko, że to nie jest złudzenie. Ani przypadek.

Wyjrzeni przez okno. Przed punktem sprzedaży X-com wiła się długa kolejka, choć częstotliwości dla komunikatorów miały być zwolnione dopiero za tydzień. Ta kampania też odnosiła sukces.

- Wypijmy za to, żeby X-com działał tak, jak to obiecaliśmy milionom ludzi. - Adrian wznosił piwem toast.

Anka uśmiechnęła się i uniosła szklanekę do ust. Adrianowi podobał się sposób, w jaki piła piwo: po kobiecemu, drobnymi łykami.

Oceniał swoje szanse u niej i miał nieodparte wrażenie, że jednak są rzeczy niemożliwe. Od dłuższego czasu Anka była dla niego miła. Po prostu miła - nic więcej.

* * *

- To jest przekręt - powiedział, patrząc na zebranych w sali konferencyjnej. Nie przeszkadzała mu nawet obecność Marii. - Mam paru znajomych u jednego z operatorów sieci komórkowych - ciągnął. - Nie ma żadnej paniki związanej z darmowym przecież X-comem. Powinni się bać, że z dnia na dzień wypadną z rynku, bo ludzie przejdą na system darmowy. Tymczasem się nie boją.

- Dlaczego? - Dyrektor prawą ręką już przygotowywał lewy mankiet do odsłonięcia zegarka, gdy nikt nie będzie patrzył.

- Bo nie wierzą, że to prawda. Twierdzą, że teoretycznie może to działać, ale przepustowość łączy tego typu jest zbyt mała, podobnie jak zbyt mała jest moc aparatów. Współczesny rozwój technologii komunikacyjnych nie pozwala nawet marzyć o takim systemie. Owszem, rozmowa między Warszawą a Poznaniem jest możliwa, jeśli po drodze będzie trzydzieści włączonych aparatów, ale opóźnienie transmisji sygnału przekroczy dwie sekundy. Dziesięć, dwadzieścia jednoczesnych połączeń zapcha kanał.

- System wtedy wybierze inną drogę.

- Przemyślałem to. Po pierwsze, wzrośnie opóźnienie. Po drugie, pomiędzy dużymi miastami jest masa wsi, gdzie aparatów będzie na pewno mniej, szczególnie na początku. Po trzecie, aparat służy jako przekaźnik tylko wtedy, gdy jest włączony. Znając filozofię życiową przeciętnego Polaka, to nie będzie on trzymał telefonu włączonego tylko po to, by ktoś inny z niego korzystał. Wyłączy go przez czystą „życzliwość”.

- I co?

- System ulegnie przeciążeniu kilka minut po starcie.

- Czy ty nie pomyliłeś zawodów? - zapytał dyrektor, nachylając się nad stołem. - To

jest agencja reklamowa, a nie detektywistyczna. Nawet jeżeli to prawda, co to ma wspólnego z nami? My tylko przekonujemy ludzi, żeby to kupili.

- Tak... racja. Ale nasz klient padnie w kilka dni i nie zapłaci ostatnich faktur za emisje w prasie i TV.

Dyrektor zbladł.

- Myślisz, że tam pracują idioci? - zapytał agresywniej. - Dlaczego żaden z niezależnych ekspertów nie podważył pomysłu? Boją się, że jednak zadziała? Może po prostu lepiej się na tym znają od ciebie?! Zresztą klient zapłacił za emisje z góry.

- Być może to wszystko prawda. Tylko dlaczego system startuje w Polsce? Może mamy być poligonem doświadczalnym? Może zbiorą kasę za kilkanaście tysięcy sprzedanych aparatów i więcej ich nie zobaczymy?

- Przekonamy się o tym jutro o siódmej wieczorem. Szkoda teraz czasu na dyskusje o rzeczach, na których się nie znamy.

* * *

Siedzieli po dwu stronach stołu. Przed nimi leżały dwa aparaty wyglądające jak zwykłe komórki. Pod sufitem kołysał się krzywy żyrandol, rzucając wątle cienie na obdrapane ściany. Stary zegar pokazywał siódmą pięć, ale nikt nie traktował go poważnie.

Długowłosego student wpatrywał się w większy aparat z dużym wyświetlaczem, a niska, krępa dziewczyna w mniejszy, z rozsuwaną klapką. Do wyboru były i tak tylko te dwa modele.

- Widzisz, nie działa - przerwał milczenie student.

- Daj im czas. To pewnie nie jest takie proste.

- Jasne, że nie jest proste. Jak się nie ma stacji bazowej, to systemu w ogóle nie można uruchomić, bo taki system nie ma prawa działać.

Dziewczyna machnęła ręką.

- Nie widziałeś reklam? To jest genialnie proste.

- Nie wierzę. Wydaliśmy ostatnie pieniądze na szmelc.

W tym momencie aparaty cicho piknęły i zabłysnęły żółtymi wyświetlaczami. Dziewczyna wydała przejmujący kwik.

- Działa! Działa! Zadzwoń do mamy.

Student nieufnie uniósł swój aparat i wybrał numer. Z głośnika wydobył się tylko trzask, zgrzyt i nastąpiła cisza. Spróbował ponownie z identycznym skutkiem. Ze zdziwieniem spojrzął na dziewczynę, która przez swój telefon już rozmawiała z mamą.

* * *

- Przynajmniej problem egoistycznego Polaka został częściowo rozwiązany - stwierdził Adrian, odkładając aparat na stół. Telefon nie miał wyłącznika. Po naładowaniu akumulatora czekał do czasu jego rozładowania. Można było jedynie wyciszyć dzwonek.

- Cofnijmy się nieco w czasie - kontynuował. - Uważam, że zrobiliśmy doskonałą reklamę Flixa. Tak doskonałą, że ludzie uwierzyli, że jest to środek naprawdę uniwersalny, podczas gdy ja sam wiem, że to rozwodnione mydliny, którymi ledwo można zmyć dżem z podłogi.

- Pomysł z maskotkami jeżdżącymi w tramwajach był wyśmieniony - przyznał Piotr. - W tłoku ludzie nieco się wkurzali, że przymocowana do fotela kukła zajmuje im miejsce, ale i tak się opłacało.

- Teraz mam na myśli konkretnie to, że to są naprawdę mydliny z wodą.

- Jakość nie jest rewelacyjna, ale za tę cenę... Moja żona go używa i nie narzeka.

- A ty go używasz?

- Nie. Widzę efekty. Może kosztuje to więcej pracy...

- Sprawdziłem to kilka razy i na kilka sposobów. Wspólnie z Anką - mówiąc to, zerknął na Marię opierającą się o automat z wodą, ale tej nie drgnęła nawet powieka. - Nasze mamy, babcie i ciocie, używając Flixa, osiągają dobre rezultaty. Natomiast ja, Anka i dwóch ludzi z naszego studia filmowego, którzy pracowali nad telewizyjnym spotem tego świństwa, zgodnie uważamy, że to po prostu rzadka breja. Nie udało nam się doczyścić tym armatury w naszym kiblu... A pani Hania, nasza sprzątaczką, zmotywowana czekoladkami, uporała się z tym w minutę.

- Wniosek? - zapytał dyrektor, znajomym gestem sięgając do lewego mankietu.

- Reklama to sztuka prawdy selektywnej. Doskonała sugestia sprawiła, że odpowiedni ludzie po kilkakrotnym obejrzeniu reklamy uwierzyli w cudowne właściwości Flixa do tego stopnia, że użyty przez nich... działa. Natomiast użyty przez kogoś innego zachowuje się jak woda z mydłem.

- Co ty bredzisz?

- Może pan sam sprawdzić.

- Nie będę czyścił kibla! Wiem bez tego, że Flix to... tani środek.

- Sprzątaczką lepiej się zna na czyszczeniu kibla - wtrącił Piotr. - Najpewniej stąd lepsze efekty.

Adrian pokręcił głową.

- Pogrzebałem w internecie. Firma produkująca Flixa należy do tego samego koncernu, co producent aparatów X-com.

Zapadła cisza.

- Wiem, ale system X-com jednak działa - powiedział dyrektor. - Rozmawiałem dzisiaj z Zakopanem i nie było nawet minimalnego opóźnienia.

- Mój aparat nie działa - powiedział copywriter.

- Ani mój - dodała graficzka. - Wymienialiśmy dwa razy. Używa go ktoś inny - działa. Używam ja - nie działa.

- Próbowaliście wziąć od kogoś słuchawkę podczas rozmowy? - zapytał trafnie Piotr.

- Tak. Połączenie zaczyna się rwać po kilku sekundach.

- Kochani. - Dyrektor uniósł ręce w geście zniecierpliwienia. - Zrobiliśmy super kampanię. Klient sprzedał więcej aparatów, niż zamierzał. To jest koniec naszej roli w tej sprawie. Wybaczcie, ale mam dużo roboty.

- Nowe szaty króla - powiedział Adrian, gdy tamten wyszedł z kuchni. - On je widzi naprawdę.

- X-com działa tylko dla tych, którzy w niego wierzą? - zapytał Piotr. - Myślałem, że mój jest zepsuty...

- Tak to wygląda. - Adrian wzruszył ramionami. - Może chodzi o użycie niewykorzystanych możliwości mózgu? Może ci ludzie porozumiewają się za pomocą telepatii, nie wiedząc o tym? Aparat byłby tylko... uzasadnieniem. Może wspomaganie.

- Siła przekazu reklamowego była tak potężna, że dokonaliśmy tego, co z trudem udaje się w gabinetach hipnotyzerów? - Piotr uniósł brwi. - To nie brzmi przekonująco. Co by było, gdybyśmy w reklamie użyli motywu trzęsienia ziemi? Nastąpiłoby trzęsienie?

- Przyznasz jednak, że X-com działa - odezwała się Maria.

- Musisz więc sam w to wierzyć.

- Myślałem o tym... - Adrian zawahał się - i nie potrafię tego wytłumaczyć. Może wiedzieć a wierzyć to zupełnie co innego. Większości reklamacji dokonują ludzie raczej inteligentni lub znający się na elektronice.

- Pochlebiasz sobie.

- Niekoniecznie. Profesorowi filologii angielskiej telefon X-com może działać. Zresztą chyba nikomu z nas się nie poszczęściło.

- Będziemy płacić rachunki - przyznał Piotr. - To kara za to, że wymyśliliśmy to kłamstwo.

- To już nie jest kłamstwo, skoro niemal wszyscy w nie uwierzyli.

* * *

- Masz jakiegoś idola?

- Oczekujesz pewnie odpowiedzi w stylu „Jezus Chrystus”?
- Mniej więcej.
- Moimi idolami, zapomnianymi wprowadzicie przez historię, są ludzie, którzy wykreowali Jezusa Chrystusa na Boga. Nie pomnę nazwy agencji...
- Siła perswazji pcha łysych do fryzjera.
- Tak. Potrafimy sprzedać ślepcowi lornetkę, Tramwajom Warszawskim - opony zimowe, a Eskimosom - sprej na komary. Potrafimy partiom politycznym zapewnić miejsce w parlamencie. Czemu nie mielibyśmy wmówić ludziom, że woda z mydłem usuwa kamień, a telefon komórkowy działa bez centrali?
- Więc kreujemy byty.
- I to jak skutecznie!
- A może po prostu uświadamiamy ludziom ich potrzeby?
- Tak czy inaczej, to jest magia. Żyjesz trzydzieści lat bez prypci, aż tu nagle widzisz reklamę telewizyjną. Biegniesz do sklepu, kupujesz i stwierdzasz, że bez prypci już nie potrafisz funkcjonować.
- Może rzeczywiście zawsze ci ich brakowało, tylko o tym nie wiedziałeś... Co to są prypcie?
- Nie mam pojęcia.
- Anna zachichotała i pocałowała go w usta. Poprawiła kołdrę i szepnęła mu do ucha:
- Gaś już światło. Jutro czeka nas masa pracy nad nową kampanią.

Warszawa 2001

Coś, czego nigdy nie pamiętamy

- Potrójna premia literowa i sześćdziesiąt dziewięć punktów! *Yes!* - Jola zatarła ręce i dodała punkty do tabelki na kartce.

- Szkoda, że nie zaczęliśmy grać dwa piwka wcześniej - powiedział Andrzej, przekładając płytki z literami na stojaku i próbując ułożyć z nich jakiś sensowny wyraz. Pociągnął łyk piwa z puszki.

- Miałeś nie pić przy dziecku.

- Piję, kiedy nie patrzy, kochanie.

Kacper nie patrzył. Jak większość czterolatków nie umiał czytać i gra polegająca na układaniu wyrazów zupełnie go nie interesowała. Budował z drewnianych klocków wieżę, która śladem kilku poprzednich, miała wkrótce runąć w gigantycznej katastrofie, wzbudzając kolejną falę wyrzutów ze strony rodziców. Efekt, przynajmniej ten w wyobraźni dziecka, wart był wysłuchania reprimendy.

Andrzej ułożył na planszy swój wyraz i z przykrością doliczył się tylko siedmiu punktów. Sięgnął do woreczka po następne płytki i aż podskoczył, słysząc rumor walących się klocków. Tym razem narzędziem zniszczenia był zdalnie sterowany samochodzik. Bufon podniósł łeb, ale dla niego zabawa w wieżę była równie niezrozumiała co gra Scrabble. Mlasnął więc tylko językiem, ziewnął i kontynuował półdrzemkę na dywanie.

- Kacperku, prosiłam cię tyle razy! - zaczęła Jola.

Zabrakło jej zwyczajowego argumentu o sąsiadach z dołu - niżej była tylko piwniczka, na górze wieczorne niebo, a za ścianami wydmy i rachityczne sosny znaczące wybrzeże. Za uchylonymi drzwiami na taras spokojnie szumiało morze.

Kacper nie słuchał matki, zabierając się do konstruowania nowej wieży.

Andrzej dopił piwo. Patrzył, jak Jola kładzie pięć liter na upatrzone dawno miejsce i dolicza sobie kolejne punkty, zapominając o pouczeniu dziecka. Zgniół pustą puszkę i położył kilka liter w pierwsze lepsze miejsce na planszy. I tak już przegrał. Wstał i wyszedł na taras. Słońce, które niedawno zaszło za czarną wodą nadawało niebu seledynową poświatę stopniowo przechodzącą w granat. Spody chmur świeciły jeszcze wściekłym pomarańczem, ale niebo na wschodzie było już ciemnogrnatowe i naznaczone setkami migotliwych gwiazd. Kontury poszczególnych drzew zlewały się w jeden ciemny pas, a piasek plaży wydawał się

gładką powierzchnią. W oddali, nieco w głębi lądu, latarnia morska zamiatała ostrym światłem wybrzeże.

Domek w tak spokojnym i odludnym miejscu wart był wydanych pieniędzy, choć po tygodniu Andrzej miał już nieco dość rodziny.

- Grasz dalej czy walkower? - zapytała Jola, wychodząc na taras.

No tak, Jola. Po piwku szybki prysznic i do łóżeczka!

- Nie chce mi się już grać - odparł. - Zawsze wygrywasz, jak piję piwko.

Wstała i objęła go.

- Mój ty ćwierćinteligencie... - szepnęła, całując go w szyję.

- Zaraz twój ćwierćinteligent da ci klapsa - odparł, po czym głośniejszym głosem powiedział do syna - sprzątnij klocki. Mama cię zaraz wykąpie.

- Jeszcze tylko sześć i pół minuty - odparł Kacper nie przerywając budowania.

- Za sześć i pół minuty to masz leżeć w łóżku.

- Znow ja mam wykąpać nasze wspólne dziecko? - zapytała Jola.

- Możemy się zamienić: ja robię kąpiel, ty pijesz piwo.

Parsknęła śmiechem. Nie zносиła piwa. Odprowadził ją wzrokiem, klapnął na leżak, aż zatrzeszczał stelaż i otworzył następną puszkę. Pił zimne piwo wsłuchany w szum morza i szum prysznic, mając przed sobą parę minut absolutnego spokoju. Bufon swoim zwyczajem położył mu pysk na stopie. Rozmyślenia przerwał mu dopiero Kacper domagający się swojej wieczornej porcji czytania. Andrzej zgniótł puszkę, poszedł do pokoju dziecięcego i sięgnął po książkę. Tatuś Muminka wypływał właśnie „Symfonią Mórz” w swój pierwszy w życiu rejs, nieświadom sztormu, który wkrótce miał nastąpić. Chłopczyk słuchał, wpatrzony gdzieś w dal i przerabiał czytana historię na własny film wyświetlany w jego prywatnym kinie. Bogate w tlen nadmorskie powietrze codziennie kończyło seans po kilku minutach, gdy widz i twórca w jednej osobie zasypiał przed własnym ekranem.

Jola wyszła z łazienki w jedwabnym szlafrocisku i posłała Andrzejowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Miłych snów, myszko - szepnął do ucha śpiącemu dziecku.

Odłożył książkę na stolik i zgasił lampkę.

* * *

Obudził się w pustym łóżku. Za oknem było już jasno. Po paru wieczornych piwkach zawsze wstawał później niż Jola i do porannej kawy snuł się po domu, nie mogąc wskoczyć na normalne obroty. Na urlopie każdy dzień kończył kilkoma piwkami, więc i każdy poranek wyglądał podobnie.

Wstał i powlókł się do łazienki. Parę minut później, nieco odświeżony, parzył sobie kawę i smarował pasztetem czerstwy chleb.

Wyszedł na taras, przegryzając gorzką kawę kanapką. Bufon przywitał pana, machając ogonem. Mężczyzna rozejrzał się, ale na plaży, w zasięgu wzroku nie było nikogo.

- A może poszli na grzyby... - powiedział do psa.

Zwierzę przekrzywiło łeb, nie rozumiejąc ani słowa.

Dokończył śniadanie i stał jeszcze chwilę, patrząc na morze.

- Dobra, nie będę tu czekał bezczynnie. Jadę do miasta, do warsztatu. Ty pilnuj domu.

Przykleił kartkę z wiadomością do lodówki i wyszedł tylnymi drzwiami na niewielki podjazd. Odpalił stare Volvo i zawrócił w wyboistą leśną drogę, słuchając z rozdrażnieniem pisku dochodzącego spod maski.

* * *

Mechanik ocenił czas naprawy na godzinę. Andrzej zarzucił na ramię plecak i wolno ruszył w stronę deptaka biegnącego środkiem miasteczka aż do plaży. Zerknął na telefon. W rogu wyświetlacza migał symbol koperty. Odczytał wiadomość: „Pora wstawać”. Tylko tyle. Nadała ją Jola o dziewiątej rano. Prawdopodobnie to go obudziło.

Wybrał numer żony.

- *Wybrany numer jest nieprawidłowy - usłyszał w słuchawce.*

Wpisał numer ponownie, ale znów usłyszał ten sam komunikat, powtórzony po angielsku. Westchnął. Może w tej dziurze to normalka?

Zrobił drobne zakupy i obszedł pustoszejące po weekendzie miasteczko, próbując jeszcze kilka razy się dodzwonić. Walających się śmieci nikt nie sprzątał - przez tydzień wiatr sam je wywieje w mniej widoczne miejsca. Andrzej nie miał nawet ochoty na halibuta mimo aromatu przegrzanego oleju, którym atakowały go kolejne smaźalnie. Wrócił do warsztatu.

- Często macie tu problemy z komórkami? - zapytał mechanika. - Nie mogę się dodzwonić do żony.

- Jak przyjeżdżają turyści, tak się robi - odpowiedział tamten, wycierając dłonie o czarny od smaru przód kombinezonu. - W środku sezonu. Pięćdziesiąt złotych się należy.

Andrzej podał mu banknot.

- Co to było?

- Naciąg paska. Niech pan zobaczy. - Wskazał palcem jakieś miejsce z boku silnika. Andrzej nie znał się na samochodach. Jedyne, co widział pod maską, to przewody, półośki i przyczepione do bloku silnika obłe kształty z dziesiątkami śrubek i uszczelek. Ich przeznaczenie pozostawało dla niego tajemnicą. - Nowa sprężyna wytrzyma dziesięć lat.

Więcej niż reszta samochodu...

Andrzej podziękował i odjechał. Brak wkurzającego piszczenia istotnie podnosił komfort jazdy, ale nie myślał o tym. Mimowolnie przyciskał mocniej gaz - do środka sezonu było przecież jeszcze daleko, miejscowość była prawie pusta.

Przed wjazdem w boczną drogę musiał zwolnić. Zignorował dźwięki dochodzące spod podwozia - tłukąca się na wertepach rura wydechowa zapowiadała kolejne wydatki. Zaparkował niedbale i wbiegł do domu.

Kartka wisiała na lodówce, kubek po kawie stał na stole obok talerza pełnego okruszków i pozostałej z wczoraj planszy do gry. Gdyby Jola wróciła, natychmiast by z tym coś zrobiła.

Wyszedł na taras. Wiatr się wzmógł, a słońce znikło za delikatną mgiełką oblepiającą niebo. Bufon biegł plażą w jego kierunku, szczekając radośnie. Zatuptał na schodach i dopadł pana.

Andrzej odpierał ataki witającego się psa.

Gdzie jesteś, babo?

Zszedł na piasek i przyjrzał się śladom. Wszędzie było pełno zaokrąglonych przez wiatr zagłębień. Uniósł wzrok. Fale były wyższe niż rano i tam, gdzie docierały, piasek stał się równy jak stół.

Przeszedł na drugą stronę domku i zaczął się rozglądać po wydmach pokrytych sprężystą warstwą szarorudych igieł.

- Bufon! Szukaj pani! Gdzie jest pani? Gdzie Kacperek?

Pies radośnie podskoczył i zakręcił się na tylnych łapach. Na pewno czuł ich zapach, ale bez odpowiedniego treningu jego zmysł węchu, milion razy czulszy od ludzkiego, był bezużyteczny.

Andrzej, nawołując, obszedł spory kawał lasu i plaży po czym, zmęczony, usiadł na stopniach tarasu i zapatrzył się w morze. Pies położył mu pysk na bucie.

- Co, futrzaku, upewniasz się, że nie odejdę, gdy będziesz spał? - zapytał.

Z ociąganiem wybrał numer policji, by się dowiedzieć, że musi osobiście przyjechać na komisariat i złożyć zawiadomienie o zaginięciu. Siedział jeszcze chwilę. Potem wstał i wyciągnął z kieszeni kluczyki. To było jak milcząca zgoda na to, co się zdarzyło.

Zaginęli.

* * *

Wrócił po godzinie. Usiadł na leżaku i zapalił papierosa. Otworzył pierwszą puszkę piwa, mimo że zamglone słońce stało jeszcze wysoko. Czy ten policjant coś zrobi? Dopisał

dwa nazwiska do wiszącej na ścianie wyblakłej listy, którą chyba tylko on czyta. Za jakiś czas przekaże dane do komendy wojewódzkiej. Bez zdjęć będą to i tak niewiele znaczące ciągi liter.

„Czy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy?” - Ta myśl przybiła go jeszcze bardziej. Cóż mógł więcej zrobić, poza bieganiem po lesie. Zajrzał na dworzec autobusowy, by się dowiedzieć, że kasjerka nie pamięta żadnej kobiety z dzieckiem. Można, co prawda, kupić bilet u kierowcy. Zrobił kopie zdjęć, ale policjant ich nie chciał. Zajrzał do kilku kawiarenek i sklepów z zabawkami, choć tak naprawdę nie wierzył, by Jola z Kacprem pieszo pokonali cztery kilometry dzielące domek od miasteczka. Do morza też przecież nie wpadli - było płytkie jeszcze daleko od brzegu.

Jasne, mógł porozlepić plakaty na słupach. Zrobi to jutro.

Wyjął z pudełka płytę CD i włożył do przenośnego odtwarzacza. Klapka nie dawała się domknąć, płyta była bowiem minimalnie za duża. Obejrzał ją pod światło, ale wyglądała normalnie. Wziął inną płytę, ale ona również była za duża. Przez chwilę gapił się w ścianę, zastanawiając się nad tym, po czym cisnął płyty w kąt i zerwał się, tknięty zupełnie inną myślą. Wbiegł do domu, otworzył piwniczkę i wsadził do środka głowę. Pusto. Zamknął klapę i zabrał się za przeszukiwanie szaf. Przy okazji wyjął z lodówki kolejne piwo. Wyszedł z nim na zewnątrz i zajrzał pod dom. Część bliższa morzu stała na palach, ale między nimi nie było nikogo. Zasapany klapnął ociężale na leżak i otworzył puszkę. Piana chlapnęła na koszulę. To nie mogło być porwanie dla okupu. Nie byli bogaci, a Andrzej zamiast awansować, raczej stopniowo, nieformalnie staczał się w dół. Nie, nie porywa się rodziny komuś, kto ma ośmioletnie Volvo. Może wpadli w jakąś dziurę w lesie? Może kupili bilet u kierowcy?

Wyciągnął z kieszeni telefon i z ociąganiem wybrał numer swojej teściowej. Zrobił głęboki wdech, słuchając sygnału oczekiwania.

- Dzień dobry, mam. Mówi Andrzej.

- Dzień dobry - głos w słuchawce przybrał oschły ton.

- Jola nie dzwoniła?

- Nie. Ja do niej dzwoniłam. Jej numer nie odpowiada. Chciałam już dzwonić na policję, żeby sprawdzili, co tam u was się dzieje.

- Mogła mama zadzwonić do mnie...

- Właśnie... Hm. Chyba zepsuł jej się telefon.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak, ale muszę kończyć... Do widzenia!

Zaciskając zęby, przesadnie mocno nacisnął przycisk rozłączania i wepchnął telefon do kieszeni. Poczłął głód.

Poczłapał do kuchni i podgrzał w piekarniku mrożonkę. Wyszła tak paskudnie, że połowę wrzucił do psiej miski. Ze złością klapnął na leżak z kolejnym piwem w dłoni.

Latarnia zaczynała omiatać okolicę niewidocznym jeszcze światłem. Czy Kacper mógł wpaść na pomysł zaciągnięcia mamy do latarni? Czemu nie? Kilometrowy spacer plażą nie był wyczynem.

* * *

Latarnik siedział na ławeczce przed małym domkiem z czerwonej cegły. Miał na głowie wypłowiały filcowy kapelusz. W zębach trzymał wygasłą fajkę. Andrzej przywitał się i pokazał zdjęcia.

- Nie było tutaj kobiety z czteroletnim chłopcem? - zapytał.

- Przy parkingu jest duża tablica z godzinami zwiedzania. Rzadko kto przychodzi kiedy indziej.

- A gdybym teraz chciał wejść na górę?

- Na górę można wejść tylko w poniedziałek, środę i piątek. Między dziesiątą a piętnastą.

- Dziesięć złotych.

- Pójdę po klucz.

Krętymi metalowymi schodami wspięli się na pomost znajdujący się nieco poniżej szklanych osłon reflektora.

Na pełnym morzu, pozornie nieruchomo, stały trzy kontenerowce. Widać było biały domek wystający zza linii wydm, a dalej drgające w ciepłym powietrzu światła miasteczka. Wspinaczka nic nie dała. Las wyglądał jak zielony dywan. Mógł w sobie kryć cokolwiek.

Andrzej spojrzał w dół i doznał lekkiego zawrotu głowy. Warujący przed wejściem Bufon wyglądał stąd jak świnka morska.

- Myślę, że niedługo znajdzie pan odpowiedzi na wszystkie swoje pytania - odezwał się Latarnik.

- Pan coś wie? - Andrzej zrobił krok w jego stronę.

Staruszek nie cofnął się, ale jakby bardziej zgarbił.

- To tylko przecucie. Nic panu nie da.

- Pozwoli pan, że sam to ocenię?

Latarnik pokręcił głową.

- Ja tego nie potrafię wyjaśnić.

- Czy to ma związek z moją rodziną?
- Nie wiem. Może taki sam, jak ze mną, z panem i ze wszystkimi ludźmi.
- Coś pan taki tajemniczy?

Tamten wzruszył ramionami.

- Ja to sobie muszę najpierw poukładać w głowie.
- Ile czasu to panu zajmie?
- Hm. Napije się pan herbaty?
- A ma pan może piwo?
- Nie pijam, ale sprawdzę w lodówce.

Zeszli na dół. Pies przywitał właściciela, jakby rozłąka trwała tydzień. Latarnik zaparzył herbatę, przyniósł małą beczułkową butelkę piwa bez etykiety i usiadł obok Andrzeja na ławeczce.

- Mało wysiłku pan wkłada w ich odnalezienie - powiedział.
- Żona mówi mi, że mało wysiłku wkładam we wszystko... I tak nie mam pomysłu, gdzie jeszcze ich szukać.

Latarnik pokiwał głową, siorbnął stygnącą herbatę i powiedział:

- Siedzę tu sam całymi dniami i mam czas na przemyślenia. Parę rzeczy mi się nie zgadza. Detale... nie są takie, jak być powinny.

- Detale?

- Detale... - Latarnik zamyślił się na dłuższą chwilę po czym podjął wątek. - Reflektor z całym mechanizmem jest ciężki jak cholera. Obraca się na sporym pierścieniu z łożyskiem kulkowym. Muszę to sprawdzać raz w miesiącu, smarować. Wczoraj zobaczyłem, że zamiast pierścienia całość trzyma się na pręcie wetkniętym w dziurę w podstawie. Wie pan, jakby ktoś ukradł ten pierścień i podparł to prętem.

- Na złom sprzedali.

- Dwa dni roboty, żeby to wyciągnąć, a sam pierścień waży może z dziesięć kilo. Ale najdziwniejsze jest to, że latarnia nadal działa. - Wskazał palcem do góry. Na tle ciemniejącego nieba reflektor obracał się bezszelestnie.

- Pójdę już... - zdecydował Andrzej. - Może wrócili. Dzięki za piwo.

- Niech pan zwraca uwagę na detale. One znikają najpierw.

- Żona i dziecko to nie detale.

Nie wierzył, że wrócili, toteż nie zdziwił się, kiedy zastał pusty dom. Zerknął na leżącą od wczoraj planszę scrabblu i szeroko otworzył ze zdziwienia oczy. Rozejrzał się, szukając intruza, ale pies zachowywał się zupełnie spokojnie. Nie było tu więc nikogo

obcego. Skoro się nie cieszył, nie było też Joli ani Kacpra.

Czy byłem wczoraj aż tak pijany? Czy to możliwe, by trzeźwa Jola układała wyrazy takie jak „ładsujen” czy „midhrujn”? A może rano przełożyła literki. Ale po co?

Wyciągnął telefon i wybrał numer komisariatu. Nikt nie odbierał. I cóż z tego? Od południa policjant pewnie był jedynie na patrolu w kiblu. Poczłł znajomy rodzaj pragnienia. Pełen pogardy dla siebie, sięgnął do lodówki po kolejne piwo. Z przykrością je otworzył. Z pierwszym łykiem pogarda przysła.

Położył się na łóżku i zakrył twarz dłońmi. Zasnął w ubraniu i butach.

* * *

Zatrzymał się po przejechaniu stu metrów. Pasek klinowy znów piszczał. Wysiadł i uniósł maskę. Spojrzał na hałasujący silnik. Nie zna się na tym przecież. Jakies pudełko zwisało na kablu obok akumulatora. Chwycił je i wyciągnął, urywając przewód. Silnik pracował nadal. Wyjął kolejny obruszany przedmiot, potem jeszcze jeden. Wkrótce na poboczu leżała sterta złomu wyglądającego jak części przedpotopowych radiodbiorników. W komorze silnika nie zrobiło się od tego ani trochę luźniej.

Zatrzasnął maskę i wrzucił części do bagażnika. Ruszył w kierunku miasteczka. Samochód, bez tych wszystkich przedmiotów, nie działał gorzej.

* * *

Walenie w drzwi komisariatu nie odniosło żadnego skutku. Drzwi i okna były pozamykane na głucho. Tak samo jak pięć minut wcześniej w warsztacie. Miasteczko w ogóle wyglądało na wymarłe. Andrzej miał wręcz wrażenie, że teraz jest tu mniej domów, mniej ulic, mniej drzew. Martwy kurort poza sezonem. Martwy do kwadratu. Kopnął zgniecioną puszkę po coli. Brzęcząc, odbiła się od krawężnika i znieruchomiła na chodniku. Podniósł i przyjrzał jej się dokładnie. „Skład: coca-cola 100%”. Następujące dalej napisy nie niosły ze sobą żadnych konkretnych informacji. Totalny bełkot, z którego Andrzej nic nie rozumiał. Może to efekt wypitego wczoraj piwa?

Uniósł wzrok, gdy kątem oka zobaczył ruch. Dziewczyna wyglądała na zagubioną. Zatrzymała się i patrzyła na niego z niepokojem i zdziwieniem. Odrzucił puszkę i poprawił koszulę. Wiedział, że nie wygląda zbyt świeżo.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedziała. - Zostałam sama.

Andrzej rozejrzał się. Na chodniku nie było nikogo innego.

Dziewczyna podeszła i złapała go za rękaw, jakby się bała, że ucieknie.

- W recepcji nie było nikogo - powiedziała. - Na poczcie też nikogo. W sklepie z prasą widziałam jakąś kobietę. Drzwi były zamknięte, a ona nie chciała otworzyć.

- Wczoraj...

- Co tu jest grane?! - krzyknęła, nie słuchając go. - W tym mieście nie ma nikogo!
Chodzę od dwóch godzin.

- Wczoraj mnie też znikli najbliżsi.

Puściła jego rękaw i cofnęła się o krok. Miała potargane włosy i rozmazany makijaż. Bluzka częściowo wystawała jej z jeansów i podwijała się na pasku od torby.

- Co się dzieje? - zapytała cicho.

- Sam chciałbym wiedzieć. - Odpowiedź była banalna. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Nie jadłam jeszcze śniadania...

- Też jestem głodny. Może masz ochotę na rybę?

- Wszystko jest pozamykane.

- Zobaczymy.

Poszła za nim do samochodu. Otworzył jej drzwi. Wsiadła i położyła torbę na kolanach. Patrzyła przed siebie.

Gdy zapalił silnik, coś zabrzęczało i załomotało z przodu. Westchnął, wysiadł i podniósł maskę. Odgiął jakąś sprężynę i wyrzucił na trawnik metalowe pudełko z wystającym kawałkiem gumowego węża. Silnik nadal pracował. To już zaczynało być męczące.

Miasteczko było wyludnione. Ludzie albo wyjechali, albo siedzieli w domach. Mimo ładnej pogody na ulicach nie było nawet pojedynczego turysty. Nieliczne samochody stały nieruchomo przy krawężnikach.

Zaparkował w okolicach niewielkiego skweru. Wysiedli. Drewniany pawilon smażył ryby, który jeszcze wczoraj wabił go smakowitą przypalenizną, był zamknięty. Andrzej zapukał, nacisnął klamkę i zajrzał przez okno. Sprawdził skobel i szarpnął kłódkę. Dziewczyna stała nieco z tyłu i przyglądała się biernie jego zabiegom. Po którymś szarpnięciu mechanizm przeskoczył i, ku zdziwieniu Andrzeja, kłódka po prostu się otworzyła.

Weszli do środka. Dziewczyna usiadła przy stoliku, a Andrzej zajrzał na zaplecze. Widok tak zapuszczonej kuchni każdemu wielbicielowi ryb mógł zepsuć smak. Dominował tu zapach starego, przypalonego i zjełczałego oleju. Pusta lodówka śmierdziała jeszcze gorzej. Leżące na wierzchu kawałki ryb nie nadawały się do jedzenia. Jedynie frytki wyglądały na świeże. Podgrzał je w mikrofalówce, nie myśląc o tym, co powiedziała by właściciel, gdyby nagle się pojawił. Miały mączny smak, ale z dużą ilością ketchupu nadawały się do zjedzenia.

- Jak masz na imię - zapytał, gdy skończyli.

- Aneta.

- Andrzej - przedstawił się, pociągając łyk coli. Smakowała jak zawsze. - Niedaleko stąd wynajęłam domek przy plaży. Wczoraj rano żona i dziecko gdzieś przepadli. Jakby wstali i poszli przed siebie.

- Ja miałam to dzisiaj - powiedziała, patrząc za okno. - Wynajęliśmy pokój z koleżanką i jej chłopakiem. Obudziłam się w pustym łóżku, w pustym hotelu.

Przejechał jakiś samochód, podmuchem podrywając papiery z rynsztoka obok szarego pomnika. Widać nie wszyscy jednak wyjechali. Pomnik... Czy stał tu wcześniej? Andrzej odstawił szklanę, otworzył drzwi i przeszedł przez skwer. Ni to żołnierz, ni to batman. Dziwna, z grubsza ociosana postać wyciągała przed siebie rękę, próbując coś chwycić, może się przed czymś zasłonić. Napis na cokole sprawiał wrażenie bełkotu.

Aneta stanęła obok.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał Andrzej, wskazując napis.

- Głowa mnie będzie boleć. - Odwróciła wzrok.

- Od czytania?

Przytaknęła. Andrzej poczuł pierwsze tego dnia ssanie alkoholowe. Przełknął ślinę.

- Gdzie jest ten sklep z prasą... kiosk? Ten, w którym widziałas kobietę.

- Niedaleko. Sto metrów. - Wskazała kierunek.

Ruszył przodem, a ona podążyła tuż za nim, jakby bała się zostać sama.

Drzwi dały się otworzyć mocniejszym szarpnięciem. Zamek był przykręcony zbyt daleko od krawędzi drzwi, by w ogóle spełniać swoją funkcję. Instalujący go ślusarz musiał być idiotą. Andrzej wziął z lady pierwszą z brzegu gazetę i stwierdził, że niemal nic nie rozumie z pobieżnie przejranych nagłówek artykułów. Chwycił kolorowy magazyn o dziwnym tytule i przekartkował go. Potem kilka następnych. Czasopisma były wypełnione bezsensownymi zbitkami liter. Gdzieniedzie udawało się znaleźć zrozumiały wyraz lub krótkie zdanie.

Poczuł pulsowanie w skroniach i odłożył pismo.

- Miałam to samo - powiedziała Aneta widząc grymas na jego twarzy. - Dlatego już nie próbuję czytać.

Wyszedł na zewnątrz i oparł się o pokrytą graffiti ścianę. Kilka razy głęboko odetchnął i przyjrzał się dokładniej oknu. Szkło było z czterech stron zatopione w tynku, jakby murarz uprościł sobie robotę i zaoszczędził na framugach. Ciekawe, co zrobią, jeśli się stłucze?

Aneta wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Między futryną a krawędzią drzwi pozostawał kilkucentymetrowy odstęp.

- Są za krótkie... - powiedziała, patrząc na mężczyznę. - Przed chwilą były dobre.

Teraz zamek tym bardziej nie mógł działać. Zostawili drzwi i wrócili do miejsca, gdzie zaparkowali samochód. Słońce stało w zenicie, ale dzięki delikatnej bryzie i pojedynczym obłokom nie było gorąco. Andrzej od razu uniósł maskę i osłupiał. Patrzył na obły silnik w kształcie leżącej starej pralki. Jakby ktoś włożył tu powiększenie elektrycznego silniczka ze zdalnie sterowanego modelu. Zgrzytnął zębami i zaczął wyciągać z wnętrza komory leżące luzem bezsensowne elementy i koła zębate. Wyrzucił je w krzaki i zatrzasnął maskę. Detale... Detale się nie zgadzały. Pieprzony dziadek miał rację.

- Nie wiem, jak wytłumaczyć to żonie... - powiedział - ale może będzie lepiej, jeśli pojedziesz ze mną?

Zabrzmiało to nieco dwuznacznie, ale był dziwnie pewien, że na razie nie będzie okazji do tłumaczenia się komukolwiek.

Dziewczyna bez słowa wsiadła do samochodu i zerknęła na niego przez przednią szybę. Może nawet uśmiechnęła się lekko.

Kluczyk wszedł w stacyjkę jak w gumę i dał się obrócić dwa razy. Dopiero wtedy silnik zapalił. Mimo gazu wciśniętego w podłogę, samochód przyspieszał leniwie. Był też jakby mniejszy, choć może wrażenie to powodowała obecność pasażera.

Andrzej, prowadząc jedną ręką, spróbował zadzwonić do teściowej. Usłyszał znajomy komunikat „Nie ma takiego numeru...”.

- Pierwsza miła rzecz od dawna - mruknął, kiedy wyjeżdżał z miasteczka.

* * *

Zaparkował, tym razem starannie. Obszedł samochód i pomógł wysiąść Anecie. Przelotnie pomyślał, że nie pamięta, kiedy zrobił tak z Jolą. Cały obraz żony zacierał się w jego pamięci. Zamykając samochód, ponownie odniósł wrażenie, że Volvo jest mniejsze.

Bufon przybiegł do nich, radośnie machając ogonem. Przywitał się z panem i, nieco nieufnie, z dziewczyną.

Domek był teraz dwupokojowy. Brakowało sypialni. Za to salon wydawał się większy. Zgubne skutki picia. Odruchowo sięgnął do lodówki.

- Chcesz? - zapytał dziewczynę.

Przytaknęła. Sprawnie otworzyła podaną puszkę i, nie prosząc o szklanekę, pociągnęła solidnego łyka. Położyła torbę na kanapie i zaczęła się rozglądać.

- Fajny masz domek.

- Wcięło jeden pokój. Poza tym jestem zadowolony.

- Wcięło pokój?

- Taki kraj. Wystarczy, że wyjdiesz na dwie godziny, żeby ukradli sypialnię.

Uśmiechnęła się.

Andrzej wziął pilota od telewizora. Nie znał przeznaczenia połowy przycisków, choć chyba używał ich od tygodnia. Udało mu się włączyć telewizor po kolejnej próbie. Obraz był ciemny i matowy. Dźwięku w ogóle nie było. Odbiornik sam zgasł po kilku sekundach.

Sięgnął po płytę CD i włożył ją do przenośnego odtwarzacza, ale klapka nie dawała się domknąć. Płyta nadal była za duża. Detale... Sprawdził kolejno kasetę magnetofonową, szpulkę filmu do aparatu, wtyczkę golarki i nakrętkę do termosu. Każda z tych rzeczy była minimalnie za duża, za mała lub miała nieodpowiedni kształt. Dziewczyna przyglądała się jego zabiegom, nie komentując ich.

Andrzej usiadł, zrezygnowany. Nic nie rozumiał, nie wiedział nawet o czym rozmawiać z dziewczyną. Lata małżeństwa odeszły w zapomnienie umiejętność swobodnej rozmowy. Nie wiedział w ogóle, co dalej robić. Wieczorem trzeba będzie iść spać... raczej osobno. Na pewno osobno! Ale jak? Nie pamiętał nawet, gdzie były drzwi do sypialni.

Jola... jak wyglądała? Kacper... Wybiegł na plażę i cisnął pełną puszkę w morze. Poczł, że wilgotnieją mu oczy. Brakowało mu czegoś, czego już prawie nie pamiętał.

Fale uderzały o gładki brzeg, a mewy unosiły się w powietrzu jak na kliszy starego, ośmiomilimetrowego filmu. Prawie widział ziarno i pionowe rysy. Brakowało tylko terkotu projektora.

Poczł na ramieniu drobną dłoń. Dziewczyna objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego pleców, jakby znali się lata. Poczł się lepiej, choć wiedział, że to on powinien ją pocieszać, a nie odwrotnie.

- Chodźmy - powiedział. - Chodźmy do kogoś, kto wie więcej.

* * *

Latarnik zobaczył ich z daleka i zniknął we wnętrzu domu. Po chwili pojawił się, trzymając w dłoni dwie butelki piwa.

Andrzej poczuł nagły przypływ złości. Złapał go za poły kapoty.

- Ty coś wiesz! - krzyknął mu w twarz. - Powiedz mi, co tu się dzieje! Mnie też detale się nie zgadzają!

Jedna butelka upadła, rozbijając się i zalewając klepisko białą pianą.

- Puść go! - Aneta odciągnęła go od latarnika.

Opamiętał się.

- Przepraszam... Ja... zapominam.

- Nie szkodzi. To zrozumiałe - powiedział latarnik ani trochę nie zagniewany.

Poprawił kapotę. Podał dziewczynie piwo, ale ta oddała je Andrzejowi, który pociągnął łyk i zapytał znacznie spokojniej:

- Powiedz mi, co tu się dzieje? Tracę kontrolę... Czy już ułożyłeś sobie to wszystko, żeby mi wyjaśnić?

Latarnik pokiwał głową i uśmiechnął się smutno. Wszedł do domu i po chwili pojawił się w jednym ręku trzymając butelkę piwa, w drugim wielką lornetkę. Piwo podał dziewczynie. Butem kopnął resztki szkła pod ławkę i gestem poprosił, by poszli za nim.

Wdrapali się na szczyt latarni. Reflektor o tej porze jeszcze się nie obracał.

Andrzej zasapał się bardziej od staruszka i dziewczyny razem wziętych. Na uspokojenie wypił pół butelki, krztusząc się pod koniec.

- Dbasz o moją kondycję - powiedział, gdy się wykaszłał. - To miło, ale po co tu weszliśmy?

Latarnik nabił fajkę i przypalił zapalką, drugą ręką osłaniając płomień od wiatru.

- Pamiętasz, jak nazywa się to miasto? - zapytał.

Andrzej zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć.

- Łeba?... - powiedział niepewnie.

- Ma deptak prostopadły do morza. Taki jak we Władysławowie.

- Fakt..., ale pamiętam kino... kino Rybak. Jest w Łebie. Chociaż deptak... nie ma tam deptaka.

- Jest też drewniany kościółek.

- Taki, jak na Helu...

Latarnik podał mu lornetkę.

- Obejrzyj to sobie dokładniej.

Andrzej przyłożył lornetkę do oczu i ustawił ostrość. Miasteczko wydawało się mniejsze, niż gdy był tam rano. Hotel Neptun ze szpiczastą, czerwoną wieżą stykał się niemal z portem rybackim. Pomnik żołnierza-batmana stał zaraz obok. Dalej kilka dachów i las. Dawało się rozpoznać dworzec autobusowy, kościółek, komisariat i warsztat.

- Ani Łeba, ani Władysławowo - wyjaśnił Latarnik. - To miasteczko jest zbitką elementów wszystkich nadmorskich miasteczek, które znasz. Wiesz, że w Polsce nie ma domków na plaży?

Andrzej nakierował lornetkę na domek, czy raczej na miejsce, gdzie przed chwilą był domek. Teraz stała tam zaledwie szopa. Obok parkował mały, niski kabriolet. Prawie gokart.

- To nie tak miało być - powiedział, opuszczając lornetkę - zupełnie nie tak. Miało być morze, piwo i spokój.

Bufon połaskotał go w szyję. Andrzej wepchnął niesforną świnkę morską z powrotem do kieszeni.

- Wszystko mi się rozplywa... - powiedział ciszej. - Czuję się, jakbym śnił.

- Bo to jest sen - powiedział latarnik. - Twój sen. Przemyślałem sobie to wszystko. To jest twój sen, a my ci się tylko śnimy.

Andrzej patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami. Anecie nie spodobał się ten pomysł. Zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Za dużo pan czyta głupot. Kiedyś tak się pan zaczyta, że nie włączy pan latarni i wywalą pana z pracy.

- Jak to możliwe? - zapytał Andrzej. - Rozmawiam z wami...

- Sam ze sobą rozmawiasz. - Latarnik wyglądał teraz jak uniwersytecki wykładowca w tweedowej marynarce, drucianych okularach i z fajką w dłoni. - Twój mózg stworzył nas, dając nam nieco wolnej woli, ale jesteśmy tobą. Ty sam jesteś tu tylko uproszczoną wersją siebie. Ten świat istnieje od dwóch dni. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, zostało dopowiedziane w zarysach.

- Nigdy nie śpię tak długo - powiedział Andrzej.

- Pozorny upływ czasu jest szybszy niż na zewnątrz snu. O wielu lukach w jego ciągłości nawet nie wiesz. Powoli zaczynasz się budzić i wszystko wokoło się rozłazi.

- Patrę na statki... czy to tylko obrazki na horyzoncie?

- Teraz to tylko obrazki-hasła, które identyfikujesz jako „odległe statki”, ale kiedy do nich dopłyniesz, zostaną ubrane w nowe detale. Jeśli zaczniesz rozmawiać z kapitanem jednego z nich, to okaże się, że ma rodzinę. W trakcie rozmowy stworzony zostanie nawet nauczyciel matematyki jego syna, jeśli o niego zapytasz. Ale najpewniej nie uda ci się tam dostać, bo twój umysł nie zna się na statkach. Utrudni ci dostęp, żeby się nie przemęczać.

- Mój sen, mówisz...

Andrzej chwycił otaczającą okrągły pomost balustradę zrobioną ze stalowej rury i pociągnął do góry. Bez wysiłku oderwał ją od podpór, jakby była z papieru, i uniósł do góry. Wiatr porwał wielkie hoola-hoop i zaniósł je nad morze.

Andrzej wziął dziewczynę za rękę i zbiegł po schodach.

- Zacząłeś właśnie śnić świadomy sen - krzyknął za nim wykładowca, celując w niego fajką. - To może być niezła zabawa!

Drzwi wejściowe do latarni były tak wąskie, że ledwo się przez nie przecisnęli.

- Wierzysz w to, że ja ci się śnię? - zapytała dziewczyna.

- Nie wiem, ale to miło z jego strony, że nie uznał tego wszystkiego za własny sen.

Zatrzymał się i spojrział w górę. Latarnia była wąskim kominem z kloszem osłaniającym reflektor zatknięty na górze. W środku komina nie było miejsca na schody. Drzwi wejściowe wydawały się tak wąskie, że z trudem dałoby się włożyć do środka rękę.

- W jaki sposób dostaliśmy się na górę? - zapytał Andrzej. - To... senny regres. Detale znikają. Może nie mamy już nawet serc.

- Chodźmy do samochodu - powiedziała Aneta.

Latarnika nie było. Nigdy go nie było.

Między karłowatymi, rzadkimi drzewami biegli w stronę domu, ale domu też nigdy nie było. Kilka szafek w połowie zagrzebanych w piasek marszczyło się ze starości. Zamiast samochodu na podjeździe stał mały model z klocków Lego Technic.

Kilka kroków od podjazdu znajdowała się teraz droga do miasteczka. Parkował na niej biały Polonez. Z bliska widać było, że zbieranina blach, szkła i gumy tylko w ogólnym zarysie przypomina Poloneza. Wsiedli do środka. Drzwi nie dawały się zatrzasnąć - były zbyt krótkie i po domknięciu krawędź nie sięgała do słupka. Andrzej odepchnął się kilka razy nogą od asfaltu i dopiero wtedy samochód zaczął przyspieszać. Wciskając gaz, mężczyzna poczuł, że jego piwny brzusek gdzieś znikł a on sam znów jest silny i młody. Aneta też dostrzegła różnicę, całując go namiętnie w usta.

Podróż trwała minutę, godzinę, a może dłużej. Niespodziewanie szli już ulicami Warszawy, trzymając się za ręce. Plac Defilad zastawiony był błyszczącymi wieżowcami wyższymi od Pałacu Kultury. Przy placu Bankowym powstawał właśnie kolejny drapacz chmur. Widać było ciężkie wywrotki, manewrujące gdzieś na dwudziestej kondygnacji.

- Naprawdę sądzisz, że to twój sen? - zapytała Aneta, wieszając się na ramieniu mężczyzny. Miała teraz długie czarne włosy. - Jak dla mnie to wszystko wygląda całkiem normalnie.

- Popatrz na te samochody. To tylko kanciaste kształty na kołach. Każdy z nich stanie się samochodem, dopiero kiedy do niego podejdziemy... Chyba położyłem się spać po niezłym picciu.

- Skoro to sen, to podaj mi PIN-y do twoich kart.

- Możesz je wykorzystać po przebudzeniu. Zresztą ich nie pamiętam.

- Jak mam je wykorzystać, głuptasie? Kiedy się obudzisz, ja zniknę.

- Hm. Racja. Ale nie ma pewności, że to nie jest twój sen.

- Jeśli mój, to ciebie nie ma, tylko mi się śnisz. Więc możesz mi je podać...

- Rzadko pamiętam sny.

- To tak, jakbyś umarł, a na twoim miejscu pojawił się ktoś inny. Jeśli zapomnisz swój

sen to będziesz w tej samej sytuacji, co ja... Mimo wszystko to ci trochę zazdrozczę. Jutro znów przyśni ci się kilka nowych snów. Zazdrozczę wszystkim ludziom na zewnątrz.

Chodnik niepostrzeżenie zamienił się w wąską galeryjkę nad ulicą. Barijerka była wychylona na zewnątrz i nie sprawiała solidnego wrażenia. Skręcili w jakąś bramę i po chwili szli Nowym Światem zamienionym w wielki, kryty pasaż handlowy. Żołnierz-batman ubrany w pasiasty podkoszulek sprzedawał lody i wyglądał teraz jak Jean-Paul Gaultier. Aneta była Jolą, choć wyglądała zupełnie inaczej. Kacper bawił się z młodszą siostrą w witrynie sklepu z zabawkami. Andrzej pomachał do nich, nie zatrzymując się. Byli pod dobrą opieką Bufona, który popijał lemoniadę siedząc w fotelu. Miś na baterię wychylił się z witryny sklepu i powiedział trzeszczącym głosem:

- *Miś mówi „pora wstawać”.*

Szerokimi schodami zeszli z Nowego Świata nad Wisłę. Nie było widać drugiego jej brzegu. Rosnące na podmokłościach krzewy miejscami osiągały wysokość drzew.

- Las! Miałem kogoś szukać w lesie! Kogo...?

- Dziś jest sobota. Nie musisz nic robić.

Podeszli do latarni morskiej. Była wielka; wysokością dorównywała wieżowcom w centrum.

Otworzyli ciężkie drzwi i weszli do środka. Wysoko w górze mała jasna kropka wskazywała koniec kręconych schodów. Pokonali je bardzo szybko i znaleźli się na wielkim tarasie. Widać stąd było panoramę miasta. Budynki sprawiały wrażenie, jakby zbudowano je z klocków, a nieliczne wieżowce wydawały się mniejsze, niknąc prawie w gęstej zabudowie centrum. W dole przelatywały pasażerskie odrzutowce, ale w dół nie dawało się patrzeć bez zawrotów głowy. Taras znajdował się na szczycie niezwykle stromej góry obudowanej ściśle domami ze spadzistymi dachami. Może nawet nie była to góra, lecz poustawiane na sobie budynki.

- Co to za blask? - zapytała Aneta.

Jej twarz oświetlał wschód drugiego słońca.

Andrzej, mrużąc oczy, odwrócił głowę. Biały mglisty bąbel pochłaniał świat, pełznąc po ziemi i zakrywając sobą miasto. Rosnąc, wsysał chmury wraz z samolotami i ptakami. Jaśniał bielą. Wszystko, co znalazło się wewnątrz, traciło realność, gubiło detale i zniknęło wreszcie w nieokreśloności rozmywającej różnicę między puszką piwa, półnutą a zmęczeniem długiej wędrówki.

- Czy to jest... przebudzenie? Koniec snu?

- To jest coś, czego nigdy nie pamiętamy - powiedział Andrzej. - Pora wstawać.

Taras przestał być tarasem. Miasto stawało się bezbarwną przestrzenią wypełnioną nieokreślonymi kształtami, które drgały w rytm niczego, a trochę zbiorem obco brzmiących wyrazów, choć mógł to być równie dobrze ledwie uchwytny zapach smażonej ryby bądź źle dostrojone radio. Nie istniały żadne punkty odniesienia ani żadne wzorce do określenia czegokolwiek. Ostatnie resztki znaczeń miały niektóre słowa, ale ułożone w zbyt długi ciąg rozsypywały się na tapczanie, by już więcej się nie unieść. Pomysły wraz z wodą szły szeregiem w prawo. Na górze ciemne światło nie rozpraszało nieistniejącego mroku.

* * *

Było pochmurno i siąpił rzadki deszczyk. Andrzej miał kiepski humor. Szybkim krokiem szedł przez parking, trzymając za rękę Kacpra.

- Na co jesteś taki zły, tati? - zapytał chłopczyk, ledwo nadążając za ojcem.

- Nie wyspałem się. Późno się położyłem, a do tego miałem zły sen.

- I wypijeś dwa piwka?

Andrzej rzucił mu krótkie, zaskoczone spojrzenie.

- Po piwku lepiej mi się śpi - wyjaśnił.

Otworzył stare Volvo kombi i zapiął Kacpra w foteliku.

- Jaki to był sen, tatusiu?

- Taki mały koszmarek - odparł Andrzej. Wsiadł do samochodu i zapalił silnik. - To był bardzo rzeczywisty i dosyć skomplikowany sen. Nie znoszę takich. Siedziałem w biurze i robiłem bilans. Kalkulator nie działał, komputer się wieszał i wszystko mi się myliło.

- Co to znaczy „robić bilans”?

- Nie chcesz tego wiedzieć, synku. - Andrzej zaśmiał się, wyjeżdżając z parkingu. - Dzisiaj, kiedy ty będziesz się bawił w przedszkolu, ja naprawdę będę robił bilans.

- Zawsze pamiętasz swoje sny?

- Nie... Pamięta się tylko te sny, które zostały przerwane przebudzeniem. Te, które wyśniły się do końca, są skazane na zapomnienie. A co się dzisiaj śniło mojej myszce? Pamiętasz swój sen?

- Jasne! - przytaknął z zapałem Kacper. - Śniła mi się latarnia morska.

Warszawa 2002

Ohyda

- Nie zamierzasz chyba skoczyć?

Mimo późnego wieczoru cztery piętra niżej wciąż płynął sznur samochodów. Jak co noc Warszawa zaczynała wrzeć. Grupki rozbawionych ludzi przemieszczały się pomiędzy klubami. Drzewa przy kościele Świętej Barbary dawno uschły, odsłaniając widok na wieżowce centrum. Za tymi kolosami ze szkła i stali niepostrzeżenie zachodziło słońce. Od strony parku Saskiego słychać było syreny policyjne i bicie w bębny. Dym petard i świec wisiał nad demonstracją.

- Nie, patrzę tylko. - Adrian przesunął palcami po kamiennej balustradzie tarasu.

Magda położyła brodę na jego ramieniu i objęła, jakby chciała go powstrzymać albo spaść razem z nim. Uśmiechnęła się. Dookoła jej oczu widać już było sieć delikatnych zmarszczek.

- Mógłbyś zmiażdżyć przechodnia. Jego rodzina miałaby do mnie pretensje, że cię nie powstrzymałam.

Odwrócił się i odgarnął ciemne włosy z jej twarzy. Pocałował. W pokoju za nimi cicho szumiał automatyczny odkurzacz.

- Jeszcze dwie minuty i możemy wychodzić. Fajerwerków nie będzie.

* * *

W dużym, krwistoczerwonym fotelu pośrodku studia siedziała kobieta. Bordowa, wizytowa sukienka, na szyi sznur pereł. W świetle silnych jupiterów wyglądała na czterdzieści lat, choć w rzeczywistości pewnie miała więcej. Umalowane ciemną szminką usta drżały, dłonie konwulsyjnie zaciskały się na poręczach. Zbliżenie trzeciej kamery pokazało łzy, rozmywające tusz do rzęs. Adrian wiedział, że celowo użyto takiego, który się rozmywa. Telewizyjni psychologowie dołożyli wielu starań, by doprowadzić ją do takiego stanu.

Przepuścił Magdę, by usiadła na wolnym krześle w kącie reżyserki. Oparła się tylko o fotel Switcha. Niski, pulchny, trochę niechlujny, mruknął do niej niewyraźne powitanie. Nie zwróciła na niego uwagi - wpatrywała się w kobietę na monitorze.

- Widzowie płacą co siedem minut - szepnął jej do ucha Adrian. - Aż do wielkiego finału.

- A jak mąż się nie znajdzie? - Jej głos drżał.

- Już się znalazł. - Switch przysłonił sterzący na druciku mikrofon i odwrócił głowę. -
Czeka w pokoju obok.

Magda spojrzała na zapłakaną twarz kobiety, potem na reżysera.

- Ona gra czy nic nie wie?

- Musi być autentycznie. - Switch wzruszył ramionami i wskazał jej mały, boczny monitor. Kilku komandosów przedzierało się przez las. Wyglądało to za dobrze jak na transmisję na żywo.

- Znajdzie się... oficjalnie?

- Po cóż innego byłby ten program? - Reżyser uniósł pytająco ramiona. - Po drodze będą mieli korek koło Kielc, jakieś prole z PRL2 zablokują autostradę. Kilka razy stracimy łączność, ale oczywiście zdążą na sam koniec programu. Wielki finał sponsorowany przez producenta odkurzaczy. Dopiero wtedy pokażą jego twarz.

- Nie żałuj go - rzucił Adrian. - Facet ma w kieszeni roczny kontrakt. Już się zgodził.

- Żałuję jej, nie jego...

- Ale on to robi dla niej - tłumaczył Switch. - Baba zbiera na jakąś operację. Ona jest z PRL2, on z RP4. Przesrany układ.

- Chcę stąd wyjść - szepnęła Magda tak cicho, że tylko Adrian usłyszał.

- OK! - Switch momentalnie stracił zainteresowanie gośćmi i przysunął się do konsoli na tyle, na ile pozwalał mu wydatny brzuch. - Piętnaście sekund do końca reklam.

Publiczność doskonale wczuwała się w atmosferę. Emotikony na telebimie pełniły jedynie funkcję pomocniczą. Kilkusetosobowe, samowzbudne, synchroniczne emocje.

Wyszli.

Długi, oświetlony jarzeniówkami korytarz, zakręt, schody, korytarz, schody, hall, nocny parking.

- Znaleźli go. - Adrian uruchomił samochód i zresetował autokierowcę. - Ten show to ich cena.

- Ona tam przeżywa dramat, a twoi kumple bawią się jej uczuciami.

- To nie są moi kumple. Tylko wymyśliłem ten program. Gdyby nie on, facet byłby martwy za trzy, cztery dni. Znaleźli go.

- Przecież ty myślisz o tym samym, co ja. - Patrzyła na niego badawczo. - Wiem to.

Program został wepchnięty w ramówkę miesiąc wcześniej. Wielkiego finału nie można było przesunąć ani o minutę - reklamy opłacone z góry, następny program w kolejce. Facet musiał zostać odnaleziony i dostarczony do studia w tym konkretnym momencie.

Nikomemu z widzów chyba nie przeszkadzało, że to niewykonalne.

Ale przecież porwano go dla prawdziwego okupu i pół narodu uczestniczyło w poszukiwaniach.

- Pomyśl, co ta żona przeżywałaby przez lata - racjonalizował Adrian. - W „Poszukiwanym-odnalezionym” skondensowana dawka niepewności i wzruszeń załatwia sprawę w kilka wieczorów.

- Masz pewność, że autorzy programu zainteresowali się facetem dopiero, gdy został porwany?

Nie odpowiedział. Wielokrotnie się nad tym zastanawiał.

Jechali w milczeniu. Kable z wymontowanego z deski rozdzielczej zegarka dyndały na drobnych nierównościach nawierzchni. Wielu kierowców EU-PL demontowało zegar, żeby nie płacić abonamentu.

- Wymyśliłem coś jeszcze lepszego - przerwał ciszę Adrian.

- Gorszego. Aż mi niedobrze z radości.

Magda od jakiegoś czasu bała się, że to usłyszy.

- Naprawdę chcesz to robić?

- Nie chcę. Robię to.

* * *

Adrian doszedł do przejścia dla pieszych, ale pasy akurat zaczęły migać. Zatrzymał się przy krawężniku. Pasy znikły, zgasł też znak przejścia. Nie spieszyło mu się - do spotkania został jeszcze kwadrans. Przez szum rozpędzających się silników elektrycznych dobiegł go fragment rozmowy.

- Umówiłbyś się z taką na piwo? Ma brzuch większy niż cycki. Jesus! Nie chciałbym mieć nawet takiej teściowej.

- Nieważne, że gruba! Nieważne, że zamiast dupy ma rybnie łuski! Nie idziesz z nią do łóżka! Chodzi o symbol!

- Kiedyś w modzie były takie foki?

- Wiesz, kim była modelka? Zresztą nieważne, mówiłem ci, chodzi o symbol! Symbol...

Pomnik Warszawskiej Syrenki po kolejnej przeprowadzce powrócił nad Wisłę. Wielokrotnie dewastowany, w końcu został obudowany zatopionym w betonie pudłem ze szkła pancernego. Teraz wystarczyło raz na tydzień zmywać graffiti.

Pasy pojawiły się ponownie. Adrian postawił kołnierz płaszcza, przekroczył ulicę i wszedł między rozbawionych ludzi. Kupił w automacie piwo bezalkoholowe. Nie poprawiło

mu nastroju. Stracił ochotę na spacer ruchliwym bulwarem. Męczył go gwar jasno oświetlonych lampionami pomostów piwnych. Jeszcze kilka lat i rzeka zniknie pod trotuarami i knajpkami wspartymi na lesie żelbetowych pali.

Wyjął z kieszeni zwinięty w kłębek nagłówek i ogrzał w dłoniach. Pod wpływem ciepła odzyskiwał właściwy kształt. Adrian założył go. Sprężysta obejma przylgnęła do włosów, a słuchawka wsunęła się w ucho i cichym piśnięciem potwierdziła gotowość do pracy. Komendomyślą aktywował urządzenie. Dwa bimetaliczne wysięgniki rozprostowały się, wypychając elastyczny płatek folii przed prawe oko, a mikrofon na wysokość ust.

Począł, aż wyświetlacz nadmie się i złapie ostrość. Wybrał program nawigacyjny i, biegając wzrokiem po klawiaturze w dole pola widzenia, wybrał numer. Nie było to wygodne, ale technologia wciąż się przecież rozwijała i bardziej zaawansowane modele umożliwiały już sterowanie za pomocą myśli nawet kilkunastoma funkcjami. Pół metra nad chodnikiem zawisła żółta linia. Drogowskaz. Prowadził bulwarem, potem zakręcał na wiślane pomosty. Adrian ruszył elektronicznym tropem i po chwili dojrzał Kukulskiego. Siedział na długiej ławie wśród roześmianych ludzi. Adrian schował do kieszeni zwinięty w małą kulkę nagłówek. Niektórzy nosili je na stałe - były lekkie, już po paru minutach stawały się niemalże częścią ciała. On jednak nie mógł się pozbyć przykrego uczucia ucisku. Kiedyś używał zausznika, ale już nikt ich nie produkował. Co było wcześniej? Palmtopy? Bardzo niewygodne urządzenia. Ciekawe, co zastąpi nagłówki?

Kukulski. Wysoki, szpakowaty pięćdziesięciolatek, równo przystrzyżona broda i złoty sygnet - dopracowany image technokraty. Uścisnęli sobie dłonie, po czym Kukulski odciągnął go dyskretnie w ustronne miejsce.

- Wybacz, że cię fatygowałem. To zajmie minutkę, ale lepiej nie używać sieci komórkowej.

- Chodzi o nowy program?

- Chciałbym, żebyś się jeszcze raz spotkał z sędzią Lipskim.

- Dlaczego ja? Znasz wielu ludzi, którzy zrobią to lepiej. Nie nadaję się na posłańca z pieniędzmi.

- Spokojnie, nie chodzi o łapówkę! - zaśmiał się Kukulski. - Jako twórca programu musisz przedstawić mu swoją opinię. Cały czas waha się i ma - słuchaj uważnie - opory natury etycznej! Sędzia Nowego Trybunału Konstytucyjnego RP4 ma opory natury etycznej.

- Bez jego zgody nic nie zrobimy - zauważył Adrian.

- A drań nie bierze łapówek. Ekscentryk. Musisz go przekonać. Umówię was na spotkanie jeszcze w tym tygodniu. W jakimś neutralnym miejscu będzie łatwiej go przekonać.

Prześle ci wszystkie dane.

Nie czekając na odpowiedź, podał rękę i wrócił do swojego towarzystwa.

Adrian oparł się o barierkę i zapatrzył w brudną Wisłę. Po wodzie niósł się hałas od mostu Poniatowskiego. W świetle czerwonych flar z Pragi ciągnął kilkutysięczny tłum. Mężczyźni spod pomnika rzucili puszki na trawnik, chwycili transparenty i ruszyli w stronę mostu.

* * *

Magda i Adrian wysiedli z elektrobusea przy skrzyżowaniu Targowej i Ząbkowskiej. Na starej Pradze chodniki z archaicznych betonowych płyt zapadały się, a deszcz tworzył w tych zagłębieniach kałuże. Adrian zdjął płaszcz i okrył nim Magdę.

- Nie przesadzaj - zaśmiała się i wysunęła spod okrycia. - Nie rozpuszczę się.

Nagle z bramy wyłonił się barczysty cień. Przytłumione światło latarni wyłuskiwało z mroku błyszczące oczy i półprofil ze złamanym nosem.

- Wyskakiwać z gotówki!

Magda cofnęła się o krok. Uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy.

- Nie mamy przy sobie gotówki. - Adrian poczuł, że jego nogi robią się miękkie.

Intensywnie zastanawiał się, co zrobić.

Oprych poprawił w dłoni pałkę.

- Kart kredytowych nie...

Wypowiedź urwała się z dziwnym odgłosem chrupnięcia. Ciemny typ zrobił zeza i dodał cicho:

- Strach już wyjść po zmroku.

Odruchowo odskoczyli, kiedy ciało osunęło się między nich. W potylicy bandyty tkwiła siekiera.

Unieśli wzrok i zobaczyli wysokiego, szczupłego mężczyznę. Miał na sobie sięgający niemal ziemi czarny, skórzany płaszcz i czapkę pilotkę.

- Ziemowit Wiśniowiecki - przedstawił się wybawca, jakby spotkali się na garden party. Uścisnął dłoń Adriana. Pocałował automatycznie wyciągniętą dłoń Magdy. - Nie żałujcie go. Nie potrzebował na jedzenie. Dla społeczeństwa miał ujemną wartość.

Wyciągnął z głowy napastnika siekiere, wytarł i włożył w kieszeń wszytą od wewnętrznej strony płaszcza.

- Niech mi pan pomoże.

Wbił łom w szczelinę między płytami chodnika. Adrian, zupełnie zaskoczony, rzucił się na pomoc. Płyta uniosła się z cichym zgrzytem. Ziemowit podniósł ją i położył obok.

Następne trzy bez trudu wyjął sam.

- Jeszcze ze dwie - ocenił leżące ciało. - Wysoki był, *fatherfucker*.

Rozejrzał się czujnie i zamienił łom na saperkę. Wykopał podłużny rów, wysypując piach wprost na chodnik obok. Magda i Adrian patrzyli w osłupieniu. Ziemowit oddychał ciężko. Ostre rysy pokrytej kilkunastym zarostem twarzy wykrzywił grymas bólu.

- Jeszcze raz musi pan pomóc...

Adrian zastanawiał się, czy to nie sen. Posłusznie pomógł jednak wtoczyć ciało do rowu. Spojrzał na swoje dłonie, które chwilę wcześniej dotykały trupa. Ziemowit zasypał dół warstwą piasku i utupał.

- Żeby po deszczu krew nie chlapała ludziom na buty - wyjaśnił. - Po tym, jak ciało ulegnie rozkładowi, chodnik zapadnie się i tak.

Z wprawą ułożył betonowe płyty, butem zmiotł piasek w szczeliny i ocenił pracę jak artysta dzieło sztuki. Stał chwilę, zdyszany, z ręką przyciśniętą do piersi.

- Uch... zastawki wysiadają.

Spojrzał na niedoszłe ofiary i uniósł brwi, jakby dopiero teraz dostrzegł ich zaskoczenie.

- Co? Że ktoś zauważy? - Rozejrzał się. - Nigdy nie zauważają. A nawet jak zauważają, to i tak nie zauważają. Do południa rozniosą piach.

- Więc... to nie pierwszy raz? - ze zgrozą wyszeptła Magda.

Ziemowit uśmiechnął się słabo prawą połową twarzy.

- Miło było państwa poznać, ale czas nagli. - Ukłonił się nisko, zrobił w tył zwrot i rozplynął się w wilgotnej ciemności.

Spojrzeli na prawie nieróżniący się od reszty fragment chodnika.

- Powinniśmy iść na policję - odezwała się wreszcie Magda.

- Facet uratował nam życie, a już na pewno uchronił przed pobiciem. Nie pójdę na policję.

- Ale...

- Mam donieść na własnego wybawcę?

- On zabił tego człowieka!

Adrian patrzył na nią dłuższą chwilę.

- Nie możesz oceniać świata w czerni i bieli. - Pociągnął ją za rękę. - Chodź, to już niedaleko. Jeszcze trafi się następny.

Przeszli sto metrów i skręcili w jasno oświetloną, otwartą na oścież bramę. Adrian nacisnął przycisk domofonu. Drzwi otworzyły się po kilku sekundach.

- Witam! Witam! - zagrzemiał basem postawny brodacz pod pięćdziesiątkę.

Rozłożył szeroko ramiona i ścisnął najpierw Magdę, aż ją zatkało, potem zaskoczonego Adriana. Wciągnął ich przez próg i zatrzasnął drzwi.

- Z rok się nie widzieliśmy. Ależ się posunąłeś!

- Dzięki... - mruknął Adrian. - Poznajcie się: Wnuk, artysta totalny, Magda, moja żona.

- Cała miłość po mojej stronie... Coś miny nietęgą. - Gospodarz przyjrzał im się badawczo. - Zmokliście.

- Mieliśmy niemiłe spotkanie po drodze - wyjaśnił Adrian.

- Bardzo niemiłe - dodała Magda, rozglądając się.

- No, ale sobie poradziliście. Było wziąć taxi i podjechać pod sam dom. Aaa... Chcieliśmy się przejść? Mnie nikt nie ruszy, ale wy, takie chucherka... Ha, ha! - Rubasznie się zaśmiał i gestem zaprosił dalej. - Wchodźcie, wieszajcie się albo rzucajcie gdziekolwiek.

W nastrojowo oświetlonym wnętrzu zebrało się już kilkanaście osób. Sącząca się ze ścian muzyka zagłuszała gwar rozmów.

Wnętrze kamienicy mocno zmodyfikowano. Na parterze wyburzono część ścian, przez co powstała duża przestrzeń poprzedzielana fragmentami murów, których nie można było usunąć ze względów konstrukcyjnych. Zdemontowano wszystkie drzwi wraz z futrynami, zerwano tynki, eksponując cegły. Miejscami mury wzmocniono lub zastąpiono stalowymi ramami. Od strony podwórka znikła część stropu i przez dwie kondygnacje biegło okno z jednej tafli pancernego szkła. Nie było też części stropów wokół szerokich schodów.

- No, ludzie o tobie gadają. Co wymyśliłeś lepszego od „Poszukiwanego-odnalezionego”?

- Nie mogę powiedzieć, klauzula poufności. Ale to zupełnie nowa jakość. - Adrian rozejrzał się. - Sporo wysiłku i pieniędzy cię to kosztowało. Przecież mogłeś zbudować dom od nowa, bez żadnych ograniczeń.

- Dla artysty nie ma nic gorszego niż brak ograniczeń. Perły rodzą się z trosk. Stare budownictwo, klimat dwu wojen. Uwierzysz, że ten budynek ma prawie dwieście lat? Żeby wbić hak utrzymujący to - wskazał na odstającą od ściany bryłę żelaza - wiesz, jakie cyrki miałbym w nowym budynku? Konstrukcja słupowa, wszystkie ściany z papieru; obrazek można powiesić, nic więcej.

Adrian usiłował dostrzec w bryle żelaza dzieło sztuki. Obok na ścianie wisiał telewizor z folii plazmowej. Nic niezwykłego, każdy mógł kupić taki sam w supermarkecie, rozwinąć i przykleić do ściany. Ten tutaj był jednak oprawiony w bogatą, złotą ramę. Jak

stary obraz. Wyświetlał filmowany poklatkowo tramwaj.

- Znasz tylko sztukę komercyjną. - Gospodarz pokiwał głową. - Ja tworzę coś innego.

- Ale przecież to sprzedajesz. - Adrian zatoczył ręką po obrazach i rzeźbach.

- Sprzedaję jako sztukę niekomercyjną. - Uśmiechnął się chytrze Wnuk.

- Tworzysz to, co ci w duszy gra, coś oryginalnego, czy po prostu zarabiasz na życie?

- Szukasz we wszystkim oryginalności. - Artysta wzruszył ramionami. - Samo to jest już mało oryginalne. Prawdziwa oryginalność jest niestrawna. Oryginalna kuchnia chińska: cocker spaniel w pięciu smakach. Chciałbyś tak? Nikt nie chce wypaść z roli i skończyć, żebrząc pod jakimś bankiem. A do tego właśnie prowadzi ślepa pogoń za oryginalnością.

- A ty? Poszukujesz czegoś nowego czy też podświadomie tworzysz tylko to, co się sprzedaje? Odpowiedz sobie szczerze.

Wnuk zmarszczył brwi, ale właśnie rozległ się dzwonek. Artysta przeprosił i odszedł, aby przywitać nowych gości.

- Ma facet fantazję. - Magda rozglądała się po skupionych w małe grupki gościach. Nikogo nie знаła. - Chciałeś mi go przedstawić czy przyszliśmy się tu upić?

- Właściwie to mam się tu z kimś spotkać. Przy okazji możemy się oczywiście upić.

- Dopiero co jakiś Mad Max zakopał pod chodnikiem trupa - przypomniała. - To czysty surrealizm. Zapomniałeś już o tym?

- Limfocyt - odparł Adrian. - Zniszczył chorą tkankę społeczną. Staram się zapomnieć. Zrozum, nie pójdę na policję.

Magda opróżniła kieliszek do dna. Odstawiła i sięgnęła po następny. Adrian powoli sączył swojego drinka. Weszli po schodach wyżej. Pierwsze i drugie piętro były właściwie otwartymi galeriami sztuki. Na trzecim było mroczno, słabe halogeny świeciły pomarańczowo, nadając twarzom osobliwy wygląd. Elastyczny basen, rozpięty na ruchomym stelażu ponad podłogą, zmieniał kształt w rytm ruchów kąpiących się. Stojące obok fajki wodne napełniały powietrze duszną wonią. Pod ścianami w bezładnych stertach leżały ubrania. Adrian spróbował rozpoznać twarze w basenie. Nie znalazł tego, kogo szukał.

- Czuję, że chcesz tam wejść. - Magda z politowaniem pokiwała głową.

- Nie musimy tego robić, jeśli cię to krępuje. - Odwrócił się do żony.

- Nie po to chodzę na fitness, żebym się krępować - fuknęła. - Nie mam nastroju, doskonale wiesz dlaczego. Zejdę na dół, może spotkam jakichś znajomych.

Basen. Czemu nie? Zrzucił ubranie, zostawiając tylko bokserki i zanurzył się w ciepłej wodzie. Znajdował się w środku wielkiej, elastycznej miski podpartej na kilkunastu amortyzatorach. Usiadł; podwodny, ciepły nurt miło rozluźniał. Przymknął oczy.

Ktoś usiadł obok, dotykając jego ramienia. Ciemnowłosa kobieta nie miała górnej części bikini.

- Wyglądasz niepewnie. - Uśmiechnęła się prowokacyjnie.

- I tak się czuję.

- Jestem Doris.

- Adrian.

- Jesteś artystą?

- To zależy od definicji. Zajmuję się reklamą, a właściwie szeroko pojętą kreacją.

Ostatnio realizuję się w telewizji.

- Kreacja - zamruczała zmysłowo. - Brzmi interesująco.

- W rzeczywistości to kanibalizm. Nasz sukces i nasze pieniądze to przetopione uczucia milionów ludzi. - Rozglądał się. - Trzeba mieć w sobie coś z psychopaty.

- Wyglądasz, jakbyś na kogoś czekał.

- Czekam na Lipskiego.

- Ksywka „Sędzia Zgred”, zaraz powinien się tu zjawić. - Zerknęła na naklejoną na paznokiec folię z bezabonamentowym zegarkiem tygodniowym. - Nie jest może zbyt punktualny, ale nie pamiętam, żeby opuścił któryś piątek.

Zaśmiała się, uniosła i niespodziewanie usiadła mu na kolanach, przodem do niego. Udami obejmowała jego biodra, jej pełne usta znalazły się niepokojąco blisko jego warg. Zaskoczony, rozejrzał się, ale nikt nie zwrócił na nich uwagi, mimo że cały basen zakołysał się. Poczuł, że dziewczyna nie ma na sobie również dolnej części bikini. Zauważył dyskretne tatuaże UV na jej twarzy.

- Nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Przyszedłem tu z żoną...

- Małżeństwo. - Udała przestרח, unosząc dłoń do ust. - Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe.

- Wierz mi, nie chciałabyś, żeby nas teraz zobaczyła.

- Dlaczego? Jestem licencjonowaną dokochanką. Wolno mi.

- Myślałem, że to się inaczej nazywa.

- Nie jestem zwykłą dziwką. Nie wzbraniam się, ale i nie upieram przy seksie, jest go wszędzie wokoło w nadmiarze. Za to za mało jest miłości. Ja sprzedaję prawdziwe uczucie. Jest na to spore ssanie. Wtorki i środy mam jeszcze wolne. Mogę cię dokochać dwa razy w tygodniu, po osiemnastej.

- Jestem zaszczycony, ale nie skorzystam.

- Zaczekam na sędziego. - Nie przestawała się uśmiechać. Pocałowała go w usta i

zsunęła mu się z kolan.

- Często tu bywasz?

- Ostatnio codziennie. Rzeźbi mnie. Próbuje sprzedać miastu nowy pomnik Syrenki.

- To stary jest zły?

- Przedstawia przecież tłustą flądrę ze świńską dupą! - zaśmiała się Doris. Uniosła się, by wyeksponować piersi. - Wnuk uważa, że nasze miasto zasługuje na coś lepszego. O! - zawołała nagle, patrząc ponad Adrianem. - Zapraszamy do nas!

Sędzia Lipski bez słowa podał rękę Adrianowi. Z ociąganiem zdjął ubranie, ale też został w bokserkach. Adrian zastanawiał się, jak Lipski to rozegra, mając tuż obok dodatkową parę uszu.

- Przemyslałem sprawę - zaczął sędzia. - Nie, nie przekonał mnie pan. W żadnym wypadku mnie pan nie przekonał - zrobił dłuższą pauzę, by pociągnąć łyk whisky - ale zostałem przekonany przez kogoś innego. Właściwie przez wielu innych, bo pan i pana mocodawcy nie są jedynymi. Z wieloma argumentami musiałem się zgodzić, choć niektóre z nich aż proszą się o inne określenie. A etyka... etyka już praktycznie nie istnieje. Rozumie pan?

Doris wstała i - zapewne przyzwyczajona do takich sytuacji - dyskretnie się ulotniła. Sędzia poprawił okulary.

- To i tak musiało nastąpić - kontynuował. - Uznałem, że nie ma sensu budować na rzece tamy z zapalek.

- Czy to znaczy, że mamy pana zgodę?

- Wy? - Sędzia spojrzał na niego zdziwiony. - Jacy wy? Pan i panu podobni pracują dla ludzi, którzy traktują was jak maszyny, jak... narzędzia. Oni was hodują, by waszymi umysłami przetwarzać masowe uczucia, nadzieje i ambicje. Na pieniądze. Całe społeczeństwo to surowiec do wyrobu pieniędzy. Oni nawet nie potrzebują tej kasy dla siebie; sami są narzędziami w rękach innych. To wielka, ponadludzka maszyna: wykresy, wskaźniki, notowania, odsetki, kursy. Co za różnica: mieć dwadzieścia miliardów dolarów czy mieć ich dwieście? Dwieście za mało? Może dwa biliony starczą? Nie, nigdy nie starczy. Kreska musi się pięć w górę.

- Chce pan powiedzieć, że tracimy nasze sumienia? - zapytał Adrian.

- Nie, nie tracimy. Skąd ten pomysł?! One przecież nigdy nie należały do nas. Cała nasza złudna suwerenność ocen i wyborów zwyczajnie przechodzi w nowe ręce.

- Nie pierwszy i nie ostatni raz.

- Szczerze mówiąc, miałem wrażenie, jakby pan nie chciał mnie wtedy przekonać. Po

co pan to robi, jeśli w to nie wierzy? Nadmiar energii twórczej? Niech pan idzie na siłownię.

- Próbuję coś zrobić... stworzyć...

- Coś? Cokolwiek? Byle pasować do definicji twórcy? - Lipski machnął ręką. - Pan tworzy z klocków, zamiast tworzyć klocki. Kreacja! Pan się zamknął w schematach! Martwieje pan.

Adrian był zaskoczony jego wylewnością.

- To, co mi pan mówi... Takie same myśli mam czasem przed snem.

- I kończy się na myślach, co? Wie pan, jak to się odbywa? Przecież nawet znakomity parlamentarzysta nie może znać się równocześnie na zagadnieniach makroekonomii, na medycynie i energetyce. Głosując na „tak” lub „nie”, w najlepszym razie może się opierać na rekomendacjach ekspertów. Najczęściej po prostu patrzy, jaka decyzja przyniesie mu szybki wzrost popularności. O skutki będzie się martwił kto inny, kiedy indziej. To już będzie następna kadencja. Jednostki wybitne są eliminowane, bo nie dają sobą łatwo manipulować. A cała masa tumanów toczy się z wiatrem tam i z powrotem. Frekwencja w ostatnich wyborach w RP4 i EU-PL wyniosła niewiele ponad dziesięć procent... Demokracja traci sens, gdy ludzie nie chcą wybierać swoich przedstawicieli. System wymaga podstawowych zmian albo się rozsypie jak próchno. - Zmęczonym wzrokiem spojrzał na pustą szklanekę. - Tak, macie moją zgodę. Jutro podpiszę dokumenty. Niech mają ten swój test ostateczny.

- Dziękuję.

Adrian był przygotowany na długie i żmudne przekonywanie Lipskiego. Nie mógł uwierzyć, że poszło tak łatwo. Najwidoczniej sędzia potrzebował dziś słuchacza.

- Multipaństwowość - ciągnął. - Państwa ze swoimi strukturami i obywatelami zachodzą nawzajem na swoje terytoria. Każdy człowiek ma wybór, które przyjąć obywatelstwo. Przedsiębiorstwa też wybierają. I co z tego wynika? Chaos! Jako obywatel PRL2 masz większe prawa socjalne niż w RP4, ale dla aktywnych i ambitnych najlepsze obywatelstwo to EU-PL. Sprawniejsze urzędy, niższe podatki... Schizofrenia społeczna. Konflikt jest nieunikniony.

- Stąd te demonstracje - wtrącił Adrian.

- A będzie jeszcze gorzej. Po zakończeniu okresu przejściowego, czyli po zniesieniu dotacji europejskich, PRL2 i podobne twory w kilka lat splajtują. Socjalizm jest potrzebny tylko nieudacznikom i leniom. Co się z nimi stanie, jeśli ich państwa splajtują? Multipaństwowość wymyślili bogaci i zaradni właśnie po to, żeby pozbyć się balastu potrafiących tylko brać zasiłki. To pułapka, w którą ci lewicowcy sami wpadli, łaszcząc się na korzyści socjalne. Niestety zamietliśmy tylko śmiecie pod dywan, bo jest jeszcze prawo

europiejskie, nadrzędne. Partie leninowskie chcą bezterminowego przedłużenia dotacji, czyli de facto cały system traci sens, skoro i tak mielibyśmy ich utrzymywać.

- Chcą nam podpiąć na stałe do portfela kilkaset milionów darmozjadów.

- Ależ my sami się o to prosimy. Zajęci pracą i dalekosieżnymi planami zapominamy o sprawie podstawowej w demokracji. O wyborze przedstawicieli. A lenie głosują. O tak! Do tego mają smykałkę.

Sędzia machnął ręką, wyszedł z basenu i chwiejnym krokiem oddalił się w kierunku toalety.

Adrian poczuł się zmęczony. Całym dotychczasowym życiem. Telewizją zajął się niedawno, by odetchnąć od reklamy. Reklama... gównu podawane naiwnym złotą łyżeczką. Ohyda. Cóż, kiedy nowe zajęcie okazało się chyba jeszcze gorsze. Pierwszy program, jaki wymyślił, był zabawną z założenia soap operą. Oryginalność polegała na tym, że widzowie, głosując, decydowali o postępowaniu wcześniej wybranego przez siebie bohatera. Potem w kilka dni realizowano to, co wyszło z podliczenia głosów. Kto mógł przypuszczać, że po dwóch miesiącach bohaterowie zaczną się nawzajem wykańczać. Tak właśnie wygląda możliwość decydowania bez ponoszenia konsekwencji. Program zdjęto mimo rosnącej oglądalności - inaczej zamieniłby się w krwawą, pornograficzną jatkę.

Adrian wyszedł z basenu, wytarł się, ale nie miał pojęcia, co zrobić z mokrymi bokserkami. Zdjął je, wywał i schował do kieszeni marynarki. Z okien rozciągał się widok na czarne dachy. Nieużywane od lat anteny straszyły krzywymi prętami obok rozsypujących się kominów. W biurach wieżowców Portu Praskiego wciąż pracowali ludzie. Jasne okna, choć już po dziewiątej. O czym marzą te cienie na górze? Żeby założyć marynarkę i wyłączyć komputer, o seksie, na który już nie będą mieć dziś siły, wreszcie o tym, żeby zasnąć bez prochów. Jutro rano zaczną marzyć o jutrzejszym wieczorze i tak dalej. O czym marzył on sam? Domek w Bieszczadach...

Poczuł dłoń na ramieniu. Odwrócił się. Chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Zabierz mnie do domu - poprosiła Magda. Była już całkiem pijana. - Tu jest zbyt... komercyjna atmosfera.

Pozwolił, by przyciągnęła jego głowę niżej. Zetknęli się ustami.

- Może rzucimy to wszystko i uciekniemy gdzieś daleko stąd? - Dotknął jej włosów. - Mały domek w głuszy. Jak ci się to podoba?

- Ucieczka od cywilizacji? Kontakt ze sztuką w czystszej formie tak na ciebie podziałał?

- Nie pakuj jeszcze walizek. Muszę najpierw doprowadzić do końca nowy projekt.

* * *

Adrian rozejrzał się po studiu, oświetlonym teraz tylko słabymi jarzeniówkami. Kilkupoziomowe trybuny cofnięto, odgradzając je od centralnej części studia lepną matą i elastyczną siatką o wielkich oczkach, ale cienkich nitkach. Po tej siatce nie można się było wspinać. Sprężynowała i kaleczyła. A zarazem była praktycznie niewidoczna.

Obok podium dla zaproszonych gości umieszczono szklany, trzymetrowy sześcian. Wewnątrz stało krzesło, a za nim stalowe pudło bez otworów, z dobrze widocznym logo firmy Geimann. Sejfy i zabezpieczenia.

Kukulski, producent programu, spokojnie czekał, aż Adrian obejrzy nowy wystrój studia.

- Wszystkim steruje komputer - objaśnił. - Po zamknięciu drzwi nie można ich otworzyć przez sześć godzin, tak jak wymyśliłeś. Głosowanie ma trwać półtorej godziny, więc zapas jest duży. Klatka jest hermetyczna i odizolowana elektrycznie. Do środka mogą wprawdzie przenikać fale elektromagnetyczne, ale nie obawiamy się zagrożenia z tej strony. Można założyć, że nasz gość będzie bezpieczny.

- Wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej - przyznał Adrian.

- Co masz taką minę? - Switch wyszedł na środek studia i podciągnął zjeżdżające z wydatnego brzuszka spodnie. - Stworzyłeś przecież rewelację! To twoje dzieło.

Adrian tępo wpatrywał się w szklaną klatkę.

* * *

Ciepły wieczór. Autobusy i samochody sunęły kolorową wstęgą wzdłuż Marszałkowskiej. Obok jechały dziesiątki rowerów, a bliżej budynków przewijał się gęsty tłum.

Adrian zerknął na informacyjny telebim po drugiej stronie ulicy - socjalistyczni terroryści opanowali supermarket w Szczecinie i wzięli ponad stu zakładników. To właśnie zepsuło fetę powyborczą liberałów w RP4 i EU-PL. Westchnął. Pogrzebał w kieszeni i wrzucił monetę do kapelusza żebraka siedzącego pod ścianą. Przeczytał kartkę przyciśniętą kapeluszem z monetami: „Zbieram na operację stawów”.

- Niewygodnie tak trzymać nogi - popatrzył na wygięte nienaturalnie kolana mężczyzny.

- To cena kolacji. - Żebrak nie uniósł nawet głowy. - Marketing żebraczy.

Adrian położył na ziemi płócienną torbę i usiadł na niej. Teraz już razem obserwowali przechodzących ludzi. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Czasem brzęknęła moneta. Adriana od zadzierania głowy rozboleł kark.

- Nie patrzę na twarze - odezwał się żebrak. - Analizuję tylko buty i spodnie. Można się dowiedzieć więcej, niż spoglądając w oczy. I to nie tylko, ile kosztowały buty. Niech pan spojrzy na tamtego, stawia nogi jak kłown, palcami na zewnątrz.

- Może też ma chore stawy...

- Czasem ktoś idzie jak taran, a inni nieświadomie schodzą mu z drogi.

- Uprzejmość i kultura.

- Nie. Uprzejmość to przepuścić kogoś w drzwiach. Na chodniku ustępują słabsi. Niech mi pan wierzy, oglądam to od dawna. Siedzę w kilku miejscach dziennie, wzbudzając litość na kilka różnych sposobów. Mam zestaw kartek. Pamiętam, gdzie z którą siadać. Żeby niepotrzebnej dywergencji nie tworzyć wśród stałych darczyńców.

- Ktoś może naprawdę zbierać na operację.

- Jak się upadło tak nisko jak ja, to nie myśli się o globalnych skutkach własnego kłamstwa. Pan nie kłamie?

- Ja to robię zawodowo.

- Wszystko wokół oparte jest na kłamstwie. - Machnął ręką żebrak. - Kobiety się malują, zakładają obcasy, powiększają sobie cyce, okłamują, że są bardziej sexy. A panu po co wypchane gąbką barki w marynarce? Oszukuje pan, że ma więcej mięśni. Nawet zwierzęta kłamią. Mucha w paski udaje pszczołę, żeby jej nic nie zezarło. Kot stroszy sierść, żeby udawać większego.

- Pan mówi teraz o walce o życie.

- A ja o co walczę? O nowego mercedesa? Ja zbieram na dzisiejszą kolację.

Adrian zajrzał do kapelusza.

- Ma pan już całkiem sporo. Na kolację starczy.

- To tylko z ostatniego kwadransa. Jak się ueziera więcej, to chowam.

- Nikt chyba nie będzie kradł takich drobnych.

- Tu się pan myli. Okradną nawet kalekę. W zeszłym roku taki jeden złamał mi trzy żebra. Nie chciał pieniędzy, chciał się wyżyć. Kopał mnie, żeby rąk sobie nie pobrudzić. Na szczęście dobry człowiek pomógł. - Wskazał zapadające się kostki brukowe po drugiej stronie chodnika.

Adrian spojrział na wgłębienie, przełknął ślinę i zapytał:

- Zebrał pan na kolację, więc po co nadal siedzieć? Zwinie pana straż miejska albo któraś policja.

- Prawo zabrania żebrania, wiem. Ale prawo nie proponuje nic w zamian. Jutro mogę nic nie zebrać, mogę zachorować. Myśli pan, że prawo mi wtedy pomoże? Jestem

obywatelem PRL2, ale nawet oni nie lubią takich jak ja. W mojej sytuacji prawo to tylko kolejny sposób wywierania presji na moją osobę. Kiedyś byłem wierzącym i praworządnym obywatelem RP4, aż zacząłem się zastanawiać, ile prawo ma wspólnego z tak zwaną sprawiedliwością. Wyszło mi, że niewiele, że jedyne, czemu służy, to podtrzymaniu *status quo*. Dziesięć przykazań, podstawa wszystkich zachodnich kodeksów etycznych; niech pan policzy, ile przykazań jest sankcjonowanych prawem. Mnie wyszło, że dwa i pół. Nie wolno zabijać, nie wolno kraść i czasem, w pewnych sytuacjach, nie wolno mówić fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu. I na tym koniec. Wyemigrowałem do PRL2, ale nic się nie zmieniło. Tak więc nadal będę łamał prawo, bo ono jest tylko narzędziem do utrzymania ładu społecznego, a jak pan chyba zauważył, społeczeństwo zwyczajnie mnie wydało. Kraść nie potrafię, ale będę żebrał i kłamał, ile zdołam.

Z głębi Alei Jerozolimskich rozległy się skandowane przez kilkanaście osób okrzyki. Kolejna demonstracja.

- Lepiej niech się pan zbiera. - Adrian wstał. - Za parę minut może tu być gorąco.

- Ani myślę! Pójdę demonstrować z nimi.

- Przecież to już pana nie dotyczy. PRL2 i tak panu nie pomoże.

- Uważam, że bogaty ma moralny obowiązek pomagać biednym. Inaczej za kilka pokoleń wrócimy do feudalizmu.

- Nie mówi pan jak żebrak.

- A rozmawiał pan kiedyś z żebrakiem? Ale zgadł pan. Jestem profesorem. Profesorem niepotrzebności stosowanej.

- To znaczy?

- Jak pan myśli, co jest niepotrzebne, a i tak stosowane przez ludzi zwanych nieudacznikami? Co doprowadza do miejsca, gdzie się teraz znajdują? Jestem profesorem etyki.

* * *

Chuda postać biegła po dachach, zwinnie przeskakując murki. Na tle granatowego nieba skórzany płaszcz powiewał jak czarna chorągiew. Spłoszone gołębie poderwały się do lotu, zatoczyły koło i ostrożnie usiadły na poprzednim miejscu.

Ziemowit zatrzymał się nagle. Zdjął z ramienia karabinek i położył się za niską attyką. Długą, zakończoną tłumikiem lufę wysunął poza krawędź dachu, przyłożył celownik do oka i powoli zlustrował zaparkowane w dole samochody. Czuł, że to dobre miejsce i dobry czas. Wystarczy poczekać.

Zobaczył go po pięciu minutach. Chłopak szedł szybkim krokiem, rozglądając się

nieznacznie na boki. Na ramieniu dyndała mu pusta torba. Jakby od niechcienia wszedł między samochody i sięgnął do lusterka od strony kierowcy. Miał wprawę, zrobił to jedną ręką. Po chwili błyszczący w świetle latarni kawałek szkła wylądował w torbie. Chłopak obszedł samochód i równie sprawnie wyjął drugie lusterko. Nie zatrzymując się, wrócił na chodnik. Nawet gdyby ktoś był w pobliżu, zapewne niczego by nie zauważył. Zdażył zrobić jeszcze kilkanaście kroków, gdy gdzieś w górze rozległo się stłumione puknięcie.

* * *

Kukulski i Lipski stali na pustym tarasie widokowym Pałacu Kultury. O obecności miasta, zakrytego gęstą pomarańczową mgłą, świadczył tylko dobiegający z dołu pomruk.

- Dlaczego tu? - zapytał sędzia.

- Na oczekaniu nie zmontują podsłuchu.

- Kto?

- Oni. Przecież zawsze są jacyś „oni”.

Oparli się o barierkę w rogu, od strony Dworca Centralnego.

- Rozmawiał pan z naszym wybrańcem? - Kukulski postawił kołnierz płaszcza.

- Przyszedł, żeby mnie przekonać, ale sam wydawał się nieprzekonany. Idealista pełen moralnych rozterek. Sądzę, że Cyranowski dobrze wybrał. Mam trzech kandydatów z RP4 do ostatecznego testu. - Lipski wyjął z torby tablet. - Mordercy, ale w ocenie psychologów z szansą na resocjalizację. Mimo tej opinii skazani na śmierć. Pierwszy w alkoholowym szale zabił konkubinę w ósmym miesiącu ciąży. - Wyświetlił na płaskim ekranie zdjęcie i opis.

- Za oczywiste.

- Niezupełnie. Akta sprawy...

Kukulski uniósł rękę.

- To bez znaczenia. Ludzie oceniają po pozorach. Za pozory kochają i za pozory skazują. Zanim jeszcze sąd zabierze się do czytania akt.

- Dobrze. - Lipski puknął w ekran tabletu, przewijając do następnej pozycji. - Drugi kandydat w nocy wyrzwał rodzinę z dwójką dzieci... OK, przejdźmy do kandydata numer trzy.

Kukulski odwrócił do siebie tablet i przeczytał opis.

- Trzeci - zdecydował. - Jutro złoży pan podpis pod wybraną kandydaturą. Po sukcesie przystępujemy do głównej kampanii. Dla naszego wspólnego dobra. Rozumiemy się?

Sędzia odwrócił wzrok. Próbował wychwycić jakikolwiek kształt ze świetlistej mgły. Wydawało mu się, że widzi kontury budynków w miejscach, gdzie była tylko pusta przestrzeń.

- Niby noc - odparł w końcu - ale niech pan popatrzy: jest tak jasno, że można czytać między wierszami.

* * *

- Obejrzałem w necie kilkanaście ofert domów, właściwie całych gospodarstw. - Adrian nie był pewien, czy przekonuje Magdę, czy siebie.

Jechali Świętokrzyską. Ściemniało się.

- Mówisz o Bieszczadach? - zapytała Magda. - Tam nie sięga EU-PL. Będzie więcej formalności.

Miała na sobie długą, czerwoną suknię połyskującą w świetle mijanych reklam i witryn.

- Do przeżycia. Możesz wziąć kilka dni wolnego, żebyśmy je obejrzeni w przyszłym tygodniu?

- Ty mówisz poważnie... Uważasz, że wytrzymalibyśmy w głuszy?

Wzruszył ramionami.

- Moglibyśmy na wszelki wypadek zostawić sobie mieszkanie. Na nowym projekcie też zarobię.

- No, nie wiem, masz wybitną zdolność do sprzedawania świetnych pomysłów za bezcen.

Adrian skręcił w Marszałkowską i ostro wcisnął hamulec. Pięćdziesiąt metrów dalej całą szerokością ulicy posuwała się gigantyczna demonstracja. Z przeciwnej strony zbliżały się pancerne wozy policji. Rzucony gdzieś z boku kamień odbił się od maski. Adrian wcisnął gaz i przejechał chodnikiem z powrotem na Świętokrzyską.

Przez resztę drogi milczeli.

Kwadrans później zatrzymali się na parkingu przed gmachem telewizji. Weszli do środka. Adrian dał Magdzie czułego klapsa i pchnął delikatnie w stronę wejścia do studia. Uśmiechnęła się i zniknęła między ludźmi. Miała miejsce na trybunach, a on chciał wszystkiego dopilnować z zaplecza, choć już od dawna projekt żył swoim życiem.

Nie wynegocjował żadnego udziału w zyskach, a zapisane w umowie wynagrodzenie za koncepcję wydawało się teraz śmiesznie niskie. Magda miała rację. Jak grzeszyć, to tylko tak, żeby się opłacało - kara będzie przecież taka sama.

W reżyserce panowało zwyczajne w takiej sytuacji zdenerwowanie, choć wszystko kilkakrotnie sprawdzono. Switch gryzł długopis, aż chrupał plastik. Adrian usiadł na fotelu obok i przytrzymał mu rękę. Chrupanie ustało, reżyser spojrzał na niego zdziwiony.

- Wkurzony jestem. - Wskazał prująco się w kilku miejscach bezrękawnik. - Kupiłem

na raty i nie zapłaciłem ostatniej. Pieprzone inteligentne ubrania, o tym nie było w reklamach. Łączą się z serwerem firmy i sprawdzają płatności.

- Nie myśl teraz o tym, zapłacisz jutro.

Adrian wymknął się z reżyserki i wszedł na galerię otaczającą studio na poziomie rusztowań reflektorów. Publiczność już siedziała na miejscach. Za sprawą sprytniej gry świateł wewnątrz szklanej klatki pozostawało zaciemnione. Na krzesłach wokół widać było sześciu strażników więziennych. Magda siedziała po drugiej stronie trybun w ostatnim rzędzie. Nagle spojrzała w jego kierunku, choć był pewien, że w ciemności nie może go zobaczyć. Nie, nie dostrzegła go. Wiedziała tylko, że tu jest.

Prezenter mówił już od jakiegoś czasu:

- ...najbliższe półtorej godziny spędzą państwo z nami. Przypominam: wysyłając na nasz numer SMS o treści „tak”, głosujecie za ułaskawieniem tego człowieka; wysyłając „nie”, głosujecie za egzekucją. Wszyscy jesteście jego sędziami. Egzekucja bądź ułaskawienie odbędzie się pod koniec programu. Obecni w studiu goście oraz przygotowany wcześniej materiał mają ułatwić wam podjęcie decyzji. Pamiętajcie, jego życie jest w waszych rękach. Koszt SMS-a to jedynie...

Egzekucja? - zdziwił się Adrian. Tego nie było w scenariuszu! Ciekawe, jak to chcą rozegrać, bo przecież nie uśmiercą go tutaj.

W dole przygasły światła, a telebimy pokazały odpoczywającego w hamaku ludzika. Przerwa na reklamy. Prowadzący przestał się przeżywać. Wypuścił powietrze, ukazując lekki brzusek i zaokrąglone plecy. Poszedł na zaplecze napić się wody. Klatka była wciąż ukryta w mroku.

- Też lubię stąd oglądać. - Kukulski oparł się o barierkę obok Adriana.

- Jaki będzie wynik?

- Wyrównany. Do ostatniej chwili. O to chodzi. Emocje, emocje. Zgodnie z twoimi przewidywaniami na razie większość głosów pochodzi z PRL2. Potem, gdy wysuniemy na pierwszy plan aspekty moralne, przegoni ich RP4.

- A EU-PL zbierze największe plony. Wiem. Pytałem o zakończenie.

- Zakończenie... - uśmiechnął się producent. - Wymyśliłeś cały program, ale nie wymyśliłeś zakończenia, co? To już nie twoja rola. Teraz jesteś widzom jak inni. Klatka zamknięta. Nikt nie może przerwać widowiska. Oto prawdziwa demokracja.

- Niezupełnie prawdziwa - zauważył Adrian. - Mój pomysł był nieco inny. Teraz bogaty może oddać i sto głosów.

- Ależ właśnie prawdziwa! - zaprzeczył Kukulski. - Silniejszy może więcej, tak było

zawsze, tylko obłudnie temu zaprzeczano. Po co sownie opłacane kampanie wyborcze? Czemu służą, jeśli nie omijaniu demokracji proporcjonalnej? Bogaci pieniędzmi wydanymi na te kampanie przesuują wyniki. Czemu nie zrobić tego wprost?

Chwilę stali w milczeniu.

- Moralni puryści oglądają tym bardziej i tym bardziej będą głosować - dodał producent. - I na „tak”, i na „nie”. Za kilkanaście minut nikt nie pozostanie obojętny.

Światła rozbłysły ponownie, a wielkie cyfry rozpoczęły odliczanie od dziesięciu. Gdy pojawiło się zero, jupitery skupiły się na środku podwyższenia. Prezenter zapowiedział krótką rekonstrukcję wydarzeń. Materiał wyświetlono na dużym ekranie, by i publiczność w studiu mogła go zobaczyć.

Facet zaplanował morderstwo starannie, choć był mało kreatywny. Późną nocą zastrzelił ofiarę z broni z tłumikiem. Ciało zapakował w folię i wrzucił do śmietnika. Ofiarą był młody mężczyzna, dealer sprzedający narkotyki pod szkołą. Bohater programu wpadł, bo wcześniej kilka razy próbował zainteresować sprawą policję. Skojarzyli sobie.

Adrian musiał przyznać, że krótki materiał w miarę bezstronnie wprowadza w sytuację.

Na jednym z ekranów rosły słupki: czerwony i zielony. Kilkadziesiąt tysięcy głosów oddano w ciemno, zanim jeszcze przedstawiono skazanego. Teraz przybywało ich szybciej.

Wreszcie pokazano twarz. Przestraszony mężczyzna po trzydziestce nie wyglądał na mordercę. Wyglądał na kogoś, kto został złapany na ulicy i wsadzony do tej klatki za przechodzenie na czerwonym świetle. Nadgarstki i łydki miał przytwierdzone do fotela stalowymi obejmami.

Adrian przyjrzał się dokładniej urządzeniu znajdującemu się za fotelem, po czym spojrzał z zaskoczeniem na Kukulskiego.

- Przecież sam to wymyśliłeś. - Producent wzruszył ramionami.

- Ale nie egzekucję w studiu! To miał być tylko osąd społeczny.

- Zapewniam, że nie umrze ani minuty wcześniej, niż zaplanowano w więzieniu RP4.

* * *

Zdenerwowany mężczyzna w czarnej marynarce głośno dyskutował z ochroniarzem i kilkoma innymi osobami. Kukulski szedł już w tamtą stronę. Adrian podążył za nim, trzymając się jednak w pewnej odległości. Zobaczył, jak facet pokazuje odznakę policyjną.

- Jak można to przerwać? - zapytał policjant.

- Trzeba głosować na „tak” - odparł producent. - Ma pan nagłówek?

- Po prostu otwórzcie tę klatkę.

- Nasza stacja jest zarejestrowana w EU-PL. Pan, zdaje się, reprezentuje RP4, więc...

- Więzień został osądzony w RP4 i odbywał wyrok w więzieniu RP4.

Switch, który w coraz bardziej poprutym inteligentnym bezrękawniku pojawił się obok, widząc powagę sytuacji, szybko przetransformował go w, również poprutą, marynarkę. Wskazał na eleganckiego mężczyznę z rozbawieniem przysłuchującego się rozmowie.

- Nazywam się Geimann - przedstawił się elegant. - W konstrukcję klatki włożyłem całą swoją wiedzę. Naprawdę nie da się jej szybko otworzyć, nie zabijając znajdującego się wewnątrz człowieka. Jeśli zacnie ją pan piłować, i tak zajmie to więcej niż sześć godzin.

- Bez żartów!

- Proszę pana, to ja opakowałem Syrenkę pół roku temu. Widział pan chociaż jedną ryskę?

- On nie żartuje. - Do rozmowy ponownie włączył się Kukulski. - Klatki nie da się otworzyć, a cały mechanizm, łącznie z odbiornikiem, zegarem i automatycznym katem, znajduje się wewnątrz. Ze względów bezpieczeństwa serwer zliczający głosy został wybrany losowo spośród kilku tysięcy urządzeń dostępnych w makroregionie mazowieckim i nikt nie wie, który to.

- Sprawdźcie! - niemal krzyknął policjant.

- To zajmie kilka godzin.

- Więc wyłączcie wszystkie!

- Odciąć łączność dla całego miasta? To by zatrzymało odliczanie, tak... - Producent zerknął na zegarek. - Jeśli załatwi pan nakaz... Nie, nie załatwi pan. O ile wiem, w tej chwili w centrum kardiochirurgii w Aninie trwa operacja na otwartym sercu. Szef zespołu prowadzi ją zdalnie z Monachium.

- Czy wy to robicie celowo? - Policjant cedził słowa przez zęby. - A ten tam, w Aninie, to wasz zakładnik?

- Sponsorujemy operację. - Kukulski uśmiechnął się krzywo. - Czynimy dobro. Pana ubezpieczenie na pewno nie pokryje strat. Jeśli nie ma pan nakazu sądowego, to muszę pana prosić o wezwanie policji EU-PL albo o opuszczenie budynku.

Policjant wypuścił ze złością powietrze, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- To lubię - przyznał Switch. - Profesjonalizm. Załatwienie formalności między RP4 a EU-PL zajmie kilka dni.

Adrian napotkał wzrok Kukulskiego.

- Zerkniesz na nasz sztab? - zapytał tamten, jakby nic nie zaszło. - Zobaczysz mózg twojego dziecka.

Pokój sztabowy był oświetlony nieco jaśniej niż reżyserka. Przy owalnym stole siedziało kilkanaście osób, każda z bezprzewodowym terminalem lub tabletem i obowiązkowym nagłównikiem zawiniętym na ucho. U szczytu stołu zainstalowano baterię monitorów z podglądem obrazu ze studia, danymi statystycznymi i technicznymi. Największy ekran pokazywał właśnie efektowne ujęcie przechylającej się wagi. Zmiana ogniskowej wyostrzyła wystraszoną twarz skazańca, który obserwował szale.

Adrian znał z widzenia kilka osób. Skinął głową na powitanie.

- Mamy przewagę trzech czerwonych procent - mruknął facet o wyglądzie gryzonia. - Czyli na „nie”. Telemetria wyraźnie pokazuje, że najbardziej krwiożercze są *housewives*.

- Chciałyby go zabić, nawet gdyby kradł żarówki z klatki schodowej - odparł ktoś spod monitorów.

Adrian potarł ręką czoło. Czuł do siebie coraz większe obrzydzenie.

Łatwo przychodzi zabijanie, gdy trzeba tylko nacisnąć kilka klawiszy w telefonie. Wina rozłożona na miliony przestaje się liczyć. Grzech się rozmyje. Ohyda.

- Po reklamach ujawnimy pewien szczegół z życia skazańca - dodał ktoś inny. - On ma dziesięcioletnią córkę i sam ją wychowuje. To przed jej szkołą sprzedawał narkotyki tamten śmieć. Może to wystarczy. Jeśli nie, kilka minut później zapłakane dziecko powie kilka słów do kamery. „Nie zabijajcie mojego tatusia”. Ciekawe, że sporo ludzi zmienia zdanie w trakcie trwania programu, i to nawet po kilka razy. Głosują na „tak”, potem na „nie” i znów na „tak”.

Dobrze, że Magda tego nie słyszy. Na bocznym monitorze widać było podgląd konkurencyjnej stacji. Znajomy policjant apelował o głosowanie na „tak”.

- Możesz być spokojny, napięcie nie opadnie do ostatniej minuty. - Kukulski delikatnie popychał go w stronę drzwi. - Jak dotychczas wygrywamy stosunkiem trzy do jednego z transmisją ze Szczecina.

Ile programów „Skazany-uniewinniony” uda się zrobić, nim wyczerpie się konwencja? To się przecież też znudzi. Muszą mieć coś następnego w zanadrzu. Ciekawe, dlaczego jeszcze o tym nie wspomnieli? Może już ktoś inny sprzedał im pomysł?

Przecież masz się wycofać, skarcił się w myślach. Ale jeśli poproszą... Odmowa to spalenie pierwszego mostu. Więc może lepiej niech nie proszą? Potrząsnął głową. Skręcił do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Przyjrzał się odbiciu w lustrze. Starzejesz się, pomyślał. Kaszmirowy płaszcz zamiast skórzanej kurtki, Mercedes zamiast poobijanego Jeepa i wakacje w kurorcie zamiast wypadu w ciemno pod namiot. Pomacał kieszeń spodni. Mała latarka i scyzoryk. Tyle zostało ze starych przyzwyczajęń.

Z korytarza doszedł go tupot tłumiony miękką wykładziną. Otworzył drzwi i wyjrzał. Za rogiem zniknęła czarna postać. Rozejrzał się, ale nie zobaczył nic szczególnego. Tylko krzywo wetknięta kratka wentylacyjna odstawała od sufitu.

Starając się nie hałasować, pobiegł za uciekającym. Dopadł do rogu i wyjrzał. Drzwi prowadzące na galerię obiegającą studio właśnie się zamykały. Powinien zawiadomić ochronę. Prześlizgnął się do studia, ale na galerii nie zobaczył nikogo. Na dole trwał program.

Zauważył cień nad klatką. Zmrużył oczy, próbując dojrzeć cokolwiek w ciemności za jasnymi jupiterami. Wyciągnął z kieszeni nagłówek, wcisnął na głowę i aktywował. Nie było żadnego ostrzeżenia od ochrony. Nagle na dachu klatki strzelił snop iskier i rozległ się wizg wysokoobrotowej tarczy. W jego świetle Adrian dostrzegł chudą sylwetkę. Strażnicy poderwali się i w okamgnieniu wyciągnęli broń. Na trybunach rozległ się szmer. Goście siedzący najbliżej klatki cofali się w popłochu, a prowadzący zaniemógł. Ludzie na trybunach wstawali i przepychali się do wyjścia. Ktoś przeskoczył barierkę i przykleił się do maty. Niezdarnie próbował się uwolnić. Teraz będzie musiał poczekać na wyłączenie zasilania. Adrian nie mógł nigdzie dostrzec Magdy. Spróbował ją wyszukać zdalnie, ale nie udało się - jej nagłówek musiał być wyłączony.

Wycięty okrągły kawał szkła rąbnął o podłogę klatki. Ktoś w długim płaszczu zsunął się do środka na linie, odpiął skazańca od fotela i wspólnie wyjechali na dach klatki, a potem wyżej, pod niewidoczny stąd sufit studia. Musiała tam być jakaś wyciągarka, bo wznosili się bardzo szybko. Strażnicy rozglądali się bezradnie, oślepieni przez światło reflektorów. Kiedy ochrona wpadła na galerię, po uciekinierach nie było już śladu. Ile to trwało? Niecałą minutę. Perfekcyjna akcja.

Adrian wrócił na korytarz.

- Zapłaci mi pan za to - usłyszał spokojny głos Kukulskiego. - Klatka miała być niezniszczalna.

- Albo pan zapłaci mnie - odparł równie spokojnie Geimann. - Oni znali klucz.

- Pan nie zna stawki, o jaką dziś graliśmy. O więcej, o wiele więcej niż życie tego człowieka. Ten program to tylko test.

- Powtarzam - Geimann zacisnął usta - oni znali klucz.

Otworzył mu się ekran nagłówek, odszedł więc na bok i zaczął coś tłumaczyć do mikrofonu. Na korytarzu panowało zamieszanie. Ludzie biegali w różnych kierunkach, rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami, sprawdzali coś na małych ekranikach.

- Jaki klucz? - zapytał Adrian stojącego z boku reżysera.

- Tam był włącz bezpieczeństwa. - Switch myszkował wzrokiem po swoim

wyświetlaczu, od strony Adriana całkowicie przejrzystym. - Na wypadek, gdyby policja miała jednak wspólny nakaz sądowy RP4 i EU-PL. Facet skądś wiedział, że właz tam jest. I znał klucz.

Jego bezrękawnik rozlaził się w wielu miejscach, ukazując wiązki przewodów łączące poszczególne elementy inteligentnego stroju. Reżyser przestał to chyba zauważać, wrócił do swoich konsoli, a Adrian wyszedł na główny korytarz odszukać Magdę. Stała na wprost drzwi z założonymi ramionami.

- Nic ci nie jest? - Chciał ją pocałować, ale w porę zauważył otwarty ekranik przed swoją twarzą.

- Nie - uśmiechnęła się. Nie było po niej widać śladu zdenerwowania. Była raczej zadowolona. - Teraz mogą wrócić do konwencji poprzedniego programu. Może go znajdą.

- Sarkazm jest tu niepotrzebny. Pamiętaj, że on już został skazany. Udział w tym programie dawał mu szansę na ułaskawienie.

- Dlaczego ich tłumaczysz, skoro myślisz jak ja?

Na korytarzu wciąż przybywało ludzi. Narastał gwar ożywionych rozmów.

- Chodźmy do bufetu, zanim inni wpadną na ten sam pomysł - powiedział Adrian. - Chyba spędzimy tu parę godzin. Przesłuchania obywateli trzech państw trochę potrują.

* * *

Adrian wrócił tam nazajutrz. Studio było opustoszałe. Policje zrobiły swoje, przepętały wszystkich, przeszukały każdy kąt i niczego nie znalazły. Dźwig budowlany uniósł uciekinierów przez wycięty dużo wcześniej otwór w stropie studia, obrócił się i wysadził ich na ulicy, poza terenem telewizji.

W reżyserce siedział tylko Switch w zeszytym ordynarnie białą nitką bezrękawniku. Często powtarzał, że trzyma go przy życiu pracoholizm. W domu dostaje drgawek z beczynności.

Rozwinął papierek batonika, ale z wnętrza wysypał się szary proszek - batonik był przeterminowany i uległ autodestrukcji na poziomie molekularnym.

- Nie znoszę nanotechnologii. - Popatrzył z obrzydzeniem na puste opakowanie. - Za bezrękawnik też nie zapłacę. Będę zszywał do skutku. Te ich metody są zwyczajnie niedopuszczalne.

Adrian usiadł obok i zagapił się w monitor z programem ze Szczecina - powtarzaną w kilku ujęciach sceną rozstrzeliwania zakładniczki, trzeciej ofiary okupacji. Terrorysty byli obywatelami PRL2, zakładnicy to w większości obywatele EU-PL, ale też RP4. Żądania oczywiste: zwiększenie finansowania PRL2 przez dwa pozostałe państwa. Już nie chodziło o

przedłużenie okresu przejściowego, ale o zwiększenie nakładów. RFN wstrzymał do odwołania przygotowania do rozszerzenia swojego państwowostwa na teren Pomorza Zachodniego.

- Zaatakują, zginie połowa zakładników. - Adrian pokręcił głową. - Nie zaatakują, zakładnicy będą ginąć kolejno w spektakularnych egzekucjach. Spełnią żądania, zaraz ktoś zajmie następny supermarket, kino, szkołę. Chociaż żądania są, jak zwykle, nierealne.

- Nie ma dobrego wyjścia - przyznał reżyser.

- O jakim teście mówił ten Geimann? - Adrian zmienił temat.

Switch tylko wzruszył ramionami. Adrian pożegnał się i zszedł do studia. Przesunął dłoń po chłodnej powierzchni klatki. W dotyku nie przypominała szkła. Była bardzo śliska, prawie jak topniejący lód. Nie zostawały na niej ślady po palcach. Drzwi z tyłu klatki były już otwarte - minęło ponad sześć godzin.

Stojący w cieniu Geimann obserwował trzech techników w uniformach z jego logo. Badali leżący na ziemi okrąg i odpowiadający mu otwór powyżej. Szkło miało dwa centymetry grubości i idealnie ostrą krawędź zdolną przeciąć skórę przy lekkim dotknięciu.

- Stałem na górze i nie widziałem włazu - powiedział Adrian.

- Bo nie było go widać - odpowiedział Geimann, odwracając się do niego. - To zaprogramowana w strukturze kryształu skaza. Granica, która otwiera się pod wpływem odpowiedniej sekwencji ultradźwięków zwanej kluczem. Skaza rezonuje i pęka. Te iskry służyły tylko odwróceniu uwagi. Ktoś wykradł klucz. Dowiemy się kto.

- Wspomniał pan wczoraj o jakimś teście...

Geimann położył mu nieco poufale rękę na ramieniu i odprowadził na bok.

- Mam do pana interes. Chodzi o te iskry właśnie. Wyglądało, jakby przecięli to zwykłym diaxem jak stalową puszkę. To wzbudziło uzasadniony niepokój moich klientów. Z tego samego materiału, z nieco grubszych płyt, robimy sejfy bankowe, z cieńszych - okna pancernych limuzyn, witryny sklepów jubilerskich. Ludzie ufają pozorom. Widzieli, jak ktoś przeciął nasze szkło w kilka sekund. Image... Niech pan wymyśli, jak go odbudować. Potrzebuję świeżego spojrzenia.

Właśnie jestem świadkiem, jak ukochany potwór zaciska szpony na moim ciele, pomyślał Adrian. Mogę się wyrwać. To proste. Wystarczy odmówić.

- Dobrze, zajmę się tym.

* * *

Taras na dachu granatowego wieżowca NBP wystawał ponad niską pokrywą chmur. Z szarego bezkresu wylaniało się zaledwie kilka budynków. Tego dnia nawet iglica Pałacu

Kultury była zakryta.

Słaby wiatr powiewał czarnym płaszczem Adriana i równie czarną peleryną jego żony.

Warstwy. Tu słoneczne popołudnie, niżej mgła, a na samym dole w niewidocznym mieście dżdżysta depresja. Warstwy. Szare dłonie rozsuwają płyty chodnikowe, nadgniłe zwłoki wyczołgują się i mieszają z tłumem...

- Jeszcze tylko to zlecenie. - Adrian odwrócił się plecami do świata.

- Nie uwolnisz się. - Magda pogłaskała go po policzku. - To silniejsze od ciebie.

Kawa parowała z papierowych kubków i szybko stygła. Tutaj zawsze wiało. Najczęściej tak, że nie można było wyjść poza osłonę szklanej piramidy kawiarni.

- Nie interesuje cię, kto to zrobił? Kto go uwolnił? - zapytała Magda.

- Może ten od dziur w chodniku? - Adrian z przesadną dokładnością mieszał kawę.

- Przecież ten skazany zabił w obronie swojej córeczki i innych dzieci w szkole. Zabił złego człowieka. Przerwał ciąg zdarzeń prowadzących do wielu tragedii, zapewne nawet śmierci. Pomijając meandry prawne, zrobił dobrze. A skoro zrobił dobrze, to Wiśniowiecki go uwolnił. Ale ty mnie nie słuchasz.

- To miejsce dobrze mi dziś robi. Pasuje do nastroju. - Upił łyk kawy. Myślami był już przy nowym projekcie. - Zaskoczenie musi być większe niż to w programie. I iskry. Tam też muszą być iskry, żeby negatywne skojarzenie przekuć na sukces. Co wzbudza najwięcej emocji?

- Śmierć?

- Tak. Strach przed śmiercią.

* * *

Czołg wyjechał zza lasu. Pruł przez pole, wypluwając z siebie kłęby błękitnego dymu. Zatrzymał się przed pełną ludzi trybuną. Wieżyczka obróciła się, ukazując wylot czarnej lufy. Obie strony trwały chwilę w zatrzymanym kadrze: publiczność w niemym przestרחu, czołg w groźnym oczekiwaniu.

Podwójny huk eksplozji targnął okolicą, wrócił echem i ucichł. Krzyki kobiet przedarły się przez pustą ciszę. Po kilkunastu sekundach dym się rozwiął. Oddzielająca trybuny od czołgu szklana tafla nie była nawet zarysowana. Ludzie zdejmowali przyciemniane okulary. Rozległy się pierwsze nieśmiałe oklaski; po chwili regularne brawa przywitały Geimanna wychylającego się z włazu czołgu. Tylko dwie lub trzy zde gustowane i obrażone osoby szybkim krokiem odchodziły w stronę parkingu. Kamery nie interesowały się nimi, skupiając całą uwagę na szybie i tych, którzy gratulowali gospodarzom. Cieszyli się jak

po wyjściu z rollercoastera, który uległ pozorowanej i zaplanowanej przez konstruktora katastrofie.

Gdy wszyscy przenieśli się do bufetu, do Adriana podszedł wysoki mężczyzna w szarym płaszczu.

- Norbert Cyranowski - przedstawił się. - Siedziałem na wprost wylotu lufy. Zgodnie z zapewnieniami gospodarza - niezapomniane wrażenie. Zostałem skutecznie pozbawiony wątpliwości co do wytrzymałości materiału. Zajmuję się biotechnologiami, nanotechnologiami i cybernetyką pod kątem ich zastosowania w medycynie. Ostatnio nie tylko w medycynie. Słyszał pan o Ziemowicie Wiśniowieckim?

Adrian spojrzał na niego ze źle ukrywanym przestraszaniem.

- Spokojnie, spokojnie. Nie chcę na panu eksperymentować.

- Cyranowski wyraźnie nie rozumiał przyczyny zdenerwowania rozmówcy. - Pan Wiśniowiecki był pierwszym w Europie pacjentem, któremu zrekonstruowano zastawki serca z wykorzystaniem nanotechnologii. Musiał pan słyszeć. Operacja odbyła się dwa tygodnie temu w Aninie. Ta technologia daje ogromne możliwości. Rekonstrukcja tkanek jest stukrotnie szybsza i, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, niemal nieinwazyjna.

- Słyszałem - przyznał Adrian, czując zimny pot spływający po plecach. - Profesor z Monachium przeprowadzał ją zdalnie.

- Zdalnie... - Cyranowski machnął ręką. - Raptem jeden zastrzyk dożylny. Potem wystarczyło czekać i sprawdzać, czy nanoroboty czegoś nie knocą. To otwiera przed nami zupełnie nowe perspektywy i w związku z tymi perspektywami zawracam panu głowę. Kojarzy pan zapewne inteligentne ubrania?

- Taak... Prują się, jeśli się nie płaci rat, i łapią wirusy zamieniające marynarkę w szlafrok podczas oficjalnych spotkań. Ostatni wrzask mody, jeśli chodzi o integrację osobistej elektroniki.

- Już nie ostatni. - Cyranowski wyjął z kieszeni przezroczystą torebkę. W środku było coś wielkości ziarnka piasku. - To komplant, a raczej jego zaawansowany prototyp. Już dziś jest wart kilka złoteuro, mniej niż najtańszy nagłówek, a zjedzie do... Będzie prawie za darmo. Za instalację i dostrojenie trzeba będzie zapłacić kilkanaście złoteuro. Urządzenie istnieje od dawna, ale dopiero przetestowana w Aninie technologia umożliwi jego praktyczne zastosowanie w sektorze cywilnym. Była rekonstrukcja tkanek, może być i konstrukcja.

Adrian przyglądał się maleństwu.

- Miałem to rzucić i przejść na emeryturę - powiedział.

- Tak młodo? Cóż, to pana sprawa. Niech więc to będzie ostatni projekt.

- Powtarzam to sobie za każdym razem...

Adrian jeszcze chwilę wpatrywał się w ziarnko kwarcu, potem przeniósł wzrok na kołyszące się na wietrze wierzchołki drzew. Czuł szpony wbite w ciało aż do kości. Trzymały go, albo może to on pozwalał im się trzymać.

- Założmy, że się zgodzę... Chciałbym jednak wiedzieć coś więcej już teraz.

Ohyda...

Cyranowski skinął głową.

- Pamiętaj pan frekwencję w ostatnich wyborach parlamentarnych EU-PL? - Schował torebkę do kieszeni płaszcza. - Przejdźmy się. Większość ludzi nawet nie zauważyła, że były wybory. W RP4 niewiele lepiej, za to w PRL2 ponad siedemdziesiąt procent. Tuż za granicą, w DDR2 też ponad sześćdziesiąt procent. Za dwa lata wybory do parlamentu europejskiego. To bardzo mało czasu. Zaganiani ludzie chcieliby własną kupę teleportować wprost do klozetu, żeby nie tracić czasu na posiedzenia. Wie pan, że kwiaty na cmentarz wysyłają już kurierem? Jaki cud musiałyby się wydarzyć, żeby masowo poszli do urn?

- Co TO ma z tym wspólnego? - Adrian wskazał kieszeń, w której zniknął komplant.

- Będzie nim znacznie prościej głosować niż telefonem czy nagłówek. Wyeliminujemy też fałszerstwa, bo pana własnym komplantem nikt inny nie zagłosuje. Niech pan pomyśli, przy frekwencji poniżej dziesięciu procent pojawia się pewne przykre zagrożenie: władzę w państwie może zdobyć ktokolwiek, kto zmusi wyborców, aby poszli do urn. To problem, który wymaga rozwiązania. Nim się spostrzeżemy, nasza multipaństwowość może runąć. Niech pan pamięta, że obywatele wszystkich państwodawców głosują również na kandydatów do parlamentu europejskiego. Jeśli skrajna lewica zdobędzie tam trzy czwarte głosów, to zmienią eurokonstytucję i obudzimy się w wielkim kołchozie. To jeszcze gorsza wizja niż przedłużenie dotacji.

- Słyszał pan o planach powołania RP5? Początkowo ma objąć zasięgiem największe aglomeracje dawnej Polski, dawnych Wschodnich Niemiec i dawne republiki nadbałtyckie. Potem Czechy. Język urzędowy: nowoangielski. Dla bogatych, oczywiście. Wpisowe będzie zaporowe.

- Tak. Chcą zachęcić nawet ludzi spoza terytorium. To taka arka dla uciekających przed przyłączeniem obywateli plajtujących państwodawców. - Cyranowski machnął ręką. - Mrzonki. Prole są jak pijawki, nie dopuszczają, żeby wywinął im się taki tłusty kąsek. Wie pan, że według aktualnych planów do RP4 chcą nam dowalić prawie dwanaście milionów tych żebraków z PRL2?

- Jestem z EU-PL.

- Wiem, ale to jeszcze gorzej! Wy dostaniecie resztę. Więcej nawet niż my. Kto na nich wszystkich zapracuje? Chciałby pan oddawać dwie trzecie swoich dochodów, żeby utrzymać przy życiu nierobów?

Dłuższą chwilę szli w milczeniu.

- To ziarenko to tylko rodzaj procesora - odezwał się wreszcie Adrian. - Konieczne jest jakieś urządzenie, interfejs użytkownika...

- Jest nim sam mózg.

Adrian spojrzał na Cyranowskiego.

- Brzmi przerażająco... - mruknął.

- Wbrew pozorom to bardzo proste. Za pomocą sondy wprowadzonej w okolicach potylicy komplant zostaje umieszczony w mózgu. Nawet nie boli. Potem wstrzykuje się dożylnie kilka centymetrów sześciennych roztworu soli fizjologicznej z zawiesiną wyspecjalizowanych nanorobotów. Zabierają się do pracy po kilku minutach. Po tygodniu gotowych jest już ponad dziesięć tysięcy połączeń komplanta z różnymi obszarami mózgu. Kolejny tydzień zajmuje aktywacja software'u. Dotychczasowe badania potwierdziły, że to bezpieczne.

- I to wszystko tylko po to, żeby więcej ludzi głosowało? W ten sposób chce pan sprawić, że zaganiani obywatele EU-PL przypomną sobie o swoich powinnościach obywatelskich?

- Demokracja w obecnej postaci umiera. Komplanty przedłużą tę agonię o kilka kadencji.

- Więc po co?

- To pierwszy etap. System znów zacznie działać sprawnie, jeśli pominiemy przedstawicieli. Przyszłość to demokracja bezpośrednia. Jak w starożytnej Grecji. Możliwości techniczne już są czy też będą wkrótce. Trudniej przekonać samych przedstawicieli, którzy obecnie sprawują władzę. Chociaż potem będą mogli robić to samo co teraz, innymi metodami i bez ponoszenia odpowiedzialności. Ta spadnie na wszystkich. Nie będzie gdzie ani przeciw komu urządzać pikiet. Każdy będzie mógł głosować nad każdą ustawą. Każdy będzie mógł zgłaszać projekty ustaw. Zniknie korupcja na najwyższym szczeblu.

- Nie prościej zawczasu przegłosować inną ordynację? Proporcjonalną? - Adrian rozłożył ręce. - Cokolwiek.

- Obywateli EU-PL jest blisko osiemdziesiąt milionów, RP4 pięćdziesiąt, a PRL2 ledwie trzydzieści, ale tym ostatnim udało się wprowadzić do parlamentu europejskiego najwięcej przedstawicieli. Uwierzyłby pan, że największy państwowodawca Europy, czyli

państwoporacja EU, jest bliski utraty swojej pozycji? Co pan robi, jeśli po kolejnych przegapionych wyborach obudzi się w Związku Socjalistycznych Republik Europejskich? Wyjdzie pan na ulicę demonstrować jak prole? W tym swoim kaszmirowym płaszczu?

Adrian milczał.

- Z panem mogę być szczery. W pewnych granicach, oczywiście. - Cyranowski uśmiechnął się. - Siedzi pan w tym za długo, by nadal wierzyć w altruizm, nawet szczątkowy. Ulepszanie systemu politycznego nie jest moim celem ani tym bardziej nie będzie celem zwykłych ludzi. Nic z tych rzeczy. Jak większość wynalazków komplant powstał dla wojska. Potem był wykorzystywany w medycynie jako pourazowy stymulator uszkodzonych obszarów mózgu. Teraz nanotechnologia medyczna stała się na tyle tania, że można ją stosować masowo. To milowy krok w integracji elektroniki osobistej. Komputer w głowie, razem z telewizorem, wieżą hi-fi, telefonem i tym wszystkim, co teraz obciąża panu kieszenie i zajmuje półki w domu. Film obejrzy pan, zamykając oczy, muzyka trafi wprost do ośrodka słuchu i tak dalej. Oczywiście to na początek. Tradycyjne filmy przejdą do historii, telefon też nie będzie wykorzystywany tak jak dziś. Nie możemy stuprocentowo przewidzieć, w którą stronę pójdzie ewolucja wynalazku, ale z całą pewnością... frekwencja w wyborach wzrośnie. No ale to za parę lat...

- Słowem, chce pan reklamować komplant jako uniwersalne narzędzie do pracy i rozrywki...

Cyranowski przytaknął.

- Sądzi pan, że porywamy się z grabiami na supernową? Każda rewolucja od tego się zaczyna.

- A konkretnie?

- Najpierw komplant umożliwi dostęp do zwykłych stron WWW. To konieczne, żeby projekt mógł wystartować. Ale możliwości urządzenia będą znacznie większe, więc zacznie ewoluować również sama sieć. Za dziesięć lat człowiek bez komplanta będzie traktowany jak niepełnosprawny. Postęp jest nieunikniony, a konkurencja nie śpi. To znana od tysięcy lat prawda. Jeśli będziemy mieć opory etyczne, komplanty wprowadzi na rynek kto inny. Ergo, opory moralne nie mają sensu, bo nie zmieniają biegu dziejów. Mamy licencję na EU-PL, RP4, RFN i parę mniejszych z tego rejonu Europy. W przyszłym miesiącu chcemy rozpocząć masową produkcję. Pierwsze głosowanie nad zmianą ustawy o telekomunikacji odbędzie się w parlamencie RP4 za kilka dni.

- Dlaczego zwraca się pan z tym właśnie do mnie?

- Widzę, że ma pan mieszane uczucia. To dobrze. Ostatni program według pana

pomysłu przekonał nas całkowicie, że jest pan odpowiednią osobą. „Mieszanie gówna złotą łyżeczką”, dobrze powtarzam? Tak, o takie właśnie podejście nam chodzi. W tydzień skompletuje pan zespół.

- „Skazany-uniewinniony” był testem ostatecznym przed tym, co pan zamierza?

- Nie ja. Ja tylko to realizuję. Ale tak, program był testem ostatecznym przed powrotem demokracji bezpośredniej. Chociaż nieświadomie, siedzi pan w tym od dawna.

Podczas rozmowy zrobili spore kółko i zbliżali się już do parkingu.

- Historia dzieje się teraz - dodał jeszcze Cyranowski. - Jutro otrzyma pan komplet materiałów. To będzie przełom... Większy niż się panu zdaje. Znacznie większy. Rewolucja francuska to przy tym zwykła bijatyka.

* * *

- Ostatni projekt? - W głosie Magdy słychać było delikatną ironię. - Bogaciejusz. Nasz wirtualny domek będzie wkrótce prawdziwym pałacem.

Stali na tarasie oparci o kamienną balustradę. Adrian puścił jej uwagę mimo uszu. Od pewnego czasu nie mógł się powstrzymać, by nie szukać wzrokiem zapadniętych płyt chodnikowych. Problemy zmiecione pod dywan? Pod chodnik, właściwie. Ale te już nie wydostaną się na powierzchnię. Chyba że w koszmarach.

W salonie niemal bezszelestnie krążył automatyczny odkurzacz. Przylepiony do ściany telewizor atakował tapicerkę kanapy informacjami o ostatecznym bilansie ofiar szturm na szczeciński supermarket.

- Notowania głównych partii RP4 i EU-PL lecą na łeb na szyję - odezwał się Adrian - chociaż jeszcze nie zaczęli naprawdę rządzić. Ludzie są jednak koszmarnie głupi.

- Nic nie poradzisz. Żyjemy w takim społeczeństwie.

- Może poradzę. Dałabyś sobie włożyć do głowy notes, telefon, komputer biurowy, telewizor, kino i jeszcze parę rzeczy? A wraz z tym całą armię nanorobotów, które to zainstalują?

Magda zaśmiała się.

- O czym ty mówisz? - spoważniała.

- Komplant... Ziarnko kwarcu w mózgu. Cała elektronika osobista włożona do głowy.

- Adrian spojrział na swoje dłonie. Ledwo zauważalnie drżały. - Chcą, żebym to ja przekonał ludzi.

- Już widzę ten znajomy błysk w twoich oczach. Masz swój sens życia, kolejne wyzwanie.

Objął ją ramieniem.

- Zawsze myślałem, że przekonywanie to jakaś sztuka. A to jest bliższe mechanice. Trzeba poruszyć w mózgu konkretne trybiki. Jeśli trafi się dobrze, to one poruszają następne i następne. Wreszcie ruszy cała maszyna, na nogach pójdzie do sklepu, oczami wyszuka zadany kształt i kolor, a rękoma go kupi. Albo zagłosuje w wyborach. Zresztą... kto wie? Może i jest to jakaś forma sztuki? Instrukcja obsługi lutownicy porusza konkretny tryb o konkretną liczbę obrotów, w konkretną stronę. Sztuka niekomercyjna wali po trybach na oślepe, poruszając coraz to inne, przypadkowo. Reklama to coś pośredniego. Ważne tylko, aby dotarła nawet do tego, kto nie chce. Sam też jestem trybikiem... Podobno podstawowe pytanie przed każdą decyzją powinno brzmieć: „Czy świat będzie potem lepszy?”. Wiśniowiecki postrzega wszystko w czerni i bieli, bez kolorów, bez szarości nawet. Sam ustala granicę, za którą świat staje się piękniejszy. Założę się, że nie ma obywatelstwa. Ja tak nie mogę. Czuję, że świat z komplantami i demokracją bezpośrednią będzie światem gorszym niż ten, który znamy. Ale i tak przyjąłem zlecenie. Niczego nie zdołałem zatrzymać. To i tak nastąpi. Nie potrafię nawet zmienić własnego życia i wynieść się z tego pieprzonego miasta. Może... jedyna pożądana zmiana to taka, żeby już przestać próbować cokolwiek zmieniać.

- Wiśniowiecki zniknął ze szpitala zaraz po zastrzyku - powiedziała Magda. - Czytałam o tym. Zdążyłby dotrzeć. Nanoroboty mogły pracować w takich warunkach.

Adrian odetchnął głęboko. Trzymać pion! Żeby nie tworzyć niepotrzebnej dywergencji... Ohyda. Ohyda. Ohyda.

- Nasz sens życia jest tu - przytulił ją. - W tym zamieszaniu i szarpaninie. Może więc oficjalnie dajmy sobie spokój z domkiem i pojedźmy w Bieszczady na tydzień? Skończę tylko to zlecenie...

* * *

Ziemowit Wiśniowiecki siedział na gzymsie starego, przedwojennego budynku i palił długą fajkę. Patrzył na wieczorną perspektywę Warszawy. Stare dachy kilkupiętrowych kamienic urywały się łamaną linią. Kilkadziesiąt wieżowców niemal całkowicie zasłaniało zachodni horyzont, ale jemu to nie przeszkadzało. Lubił patrzeć na pomarańczowe refleksy światła na ciemnych, niemal czarnych szklanych ścianach. Żółte prostokąty okien wciąż jeszcze paliły się bezładnymi stadami. Wieczory robiły się chłodne. Postawił kołnierz skórzanego płaszcza i przeniósł wzrok na podjazd przed głównym wejściem do budynku parlamentu RP4. Czekał.

Warszawa 2003-2007

Pokoje przechodnie

- Recesja, kochanie. Będziemy musieli przenieść kuchnię gdzieś do Petersburga albo i dalej.

- A jak ktoś się włamie?

- Kuchnia w naszym standardzie nie ma okien.

- Petersburg... To straszne. Co powiedzą Stefańscy? Zaprosiliśmy ich przecież na sobotę.

- Nie muszą wiedzieć. Powiesz na ścianie kalendarz z Manhattanem.

- No tak, masz rację, jak nie ma okien, to kuchnia może być i na Marsie.

- Kochanie...

- Tak, Pysiu?

- Mars to inna planeta.

- Och, doprawdy...? Nie ma tam kuchni?

- Nie ma tam tlenu.

- Skoro tak mówisz. A... Pysiu?

- Tak, kochanie?

- Nie czytaj przy jedzeniu... Literki biegają ci po twarzy i nie widzę, gdzie się patrzysz.

- Patrzę się na te literki, kochanie. Czytam przecież.

Marian zerknął na żonę przez wiszące w powietrzu linijki tekstu i z kwaśną miną wyłączył gazetę. Literki spadły i wsiąknęły w blat stołu. Krystyna uśmiechnęła się.

- Może też będziemy musieli zmienić operatora teleportów - dokończył. - Konkurencja jest znacznie tańsza i akurat ma promocję.

- Pysiu! W zeszłym miesiącu mieli poważną awarię...

- Stąd ta promocja, kochanie.

- Dwa tysiące klientów nagle wymieniło się łazienkami. Ktoś nawet zginął!

- To się zdarza niezwykle rzadko.

- No, ale wyobraź sobie, Pysiu, że biorę prysznic, wracam do sypialni, a tam jakiś, powiedzmy, Chińczyk. Zamiast ciebie.

- Teraz tym bardziej będą uważać. Tam można dodatkowo oszczędzać, wyłączając na

noc teleport do garażu albo na taras. Jest też opcja wspólnej jadalni z rodziną z innej strefy czasowej. Słyszałem, że to bardzo sympatyczne. Ludzie zostawiają sobie czekoladki i listy...

- Pysiu...

- I salę balową można mieć na jeden wieczór za połowę ceny. Nasze konto się ucieszy.

- Pysiu... Aż tak źle?

- Recesja, kochanie.

* * *

Dobiegające zza ściany odgłosy kłótni po rosyjsku były wyjątkowo głośne.

- Myślałam, że ściany budynków na Manhattanie są grubsze - stwierdziła Stefańska.

- Taaak, przeniesiemy się gdzie indziej, chyba. - Krystyna szukała wzrokiem pomocy ze strony męża rozmawiającego w salonie ze Stefańskim.

- Jacy ci Rosjanie muszą być bogaci! - ciągnęła Stefańska.

- Taka kuchnia na Manhattanie jest pewnie droga. Ile kosztuje miesięcznie wasza kuchnia?

- Ach... - Krystyna rozdziawiła usta i spojrzała na sufit, marszcząc czoło. W końcu znalazła właściwą odpowiedź. - Zapomniałam. Te rachunki, cyferki... nie mam do tego głowy.

- Szkoda, że nie macie okien... Zresztą, kuchnia z oknami to już byłaby nieprzyzwoita rozrzutność. My mamy kuchnię gdzieś w Rosji, sto metrów pod ziemią.

- Osobiście uważam, że podstawą jest hall - odezwał się Marian, pojawiając się w kuchni, co Krystyna przyjęła z wyraźną ulgą.

- Jasne - dodał Stefański, stając w progu. - Mieć hall na Beverly Hills, to jakby mieszkać na Beverly Hills! Jest takie przysłowie: tam twój dom, gdzie masz hall.

- Słyszałem, że ostatnio zlikwidowano kilkaset nielegalnych tylnych werand w Parku Yellowstone - powiedział Marian.

- To okropne, naprawdę okropne, co ci ludzie wyrabiają. - Stefańska wzniosła oczy ku górze. Zmarszczyła brwi i zaczęła się czemuś przyglądać. - Macie rosyjski żyrandol?

- Globalizacja handlu. - Marian uratował sytuację i gestem zaprosił wszystkich z powrotem do salonu. - To jeszcze nic. Ten miliarder... zapomniałem nazwiska, zapłacił straszną karę za ogród zimowy na Mount Evereście. Nakryli go jacyś ci, jak im tam...

- Outdoorowcy?

- O właśnie! Wyobraźcie sobie miny tych kolesi. Wchodzą pod górę przez dwa tygodnie, żeby na czubku postawić jakąś flagę, a tam facet w szlafroku czyta poranną prasę i popija bezkofeinową! Też bym się wkurzył.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Marian zerknął na zegar w kącie kenijskiego salonu. Każda minuta to blisko trzy dolary transferowe. Liczyć sobie potrafią, ale gum do żucia poodklejać spod blatu już nie.

* * *

- Pysiu, choć do łóżka. Nie lubię sama zasypiać.

- Jeszcze dwie minutki.

Marian nie używał automatu do mycia zębów. Cenił sobie tradycję i szczoteczka ultradźwiękowa w zupełności mu wystarczała. Wypluł wodę i, ziewając, wyszedł z łazienki. Sięgnął ręką w prawo, by zgasić światło, ale nie znalazł tam kontaktu.

Zresztą był środek dnia.

Na dywanie leżało ciało, a raczej jego część. To była górna połowa Murzyna w górnej połowie białego szlafroka. Linia cięcia przebiegała w okolicy pępka. Musiał zginąć przed chwilą, bo krew, w której kałuży stał Marian, była ciepła. Rozejrzał się. Salon letni gdzieś na Karaibach, jadalnia w Luizjanie, z sypialni dobiegał zapach... tak, to była Kanada. Żywiczny zapach lasu świerkowego. Wyszedł z kałuży i wytarł stopy o beżowy dywan.

Dziewczyna w jedwabnym szlafrocuku stojąca po drugiej stronie sypialni też była Murzynką, ale o jaśniejszym odcieniu skóry. W dłoni trzymała wysoką szklankę z drinkiem. W pomarańczę ozdabiającą brzeg szklanki wbita była papierowa parasolka. Dziewczyna patrzyła na przemian to na zwłoki, to na Mariana. Odstawiła szklankę na stolik i zniknęła w drzwiach do kuchni. Po krótkiej chwili wróciła z dużym czarnym workiem na śmieci i wręczyła go Marianowi.

- Dywan niestety do wymiany - stwierdziła. - Napijesz się czegoś?

- Coś lekkiego - właśnie kładłem się spać.

Schylił się i zaczął nasuwać worek na głowę Murzyna. Ciało co jakiś czas drgało, jeszcze nawet po tym, jak zawiązał folię na supeł.

Dziewczyna wróciła, niosąc szklankę z identyczną zawartością co jej własna. Marian pociągnął łyk i stwierdził, że połowę drinka stanowi wódka. Wyszli na taras przekryty palmowymi liśćmi. To musiały być Karaiby, albo może Hawaje. Na oddalonej o sto metrów plaży bawiło się kilkanaście osób

- Mąż? - zapytał Marian, wskazując głową worek.

- Narzeczony, ale nie mówmy już o nim.

- Nikt nie lubi wspominać smutnych wydarzeń - przytaknął.

- Pomieszkaż trochę ze mną? Teraz jestem wolna.

- Czemu nie.

Powrót konwencjonalny jest zbyt drogi, pomyślał, a podanie o czasowe przełączenie teleportu do mojej łazienki będą rozpatrywać z miesiąc.

- A najlepiej weźmy ślub, bo sąsiedzi zaczną gadać - zaproponował.

- OK, wyglądasz sympatycznie. - Dziewczyna oglądała go bezpardonowo. - Jaki podatek zapłacę od białego blondyna po trzydziestce?

- Jakies pięćdziesiąt dolców, bo dostaniemy zniżkę za politycznie poprawny związek mieszany.

* * *

- Przyznaję, zmiana operatora to była błędna decyzja. Niestety, stan mojego konta nie dawał wyboru.

- Wiem, to nie twoja wina. Ale przyznasz, że los nie jest uczciwy, Pysiu. Ty na przykład dostałeś głowę, a u mnie zostały nogi.

- Nie przesadzaj. Nogi nie są gorsze od głowy.

- Czy ja wiem... Nogi są takie... bezosobowe.

- Z tą głową też sobie nie pogadałem. Bardzo się przestraszyłaś, kochanie?

- Przez chwilę za drzwiami nic nie było.

- Było ciemno?

- Nie. Ani jasno, ani ciemno. Nic.

- Muszę kończyć, kochanie, bo nie starczy mi pieniędzy na podatek od tej czarnej. Jak porozmawiamy jeszcze pięć minut, będę mógł zapłacić tylko za niską Chinę.

- Mogłeś powiedzieć, że lubisz brunetki. Bym się przefarbowała.

- Ona ma czarne włosy i czarną skórę.

- Uważasz, że jestem zbyt blada?

- Nie rozpamiętujmy tego, kochanie. Co było, to było.

- Tak, masz rację, Pysiu. Muszę chyba poznać kogoś twojego wzrostu, bo po mojej stronie została cała szafa twoich ubrań. Szkoda tak wyrzucać... Och! W kieszeni szlafroka jest moja książka. Prześlesz mi pocztą?

- Oczywiście, kochanie. Na adres sypialni?

- Oj, nie! Tutaj w Szwajcarii nie ma przystojnych listonoszy. Do garderoby prześlij, Pysiu. Zresztą lubiałam ją czytać w Paryżu. Nie zapomnisz, co? To... buźka.

Warszawa 2001

Szczelina

Szyny błyszczały w zimnym świetle białych jarzeniówek. Gdzieś w głębi tunelu metal zazgrzytał o metal. Czuło się zapach zużytego smaru i czegoś jeszcze. Zapach kolejowy. Dworzec Centralny w Warszawie, szósta po południu. Jesień, choć tu, pod ziemią, nie miało to znaczenia. Kilkanaście osób na peronie. W tunelu pojawił się znajomy trójkąt świateł, rysując przed sobą po szynach żółte linie. Adrian Romer rozejrzał się, ciekaw, kto będzie siedział z nim w przedziale. Podczas podróży takiej jak ta, samotność nie jest wskazana.

Gdy pociąg, z przejmującym piskiem hamulców, zatrzymał się, Adrian jako jedyny wsiadł do wagonu. Opadł na fotel przy oknie, przodem do kierunku jazdy - sam wybrał to miejsce, podsuwając kilka dni wcześniej zdziwionej kasjerce wyrysowany schemat pociągu z zakreślonym fotelem. Nigdy nie był zbyt dobry z matematyki, ale do tych obliczeń przyłożył się solidnie. To było TO miejsce w TYM pociągu - łoża honorowa kontestatora rzeczywistości.

Trzy minuty później tablica informacyjna z numerem peronu, chromowane obudowy ruchomych schodów i granitowe filary odjechały powoli w tył. Zrobiło się ciemno i głośno, gdy pociąg wjechał do tunelu średnicowego. Adrian wstał, żeby zamknąć okno. Światło zapaliło się dopiero teraz, zalewając przedział jasnością i zamieniając czarne okno w lustro. Adrian zobaczył swoje odbicie. Za nim stała chuda postać o jasnych włosach. Odwrócił się gwałtownie.

- Dzień dobry. - Dziewczyna była zaskoczona jego miną. - Nie bój się, nie chciałam cię wystraszyć.

- Nie boję się - odpadł lekko urażonym tonem. Automatycznie sięgnął po jej plecak i wrzucił go na półkę. Miał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Postanowił odczekać, nim spróbuje nawiązać rozmowę. Dziewczyna usiadła naprzeciwko. Była szczupła, nawet zbyt szczupła, ale zgrabna. Musiała być nieco młodsza od niego - wyglądała na dwadzieścia lat. Było w niej coś, co przywodziło na myśl skojarzenia z... niezmierną lekkością. Muza poetów, ten typ. Nie, nie podobała się Adrianowi jakoś szczególnie, choć to właściwie niewiele zmieniało, zważywszy na jej obojętność. Miała na sobie jasne jeansy i długi, niemal biały, rozpinany sweter. Z torby na ramię wyciągnęła oprawiony w skórę notes i długopis. Zastanowiła się, wkładając końcówkę długopisu do ust i zaczęła pisać w takim tempie, jakby

ktoś wewnątrz jej głowy dyktował słowa.

Zatrzymali się na Dworcu Zachodnim. Zaraz potem otworzyły się drzwi przedziału. Facet miał pięćdziesiąt parę, może sześćdziesiąt lat. Dokładnie sprawdził numer miejsca na bilecie i na tabliczce nad fotelem, po czym schował bilet do kieszeni. Adrian westchnął. Pociąg prawie pusty, w jego przedziale samotna dziewczyna, a ten musiał się wtrzytnąć właśnie tu.

- Dzień dobry - dopiero teraz przywitał się nowy pasażer, uchylając kapelusza.

Zdjął płaszcz i powiesił go za sobą. Skórzaną walizeczkę z pewnym wysiłkiem umieścił delikatnie na półce i zajął miejsce od strony korytarza. Miał szpakowate włosy i krótką, siwą brodę. Wyglądał jak profesor starej daty.

- Piękna noc. - Delikatnie uśmiechnął się.

Adrian zerknął za okno, na boleśnie brzydki, oświetlony zniżającym się słońcem peron.

- Piękna - przyznał bez przekonania.

- Miałem na myśli noc, która nadejdzie - wyjaśnił profesor. - Czeka nas piękna noc.

Adrian pokiwał uprzejmie głową i przeniósł wzrok na dziewczynę pokrywającą równym pismem kolejne strony w notesie. Modlił się w duchu, by facet nie okazał się świrniętym gawędziarzem, który nie dość, że zrujnuje jego plan zawarcia nowej znajomości, to jeszcze zamieni trzyipółgodzinną podróż w koszmar.

Dziewczyna uniosła głowę, napotykając jego spojrzenie.

- Piszę wspomnienia - powiedziała. - Te najnowsze.

- Nie zaczekasz do emerytury? - zapytał Adrian i ugryzł się w język. Nie w ten sposób, nie w ten sposób...

- Nigdy nie wiadomo, jak skończy się ta podróż. - Uśmiechnęła się przelotnie i wróciła do pisania.

Pociąg ruszył, a drzwi przedziału otworzyły się ponownie i do środka weszła elegancka czterdziestolatka. Ciągnęła za sobą małą walizkę na kółkach. Była zadbana i gdyby nie sieć delikatnych zmarszczek na twarzy, mogłaby uchodzić za trzydziestolatkę. Miała długie, proste, czarne włosy.

- Dzień dobry - zwróciła się głównie do Adriana. - Pomoże mi pan?

Chłopak zerwał się i włożył walizeczkę Samsonite na półkę. Kobieta zdjęła czarny wełniany płaszcz, odsłaniając czerwony żakiet. Usiadła na wprost profesora, rozprostowując nieistniejące fałdy na czarnych dopasowanych spodniach. Drzwi rozsunały się kolejny raz i do przedziału wcisnęła się otyła kobieta z tlenioną koafiurą. Bez słowa wrzuciła

niewielki plecak na półkę i, posapując z wysiłku, usiadła między jasnowłosą a elegantką. Miała dobrze ponad pięćdziesiąt lat, nosiła grube okulary i wyglądała jak... zaniedbana wróżka, przepowiadająca przyszłość z fusów i kart na kiepskich kanałach telewizyjnych po północy. Od razu wyciągnęła pomięte pisemko i zaczęła rozwiązywać krzyżówkę.

Pociąg pokonał kilkadziesiąt zwrotnic i dalej przyspieszał niemal bez wstrząsów.

- Podróż pociągiem ma pewien niezaprzeczalny urok - odezwał się profesor. - Kawalek cywilizacji mknący przez dzikie pola, nieprzyjazne gęstwiny i mroczne tunele.

Adrian zgrzytnął zębami:

- Na trasie tego Intercity nie ma już żadnego tunelu.

Za oknem przesuwały się gęsto zabudowane przedmieścia. Dzieci bawiły się w ogródkach, mamy zносиły do domu pranie, ojcowie myli samochody. Amerykańska pocztówka niemalże. Pomijając dyskretną mizериę architektury i estetyki detali.

- Podróż pociągiem zawsze wzbudza we mnie dreszczyk emocji - ciągnął uparcie profesor. - Cienka szyba oddziela nasze przytulne schronienie od licznych niebezpieczeństw, znanych i nieznanym, czających się w ciemnościach.

Adrian z trudem się powstrzymał, by nie powiedzieć starszemu panu czegoś niemiłego.

Następne pół godziny spędzili w milczeniu. Blondyna zapisała z dziesięć kartek, wróżka zasnęła nad krzyżówką, elegantka siedziała, jakby wyłączyła świadomość, a profesor zdawał się drzemać. Jednak gdy słońce dotknęło horyzontu, nadzieje Adriana na spokój prysły.

- Świat, którego nie znamy, o którym nie mamy pojęcia jest tuż obok nas. - Profesor nie dawał za wygraną. - Granica między tym, co uznajemy za rzeczywiste i normalne a całą resztą, której podświadomie się boimy, której nie chcemy lub nie potrafimy poznać, jest cienka i krucha jak ta szyba. Tłucze się niezwykle rzadko, a jednak każdy potrafiłby ją rozbić. Cóż nas przed tym powstrzymuje?

- Świadomość konsekwencji. - Elegancka kobieta obudziła się z letargu. - Dlaczego pan to opowiada? Próbuje nas pan nastraszyć?

- Jesteśmy przekonani, że jak kupiliśmy bilet - profesor jakby nie usłyszał pytania - bilet pierwszej klasy, to kupiliśmy też bezpieczeństwo i niepodważalne prawo, by nie spotkało nas nic niezrozumiałego, nic, co zakłóciłoby naszą spokojną podróż. Tymczasem jest inaczej. Cywilizacja i gwarancja bezpieczeństwa to krótkotrwałe zjawiska, niepewne jak bańka mydlana na wietrze. Sam doświadczyłem na własnej skórze, jak bezpodstawna jest nasza wiara w potęgę nauki i w niezmienną pewników naszej egzystencji. Ale pani wydaje

się być czymś zdenerwowana.

Czarnowłosa kobieta patrzyła na niego, marszcząc brwi i myśląc nad czymś intensywnie. Nerwowo skubała skórkę przy paznokciu. Adrian wyjął z kieszeni kurtki książkę. To zawsze wygodne; można się całkiem wyłączyć, gdy rozmowa staje się zbyt nudna.

Tymczasem słońce skryło się za horyzontem, a ciężkie, ołowiane chmury stłumiły złoty poblask. Zmierzch był krótki i zdecydowany. W miarę jak robiło się ciemniej, Adrian poczuł dziwny, podskórny niepokój. Pociąg nie jechał już przez miasto, nie było widać nawet wiosek. Tylko czasem, w oddali mignęło jakieś światełko.

- Przydarzyła mi się pewna historia, której nie umiem wyjaśnić - powiedziała po długim namyśle kobieta. - Zmieniła całe moje życie. Można powiedzieć, że postawiła je na głowie.

- Z chęcią posłuchamy - odezwała się niespodziewanie dziewczyna, zamykając notes. Urwała zapiski chyba w połowie zdania.

- Dobrze, opowiem ją, ale najpierw muszę się napić kawy. Gdzie jest wagon restauracyjny? - Spojrzała na Adriana.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - odparł i odłożył książkę. - Możemy kogoś zapytać albo poczekać na zakręt i... wyrzecz.

- Zaryzykujemy spacer do przodu - powiedziała w taki sposób, jakby to rzeczywiście było ryzykowne. Wstała, otworzyła drzwi i wyczekująco spojrzała na chłopaka.

Manipulatorka, pomyślał, wstając. Pociąg ział pustką. Kolejne przedziały były zamknięte i ciemne, przeważnie miały zaciągnięte zasłony. Kierunek poszukiwań okazał się właściwy. Trzy wagony dalej była restauracja. Również pusta. W ponurym świetle żółtawych neonówek, w drugim końcu wagonu za barem tkwił smutny mężczyzna. Bujał się w rytm minimalnych nierówności torów i gapił bezmyślnie przed siebie.

- Espresso - powiedziała kobieta do Adriana, kolejny raz wymuszając zajęcie się jej osobą. Usiadła przy stoliku w połowie wagonu.

Barman usłyszał i bez słowa postawił poobijany aluminiowy czajnik na palniku kuchenki gazowej. Taki początek przygotowywania kawy nie wróżył nic dobrego.

- Dla mnie cappuccino - zamówił mimo to Adrian. Ściszył głos - czy ten pociąg zawsze jest taki pusty?

Mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Ten, tak - odparł.

Ustawił dwie filiżanki obok kuchenki i mierząc na oko, nasypał do nich coś z

tekturowych pudełek. Zalał wodą, która akurat zdążyła się zagotować.

Adrian zapłacił i zaniósł dwie filiżanki do stolika.

- Marlena - przedstawiła się kobieta, wyciągając dłoń ułożoną do rytualnego pocałunku.

- Adrian - potrząsnął jej ręką, po namyśle jednak musnął delikatnie ustami.

Marlena westchnęła. Obdarzyła go powłóczyстым spojrzeniem i sięgnęła po filiżankę.

- Lura - podsumowała z pogardą pierwszy łyk. - Nic się nie zmieniło przez te wszystkie lata.

Adrian spróbował swojego cappuccino. Miał ochotę wypluć. Barman chyba nigdy nie słyszał o spienionym mleku i szlachetnej sztuce parzenia kawy.

Kobieta wyciągnęła z torebki srebrną piersiówkę, odkręciła i podała Adrianowi.

- Jack Daniel's - mruknęła zachęcająco.

Chłopak ostrożnie spróbował, po czym przełknął spory łyk. Alkohol gryzł w gardło. Adrian przywykł raczej do piwa. Kobieta pociągnęła wprawnie z piersiówki. Uśmiechnęła się.

- Dlaczego wsiadłeś do tego pociągu? - zapytała.

- Dlaczego? Chcę dojechać do Krakowa.

Odwrócił głowę i spojrzał na własne odbicie w szkle. Czarna sylwetka na niewiele jaśniejszym tle. Wiedział, że pytała o co innego, ale nie chciał o tym rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Pozostawili filiżanki z niedopitą kawą na stole. W przejściu między wagonami chłopak uchwycił spojrzenie kobiety. Była w nim jakaś... nadzieja, może prośba.

- Udało się nam wrócić.

Zanim weszli do przedziału delikatnie uśmiechnęła się i popatrzyła mu prosto w oczy. Nie wiedział, co miałyby to oznaczać. Otworzyła drzwi. Wchodząc, przerwali, zdaje się, rozmowę. Dziewczyna sięgnęła po swój notes i zaczęła przeglądać zapisane ostatnio kartki. Wróżka drzemała z otwartymi ustami, wydając niepokojące dźwięki. Adrian, zanim usiadł, próbował wyjrzeć przez okno, ale w zupełnych ciemnościach nic nie było widać. W dole nie było już nasypu ani podkładów kolejowych, w górze nie było nieba. Pozostała tylko noc.

- Jest pan ciekaw, dokąd jedzie ten pociąg? - zapytał profesor. - Owszem, wyjechał z Warszawy jako pociąg do Krakowa, ale teraz to już nie jest pociąg do Krakowa.

Adrian wyciągnął z kieszeni bilet i zmarszczył brwi. W rubryczce z nazwą stacji docelowej brakowało nazwy miasta. Czy przedtem też była pusta? Zaskoczony, wpatrywał się w bilet, po czym pokręcił głową i schował go do kieszeni.

- Dryfujemy, ocierając się o tajemnicę - kontynuował monotonnym głosem profesor. -

W każdej chwili możemy potknąć się, zachwiać i wejść w strefę cienia. Czyż nie dlatego wsiedliśmy do tego pociągu? Zauważyliście, że jest niemal pusty, a mimo to siedzimy razem w jednym przedziale?

- Podobno z pociągu, który ma ulec katastrofie, już kilka stacji wcześniej zaczynają wysiadać podróżni - powiedział Adrian.

- Na Boga! - odezwała się nagle Marlena. - Nie udawajmy dłużej! Żadne z nas nie jedzie do Krakowa! Wszyscy doskonale o tym wiemy.

Spojrzeni na nią zaskoczeni.

- Może zatem opowie nam pani swoją historię? - zaproponował profesor.

Marlena mimowolnie znów zaczęła skubać skórę przy paznokciu.

- Dobrze - odparła po namyśle. - Wydarzyła się w tym samym pociągu, piętnaście lat temu. Dokładnie piętnaście lat temu. Miałam wtedy dwadzieścia trzy lata... byliśmy tydzień po ślubie. Jechaliśmy do Zakopanego na weekend miodowy. Nie dostaliśmy urlopów, więc nie mógł to być miesiąc. Pociąg był niemal pusty, jak teraz... Poszliśmy szukać Warsu. Zaryzykowaliśmy wyprawę na tył pociągu, restaurację znaleźliśmy trzy wagony dalej. Kawa była równie paskudna jak dziś, choć wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że może być lepsza. Pokłóciliśmy się, mniejsza o co. Marian uciał dyskusję, zamówił piwo i powiedział, że chce zostać sam, żeby parę spraw przemyśleć. Wróciłam do naszego przedziału i zdrzemnąłam się. Gdy się obudziłam, pociąg jechał przez tunel, a mojego męża nadal nie było. Nie lubił alkoholu - jedno piwo z pewnością mu wystarczyło. Powinien je już dawno skończyć i wrócić. Zauważyłam też, że zniknął jego bagaż. I ślubna obrączka z mojego palca. Byłam pewna, że nas okradziono. Poszłam sprawdzić, co się dzieje. Dotarłam do drzwi łączących nasz wagon z następnym, ale tam były już tylko tory. To był ostatni wagon.

- Może pozostałe odczepili, gdy spałaś? - zaryzykował Adrian. - Często pociąg jest dzielony na trasie i część wagonów jedzie do innego miasta.

- To byłyby takie proste - przyznała Marlena. - O tym samym zresztą pomyślałam, choć najpierw sądziłam, że wagony odczepiły się w trakcie jazdy albo że zrobili to ci złodzieje. Ale nie, nie było innych wagonów, nie odczepiły się ani nie zostały odłączone. W ogóle ich nie było. Konduktor mnie wyśmiał. Na policji też mi nie wierzyli, w dowodzie osobistym nadal przecież miałam wpisany stan cywilny „panna”. Wiele ludzi przez lata tego nie zmienia. Wróciłam do Warszawy, do moich rodziców, gdzie mieszkaliśmy z Marianem w małym pokoju. Opowiedziałam o wszystkim, oczekując, że nagle wszystko się zmieni, wyjaśni. Ojciec chwycił mnie za ramiona, potrząsnął i powiedział: „Co ty wygadujesz?! Jaki Marian? Nie masz przecież żadnego męża”. Wyglądało to na jakąś znowu, koszmarny żart.

Rodzice nie przepadali za Marianem i zaczęłam ich podejrzewać o najgorsze. Przeszukałam cały pokój, ale były tam tylko moje rzeczy. Wyprowadziłam się od rodziców i zerwałam z nimi kontakty. Następny miesiąc poświęciłam na przeszukanie wszystkiego, gdzie mógłby być jakiś ślad: urząd stanu cywilnego, archiwa szkolne, dokumenty z jego firmy, zdjęcia z przyjęć, wycieczek. Nic nie znalazłam, przepadły nawet książeczka mieszkaniowa i nasze wspólne konto w banku. Ktoś perfekcyjnie zatarł wszelkie ślady istnienia mojego męża. Ale ja nie dawałam za wygraną i w końcu zdobyłam akt urodzenia. To był pierwszy dowód na jego istnienie! Znalazłam aktualny adres moich teściów - w ich starym mieszkaniu byli obcy ludzie. Pojechałam do Sosnowca, do małego mieszkania w starej kamienicy. Nie poznali mnie, patrzyli jak na wariatkę, a przecież dopiero co byli na naszym ślubie! Matka Mariana zaczęła płakać i wyszła z pokoju. Ojciec wypchnął mnie za drzwi. W progu powiedział jeszcze, że ich syn, Marian, zginął, jak miał trzy latka.

Patrzyli na nią w milczeniu.

- Wagon restauracyjny chyba nigdy nie jest dołączany na końcu - odezwał się Adrian.

- Teraz już wiem - odparła Marlena, ścierając chusteczką łzę, zanim ta zdążyła rozmazać jej tusz. - Wiem, że trzeba iść w kierunku przodu pociągu.

- Na trasie Intercity naprawdę nie ma żadnego tunelu. Jechałem do Krakowa wiele razy...

- Ale nie tym pociągiem - mruknęła jasnowłosa i wróciła do swoich notatek.

Marlena spuściła wzrok, jakby zdradziła zbyt wiele, zbyt osobistych sekretów. Zaraz jednak uniosła głowę. Zapatrzyła się w okno, choć za sprawą ciemności tak naprawdę obserwowała odbicie Adriana.

Wróżka mlasnęła przez sen i znów rozdziawiła usta.

- Może ty opowiesz nam swoją historię - odezwał się Adrian do jasnowłosej.

- Moja historia dopiero się toczy - odparła dziewczyna, podnosząc wzrok znad notesu.

- Zapisuję ją na bieżąco, żeby niczego nie zapomnieć.

- Piszesz to, co się akurat dzieje? - zapytał ze zdziwieniem Adrian.

Przytaknęła i powróciła do notatek.

- Poznacie tę historię przed świtem - dodała ciszej.

- Ten pociąg jedzie nieco ponad trzy godziny - słabo zaprotestował Adrian. - Za godzinę i kwadrans powinniśmy być w Krakowie.

- Jeśli rzeczywiście za godzinę i kwadrans dotrzemy do Krakowa - odezwał się profesor - będzie to znaczyło ni mniej, ni więcej, że wyobraźnia nas nieco poniosła. Dokładne notatki też nie będą nam do niczego potrzebne, bo wszystko, co nastąpi, przeżyjemy i

zapamiętamy osobiście.

Adrian spojrział na niego badawczo, po czym dyskretnie zerknął na zegarek. Godzina i kwadrans.

Pociąg szarpnął na nierówności torów i wszedł w łagodny zakręt. Adrian wstał i uchylił okno. Zimny podmuch powietrza rozwiął mu włosy. Chłopak widział lokomotywę i kilka wagonów z nielicznymi jasnymi oknami. Tylko w restauracyjnym wszystkie okna jaśniały na żółto. Dzięki temu mógł zobaczyć, że jadą przez las.

- Zimno! - zaprotestowała jasnowłosa.

Zamknął okno i przyklepał dłonią fryzurę.

- Pociąg naprawdę wygląda na niemal pusty - powiedział.

- Każdy z nas znalazł się w tym pociągu z jakiegoś konkretnego powodu - wyjaśnił profesor. - Każdy z nas inaczej do tego doszedł, ale każdy odkrył, o który pociąg chodzi. I to jest TEN pociąg.

- Przepraszam - zwrócił się do niego Adrian. - Czy mógłby się pan wyrażać jaśniej?

W tym momencie z zewnątrz dobiegł głośniejszy szum i stukot. Za oknem coś zaczęło łopotać, odbijając światło jarzeniówek, jakby wielka szmata uczepliła się ściany wagonu. Adrian cofnął się odruchowo, ale po chwili zrozumiał.

- Tunel - szepnęła ledwo dosłyszalnie Marlena. Jej usta lekko drżały.

- Już wkrótce otrzyma pan swoje wyjaśnienie - dodał szybko profesor.

Zgasło światło. Zapadły ciemności, ale nikt się nie poruszył ani nie odezwał. Pociąg kołysał i stukał kołami na częstszych łączeniach szyn. Zaciemnienie trwało nie dłużej niż pół minuty. Jarzeniówki zamigotały i zalały przedział białym światłem.

Miejsce naprzeciwko Adriana było puste. Na fotelu leżał jej notes, otwarty na zapisanej do połowy kartce. Adrian poderwał się, szarpnął drzwi i wychylił głowę na korytarz. Pusto.

- Gdyby tędy wyszła, usłyszelibyśmy odgłos otwieranych drzwi - profesor zachowywał stoicki spokój. - Rolki piszcza.

- Czy ona zniknęła? - przerażony Adrian patrzył na Marlenę. - Tak jak twój mąż?

Kobieta była blada. W przeciwieństwie do profesora, nie wyglądała na kogoś zadowolonego z rozwoju sytuacji.

- Został jej notes i bagaż - odparła cicho - i wciąż czuję jej perfumy.

- Ona nie zniknęła - odezwał się profesor. - Nadal jest gdzieś w pociągu. No cóż, w taką podróż wkalkulowane jest ryzyko.

Raptownie zrobiło się cicho - wyjechali z tunelu.

- Więc już po wszystkim? - zapytał Adrian, wracając na swoje miejsce.

- Wprost przeciwnie. To dopiero początek.

- Zatem pójde sprawdzic, gdzie ona sie... przeniosla.

- Nie idz! - krzyknęła prawie Marlena, ale natychmiast poczuła się zakłopotana swoją reakcją.

- Zaraz wrócę - powiedział Adrian i wyszedł na korytarz.

Zasunął za sobą drzwi i odetchnął. Profesor męczył go.

Chłopak rozejrzał się. Zaczynał podejrzewać, że wpakował się w historię, która może go przerosnąć. Mając w pamięci opowieść Marleny, irracjonalnie zdecydował, że pójdzie w kierunku przodu pociągu. Mijał kolejne ciemne przedziały. Z początku pukał i otwierał drzwi tylko po to, by się przekonać, że w środku nikogo nie ma. Potem otwierał drzwi bez pukania, aż wreszcie przestał sprawdzać. Z tego co pamiętał, kilka świateł paliło się przed wagonem restauracyjnym. Przypomniawsobnie, że na Centralnym na pociąg czekało ponad dziesięć osób.

Dotarł do restauracji. Pusto, nawet barman gdzieś zniknął. Adrian zawahał się. Dalsza część pociągu wydawała mu się obcym światem.

Nawet jeśli spotka tam jasnowłosą, co powinien zrobić? Kazać jej wracać? Trzeba chyba przydybać konduktora i zadać mu proste pytanie: „Dlaczego przejechaliśmy tunel, skoro na tej trasie nie ma tuneli?”.

- Sam się w to wpakowałeś, miej pretensję do siebie - szepnął i wszedł na kołyszący się pomost następnego wagonu.

Wrzask, wyszczerzone zęby, przerażone oczy. Adrian ledwo zdążył usunąć się z drogi. Ten... ktoś minął go i wpadł do wagonu restauracyjnego. Adrian zaczekał, aż puls wróci do normy i obejrzał się. Pusto. Do Krakowa została godzina. Teoretycznie. Pociąg nigdzie nie stał na czerwonym świetle, więc nie powinien być opóźniony. Tunel... może nie pamiętał trasy tak dokładnie? Wszystko wyjaśni się w Krakowie. Teraz trzeba przeczekać tę godzinę. A potem opisać i zapomnieć.

Nie zdecydował się na krok do nieznanego wagonu. Zawrócił, wybierając raczej spotkanie z szaleńcem. Dotarł jednak do przedziału, nikogo nie napotykając.

Profesor i Marlena patrzyli jakby zdziwieni, że udało mu się wrócić.

- Zapomniałem powiedzieć, że nie chodzi o dosłowne przeniesienie się - rzucił tajemniczo profesor. - To raczej... eh, brak odpowiedniego słowa, na określenie tego, co się z nią stało.

- Zobaczmy te jej zapiski - Adrian sięgnął po czarny notes.

- Może lepiej nie - zaprotestowała nieśmiało Marlena. - To jej prywatny pamiętnik.

- Przecież tu chodzi o jej bezpieczeństwo - zauważył Adrian. - I nie tylko jej. Przed chwilą jakiś szaleniec omal mnie nie staranował. Przebiegał tędy?

Marlena zaprzeczyła.

- Więc siedzi teraz w którymś przedziale między nami a wagonem restauracyjnym.

Sięgnął obok profesora i przekręcił zameczek w drzwiach. Potem otworzył notes i przeczytał na głos ostatnie zdanie:

- „Chyba już pora, by dotknąć tajemnicy”. - Spojrzał pytająco na Marlenę i profesora.

- Więc ona wiedziała?

- A pan nie? - odpowiedział pytaniem profesor. - Dlaczego pan tu jest?

- Wyliczyłem, który to ma być pociąg - przyznał Adrian - ale spodziewałem się... sam nie wiem czego. A pan? Jak pan tu trafił?

- Podróżuję.

Adrian odniósł wrażenie, że słowo to, wypowiedziane w tym pociągu, znaczy daleko więcej niż zwykle. Przekartkował notes do początku. Pobieźnie przerzucając kartki, znalazł fragment dotyczący swojej osoby: „Przystojny brunet, może ze dwadzieścia trzy lata. Chyba przestraszyła go, wchodząc do przedziału. Wygląda na miłego, więc podróż też powinna być miła. Jeśli oczywiście zdecyduję się dotrzeć do jej końca. Ciekawe, czego on tu szuka”. Adrian zastanowił się. Może nie odrobił dostatecznie dobrze pracy domowej? Odkopał wiele materiałów o Szczelinie, znalazł nawet wzory pomagające ustalić początek kolejnej. Nie spodziewał się jednak, że może to wyglądać w ten sposób.

Przeczytał dwie kolejne strony.

- Napisała coś o grubej kobiecie, siedzącej obok ciebie - powiedział, zerkając na puste miejsce obok Marleny. - Czy to możliwe, żebyśmy jej nie zapamiętali? A jeśli znikła jak twój mąż, to dlaczego nie wymazało jej z tego notesu?

- Ja go pamiętam...

- Ludzie ciągle znikają z naszego życia, a pojawiają się inni - odezwał się profesor i lekki uśmiech powrócił na jego usta. - Wczoraj miałeś brata, dziś już nie masz. Jutro może będziesz miał siostrę albo sam przestaniesz istnieć. Ten świat wciąż jest w ruchu, wszystko się przestawia jak w skomplikowanej, żywej łamigłówce.

- A pan się nie bał, że sam zniknie? - zapytała Marlena.

- Może wiedziałem, gdzie usiąść? - Profesor uśmiechnął się szerzej. Nie sposób było się domyślić, czy mówi poważnie. - Zresztą to tak, jakby się bać następnego uderzenia serca. Mam na ten temat parę przemyśleń, ale proszę mi pozwolić nieco pokoncypować, nim powiem coś więcej.

- Co powinniśmy zrobić?
- Czekać. Jak jest pociąg, to powinna być i stacja.
- Kiedy do niej dojedziemy? - zapytał Adrian.

Profesor wzruszył ramionami.

- Nie mam aktualnego rozkładu jazdy.

Adrian odniósł wrażenie, że facet bawi się ich kosztem.

Nagle za drzwiami ktoś przebiegł, aż zadrżała podłoga. Chłopak poderwał się i szarpnął za drzwi. Nie ustąpiły. Profesor usłużnie przekręcił zameczek. Adrian wychylił głowę na zewnątrz, ale było już za późno.

- W którą stronę biegł? - zapytał.

Profesor znów wzruszył ramionami. Adrian zasunął drzwi, usiadł i miał już coś powiedzieć, gdy raptem drzwi otworzyły się ponownie. Marlena krzyknęła i zasłoniła się rękoma. Adrian też odruchowo drgnął, opierając się o ścianę.

- Dzień dobry - powiedział konduktor mechanicznym głosem. - Poproszę bilety do kontroli.

Profesor sięgnął do kieszeni i podał swój bilet. Adrian zamrugał nerwowo i też podał swój. Tylko Marlena, blada jak papier, wpatrywała się w konduktora z przerażeniem. Wyglądał niby normalnie, jak zwykły konduktor, choć w jego postaci narzucała się jakaś nieuchwytna, nieokreślona niechlujność. Postawny mężczyzna w niebieskim mundurze, ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię, mógł mieć jakieś pięćdziesiąt lat. Patrzył w przestrzeń jak ktoś, kto się zamyślił. Nie był jednak zamyślony - z pewnością chodziło o coś innego. Musiał istnieć inny powód, dla którego nie mógł patrzeć nikomu w oczy.

- Lepiej niech pani poda ten bilet - powiedział cicho profesor.

Kobieta ocknęła się i sięgnęła do torebki. Drżącą ręką podała wymięty bilet konduktorowi. Ten wziął go dziwnie mechanicznym ruchem i maznął znaczek długopisem.

- O której godzinie dojedziemy do najbliższej stacji? - zapytał Adrian.

Profesor spojrzał na niego, mrużąc oczy.

- Pociąg jest opóźniony - odparł konduktor, patrząc w swoje odbicie w szybie.
- Czyli o której dojedziemy? - naciskał Adrian, nie rozumiejąc spojrzenia profesora.
- Pociąg jest opóźniony - powtórzył konduktor nieco głośniej.

- Ale ja pytałem... - Adrian nagle zamilkł, widząc, jak niebieski garnitur napina się. Wyglądało to, jakby konduktor powiększył się. Wrażenie niechlujności nasiliło się, zbliżając się niemal do granicy obrzydliwości.

- Pociąg jest opóźniony!!! - ryknął, odwrócił się na pięcie i z hukiem zasunął drzwi.

Marlena cała się trzęsła. Wyciągnęła z torebki papierosa. Adrian szybko sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i podał jej ogień.

- To, co pan zrobił, było niebezpieczne - wycedził profesor.

- Staralem się dowiedzieć czegoś o naszym położeniu - odparł Adrian, mimowolnie wpadając w przeproszający ton.

- Są ludzie, którzy badają krokodyle, ale to nie znaczy, że sami wpychają im ręce do paszczy. Niech pan myśli o możliwych konsekwencjach swojego postępowania.

- Czy wobec tego palenie jest rozsądne?

- Opóźniony!!! - dobiegło jeszcze z końca korytarza.

Marlena drgnęła i złapała się poręczy fotela. Minęło jeszcze kilka minut, nim się uspokoiła. Papierosa wypaliła, łapczywie wciągając dym.

Adrian wyjrzał przez okno - wciąż jechali przez las.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - zapytał. - Musieliśmy gdzieś skrócić, zjechać z trasy. Ktoś to musiał zauważyć. W Polsce nie ma bezpieczeństwa torów kolejowych... tak długich.

Zamiast odpowiedzieć, profesor wyciągnął z kieszeni małą fajkę podróżną, starannie nabił ją tytoniem i przypalił. Miły aromat w kilka chwil zabił smród papierosa.

Adrian zrozumiał, że nie otrzyma odpowiedzi. Jednocześnie poczuł, że pociąg wyraźnie zaczął zwalniać. Odstępy pomiędzy stuknięciami kół wydłużały się, kołysanie słabło. Chwilę później wolno wtoczyli się na stację. Wyglądała jak typowa polska stacyjka, gotowa scenografia do europejskiej wersji Mad Maxa. Krzywe prefabrykowane profile z trudem wyznaczające krawędź peronu, dalej rozdeptany żwir i rachityczne krzaki. Tabliczka z nazwą pokryta resztkami złuszczonej farby - nie dawało się rozpoznać ani jednej litery. Pomarańczowe latarnie oświetlały zaledwie najbliższe otoczenie pociągu. Dalej, za gęstwiną starych drzew, na tle granatowego nieba z wyglądającym zza chmur księżycem w nowiu, piętrzyły się na wysokość co najmniej pięćdziesięciu pięter trzy wieżowce, niepasujące w najmniejszym stopniu do małej stacji. Na wyższych piętrach zółciło się pracowicie kilka prostokątnych okien. Niższe dachy z licznymi kominami niewątpliwie należały do znacznie starszych budynków.

Adrian wstał i narzucił kurtkę.

- Chce pan dojechać do Krakowa? - zapytał profesor, łapiąc go za rękaw.

- Mogę chyba kupić gazetę? - chłopak delikatnie wyswobodził łokieć.

Profesor ustąpił, po raz pierwszy od początku podróży niezbyt pewny swego. Dodał jeszcze:

- Nie próbowałem nigdy robić czegoś takiego. Będzie to... ciekawe doświadczenie, oczywiście jeśli się panu uda wrócić. Ale im dalej od pociągu, tym mniej realny będzie świat. Jeśli ruszymy, nic już nie da się zrobić.

Marlena tym razem nie próbowała go zatrzymywać, przypaliła kolejnego papierosa i tylko patrzyła na chłopaka w napięciu. Adrian przeszedł korytarzem, otworzył drzwi. Żwir zachrząścił pod butami najnormalniej na świecie, ale chłopak poczuł się trochę, jakby wyszedł na oświetlony pas startowy dużego lotniska chwilę przed lądowaniem Jumbo Jeta. Odetchnął głęboko chłodnym powietrzem i rozejrzał się. Była to jedna z tych chwil, w których strach wykonać choćby jeden ruch, by wszystkiego nie zepsuć albo nie doprowadzić do katastrofy. Po czarno-granatowym niebie z jaskrawymi migoczącymi gwiazdami wolno sunęły ciemne chmury z podświetlonymi krawędziami. Widać było nawet smugi kondensacyjne pozostałe po przelocie odrzutowca. Księżyc świecił tak jasno, że w jego blasku można było dostrzec pojedyncze liście na drzewach. Adrian pomyślał, że stojące dalej domy są jedynie płaskimi dekoracjami, jak w teatrze. Tym bardziej, że nie przypominał sobie, aby w Polsce istniały podobne budynki. Odsłonięty przez chmurę księżyc oświetlił dokładniej detale odległych rynien, gzymsów oraz równe rzędy ciemnych w większości okien wieżowców. Jeśli była to makieta, wykonano ją perfekcyjnie. Adrian zorientował się, że jednak coś się tu nie zgadza. Rozejrzał się. Peron był pusty, nigdzie nie dostrzegł jakiegokolwiek przejścia łączącego stację z miastem. Wydawała się istnieć sama dla siebie, jako naturalne następstwo torów.

Trzeba przyjąć reguły tej gry, pomyślał, ruszając do kiosku.

- Dzień dobry - nachylił się do okienka. - Czy jest „Przeгляд Funeralny”?

W zawalonym papierami, oświetlonym upiorną jarzeniówką, nieprzytulnym wnętrzu starego kiosku siwa emerytka wolno pokręciła głową.

- Wobec tego poproszę „Wyborczą”.

Kioskarka, patrząc nieruchomo gdzieś nad jego lewym ramieniem, sięgnęła za siebie, niemal wyłamując sobie staw barkowy, i trzasnęła o parapet zwiniętą gazetą. Adrian odruchowo skrzywił się, widząc rażącą nienaturalność tego ruchu. Odliczone pieniądze położył na wyszczerbionym talerzyku. Brzydziłby się dotknąć monet, które wydałaby mu jako resztę. Ostrożnie wziął gazetę i odwrócił się. Krzyknął głośno i cofnął się, uderzając plecami o parapet kiosku. Stał twarzą w twarz z gapiącym się w witrynę konduktorem. Adrian usunął mu się z drogi i dotarł do wagonu. W otwartym oknie przedziału widać było przejętą twarz Marleny, obserwującej całe zdarzenie. Chłopak obejrzał się - konduktor nachylał się do okienka kiosku. A cokolwiek wcześniej spowodowało jego nienaturalne powiększenie,

ustąpiło. Adrian marzył, aby się znaleźć w przedziale i zamknąć drzwi na zamek. Cofnął się jednak kilka kroków i przyjrzał pociągowi. Wagon restauracyjny wciąż był jedynym, w którym wszystkie okna były jasne. Dwa wagony przed nim paliło się jedno światło, jeszcze dalej, w wagonach bliżej lokomotywy, dostrzegł dwa jaśniejące prostokąty. Za restauracją jasny był tylko ich przedział. Wszystkie okna dwóch kolejnych wagonów ziały ciemnością.

Z ulgą wrócił do przedziału.

- Światło pali się jeszcze w trzech oknach - powiedział, gdy zasunął zamek i usiadł. - A teraz mała zagadka: ile wagonów mamy za sobą? A konkretniej: ile ich było, gdy rozpoczynaliśmy tę podróż?

- Trzy - odparł bez zastanowienia profesor.

Marlena tylko wzruszyła ramionami.

- Wobec tego jeden zgubiliśmy po drodze. - Adrian rozprostował gazetę, ale nie zaczął jej czytać.

- Coś pan musiał zepsuć, dyskutując z konduktorem - mruknął profesor, zerkając mimowolnie na swoją walizeczkę leżącą na półce. - Dla naszego wspólnego bezpieczeństwa radzę panu siedzieć spokojnie.

- Sorry, nie dostałem żadnej instrukcji postępowania. Pociąg, w którym jechała Marlena z mężem też... uległ skróceniu.

- Niech pan posłucha bardziej doświadczonych - profesor nachylił się w jego stronę. - Tutaj naprawdę łatwo popełnić błąd. Widzę, że nie ma pan problemów z logicznym rozumowaniem. Zatem znajdzie pan mnóstwo argumentów za tym, że lepiej żyć niż nie żyć.

Spojrzeli czujnie na profesora.

- Nie czyta pan? - Profesor wskazał gazetę.

- Może nadszedł czas, żeby nam pan coś wyjaśnił, profesorze - powiedział wolno Adrian, podając mu „Wyborczą”. - Pan zdaje się dużo wiedzieć o naszej podróży. Co to za miasto?

- Oczekuje pan ode mnie zbyt wiele - odparł powoli profesor. - Wiem nieco więcej niż wy, ale nie mam pojęcia, co to za miasto. Za każdym razem wygląda inaczej.

- Więc jednak dekoracja? Ktoś musiał to zrobić.

- Na pewno sniło się panu kiedyś, że otwiera pan zamek w drzwiach, prawda? A gdzie jest ślusarz, który zrobił ten zamek? To wszystko dookoła jest jak najbardziej realne. Prawdziwe domy, drzewa, prawdziwi ludzie. Ale to odbicie. Nawet nie inna rzeczywistość, tylko zawirowanie naszej. Kto zrobił zamek po drugiej stronie lustra?

- Druga strona lustra? - zapytała Marlena. - Rzeczywistości?

- Tak sędę. Jakby zagniecenia na błonie, która trzyma nasz świat w całości. Miejscami jest cieńsza, można zobaczyć przez nią na wskroś nasz własny świat w innym miejscu. Dzieci widzą potwora w szafie, a dorośli już nie. Oduczyliśmy się dziwić i nie umiemy dostrzegać drobnych zawirowań, ale te tutaj są tak silne, że nie sposób ich ignorować. Pan powinien wiedzieć, o czym mówię. - Spojrzał na chłopaka. - Pan to przecież wyliczył.

- Nie spodziewałem się takiej... skali zjawiska.

- Więc ten pociąg jest zjawiskiem? - zapytała Marlena.

- Wszystko jest zjawiskiem - odparł Adrian. - Tylko niektóre trwają wystarczająco długo, byśmy zaczęli je traktować inaczej.

- O! Widzę, że nie znalazł się pan tu przypadkiem - ocenił profesor.

- A skąd lokomotywa czerpie energię? Są słupy i trakcja...

- A kto płaci za prąd, który zużywa żyrandol po drugiej stronie lustra?

Adrian pokręcił głową i ponownie sięgnął po notes w skórzanej oprawie. Otworzył go i znieruchomiał.

- Kto to napisał?

- Co? - zainteresowała się Marlena. - Nikt go nie dotykał.

- Samo się przecież nie napisało. - Popatrzył podejrzliwie na profesora.

Ten nie przejął się jego wzrokiem.

- No niechże pan przeczyta.

- „Jest wreszcie stacja, tak ją sobie wyobrażałam. Pora się przejść” - przeczytał Adrian. - Przedtem tego nie było.

- Niech pan pokaże.

Profesor wziął notes.

- Ten sam charakter pisma - ocenił.

Pociąg ruszył bez szarpnięcia. Za oknem błysnęło coś jasnego. Adrian uchwycił to kątem oka i poderwał się z miejsca. Między drzewami, coraz dalej od torów, biały, rozpinany sweter powiewał za biegnącą dziewczyną.

Profesor patrzył z przerażeniem, jak chłopak dopada do hamulca awaryjnego i chwytą czerwoną rączkę.

- Nie! - krzyknął, próbując przeszkodzić, ale pociąg już szarpnął i hamował z piskiem kół.

Obaj przewrócili się na siedzenie obok Marleny. Profesor złapał w locie swoją walizeczkę. Stęknął z wysiłku.

- Coś ty zrobił?! - Po jego cynicznym uśmiešku nie został ślad. - Wiesz, co teraz się stanie?!

Adrian wybiegł na korytarz, szarpnął za dźwignię awaryjnego otwierania drzwi i wyskoczył z pociągu. Pognał w las, odwracając się tylko na chwilę. Czwarty od końca wagon trząsał się, jakby wewnątrz kłusował nosorożec. Granatowy mundur migał w kolejnych oknach. Adrian zastanowienie zostawił na potem. Teraz biegł, rozgarniając rękoma mniejsze gałęzie. Raz czy dwa wydało mu się, że ujrzał rąbek białego swetra. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Gdzieś w pobliżu chrząkało jakieś zwierzę. Znow biała plama między drzewami. Rzucił się w tę stronę, dogonił ją. Poznała go, zatrzymała się wreszcie. Zaczęła się śmiać i wyciągnęła do niego ramiona. Potknęła się o korzeń, przewróciła na plecy i upadła miękko w mech. Adrian, łapiąc oddech, podszedł i uklęknął obok. Pociągnęła go obok siebie, na mokrą ściółkę. Nie opierał się.

- Popatrz - szepnęła. Jej małe piersi unosiły się szybko i opadały. - Popatrz... leżymy sobie poza światem...

Zdyszani od biegu, patrzyli na gałęzie wielkiego drzewa. Przez nieruchome liście migały gwiazdy; chmury odpłynęły gdzieś na skraj nieba. Otaczała ich miękka cisza. Adrianowi przemknęło przez myśl, że dziewczyna chce się kochać, ale nie tego oczekiwała. Zresztą, teraz i tak nie miał nastroju.

- Przed czym uciekałaś?

Uniosła się na łokciu. Jej oczy błyszczały osobliwym upojeniem. Jasne włosy opadły na ramię.

- Nie uciekałam. Cieszyłam się.

Adrian poczuł, jak wilgoć przenika przez ubranie. Usiadł.

- Musimy wracać. - Chwycił jej dłoń i pociągnął, zmuszając, by wstała.

Pozwoliła się podnieść, ale nie chciała zrobić kolejnego kroku. Popatrzyła na ledwo widoczną między drzewami stację.

- Chodź - szepnęła, niemal nie otwierając ust.

Odwróciła się, wyswobodziła dłoń i lekko odbiegła między drzewa.

Ruszył za nią. Już na skraju lasu, przy samotnej latarni dogonił ją. Miasto było wyludnione. Jedyne w oknach domów można było dostrzec światło i ruch. Gdzieś w oddali przejechał samochód, błyszczał odbiciami latarni wilgotny bruk. Kilka przecznic dalej, nad starymi kamienicami, piętrzyły się trzy strzeliste wieżowce, które widział już wcześniej z peronu. One też były prawdziwe. Wszystko było prawdziwe. Dotknął metalowej powierzchni słupa. Nierówna faktura, wilgotna i zimna, nie należała do świata sennych widzeń.

Jasnowłosa wzięła Adriana za rękę.

- Chcę tu zostać - szepnęła cicho. - Marzyłam o tym... po to wybrałam się w tę podróż.

- Musimy wracać do pociągu - zaprzeczył. - Jeśli w ogóle jeszcze stoi na stacji.

Złapał mocno jej dłoń i pociągnął w stronę lasu. Opierała się tylko przez chwilę. Potem biegła za nim niemal bezgłośnie. Miał wrażenie, że holuje za sobą ducha. Trawa przeszła w mech i jego kroki również stały się niesłyszalne. Między drzewami widzieli już stację i błyszczący wilgocią pociąg. Niemal wpadli na duże, chrząkające coś. Futrzaste zwierzę odwróciło się, ukazując ostre zęby i warknęło głośniejsze. Chwilę później Adrian usłyszał śledzące ich powolne kroki. Wypadli na peron. Pomógł dziewczynie wdrapać się do wagonu, po czym wskoczył sam. Kiedy odwrócił się, by zamknąć drzwi, zwierzę wpatrywało się w niego ślepiami świecącymi spomiędzy drzew, tuż poza zasięgiem latarni.

Konduktora nigdzie nie było. Wolnym krokiem, łapiąc oddech, dotarli do przedziału. Drzwi były zamknięte, a zasłonki zaciągnięte. W odpowiedzi na pukanie, za szybą pojawiła się wystraszona twarz Marleny. Otworzyła, a kiedy weszli, szybko zasunęła zameczek. W przedziale paliła się tylko mała żaróweczka. Pociąg ruszył.

- Profesor wetknął drut w zerwaną plombę - wyjaśniła Marlena. - Gdyby nie to...

Profesor nic nie mówił, patrzył tylko ponuro na nowo przybyłych. Dziewczyna chciała usiąść na miejscu Adriana, ale zobaczyła swój notes na przeciwnym fotelu. Usiadła więc tam, przekładając zeszytik na stolik. Popatrzyła na oczekujących wyjaśnień profesora i Marlenę. Przeniosła wzrok na Adriana.

- Znikłaś - wyjaśnił. - Gdzie byłaś?

- Gdy zapaliło się światło, siedziałam sama w przedziale.

- W którym wagonie?

- W tym samym. - Przymknęła oczy, jakby miała zasnąć. - To wy znikliście, nie ja - dodała ciszej.

Profesor wstał.

- Zobacz, kogo ratowałeś - powiedział, chwytając jasnowłosą za nadgarstek i podwijając jej rękaw. Nie opierała się. Na zgięciu przedramienia widniały sine ślady po nakłuciach. - Po to wsiadła do tego pociągu - dla nowych doznań.

- Łatwo pan ocenia ludzi - rzuciła nieprzyjaźnie Marlena, wyswobadzając dziewczynę. Pomogła jej usiąść i nakryła swoim płaszczem.

- A pani na co liczy?! - zapytał profesor, zwracając się do kobiety ostrym tonem. Patrzyła na niego ze złością. Dokończył ciszej - on nie wróci.

- Patrzcie! - krzyknął Adrian, wskazując na zewnątrz.

Coś poruszało się pomiędzy drzewami, biegło równo z pociągiem. Wyteżyli wzrok, stając przy oknie. Szare futro, błyszczące oczy, wyszczerzone zęby. Wilk.

- Po co on to robi? - zapytała Marlena, przysuwając się do szyby. - Ściga się z nami?

- Chce się tu dostać - powiedziała cicho jasnowłosa. - Biegnie moim tropem.

- Jak niby miałby się tu dostać? - Adrian wzruszył ramionami. - Wilki nie potrafią otwierać drzwi pociągów. Zaraz dostanie zadyszki i będziemy mieć go z głowy. Martwi mnie co innego - przytknął twarz do szyby, a gdy to nie wystarczyło, otworzył okno i lekko się wychylił. Wilk spojrzał na niego, ale chłopak nie zwracał już na zwierzę uwagi. - Za nami jest tylko jeden wagon.

- Tak się kończy igranie z regułami tego świata - zgryźliwie mruknął profesor, wracając do przeglądania gazety. - Nasz wagon jest stabilny.

- Stabilny? - zapytał Adrian.

- Nie zniknie - wyjaśnił profesor. - Gwarantuję to panu.

- A skąd pan to może wiedzieć?

- Powiedzmy, że zajmuję się zawodowo tym, czym pan amatorsko.

- Kim pan jest?

Profesor złożył gazetę, zdjął okulary do czytania i schował je do kieszeni.

- Widział pan kiedyś na Discovery facetów w srebrnych kombinezonach, którzy ganiają wewnątrz krateru czynnego wulkanu, zbierając próbki do badań? - Sięgnął do innej kieszeni i znów zajął się nabijaniem fajki. - Na pewno, bo to musi być pana ulubiony kanał. Powiem więc tak: jest zjawisko, muszą być i badacze.

- Być może zna się pan na tym, co tu się dzieje - przyznał Adrian - ale brak panu intuicji. Mnie moja intuicja podpowiada, że jeśli znikły dwa ostatnie wagony, to można się spodziewać, że znikną i kolejne.

- To miejsce, na którym teraz siedzę, zostało uznane za najbardziej stabilne w całym pociągu. Przeprowadzono liczne symulacje.

- Jest tylko jedna rzecz w pociągu, która na pewno nie zniknie, jeśli pociąg ma być pociągiem - zaprzeczył Adrian. - Lokomotywa.

- Zgoda, co do intuicji - przyznał profesor, przypalając fajkę zapałką. - Wszyscy wybraliście ten sam przedział. Brawo. Dzięki temu wciąż jesteśmy w komplecie. Jeśli nie liczyć pasażerki, która ponoć wsiadła z nami na Zachodnim, a potem się zdematerializowała. Za to znikanie jest odpowiedzialny jakiś proces, nie wiemy jaki. Choć mam pewną teorię, którą prawdopodobnie tej nocy zweryfikuję. Woda zawsze ścieka w dół, wybierając drogę pozbawioną przeszkód, wymywa miękniejszy grunt, nie skałę. Gaz ulatuje z butli przez zawór, a

nie toruje sobie drogi przez metalową ściankę. Takie są zasady, tutaj też. Znika ten, kogo łatwiej wymazać.

Adrian i Marlena wpatrywali się w niego z napięciem. Jasnowłosa chyba zasnęła.

- To proste - ciągnął profesor. - Ta „zniknięta” kobieta z nikim nie rozmawiała, czytała gazetę albo drzemała. Jej usunięcie było proste, nie wymagało intensywnego gmerania w naszej pamięci. I to nie jest przejaw inteligencji procesu, lecz odwiecznego dążenia przyrody do wybierania najłatwiejszej drogi. Piorun zwykle trafia w najwyższy punkt.

- Więc ta pańska natarczywa tajemniczość na początku - zastanowiła się Marlena - była celowa?

- Umówiłem też mnóstwo spotkań po powrocie - profesor przytaknął z uśmiechem. - Pożyczyłem od znajomych sporo pieniędzy. Wczepiłem się w rzeczywistość zębami i pazurami.

Marlena spojrzała za okno, choć Adrian po raz kolejny odniósł wrażenie, że tak naprawdę obserwuje jego odbicie, teraz słabsze, za sprawą wyłączonej jarzeniówki.

- Czy to wszystko... - zrobiła nieokreślony gest w stronę okna. - Czy to może być dzieło Boga?

- Jeśli przypadkiem jest pani osobą wierzącą - odparł profesor - to powinna pani również wierzyć w to, że wszystko co istnieje, musi być dziełem Boga.

- Pan zapewne nie wierzy?

- A dlaczego ludzie wierzą w Boga? Potrzebują pewników, podstaw, stabilnego świata o jasnych i przejrzystych wartościach. Czarne jest czarne, białe jest białe. Dla mnie to nie jest wystarczająca odpowiedź. Dlaczego coś jest białe? Bo Bóg tak chciał? Nie... Biel można wyjaśnić na wiele sposobów, a Bóg nie musi służyć jako łąta na dziury naszej niewiedzy. Współczesna fizyka przypomina zabawę w chowanego w wielkim domu. Każda nowa teoria jest jak otwieranie kolejnych drzwi, do kolejnego nieznanego pokoju. Kiedy wydaje się nam, że poznaliśmy już wszystko, co możliwe, że zjedliśmy wszystkie rozumy, odkrywamy schowane za szafą następne drzwi i zabawa zaczyna się od nowa. Może drzwi i pokoi jest nieskończenie wiele?

- A może za najbliższymi drzwiami znajdziecie Boga?

- Może - uśmiechnął się profesor. - Jeśli da się udowodnić jego istnienie albo wyliczyć je matematycznie. Ale nie sądzę. Niezliczoną ilość razy próbowano Bogiem zamknąć dalsze poszukiwania. W wierze nie ma żadnej prawdy. Prawda jest w nauce.

- A jeśli jednak znajdziecie Boga? Uwierzycie?

- Jeśli zaufana osoba powie pani, że w pudełku jest ciasteczko, to pani uwierzy. To

jest wiara. Natomiast rolą nauki jest sprawdzenie, czy nie została pani okłamana. Naukowiec stworzyłby pudełko.

- Ale jeśli?

- Zakładając, czysto hipotetycznie, istnienie Boga, to musi być istotą na tyle nas pod każdym względem przewyższającą, że jakikolwiek kontakt nie jest możliwy. Jeśli ma cechy, które mu przypisujemy, to nawet w ogólnym zarysie nie potrafimy wyobrazić sobie jego osoby. Tym się zresztą różni wiedza od wiary - jeśli się coś udowodni, wiara przestaje być potrzebna. Tak więc wiara broni się nawet przed dowodami na swoją prawdziwość. W Związku Radzieckim uważano wiarę w Boga za rodzaj defektu intelektualnego. Dziś to niemodne, a wielu współczesnych fizyków jest wręcz ludźmi religijnymi. Mówią, że szukając nowych cząstek elementarnych, nowych gwiazd, rozpracowując teorię strun - szukają Boga. Ale tak naprawdę odsuwają go od siebie. Każde nowe odkrycie wyjaśniające działanie wszechświata niszczy kawałek Boga, ogranicza jego rolę. Kiedyś bogowie sprawiali, że po nocy następował dzień, potem tylko pchali słoneczny rydwan po niebie, wreszcie rola naszego Boga ograniczyć się miała do stworzenia Słońca. Dziś, co najwyżej, możemy go uważać za tego, który pstrykając palcami, rozpoczął Wielki Wybuch. Wtedy wszystkie zasady i prawa zostały ustalone i Bóg przestał być potrzebny. Potem musiałby zwyczajnie się poddać działaniu wyznaczonych przez siebie praw, tym samym zadając kłam swej wszechmocności, lub działać mimo tych praw, łamiąc je, a więc i przecząc swej wcześniejszej wszechwiedzy. Każda konieczność ingerencji, poprawki oznacza wcześniejszą fuszerkę. Wynika z tego w prosty sposób, że Bóg nie wtrąca się w nasze życie od jakichś piętnastu miliardów lat.

- Bóg - odezwała się jasnowłosa, otwierając oczy. - Widziałam go wiele razy.

- Nie wątpię... - mruknął profesor, po czym zwrócił się do Marleny - wierzy pani w szatana?

- To chyba naturalna konsekwencja wiary w Boga?

- Owszem, ale nie dla wszystkich. Większość deklaruje wiarę w Boga, jednocześnie odpowiadając przecząco na pytanie o wiarę w szatana, chociaż to jakby jego odbicie lustrzane, przeciwieństwo.

- To typowo polskie - wtrącił się Adrian. - Stawianie znaku równości między mówieniem o faktach a przekonaniem.

- Znana jest też koncepcja anty-diabła - ciągnął profesor - takiego „managera dobra”. Bo skoro Bóg zawiera w sobie wszystko, to zawiera też diabła, nie może zatem być mowy o walce boskiego dobra z diabelskim złem. Według tej koncepcji Bóg jest neutralny i stanowi

tylko środowisko dla zmagania tamtych dwóch. Tego „managera dobra” bałwochwalczo i mylnie zwiemy Bogiem właśnie, przedstawiając go pod postacią siwobrodego mężczyzny.

- A może to, co nas teraz otacza - powiedziała Marlina - to taki boski test? Próba?

- I robić to miałyby Bóg, dobry i jednocześnie wszechwiedzący? - zapytał ironicznie profesor. - Jeśli jest wszechwiedzący, to zna wynik próby. Po co więc miałyby nas testować?

- Co pokazuje lustro postawione na wprost drugiego lustra? - zapytała Marlina, patrząc na profesora. - To też pan wie?

- Lubi pani zen? To pytanie może służyć tylko treningowi umysłu, bo tak naprawdę to, co odbijają dwa lustra, zależy od stanu początkowego. W przypadku zwykłych lusterek zanieczyszczenia szkła i powietrza spowodują, że już po kilku odbiciach lustra nie będą odbijały nic. Ciemność. To jednak wymaga braku dopływu energii z zewnątrz. Tego nie możemy zapewnić. Możemy jednak odciąć fotony pasma widzialnego i wtedy będzie to ciemność. Oto i rozwiązaliśmy całą pani tajemnicę za pomocą fizyki ze szkoły średniej.

Marlina nie ciągnęła dyskusji, choć wcale nie była zadowolona z wyjaśnienia. Sięgnęła do torebki po tabliczkę gorzkiej czekolady. Połamała ją przez papierek, otworzyła i poczęstowała wszystkich. Profesor podziękował, wskazując na fajkę. Jasnowłosa włożyła do ust kawałek, ale natychmiast go wypluła z obrzydzeniem.

- Przepraszam, ale jest kwaśna - wyjaśniła, ocierając usta.

- Nigdy nie jadłam nic równie kwaśnego...

- Coś ci się poprzestawiało od tych spotkań z Bogiem - skwitował profesor, wydmuchując obłoczek dymu.

- Mój kawałek smakuje normalnie - przyznał Adrian.

Korytarzem ktoś przebiegł, ale tym razem nikt nie miał ochoty sprawdzić kto to. W końcu Adrian wstał i wyjrzał na korytarz tonący w półmroku słabego oświetlenia. Nikogo nie zobaczył, ale dźwięk, jaki usłyszał z tyłu wagonu, powstrzymał go przed powrotem na miejsce. Był to szum, niepokojący i dziwnie znajomy. Chłopak zawahał się i powoli ruszył w stronę końca wagonu. Wszystkie okna przedziałów były zasłonięte, a drzwi zamknięte. Nie próbował ich otwierać. Szedł ostrożnie, krok za krokiem. W zasadzie to wiedział już, co ujrzy. Zrobił kilka ostatnich kroków i zatrzymał się.

Stał przed końcem wagonu i przez otwarte drzwi patrzył na uciekające w tył podkłady. Przełknął ślinę, odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem dotarł do przedziału.

- Zbierajmy się - oznajmił, stając w drzwiach. - Jesteśmy w ostatnim wagonie.

- Powinniśmy trzymać się reguł - zaprotestował profesor.

- Ten pociąg to kawałek naszego świata przemieszczający się wewnątrz anomalii. Sam

pociąg też zaczyna podlegać tutejszym prawom, więc lepiej opierać się na wiedzy.

- Ale pan nie zna tych praw - Adrian przezornie wszedł do przedziału i zasunął drzwi.

- Sam pan mówił, jak bezpodstawna jest nasza wiara w potęgę nauki. Intuicja podpowiada mi, że bezpieczniej będzie bliżej lokomotywy.

- W takim obiekcie są mniej lub bardziej bezpieczne miejsca, ale najlepszym zabezpieczeniem jesteśmy dla siebie sami nawzajem. Tutaj.

- Spodziewał się pan, że znikną trzy ostatnie wagony? - zapytał chłopak coraz bardziej zły.

Profesor zmierzył go wzrokiem.

- I dokąd pan chce dojść? - zapytał.

- Kilka wagonów do przodu, żeby zachować dystans od... niebytu.

- Gdzieś tam z przodu jest konduktor - przypomniała Marlena, przerzucając spojrzenie z Adriana na profesora, i z powrotem.

- Wolę go spotkać, niż zostać... znikniętym - podsumował Adrian, wstając i sięgając po swój plecak. - Jeśli pójdziemy wszyscy, to będzie chyba lepiej.

- Sądzi pan, że w tak obcym środowisku pana intuicja na cokolwiek się przydaje? - zapytał profesor.

- Czy zjeżdżając po przechylającej się podłodze sali balowej Titanica, nadal wierzyłby pan, że statek jest niezatapialny?

Marlena i jasnowłosa wstały i sięgnęły po swoje bagaże. Profesor westchnął, ale wziął płaszcz i kapelusz, ostrożnie zdjął z półki walizeczkę. Adrian zauważył, że musiała ważyć co najmniej z dziesięć kilo. Zainteresowała go jej zawartość, niezwykle widać cenna dla naukowca, ale o nic nie zapytał.

Profesor wyszedł pierwszy, z płaszczem przewieszonym przez ramię, wciąż trzymając w ustach fajkę. Rozejrzał się i machnął ręką, że można iść. Wolno ruszyli za nim, obawiając się każdych zamkniętych drzwi przedziału. Szli w wonnych oparach dymu z jego fajki.

- Nie prowadzi pan żadnej dokumentacji? - zapytał niespodziewanie profesor, odwracając się przez ramię.

- Czasem robię zdjęcia - Adrian wzruszył ramionami. - Ale zasadniczo opieram się na własnej pamięci. Opisuję to, co zapamiętałem. Czasem nawet ktoś to opublikuje.

- Nie traktują pana całkiem poważnie, co? Po co więc ryzykować?

- Powiedzmy, że nie odpowiada mi życie faceta pracującego od dziewiątej do siedemnastej.

- No tak, to jest argument.

Nikogo nie napotykając, przeszli do następnego wagonu. Podłoga była powgniatana, zapewne od ciężkiego kłusu konduktora. W jednym z przedziałów zza zasłonki przebijało światło jarzeniówki.

- Przedtem się paliło? - zapytał szeptem profesor, zatrzymując się kawałek przed drzwiami. - Jak szedł pan szukać... przyjaciółki.

- Nie. Sprawdźmy to.

Adrian otworzył drzwi szarpnięciem, a profesor, niezadowolony z takiego braku ostrożności, odsunął zasłonkę. W środku nikogo nie było. Niebieski dym fajki wpłynął do przedziału leniwą smugą.

- To chyba nawet lepiej - profesor przekręcił wyłącznik, gasząc lampę. Zamknął drzwi. - Nie wiadomo, kto mógłby tu być. Proponuję zachować ciszę i niczego już nie sprawdzać.

- Pan się chyba uważa za naukowca - westchnął Adrian, gdy ruszyli dalej.

- Pamięta pan, co mówiłem o krokodylach?

- Patrzcie... - szepnęła Marlena.

Odwrócili się i spojrzeli za siebie. W przedziale znów paliło się światło.

- Nie widzimy wszystkiego, co tu się dzieje - oceniła idąca z tyłu jasnowłosa. Jako jedyna nie wydawała się przestraszona.

- Ja tam nie wracam, żeby to sprawdzić - oświadczył Adrian, wolno kręcąc głową.

Marlena wzięła go za rękę i przysunęła się bliżej. Drugą trzymała uchwyt walizki na kółkach.

- Wreszcie się pan opamiętał - powiedział profesor nieco mniej pewnym głosem.

Zostawili zagadkę nierozwiązaną i bez przeszkód dotarli do restauracji. Stanęli na środku pustego wagonu, nie wiedząc co robić dalej.

- Panie przewodniku? - profesor zachęcająco popatrzył na Adriana.

- Powinniśmy już być w Krakowie - odpowiedział chłopak.

- To jest Polska - przypomniała Marlena, puszczając jego rękę i przypalając papierosa.

- Tutaj nawet zegarki się spóźniają.

- Ktoś się obrazi, jak weźmiemy po batoniku? - Adrian rozejrzał się. - Nie wiadomo, ile czasu tu jeszcze spędzimy.

- Mało panu było? - spojrział groźnie profesor. - Możemy mieć pretensję tylko do siebie. Sami chcieliśmy tu być.

- Co innego iść do kina na film o pożarze, a co innego przeżyć w kinie pożar. Mam wrażenie, że następne wagony są jakieś inne. Może te „oswoiliśmy” własną obecnością?

- Ale tu możemy siedzieć do woli - odpowiedziała Marlana, wydmuchując dym. - Wszędzie indziej powinniśmy mieć miejscówki. Zresztą, tu jest jaśniej.

- Za jasno, głupio się czuję tak na widoku - mruknął Adrian. - Pociąg jest pusty; co za różnica, gdzie siedzimy?

Gdy tylko Adrian wykonał pierwszy krok, pozostali ruszyli za nim. Lepiej, gdy stado ma przewodnika. Jakiegokolwiek. Przeszli do kolejnego wagonu, tutaj przedziały znajdowały się po prawej stronie.

Nagle z przodu pociągu doszedł ich przeszywający krzyk. Odległy, stłumiony drzwiami oddzielającymi wagony, ale i tak przejmujący do szpiku kości. Gdy rozległ się dźwięk rozsuwanych drzwi wagonu, Marlana otworzyła drzwi najbliższego przedziału i wskoczyła do środka. Pozostali poszli za jej przykładem. Ledwie zamknęli je za sobą, ktoś, dysząc ciężko, przebiegł korytarzem.

Czwórka podróżników skupiła się przy drzwiach, nie śmiejąc się nawet poruszyć.

- Co tu się dzieje? - zapytała szeptem Marlana. - To już trzeci.

- Czwarty - poprawił, również szeptem, Adrian. - Myślę, że gdzieś z przodu jest coś, co powoduje panikę i ucieczkę tych wszystkich ludzi. Potem wyskakują z ostatniego wagonu.

- Ale jednocześnie pan chce, żebyśmy szli dalej - szepnął profesor. - Potrafi pan zmotywować...

Przekręcił włącznik i przedział zalały potoki neonowego światła. Marlana zaczęła krzyczeć. Jasnowłosa tylko zamknęła oczy, opierając się o drzwi z nieobecnym wyrazem twarzy, jakby chciała przeżyć to wszystko jeszcze mocniej. Adrian opanował panikę. Nie wierzył w to, co widział. Na trzech z sześciu foteli siedziały ubrania. Trójwymiarowe, jakby niewidzialna siła rozepchała je i utrzymywała w przestrzeni.

- Ja cię kręcę... - wyszeptał ledwo dosłyszalnie.

- Nie widzą nas - powiedział profesor. Był blady, ale myślał trzeźwo. - Nie widzą nawet naszych ubrań.

- Spotkał się pan kiedyś z czymś podobnym?

Profesor pokręcił głową. Adrian schylił się i dotknął niewidzialnego kolana dziewczyny siedzącej w mini. Pusto. Powietrze. Przesunął palec w kierunku oparcia, delikatnie zawijając materiał sukienki. Rękaw T-shirtu szybko rozprostował się. Marlana jęknęła i odwróciła się.

- Wyjdźmy stąd, proszę.

Adrian spojrzał na nią.

- Mogę?

Wyjęła z ust papierosa i podała mu. Zaciągnął się dymem i wydmuchnął w stronę niewidzialnej dziewczyny. Dym wniknął w ubranie, jakby było puste.

- Dlaczego tylko ubrania? - zapytał, oddając papierosa. - Dlaczego nie włosy, paznokcie, plomby?

Profesor znów pokręcił głową.

- Proszę... - Marlena prawie płakała.

Adrian otworzył drzwi i wyprowadził na korytarz bezwolną jasnowłosą. Marlena z profesorem wyszli za nimi, zamykając drzwi.

- Może dalej będą ciała bez ubrań - spróbował zażartować chłopak, ale nikt się nie zaśmiał.

- To zupełnie inne zjawisko. - Profesor próbował wrócić do roli mentora. - Jesteśmy wewnątrz anomalii. Tu może się dzieć... cokolwiek. Lokomotywa pierwsza rozcina ten świat. Jest zapewne najbardziej zmieniona. Za nią kolejne wagony coraz wolniej się poddają, ale jednak się poddają. Nie wiem, czy powinniśmy iść dalej do przodu.

- Nie musimy - przyznał Adrian. - Na razie możemy poczekać tu.

- Nie tu - poprosiła Marlena. - Chociaż kawałek...

Na początku wagonu znaleźli przedział z odsłoniętą zasłonką. Wyglądał na pusty. Paliła się tu tylko mała żaróweczka. Jasnowłosa jakby spała; dała się posadzić. Nie otworzyła nawet oczu. Pozostali usiedli na przypadkowych miejscach. Marlena po chwili przesiadła się obok Adriana. Wyrzuciła niedopałek do popielniczki i od razu przypaliła następnego papierosa.

- Próbowowałaś żuć gumę? - zapytał Adrian. - Bo ja tak.

Przytaknęła. Po chwili zrozumiała i wyciągnęła w jego stronę paczkę. Włożył papierosa do ust, przypalił i zaciągnął się głęboko z ogromną ulgą.

- Trzy miesiące walki na nic - mruknął.

Profesor z wyższością pyknął fajką. Wypuścił pod sufit regularne kółko z dymu. Wciągnęła je wentylacja, drąc najpierw na strzępy.

Pociąg niezmiennie mknął przez obcy świat. Brakowało przesuwających się po ścianach odbić świateł latarni mijanych miasteczek, dzwonek sygnalizacji przejazdów, zniekształconych efektem Dopplera, odgłosów kół na rozjazdach i zwrotnicach. Od długiego czasu słychać było tylko równomierny stukot na starego typu łączeniach szyn.

- Jednego nie rozumiem - odezwała się Marlena. - Ten pociąg dojedzie w końcu do Krakowa, prawda? Czy nikt nie zauważy, że przyjechał kilka godzin za późno?

- Dojedzie o czasie - odparł cicho Adrian.

Profesor potwierdzająco pokiwał głową.

- Przecież powinniśmy tam być od dawna.

- Jedziemy naokoło. W kolejnym wymiarze. Wyobraź sobie prosty kanał i krętą rzekę.

Jeśli płyniemy łódką po kanale, to po przepłynięciu kilometra, będziemy...

- Kilometr dalej - dokończyła kobieta.

- Dokładnie. Natomiast na krętej rzece, po przepłynięciu kilometra pokonamy pierwsze zakole i będziemy w linii prostej sto metrów od punktu startu. Tak więc będziemy musieli pokonać wiele kilometrów, by tak naprawdę przemieścić się o kilometr. Tak samo jest z czasem. Żeby nie było za prosto - ten pociąg ani na chwilę nie znikł z „tamtej” rzeczywistości. Prawdopodobnie jesteśmy, jakby to powiedzieć, w innej wersji pociągu. Potem pozostanie nam cofnąć zegarki i udawać, że nic się nie stało.

- Ja chcę tu zostać - Szepnęła przez sen jasnowłosa.

- Niepotrzebnie ją pan ratował - mruknął profesor.

Wysypał nadmiar białego popiołu do popielniczki i ubił żarzący się tytoń w cybuchu. Wyciągnął z kieszeni gazetę i powrócił do lektury.

- Masz nadzieję go tu spotkać? Męża? - zapytał cicho Adrian, patrząc na Marlenę.

Przytaknęła, znów na skraju płaczu.

- Wiem, to idiotyczne, ale musiałam to zrobić. Żeby się przekonać, żeby nie zrezygnować bez podjęcia próby. Przypominasz mi go. Kiedy patrzę na twoje odbicie... wyglądasz jak on. Wtedy.

- Przykro mi - odparł Adrian, biorąc jej dłonie w swoje. - Ty wciąż go kochasz? Po tylu latach?

- Czy to miłość? Jeśli po piętnastu latach wciąż ci kogoś brak... Co noc, przed zaśnięciem, ten sam film pod powiekami. Wychodzę z restauracji, on zostaje schylony nad butelką... Na co liczyłam, wsiadając do tego pociągu? Co by się miało wydarzyć? Miałby wejść do przedziału i... Wiem, to głupie, ale ja mam dość tej pustki... Nikt nie może mi go zastąpić. Nikt. Próbowałam wiele razy. Nikt.

- Niedobrze... - mruknął profesor, wyglądając przez szczelinę zasłonki w drzwiach. Wstał i wyszedł na korytarz. Adrian i Marlena, zaniepokojeni, wyjrżeli za nim. Wzdłuż torów biegł wilk. Sadził chyba dziesięciometrowe susy.

- Z jaką prędkością jedziemy? - zapytał Adrian. - Koło stówki? Nawet gepard może tak szybko biec tylko przez parę chwil.

- Coś nas tu trzyma - powiedział profesor. - Nie opuścimy tego świata, dopóki coś nas z nim łączy. Nie mówię o wilku - to tylko symptom. Jest coś innego, trzyma nas tu niczym

kotwica.

- Jak to? - zdziwiła się Marlena. - Przecież ten tor gdzieś musi się łączyć z tym do Krakowa. Mówiłeś o zakrętach...

- To był model, a zakręty były w kolejnym wymiarze - odparł Adrian, wpatrując się w biegnące zwierzę. - Wilk to bardzo sprawna maszyna do zabijania, ale chyba nie aż tak inteligentna, żeby otworzyć drzwi? Zresztą, podczas jazdy działa blokada.

Pociąg wszedł w lekki łuk. Adrian otworzył okno. Wilk znów spojrzał na niego, błysnęły żółte oczy. Przez huk wiatru słychać było nawet jego chrapliwy oddech. Zdawał się nic sobie nie robić ze zmęczenia, jakiemu dawno powinien się poddać. Niespodziewanie zakręcił i zniknął w lesie. Adrian odwrócił głowę i policzył wagony.

- Przykro mi - powiedział, zamykając okno. - Naszego starego wagonu już nie ma.

Profesor zerknął na zegarek i westchnął.

- Przyspiesza.

- Co... przyspiesza?

- Wagony znikają coraz szybciej. Istnieje coś, co zakłóca nasz przejazd przez Szczelinę. I to coś oddziałuje na nas coraz intensywniej.

Wrócili do przedziału i zasunęli szczelniej zasłonkę.

- Mogę zerknąć do twojego notesu? - zapytał Adrian, dotykając ramienia jasnowłosej.

Przytaknęła i, rozglądając się, otworzyła oczy jak ktoś rozbudzony z długiego snu.

Podąła mu notes. Adrian otworzył go na ostatniej stronie.

- Wybiegłaś trochę w przyszłość. - Zmarszczył brwi.

- Tak...?

- Napisałaś „Słyszę na korytarzu wilka. Wiem, że przyszedł tu po mnie. Może tak właśnie ma wyglądać mój koniec”.

- Nie napisałam tego. - Dziewczyna wolno pokręciła głową. - Nie otwierałam notesu, odkąd zatrzymaliśmy się na stacji.

- To twój charakter pisma.

Jasnowłosa wzięła notes i z niedowierzaniem przeczytała ostatnie zdania. Była zupełnie zdezorientowana. Pokręciła głową.

- Nie pamiętasz, jak to pisałaś? - zapytał Adrian.

- Nie pamiętam, ale... nie o to chodzi. To jest... odwrotnie.

Profesor spojrzał na nią czujnie.

- Co jest odwrotnie? - zapytał.

- Litery, wszystko, cały notes się odwrócił!

- Odwrócił? - zdziwił się Adrian. - Jak w lustrze?

- Napisz coś - powiedział groźnym głosem profesor, wstając. - No dalej! Napisz coś w notesie.

Patrząc na niego z przestachem, wzięła notes i zaczęła pisać. Od prawej do lewej. Profesor zapalił światło.

- Coś dziwnego dzieje się z moim pamiętnikiem. Albo ze mną - przeczytał na głos. Odwrócił się. - Gdyby udawała, litery byłyby koślawe, a te są idealne.

- Co się stało? - zapytała Marlana.

Profesor zgasił jarzeniówkę, nachylił się nad dziewczyną i dotykał jej tułowia poniżej piersi. Znieruchomiał, przymykając oczy. Spróbowała go odepchnąć, ale on nie zwracał na to uwagi.

- Masz serce z prawej strony - stwierdził po chwili. Opadł na swój fotel i westchnął. - Jest gorzej, niż myślałem.

- Co się stało z moim notesem? - zapytała jasnowłosa, patrząc na niego w napięciu.

- Z notesem nic się nie stało. To ty jesteś... odwrócona.

- Sweter ma guziki z dobrej strony - popatrzyła w dół.

- Odwrócił się razem z tobą. Masz jakieś metki? Cokolwiek, co jest przyłączone do ubrania?

Wstała i zdjęła sweter. Profesor wyszarpnął go i zaczął szukać metki. Nie było. Chwycił dziewczynę za biodra i odwrócił tyłem do siebie. Pseudo-skórzana etykieta z logo producenta spodni była odwrócona.

- Przeszukaj kieszenie. Co tam masz?

Wcisnęła dłonie do kieszeni. Wygrzebała z dna dwuzłotówkę. Położyła na dłoni i podsunęła profesorowi pod nos, mrużąc oczy w oczekiwaniu na ostateczny wyrok. Moneta również była odwrócona. Profesor sięgnął do swojej kieszeni i położył na dłoni dziewczyny swoją dwuzłotówkę. W przedziale zapadła cisza. Księżyc wyszedł zza chmur, mroźnym blaskiem oświetlając przemykający za oknem las. Jasnowłosa usiadła i gapiła się na obie monety.

- Czy... to przeze mnie? - zapytał Adrian.

Profesor odparł:

- Mimo szczerej złości, jaką poczułem po obydwu pana wybrykach, teraz muszę stwierdzić, że to mało prawdopodobne.

- A może to nie ja jestem odwrócona? - dziewczyna przygryzła wargę - tylko... wy? Cały pociąg?

Adrian spojrział na profesora, a profesor na niego. Przenieśli wzrok na numery foteli. Numery były prawoczytelne, co jednak niczego nie dowodziło.

- W 1957 roku na Uniwersytecie Columbia przeprowadzono eksperyment - odezwał się profesor. - Jego celem było udowodnienie braku parzystości wśród niektórych cząstek elementarnych.

- Czytałem o tym - przyznał Adrian. - Udowodnili, że nie wszystko może zostać odbite w lustrze. Ale oni mieli do dyspozycji akcelerator.

- Może nie powinien się pan martwić, profesorze - niespodziewanie odezwała się Marlena zza kłębow papierosowego dymu. - Jest pan naukowcem, który właśnie odkrył nowe zjawisko.

- Obawiam się, droga pani, że na nic zdadzą się odkrycia martwego naukowca.

- Niech pan nie dramatyzuje i powie, co się dzieje.

- No dobrze, spróbuję. Proszę sobie wyobrazić samolot, w którym odpadło skrzydło. Samolot wpada w korkociąg. Siła ciężenia szybko zmienia wektor. Co czują pasażerowie? Kabina wygląda tak samo, ale wszyscy tracą orientację, błędnie dostarcza bowiem informacje sprzeczne z tymi, pochodzącymi od wzroku. Podłoga staje się sufitem. Ktoś znający się na lotnictwie potrafi jednak odkryć przyczynę tych zjawisk - spadanie. Podobnie jest tu - czegoś doświadczamy, lecz nie mamy pewności, co to jest. W tym pociągu nie dojdzie zapewne do spektakularnej katastrofy. On po prostu nie wróci do naszej rzeczywistości, dopóki nie zniknie zjawisko trzymające go tutaj. Cokolwiek to jest. To może trwać... dowolnie długo, przy czym według zegara na stacji w Krakowie, przyjedziemy punktualnie.

- A maszyniści? Nie wyda im się dziwne, że jadą przez las, nie mijając żadnych stacji?

- Jak już wspomniałem, pociąg rozcina tę rzeczywistość, ulegając stopniowym przekształceniom. Zimny pręt włożony do wrzątku powoli się nagrzewa. Tam z przodu najpewniej nie ma już niczego przypominającego maszynistów.

- Może... moglibyśmy się cofnąć tą samą trasą? Przetawić jakąś zwrotnicę?

- Można skoczyć z trampoliny do wody, ale nie odwrotnie.

- Mamy jedzenie - Marlena wzruszyła ramionami, wciąż pokrywając drobnymi gestami zdenerwowanie. - W wagonie restauracyjnym pewnie są spore zapasy. Tym pociągiem normalnie jedzie kilkaset osób.

- Zdaje się, że ubywa wagonów - przypomniał profesor i skinął głową do jasnowłosej.

- A jeśli chodzi o panią, to z jedzeniem również może być kłopot.

Spojrzała na niego pytająco.

- Nie przyswoisz składników odżywczych, które są dla ciebie lustrzanymi odbiciami -

wyjaśnił Adrian. - Możesz pić tylko wodę i przyjmować proste związki chemiczne, minerały. Nie jestem zbyt dobry z chemii.

- Stąd ta kwaśna czekolada - przypomniała sobie Marlena i spojrzała w okno. - Patrzcie! - Wskazała ścianę lasu.

Wzdłuż torów biegło teraz kilka wilków. Wszystkie sadziły nieprawdopodobnie długie susy. Co jakiś czas jeden z nich odbiegał w las. Spomiędzy drzew wyłaniał się inny i rozpoczynał wyścig z pociągiem. Wytrwałość ich ruchów przyprawiała o dreszcze. Ponuro obserwowali zwierzęta.

- Zapomnieliśmy o jednym - mruknął Adrian. - Kto napisał te słowa w pamiętniku?

Otworzył notes na ostatniej zapisanej stronie i uniósł brwi. Na końcu tekstu znajdowała się kolejna prawoczytelna uwaga: „Kto to napisał?!”. Adrian uniósł wzrok na jasnowłosa, ale ona nie mogła tego zrobić. Cały czas ją widzieli. No i napis nie był odwrócony.

- Napisz: „Jak wilki dostały się do środka?” - polecił jej Adrian.

- Próbuje pan nawiązać kontakt? - Profesor zerkał na zapisane kartki.

- Tak. Gdzieś w tym pociągu być może jest druga właścicielka notesu, ale jej nie widzimy - wyjaśnił chłopak. - Tak sądzę. A nawet jeśli to ktoś inny, to może wiedzieć coś, co się nam przyda.

Jasnowłosa posłusznie napisała zdanie i czekała, wpatrując się w czysty papier poniżej.

- Zamknij lepiej - poradził chłopak. - Tak się raczej nic nie pojawi.

- Sądzi pan, że zasada nieoznaczoności tyczy się takiej skali? - zapytał lekko ironicznie profesor. Zgasił fajkę, wysypał cały popiół i wyskrobał z cybucha resztki tytoniu. - Przejdzie się pan ze mną? Chciałbym coś sprawdzić. Panie niech lepiej tutaj zaczekają. Nie pozostawajmy w pojedynkę.

Adrian spojrzał na niego zaskoczony, ale nie zaprotestował. Przeszli kawałek korytarzem w kierunku przodu pociągu. Zatrzymali się koło toalety, rozglądając się i nasłuchując. Profesor sprawdził, czy żadna z kobiet nie może ich usłyszeć i powiedział:

- To, co powiedziała ta narkomanka...

- Niech pan jej tak nie nazywa.

- Dobrze, niech panu będzie. To, co powiedziała, nie jest aż tak nieprawdopodobne.

Ona twierdzi, że to my zniknęliśmy w tunelu, a potem pan przecież nie znalazł jej w pociągu, tylko w lesie. Pociąg może istnieć w wielu wersjach, a pan ją zwyczajnie przyciągnął do naszej wersji siłą.

- Sądzi pan, że to my możemy być... odwrócenii?

- Trzeba dopuścić i taką możliwość. Dlatego chciałem z panem porozmawiać na osobności. Obawiam się, że jeśli tak jest w rzeczywistości, stawia to nasz powrót pod znakiem zapytania. Jeśli zaś tylko ona jest odwrócona, to ona nie będzie mogła wrócić. Sprawa może być jednak dalece bardziej skomplikowana. Weźmy śrubę: może mieć prawy lub lewy gwint. Prawa, odbita w lustrze, stanie się lewą. Wierzę, że rodzajów śrub, które teoretycznie mogą istnieć w innych warunkach, jest znacznie więcej, a te dwie, które jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, zaledwie otwierają listę. Co jest odwrotnością czystej, białej kartki? Zapisana kartka? Czarna kartka? Brak kartki? Może biała kartka wykonana z antymaterii? A może wszystkiego po trochu? Odbicie może nastąpić na wiele różnych sposobów.

- Albo cały nasz świat ma wiele wersji - podsunął Adrian.

- A Szczelina to tylko przejście między nimi? Część wspólna, lokalne zlepienie? Płaszczyzna lustra?

- Chyba za daleko wybiegamy z budową śmiałych teorii. Nauka uznaje obecnie trzy rodzaje symetrii. Najpierw przekonajmy się, czy nie jesteśmy odwrócenii względem lokalnego świata.

- Można to sprawdzić, oczywiście, że można. - Adrian dotknął brody. - Jeśli nawet jesteśmy odwrócenii, to tylko my i pociąg, a nie cały ten świat.

- Ma pan kompas? - zapytał profesor. - Jeśli słońce wzejdzie na zachodzie, to możemy zacząć się martwić.

- Nie mamy tyle czasu. Nie znam się na astronomii, więc nie ocenię tego po gwiazdach. Księżyc, pamięta pan układ plam? Pewnie nie... Mam w domu taki stary program komputerowy obliczający pozycje gwiazd i planet. To by wszystko wyjaśniło, ale może wystarczy woda?

- Co pan chce zrobić z wodą? - zapytał zaintrygowany profesor.

- Wir - Adrian wskazał drzwi toalety. - Wir na półkuli północnej obraca się zawsze w tę samą stronę, przeciwną niż na półkuli południowej. To zależy przecież od rotacji planety.

- A pamięta pan, w którą stronę?

- Hm, śmieszna sprawa. Na logikę - Ziemia kręci się w kierunku wschodu, czyli przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.

- Potarł skronie. - Oczywiście, jeśli się stoi na półkuli północnej. To proste, tylko trzeba się chwilę zastanowić. Siła Coriolisa... na półkuli północnej intensywniej podmywane są prawe brzegi rzek.

- Pamięć ludzka jest niestety ułomna - przyznał profesor.

- Ale to akurat pamiętam: wir powinien się kręcić w kierunku *counter clockwise*, czyli odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Z siłą Coriolisa zresztą nie ma to nic wspólnego.

- A może nasze wyobrażenie o kierunku obrotu Ziemi też się... obróciło? - zastanowił się Adrian. - Razem z nami...

- Napis „lewo” odbity w lustrze nie zamieni się w napis „prawo” - zauważył profesor. - To semantyka.

- Ale to, co nazywamy *clockwise*, też się obróciło z nami. Wskazówki naszych zegarków kręcą się odwrotnie! Tylko tego nie zauważamy.

- Ale Ziemia kręci się dalej tak samo. Jeśli odbicie jest lokalne, to *clockwise* też się odwraca, ale ruch Ziemi już nie i otrzymamy poprawny wynik.

Adrian po namyśle przytaknął. Weszli do toalety. Chłopak zatkał odpływ zwiniętym papierem toaletowym i napuścił do umywalki wody.

- Przydałoby się trochę tytoniu - spojrzał na profesora. - To ułatwi obserwację.

Profesor sięgnął do kieszeni po skórzany kapciuch. Wkruszył do wody trochę tytoniowych drobin. Adrian poczekał, aż woda znieruchomieje i wyciągnął prowizoryczny korek. Woda utworzyła wir przeciwny do ruchu wskazówek zegara.

- Uf - odetchnął. - Dobre wiadomości dla nas, ale nie dla jasnowłosej.

- To względne - powiedział profesor. - Ona ma gdzieś w tym pociągu również swoją prawoczytelną wersję.

- Niewielkie to dla niej pocieszenie. Jest jakby... kopia.

- Może wcale nie. Może ona wróci do swojej wersji świata - profesor potarł brodę. - A może to ona właśnie jest tym, co nas tu trzyma?

- Sądzi pan, że przeciągnąłem ją do naszej wersji pociągu, a mój odpowiednik zrobił to samo w drugą stronę? Dwa światy szczepione w ten sposób? - zastanowił się Adrian, opierając się o umywalkę i patrząc w oczy swojemu odbiciu w lustrze.

- Jeśli się pan schyli, to zobaczy pan w lustrze przez szczelinę otwartego okna odbicie księżycy. Lustro nie może odbić tylko kawałka świata. Tam, po drugiej stronie jest wszystko, łącznie ze słońcem wstającym na tamtejszym wschodzie, wirem kręcącym się w odpowiednią stronę i całą anty-historią wielkiego anty-wybuchu. Lustro to tylko takie okno, przez które można zajrzeć do kompletnego anty-swiata.

- Ale w naszym przedziale siedzi pojedynczy obiekt wyjęty z tego anty-swiata.

Obaj podskoczyli, gdy otworzyły się drzwi toalety. Marlina była roztrzęsiona.

- Tu jesteście! Chodźcie, musicie to zobaczyć.

Ruszyli za nią szybkim krokiem do przedziału. Jasnowłosa trzymała na kolanach

otwarty notes. Widniał tam nabazgrany pospiesznie napis: „Wilki dostały się tu przez koniec pociągu. Wagony znikają, a ktoś zostawił otwarte drzwi między nimi. Teraz biegają po korytarzu i skrobią do drzwi. Boimy się, że stłuką szybę. Kim jesteś?”.

- Napisz coś... od siebie - zasugerował Adrian. - Prawdopodobnie rozmawiasz sama ze sobą.

- Zaraz - Profesor powstrzymał ją. - Jeśli nasza teoria jest słuszna, to tam jesteśmy też my wszyscy, nasze odbicia. Powinniśmy się porozumieć.

- Możemy ją spłoszyć - zauważył Adrian. - Przestraszy się i więcej nie zajrzy do notesu.

- Niech będzie - zgodził się profesor. - Napisz tylko na końcu „Mieszanka wedlowska”.

- Anna lubi ją szczególnie jesienią? - zażartował Adrian, ale jak zwykle nikt się nie zaśmiał. Wszyscy wpatrywali się w kartkę.

Chwilę później dostrzegli w notesie wpis: „Dentysta cieszy się od rana”. Pojawił się, mimo że wszyscy patrzyli.

- To ja! - ucieszył się profesor. - Odzew się zgadza.

- Przewidział pan, że będzie rozmawiał sam ze sobą? - zapytał zdezorientowany Adrian.

- Och, nie! To hasło na... wszelki wypadek. Standardowa procedura.

- Może w kółko i krzyżyk pan ze sobą zagra? - zgryźliwie zapytała Marlana. - Kim pan jest, profesorze?

- Naukowcem, choć tytułu profesorskiego nie mam. Ale oczywiście możecie schlebiać mi dalej. Nie jestem agentem specjalnym, jeśli dobrze odczytuję pani przypuszczenia. Pewne procedury służą jedynie zwiększeniu bezpieczeństwa.

- A ma pan pomysł jak stwierdzić, kto z nas jest odwrócony? - zapytała Marlana.

- Ostateczny dowód? Proszę bardzo: upolujmy wilka, usmażmy jego mięso i sprawdźmy smak. Mamy własne laboratorium smaku. Nie do podrobienia.

- I węchu - zauważył Adrian. - Las pachnie lasem. Tak, jak powinien.

- Co i tak niczego nie dowodzi, bo las i wszystko wokół może być również odwrócone. Zresztą nie sądzę, aby pan pamiętał graficzny zapis cząstki odpowiedzialnej za zapach lasu. Chemik by nas wyśmiał, ale skąd mamy wiedzieć, czy jest symetryczna i jak będzie pachniała jej odbicie?

- A jeśli to my jesteśmy odwrócony? Jeśli tu są nasze inne wersje, czyli odbicia nas samych, to kto się uratuje? Może musimy tu zostać, żebyśmy „prawdziwi my” mogli wrócić

do domu? Może spróbujemy porozumieć się z nimi przez interkom?

- A wtedy konduktor wgniecie nas w podłogę - zauważyła Marlena.

Adrian zmarszczył brwi i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Oczywiście nie było zasięgu.

- To się nie trzyma kupy - powiedział. - Jesteśmy w jakiejś dziurze czasoprzestrzennej. Nasz subiektywny czas musi płynąć wolniej, żebyśmy dotarli punktualnie do Krakowa. Dobrze mówię? - Profesor przytaknął. - Zatem dlatego telefon jest bezużyteczny, bo docierające do niego fale mają inną częstotliwość. Efekt Dopplera, czy coś podobnego, prawda? - Profesor znów kiwnął głową. - Dlaczego więc widzimy księżyc i gwiazdy? Powinny stać się... nawet nie czerwone, tylko uciec nam z zakresu widzialnego widma w podczerwień, albo i dalej. Na nic nasze obserwacje toaletowe. Ta anomalia ma własny Układ Słoneczny... może to nawet więcej niż odwrócenie Układu Słonecznego, może to cały anty-wszechświat? Co wtedy?

- Wtedy wróci pan do anty-domu, usiądzie w anty-fotelu i anty-otwieraczem otworzy anty-piwo. Ale nie zauważy pan różnicy, bo będzie pan anty-sobą. Jeśli pan zostanie odwrócony, to odwrócony świat będzie się panu wydawał normalnym. Tak więc udowadnianie teraz, kto jest pro - a kto anty - nie ma sensu.

Ktoś, dysząc, ciężko przebiegł korytarzem. Wszyscy znieruchomieli, nasłuchując.

- Nie zamknął za sobą drzwi - stwierdził po chwili Adrian.

- W tych wagonach nie zamykają się same.

- Więc dlaczego jeszcze nie ma tu wilków? - zapytała jasnowłosa. - We wszystkich wagonach drzwi są już pewnie otwarte.

- Nie wpadły jeszcze na pomysł wskoczenia przez tylne drzwi.

- Wpadły po tamtej stronie notesu, to i tu wpadną - dodał profesor. - Przykro mi to mówić, ale sędzę, że one biegną, czekając na tych nieszczęśników, którzy wyskakują z pociągu. Ranni nie mogą się nawet bronić. Jednakże jak każde istoty inteligentne, wilki też wpadną na to, że nie trzeba czekać, aż jedzenie samo wyskoczy...

Adrian otworzył okno i wychylił się. Kilka wilków niestrudzenie biegło wzdłuż pociągu. Teraz wszystkie spojrzały na niego, świecąc w ciemności oczami.

- Podczas, gdy tu sobie rozmawialiśmy, znikły dwa wagony - powiedział, zamykając okno. - Za nami jest tylko restauracyjny.

Z piskiem rolek otworzyły się drzwi. Zamigła i zapaliła się jarzeniówka. Wszyscy odskoczyli od okna i zamarli w bezruchu.

- Dzień dobry państwu - wyrecytował konduktor, patrząc na swoje odbicie w szybie. -

Poproszę bilety do kontroli.

Ocknęli się i zaczęli nerwowo przeszukiwać kieszenie. Kolejno podawali bilety. Profesor na wszelki wypadek spiorunował Adriana spojrzeniem. W postaci konduktora było coś tak niechlujnego, że przykre było nawet patrzenie na niego.

Ku zdziwieniu wszystkich, konduktor oddał bilety, uprzejmie podziękował i, gasząc światło, zamknął za sobą drzwi. Jakby ktoś zabrał gnijące mięso i wpuścił świeże powietrze. Teraz na miejscówkach widniały numery z przedziału, w którym właśnie się znaleźli.

- Może to jest sposób - zauważył Adrian. - Taktyka mniejszego oporu, by tutejszej rzeczywistości nie opłacało się z nami wojować.

Profesor mruknął coś niewyraźnie i zerknął na bilet jasnowłosej. Był lewoczytelny, odwrotny, a na nim odwrotnie maźnięty „ptaszek”. Od prawej do lewej, podczas gdy na pozostałych trzech biletach - od lewej do prawej. Na bilecie jasnowłosej był ptaszek z pierwszej kontroli, kiedy to dziewczynę uznali już za zaginioną. Naukowiec westchnął i nie skomentował tego.

- Przenieśmy się o jeden wagon do przodu - zaproponował Adrian.

- Dokąd chce pan w ten sposób dojść? - zapytał profesor.

- To co pan proponuje?

- Dowiedzieć się, jak wrócić do naszego świata. To po pierwsze. Nad resztą pomyślę.

- Jeśli profesor ma rację, to tamte wagony są bardziej... zmienione - powiedziała Marlena.

- I co potem? - profesor wzruszył ramionami. - Dojdziemy do lokomotywy i cóż to zmieni?

- Alternatywą jest szybka likwidacja zakłóceń, które nas tu trzymają - powiedział Adrian. - Jak pan chce to zrobić?

Wstał, sięgnął do obluzowanej poprzeczki w półce na bagaże. Szarpnął w prawo, w lewo i w dół. Po kilku ruchach trzymał w dłoni wyłamany, aluminiowy płaskownik.

- Nie idź - poprosiła Marlena.

- Zablokuję tylko drzwi - wyjaśnił chłopak.

- Przenieśmy się o jeden wagon do przodu - zaproponował niespodziewanie profesor.

- Zablokuje pan drzwi, jak przejdziemy. Potem pomyślimy.

- Dobrze. Zróbmy to, zanim zmieni pan zdanie - Adrian sięgnął po plecak. - Przy okazji... jedna istotna sprawa uszła naszej uwadze. Ubrania tych... niewidzialnych ludzi. Dziewczyna miała sandaalki, mini i T-shirt. - Pozostali patrzyli na niego pytająco, więc wyjaśnił - mamy jesień i to dość chłodną. Coś tu jest bardziej pokręcone, niż sobie

wyobrażamy.

- Czyli że... - Marlena zawahała się - czyli że ktoś mógłby jednak przetrwać tu od poprzedniego kursu? A może i od jeszcze wcześniejszego...

Profesor wzruszył ramionami i ostrożnie zdjął z półki ciężką walizeczkę.

- Nie pomyśleliście, że źle robicie, uciekając przez znikającymi wagonami? - zapytała jasnowłosa. - Może one wracają do waszego świata, a te tutaj jadą w nieskończoność?

Adrian zwrócił uwagę, że powiedziała „waszego” zamiast „naszego”.

- Innymi słowy - uśmiechnął się profesor - skąd wiecie, że nie chcecie popełnić samobójstwa, skoro nigdy nie próbowaliście.

Otworzył drzwi, wyjrzał i wyszedł na korytarz. Pozostali ruszyli za nim. Adrian, idąc na końcu, zasunął drzwi i wolnym krokiem dotarł do początku wagonu. Włosy na karku uniosły mu się w tym samym momencie, w którym usłyszał za plecami warczenie. Odwrócił się. Wilk zbliżał się, z opuszczonym łbem, gotowy do skoku. Żółte ślepie błyszczały odbitym światłem.

- Stójcie spokojnie - powiedział przez zaciśnięte zęby Adrian. - Nie prowokujcie go.

Obie kobiety odwróciły się. Marlena zaczęła krzyczeć. Wilk przeniósł na nią spojrzenie, ale tylko na moment. Zatrzymał się; szare łapy stały pewnie na miękkiej wykładzinie. Adrian nie drgnął, nawet gdy Marlena porzuciła swoją walizkę i odbiegła. Wilk szykował się do skoku, ale zawahał się. Adrian zagryzł zęby. Próba sił. Powolnym ruchem sięgnął do drzwiczek w ścianie, wyciągnął z uchwytu gaśnicę i skierował ją na drapieznika. Tym samym powolnym ruchem zerwał plombę. Zrozumiał nagle, dlaczego wilk jeszcze nie zaatakował - czekał na wsparcie. Gardłowy gulgot przybrał na sile, gdy w głębi korytarza pojawiło się następne zwierzę; bezszelestnym truchtem zbliżało się do przewodnika. Adrian wyczuł moment. Gdy wilk już miał skoczyć, chłopak przekręcił zawór. Biały proszek z hukiem wypełniał korytarz. Wilk zaskowyczał, skulił się i cofnął. Adrian rzucił gaśnicę i pobiegł do przejścia między wagonami. Zamknął za sobą drzwi, ale następne były zablokowane. Błada jak papier Marlena uczepliła się klamek. Za szybą pojawił się profesor. Odciągnął kobietę i otworzył drzwi. Chłopak wskoczył do wagonu, zamknął za sobą drzwi i rozkaszał się. Marlena płakała, skulona w kącie, gdzie popchnął ją profesor.

Po drugiej stronie przejścia, z rozwiewającej się chmury pyłu, wyłonił się pierwszy wilk. Zaczął skrobać w drzwi, stanął na dwóch łapach. Profesor w całym tym zamieszaniu nie wypuścił z ręki swojej walizeczki. Dopiero teraz postawił ją na ziemi, rozwiązał krawat i owinał nim kilkukrotnie klamki skrzydeł drzwi. Adrian zgubił zarówno swój plecak, jak i aluminiowy płaskownik.

- Doskonale pan to rozegrał - przyznał profesor, zaplatając skomplikowany węzeł. - Gratuluję zimnej krwi.

- Każdy mężczyzna jest bohaterem - odparł Adrian, po raz kolejny siląc się na dowcip.

- W snach. Tam było jeszcze „w snach”. Niedokładnie pan zapamiętał.

Chłopak spróbował zrobić krok i poczuł, że ma nogi jak z waty. Oparł się o ścianę.

Wilkowi udało się włożyć pazury w szczelinę między skrzydłami drzwi drugiego wagonu i rozsunać je. Chwilę później uderzył łapami w szybę na wprost twarzy jasnowłosej. Adrian dopiero teraz zobaczył, że dziewczyna stoi za jego plecami. Zafascynowana, wpatrywała się w oczy zwierzęcia. Zbliżała się powoli do drzwi. Wilk znieruchomiał, oparty o szybę.

Adrian delikatnie chwycił dziewczynę za łokieć i odciągnął. Zwierzę zaczęło skrobać gumę uszczelniającą drzwi.

- Sądzi pan, że damy radę zbudować barykadę z foteli i drzwi od przedziałów? - zwrócił się do profesora.

- Teraz szkoda na to czasu, za dwie minuty one tu się przedrą. Ten krawat nie jest zbyt mocny. Przejdźmy jeszcze jeden wagon do przodu i zablokujmy starannie następne drzwi.

- Mówił pan o zmianach, jakie tam następują.

- Większe nastąpią, kiedy dopadną nas wilki. Postanowiłem... zdać się na intuicję.

Adrian pomógł wstać Marlenie.

- Przepraszam - szepnęła, spuszczać wzrok. - Wpadłam w panikę.

Objął ją ramieniem i odsunął włosy z jej twarzy. Potem wyjął ze schowka gaśnicę. Szybkiem krokiem cała czwórka oddaliła się od trzeszczących pod szybkimi uderzeniami drzwi. Przeszli do następnego wagonu. Tym razem profesor obwiązał klamki skórzanym paskiem.

- Teraz możemy zastosować pana pomysł z fotelami - powiedział. - Sprężysta konstrukcja powinna je powstrzymać.

Adrian wszedł do pierwszego przedziału, szarpnął drzwiami i kopnął kilka razy. Wskoczyły z rolek. Wyrwał je, zaniósł profesorowi i wrócił po fotele. Okazały się łatwe do zdemontowania. Ogołocił w ten sposób kilka przedziałów, a profesor z Marleną ułożyli barykadę niemal pod sufit. Cały czas towarzyszył im łomot prób sforsowania drzwi do wagonu.

Odsunęli się, oceniając wspólne dzieło.

- Legia gra dziś z Wisłą? - mruknął Adrian.

Rozległ się huk otwieranych drzwi, skrobanie i warczenie, potem kilka mocniejszych

uderzeń. Barykada zatrzęsa się, ale wytrzymała. Marlena złapała chłopaka za rękę. Jasnowłosa kawałek dalej z przymkniętymi oczami opierała się o okno.

- Mamy je z głowy na dłużej - powiedział profesor i ruszył korytarzem, obrzucając dziewczynę niechętnym spojrzeniem.

Weszli do przedziału w drugim końcu wagonu i usiedli, nie zapalając światła. Profesor położył walizeczkę na fotelu obok siebie i pokręcił kółkami zamków kodowych. Szczęknięty zapadki i wieczko odskoczyło. Adrian zamarł, nie wiedząc, czego się spodziewać.

- Nie bójcie się - profesor wysilił się na uśmiech. - Nie wybuchnie.

Otworzył. Sfatygowana skóra kryła wewnątrz wyglądające jak rekwizyt z technothrillera. Jedynym elementem, który Adrian rozpoznał, był czarny laptop. Wokół niego, umocowane do elastycznej pianki wypełniającej wewnątrz, znajdowały się świecące różnokolorowymi diodami czarne i srebrne przedmioty, połączone wiązkami przewodów metalowe cylindry i przełączniki.

- Nie powinienem tego robić - mruknął profesor, wpisując na klawiaturze laptopa kolejne komendy. - Wyniki trafi szlag, ale to lepsze, niż dać się pożreć. Zresztą wyniki zazwyczaj są niepełne.

- Naprawdę nie jest dobrze - stwierdził, nie odrywając wzroku od ekranu. - Oddaliśmy się...

- Od czego?

- Proszę sobie wyobrazić piłkę. - Uniósł wzrok, a dłonie ułożył, jakby rzeczywiście trzymał piłkę. - Z samego czubka płynie strużka wody. To nasza droga przez czas. Nie mamy na nią wpływu, płyniemy z prądem. Teraz jednak jesteśmy małymi bakteriami uwięzionymi w pojedynczej kropli, którą wiatr oddzielił od tej stróżki i zepchnął nieco w bok.

- Więc czas jest jak piłka?

- Można go sobie tak wyobrazić. Nasza kropla oddala się od głównej stróżki. Możemy tułać się bardzo długo, wrócić... bądź wpaść do innej stróżki. Oczywiście jedynym zadowalającym nas rozwiązaniem jest powrót.

- Co to za sprzęt? - zapytał Adrian, wpatrując się w zawartość walizki.

- Rejestrator - wyjaśnił profesor. - Długo by tłumaczyć. Kilkanaście rodzajów zapisu. Z niedokładności ich zamazywania można odtworzyć zarys prawdziwego przebiegu wypadków, jeśli słowo prawdziwy coś tu znaczy. Zwykły zapis video zapewne pokaże, że żadna gruba kobieta nie wsiadła do przedziału, ale może cokolwiek zostanie w zapisie termowizyjnym. Małe wymiary walizki niestety ograniczają możliwości sprzętu.

- Nie prościej było doczepić jakiś wagon-laboratorium?

- Pan zapewne wyobraża sobie, że uczestniczy w czymś nadzwyczajnym? Niestety, tak nie jest. To dzieje się cały czas, lecz tego nie zauważamy. Nie można naprawiać zegarka młotkiem. Żeby badanie miało jakikolwiek sens, ingerencja musi być minimalna. Podłączenie wagonu, to istotna zmiana warunków początkowych, nie mówiąc już o przykrym starciu z bezmyślnością maszyny urzędniczej. Sprzęt wewnątrz tej walizki zapisuje dane ze swojego otoczenia na kilkanaście różnych sposobów. Większość zostanie zamazanych, jak i nasza pamięć, ale któryś zapis kiedyś w końcu przetrwa.

- Nasza pamięć? - zapytał Adrian.

- Wszystko pan zapomni - profesor pokręcił głową. - Teraz już wiem. To jest jak przekleństwo. Badam podobne zjawiska od wielu lat, jechałem tym pociągiem z siedem razy. Bez powodzenia. Teraz mam namacalny dowód, ale zostanie on zapomniany, wymazany. Hipnoza pomaga w minimalnym stopniu. Znów będę w punkcie wyjścia. Tak, teraz już wiem. Działo się to wielokrotnie, może nawet... każdemu z nas przydarza się codziennie. W windzie, podczas spaceru, przy śniadaniu. Znajomy świat przekształca się przy byle odstępstwie od normy. Potem wracamy, nic nie pamiętając, albo... i nie wracamy. To jak badanie wnętrza czarnej dziury, poniżej horyzontu zdarzeń. Wyniki badań zwyczajnie nie wydostaną się ze środka. Syzyfowa praca, dosłownie. Cała cywilizacja, proszę to sobie wyobrazić, to wszystko, co stworzyliśmy, co nas otacza, to zaledwie dziurawy pled skrywający niewyobrażalny chaos powstających i ginących istnień. Na okrągło, w nieskończoność. Fundamentalna, niedostrzegalna cecha naszego świata. Amnezja wpisana między atomy. Cóż za...

- Jesteśmy jednak maszynami przetrwania - wtrącił Adrian, gdy profesor zawiesił głos. - To wszystko, czego się dowiedziałem, nie zabiło we mnie instynktu przetrwania. To, co pan powiedział, to tylko teoria. Wolę żyć i móc to przemyśleć.

- Pan chyba nie zrozumiał - profesor pokręcił głową. - My to zapomnimy, nawet jeśli przetrwamy. Ale dobrze, próbować przeżyć zawsze warto. Teoria może być błędna, znakomita większość teorii okazuje się przecież błędnymi. Niedokładnymi. Na szczęście rejestrator może również spełniać podobną rolę, co sonar w łodzi podwodnej. Ośrodek anomalii jest tu, w tym przedziale.

- Więc wybraliśmy najgorsze miejsce? - zapytał Adrian.

- Nie - profesor pokręcił głową. - Ośrodek od początku przemieszczał się wraz z nami. Mimowolnie spojrzeli na śpiącą jasnowłosą.

- Nie chce jej pan chyba wyrzucić? - zapytała z niepokojem Marlina.

- Ciii... - Adrian przysunął palec do ust. - Słyszycie?

Zza ścianki łączącej ich z następnym przedziałem dochodziły śmiechy i rozmowy.

Ktoś brzdąkał na gitarze. Marlena szybko przekręciła zameczek w drzwiach.

- Nie będziemy tego sprawdzać - oświadczyła.

- Straszmy się tu nawzajem - powiedział profesor, klikając w klawisze. - A na sprawdzanie nie starczy nam czasu. Jeśli wskazania są poprawne, to mamy trzydzieści sekund na opuszczenie wagonu.

- Zniknie?

- Tak. - Profesor wstał, pospiesznie zamykając walizkę. - Nasza podróż w podróży wciąż trwa.

Wyszli szybkim krokiem z przedziału. Adrian holował za sobą jasnowłosa; obijała się sennie o ściany. Z przeciwka nadbiegł wąty mężczyzna w rozchełstanej koszuli. Był spocony, kilka razy powtórzył „przepraszam”, zamrugał nerwowo, po czym przepchnął się przy ścianie i pobiegł dalej.

- Idziemy w kierunku tego, co doprowadza ludzi do szaleństwa - powiedziała Marlena, oglądając się za siebie. Nie zwolniła jednak kroku.

- Pospieszmy się - odparł profesor. - Facet zapewne rozmontuje barykadę. I zamykajmy za sobą drzwi.

- Zauważyliście jego koszulę? - zapytała Marlena. - Takie są niemodne od piętnastu lat. Już ich raczej nie produkują.

- Spędził tu trochę czasu - stwierdził Adrian. - Albo jest starym kawalerem. Jak daleko idziemy?

- Do samego przodu - odparł profesor. - Teraz kolejne wagony będą znikać... co minutę.

- A ryzyko zmian?

- Lepsza to perspektywa niż dematerializacja.

Minęli kolejne przejście między wagonami.

- Ale... co to w ogóle jest? - drażył Adrian. - Czym jest Szczelina? Niedokładnym odbiciem naszego świata czy innym światem? Kto otworzył przejście? Jakiś człowiek? Czy to aby nie pachnie magią?

- Skądże znowu! Co nas zaprowadziło na Księżyc, jeśli nie intelekt? Co wystrzeliło sondy poza Układ Słoneczny? Nasz mózg kryje w sobie wiele tajemnic. Może potrafi otwierać przejście do podobnych miejsc? I nawet przeprowadzić nas tam?

- Nas? Mózg? Czy my i nasz mózg to nie to samo? - Adrian puścił rękę rozbudzonej jasnowłosej i wyprzedził profesora.

- Och, nie. Mózg to komputer, a my... świadomość, jaźń. To, co ma pan na myśli,

mówiąc „ja”, to tylko program w tym komputerze. Jeden z wielu. Wszyscy jesteśmy gośćmi w naszych ciałach. Kto ustala rytm bicia pana serca? Nie pan sam przecież. Robi to inny program, który razem z panem siedzi w mózgu. Nasza świadomość to niematerialny, samomodifikujący się, jednowątkowy *stream*. Algorytm. Nasze „ja” to niematerialna informacja. Jesteśmy gośćmi we własnych ciałach. Tu jest jak w mięście.

- Wystarczy, bo zaraz sam wyskoczę z tego pociągu.

Kolejne drzwi, kolejny korytarz. Na jego końcu... Adrian oparł dłonie o wilgotną szybę. Przed nimi nie było już wagonów. Żółtawym światłem zmatowionych parą szyb majaczyła lokomotywa. Chybotwała się ociężale na nierównościach starych szyn. Stał dłońmi wilgoć ze szkła. Zagryzł zęby. Poczul, jak obraz wdziera mu się do mózgu, chwytając go stalowym uściskiem, wypierając wszystko inne. Przesła, łuki, kolumnada, nierealne kształty zmieniające się w wirowaniu, transformujące w coraz to nowe formy - znajome, ale nierozpoznawalne. Ledwie uchwytnie krańcami skojarzeń, ginące tuż przed ostatecznym zrozumieniem. Zmiany następujące tak niespodziewanie, że nie sposób poznać ich prawdziwego charakteru. Chciał zamknąć oczy, uciec, uciec od tej niestabilności. Uciec jak najdalej stąd... Zacisnął dłonie na uchwytych przejścia i krzyknął. Zmiany ogarnęły go, przebiegły po suficie wagonu chroboczącymi trybami, kolorami, strumieniami. Jak tuż przed zaśnięciem, kiedy rozpada się logika rozumu, kiedy myślisz „krzesło”, by zaraz tego już nie rozumieć. Myśli tracące spójność, rozkładające się na części pierwsze jak w pijanym tańcu na linie, jak w gorączkowym śnie, gdy podstawowe definicje nic nie znaczą. Pięć palców u dłoni. Czy przed chwilą też było ich pięć? Pięć zmieniło się w pięć. Wszystko się zmieniło, wokół obracały się nicości, atakując jaźń pozbawioną filtra zmysłów. Wibracje, wszechogarniające wibracje.

Wyrwał się, wypchnął te wizje z głowy.

Odwrócił się do pozostałych, łapiąc z wrażenia powietrze. Profesor i Marlina, widząc jego błądzenie, wychylili się, żeby zobaczyć to, co i on. Odepchnął ich od szyby. Pokręcił głową i stał pot z czoła.

- Dlatego uciekali - wyrzucił z siebie.

- Co tam jest?! - krzyknął profesor.

Adrian oparł się o ścianę. Zamknął oczy, liczył uderzenia serca.

- Czy ten wagon nie jest za krótki? - zapytał, mierząc wzrokiem korytarz.

- Potwór jednak naprawdę siedzi w szafie - stwierdził profesor, oglądając się przez ramię. - Zapominamy o nim, pozostaje tylko niewyjaśnione kołatanie serca... Wagon istotnie jest za krótki. Jeśli to zauważamy, to już jest sukces.

- Sukces? - zdziwił się Adrian.

- Nie zauważyliśmy, że pociąg kilka razy zmieniał kierunek jazdy. Zarejestrowały to przyrządy w walizce.

Wprowadził ich do najbliższego przedziału, który był pierwszym w całym pociągu. Przysiedli niepewnie na fotelach. Profesor otworzył walizeczkę i zaczął stukać w klawisze.

- Ośrodek największej energii znów jest z nami w przedziale.

- Niech pan sobie daruje - powiedziała jasnowłosa. - Chciałam wysiąść, to mi nie daliście.

Profesor wymienił spojrzenia z Adrianem i zapytał:

- Czy w notesie pojawiły się jakieś nowe zapisy?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Możemy więc przyjąć, że już ich tu nie ma - oświadczył profesor. - Mogli wrócić, ale bardziej prawdopodobne, że... Wydaje mi się, że to co tutaj obserwujemy, nie jest niczym szczególnym. Zajrzeliśmy do wnętrza mechanizmu...

Niespodziewany krzyk Marleny sprawił, że wszyscy drgnęli. W otwartych drzwiach pojawił się pysk wilka. Żółte ślepią, żółte kły. Adrian rzucił się do klamki, ale wilk skoczył wprost na niego. Chłopak zamknął oczy, stracił równowagę i poczuł uderzenie. Ból nie nadszedł, zaćmiło tylko w nadgarstku. Adrian otworzył oczy i odwrócił się na plecy. Leżał na podłodze, a wilk... taplał się w nim. To było pierwsze skojarzenie: taplanie się. Przednie łapy zwierzęcia zanurzone były w jego piersi jak w cieczy. Adrian nie był ranny, nie czuł bólu. Wilk zawrócił i rozległ się przeraźliwy krzyk. Kły wbiły się w nogę jasnowłosej. Adrian zerwał się, by odciągnąć zwierzę, chciał złapać sierść na grzbiecie. Ręce weszły do wnętrza wilka, nie napotykając oporu. Chłopak spojrzał na swoje dłonie. Wtedy drugi wilk skoczył na niego. Adrian zobaczył rozwartą szczękę zbliżającą się do swojej twarzy. Nie było czasu na unik. Wilcze zęby przeniknęły przez policzek chłopaka. Krzyknął zduszonym głosem. Przedzierał się przez gęsty dym, niematerialne ciało stworzenia z innego świata. Wilk przeleciał na wskroś i uderzył o ścianę. Odwrócił się, skoczył ponownie i... znów poszybował w przestrzeń za Adrianem.

Do przedziału wpadł trzeci wilk. Profesor dopiero teraz wstał i zasłonił się walizką. Zwierzę skoczyło i... przebiło walizkę, jakby ona również była niematerialna. Marlena stanęła na fotelu, przyciskając plecy do ściany i rozglądała się z przerażeniem. Profesor patrzył w totalnym osłupieniu na łeb wilka wyłaniający się z jego brzucha. Kły kilka razy zamykały się, próbując złapać cokolwiek, ale tylko bezskutecznie kłapały w powietrzu.

- Co jest? - zapytał Adrian.

- Nie mam pojęcia - wysapał profesor, przestając nawet odpędzać wilka, który usiłował wgrzyźć mu się w nogę. - Przenikamy przez siebie. Nie znam wyjaśnienia.

Jasnowłosa wiła się pod dwoma wilkami, jej krzyk powoli słabł.

- Spokojnie, nic nam nie zrobią - powiedział Adrian, nachylając się nad warczącym kłębowiskiem. Na twarz chlapnęła mu krew. Wtedy zrozumiał. Zerwał zasłonkę, zwinął w linę i przerzucił pod głowę najbliższego wilka. Szarpnął, odciągając zwierzę od ofiary. To co zobaczył, sprawiło, że jego uchwyt zelżał.

- Może pana ugryźć przez materiał! - krzyknął profesor, gdy wilk wygiął się w łuk i spróbował wbić zęby w dłoń chłopaka. Gdy mu się nie udało, momentalnie wrócił do posiłku.

Krew jasnowłosej rozlewała się na podłodze, tworząc nieregularną kałużę.

- Za późno - jęknął profesor. - Niech ją pan stąd zabierze.

- Wskazał głową Marlenę.

Adrian objął bladą kobietę ramieniem i wyprowadził na korytarz. Profesor uparcie ścisnął walizkę. Zamknął drzwi. Ruszyli do tyłu, by cofnąć się chociaż o jeden wagon, ale za nimi nie było już żadnego. Pociąg składał się z lokomotywy i jednego wagonu z trzema przedziałami.

- Co to było? - zapytała Marlena, której strach powoli zamieniał się w złość. Wyswobodziła się z objęć Adriana i przypaliła papierosa. Spojrzała groźnie na profesora. Ten wzruszył ramionami.

- Mówiłem już. Pasażerowie w spadającym helikopterze mogą znać przyczynę dziwnych zjawisk: spadanie maszyny. My nie znamy przyczyny, mechanizmu. Wszystko się tu płacze, przeinacza, miesza, ale dlaczego...?

- Mówił pan o samolocie - zauważył Adrian.

- Doprawdy? - zastanowił się profesor. - Pamiętam dokładnie... Coś się musiało zmienić, poprzestawiać. - Rozejrzał się. Stali na stacji. - Nie poczuliście niczego dziwnego? Wstrząsu, efektu deja vu? Czegokolwiek? Nic się nie zmieniło?

Marlena pokręciła głową i ruszyła w stronę pociągu. Żwir skrzypiał pod jej butami. Mężczyźni niechętnie podążyli za nią. Wspięli się do wagonu, ale zostali na korytarzu. Sama weszła do przedziału.

- Nie pamiętam, żebyśmy wysiadali... - Adrian otworzył okno i wyjrzał.

Ta sama stacja. Bez wątpliwości. Nawet stary kioskarz siedzący nieruchomo w jasnej budce wyglądał identycznie, a stojący obok kosz na śmieci był wgięty w tym samym miejscu. Adrian miał jednak wrażenie, że cztery wieżowce wyglądają inaczej niż przedtem. Wciąż paliły się w nich nieliczne światła, jakby od ich odjazdu minęła minuta, a nie parę godzin.

Wciąż byli w siódmym wagonie, a za nimi było ich jeszcze kilka.

- Niech pan popatrzy - profesor wskazał tył pociągu. Wszystkie przedziały miały drzwi, a po ułożonej z trudem barykadzie nie został ślad. Rozpiął marynarkę i dotknął paska w spodniach. Pomacał krawat.

- Pętka - mruknął, po czym szeptem zwrócił się do Adriana. - Do trzech razy sztuka. Jeśli ktoś będzie chciał wysiąść, niech pan go tym razem nie zatrzymuje.

- Powiedział pan „do trzech razy”? Jesteśmy tu drugi raz...

Profesor spojrział na niego badawczo.

- Za pierwszym razem wyszedł pan do kiosku po gazetę. - Wyjął z kieszeni „Wyborczą” i podał chłopakowi. - Za drugim sprowadził pan z powrotem tę nieszczęsną dziewczynę.

- To był ten sam raz - zaprotestował Adrian. - Pociągnąłem za hamulec.

- Gdyby pociągnął pan za hamulec - profesor pokręcił głową - to konduktor przerobiłby nas na kotlety schabowe. Zaraz, pan nie żartuje?

- Mamy różne wspomnienia. Jak to możliwe? Byliśmy cały czas razem.

- Rzeczywistość... Proszę zapytać kilka osób o przebieg wypadku drogowego, którego były świadkiem. Będzie pan miał tyle wersji, ilu ludzi. Ugrzęźliśmy tu na dobre - Profesor otworzył na kolanie walizkę i zerknął na monitor. - Niestety, ośrodek anomalii jest znów blisko nas. To nie była tamta.

- Możemy to prosto sprawdzić - Adrian wzruszył ramionami. - Pójdę w jedną stronę, Marlena pójdzie w drugą. Wyjaśni się.

- Zapomniał pan, że poruszanie się tutaj w pojedynkę to śmiertelne niebezpieczeństwo? Dlaczego pan to w ogóle robi? Przecież nie dla sławy.

- A pan? Opublikuje pan to w „Science”?

- Prędzej w „Wiedzy i Życiu”, ale i to nie sądzę. To materiał dla dalszych badań. Szczerze mówiąc - profesor potarł w zakłopotaniu nos - na razie jestem tylko facetem, który pilnuje tej walizki. Zmysły są tu na nic. Ile warte mogą być nasze relacje? Widzi pan stację, kiosk, miasto. Przecież z tego nic nie wynika. Nauka już kilka wieków temu musiała przyznać, że wzrok, węch i słuch to narzędzia zbyt prymitywne, by nimi poznawać świat. Przecież nie dojrzy pan neutronu. Zresztą, to nie ma sensu. Może przeżyjemy, ale nic nie zapamiętamy.

Adrian zdusił papierosa o metalową krawędź opuszczonego okna i wyrzucił peta na torowisko.

- Wie pan, dlaczego wasze wyniki zawsze są niepełne? Bo za każdym razem ktoś

otwiera walizkę, żeby ratować życie.

- Byłem tu parę razy i nigdy nie działo się nic niezwykłego - zaproponował profesor. - Nic niezwykłego jak na te warunki, oczywiście. I nigdy wcześniej nie otworzyłem walizki.

- Pan nie pamięta poprzednich razy. - Adrian uśmiechnął się pod nosem i wszedł do przedziału. Marlena siedziała sztywno, patrząc na własne odbicie w ciemnej szybie. Przeniosła wzrok na drugą stronę czarnego lustra.

- Wiem, dlaczego tu wróciliśmy... - powiedziała. - Na tę stację.

Adrian usiadł naprzeciwko i spojrzał jej głęboko w oczy. Wyglądała inaczej; nie bała się już, podjęła decyzję.

- To ja was tutaj trzymam. Ten pociąg czy też... frakcję, wersję, jakkolwiek to nazywa profesor.

Odetchnęła głęboko i wstała. Zdjęła z półki swoją walizkę, choć Adrian mógłby przysiąc, że wcześniej jej tam nie było. Uśmiechnęła się do współtowarzyszy.

- Ten pociąg pogrąża się w chaosie, walczą ze sobą różne prawa. Tam, w mieście, panuje porządek. Inny, niż znamy, ale porządek. Jeśli on gdzieś jest, to tylko tam.

Odwróciła się i wyszła. Zeskoczyła na żwir i wolno ruszyła w stronę lasu, ciągnąc za sobą podskakującą na kamykach torbę. Adrian stwierdził, że jej ostatnie zdanie mogło mieć dwa zupełnie różne znaczenia. Stał w oknie obok profesora. W milczeniu patrzyli, jak kobieta znika między drzewami. Stali tak, aż pociąg ruszył.

- Ona otworzyła Szczelinę - powiedział profesor. - To ją zobaczyliśmy w naszych obliczeniach... Ten świat nie jest znów tak różny od naszego. Zdaje się, że... zdjęto nam tylko klapki z oczu.

Zamknęli okno i wrócili do przedziału. Profesor zerknął na ekran laptopa.

- Zakrzywienie słabnie. Wygląda na to, że wracamy do domu.

- Szkoda, że po trupach.

- Nikt tego nie chciał. - Profesor zamknął walizkę i z trudem włożył ją na półkę. - Myślę, że to naturalna kolej rzeczy. Przeżywamy to może nawet codziennie, potem zapominamy. Mówiłem już: dziś ma pan brata, jutro jest pan jedynakiem, pojutrze nigdy pana nie było. Może pojawił się pan na świecie dziś rano, wstał z łóżka z kompletem wspomnień i drzewem genealogicznym? Proszę sobie wyobrazić mrówkę, która wędruje po dziecięcej dłoni. Dziecko bawi się, podstawiając kolejne palce, wybierając jej drogę. Mrówka wciąż wędruje naprzód, dąży do jakiegoś celu, tymczasem dziecko może zrobić wszystko. Może podsunąć mrówce kryształek cukru, może zabrać ładunek z jej grzbietu, może wreszcie mrówkę rozgnieść.

- Ale nie może stworzyć nowej mrówki - zauważył Adrian.

- Nie mówię, że ten model jest idealny. Za wcześniej na większą dokładność analogii. Ta teoria... - profesor rozłożył ramiona - otwiera takie możliwości, że nie wiadomo, z której strony zacząć. Jak się lepiej zastanowić, to fakt trwania jakiejś osoby przez dziesięciolecia wydaje się niezwykle mało prawdopodobny. To skrawki, ruchome kawałki, jak życie filmowych postaci w procesie niekończącego się montażu. Przeszłość i przyszłość to tylko wypowiedziane refleksy chwili obecnej, bo tylko ona istnieje realnie. W każdej sekundzie wszystko się przecież przestawia. Biegamy sobie jak te mrówki po drózkach wyrysowanych na planszy ułożonej z niezliczonej ilości puzzli, przekładanych wciąż jakąś złośliwą ręką. Nie wszystkie puzzle do siebie pasują, czasem nasza droga kończy się niespodziewanie.

- Bardzo przykra wizja świata.

- Może inny świat po prostu nie mógłby istnieć? - Profesorowi błyszczały oczy. - To byłby szok, ale takich szoków było wiele. Wyobraża pan sobie, co musieli czuć fizycy, gdy okazało się wreszcie, że materia nie jest ciągła jak plastelina, że składa się nawet nie z klocków, tylko z nicości poprzątkanej małutkimi porcjami energii? Może tutaj, dziś właśnie, przedarliśmy się przez kolejną warstwę iluzji, która oddziela nas od prawdy? Szczelina byłaby więc rodzajem objawienia, jak możliwość dostrzeżenia najdalszych galaktyk po wzniesieniu się ponad atmosferę. W takim miejscu jak to, na granicy obowiązywania różnych praw, wymazywanie i tworzenie przebiega na tyle niedokładnie, że je zauważamy. Potwór jest nie tutaj, ale wszędzie wokół. Wszędzie, tylko nie w szafie. Wreszcie dostaliśmy szansę, by zobaczyć, jak to się dzieje. Ludzie, budynki, całe kraje wciąż znikają, a na ich miejsce pojawiają się inne. Nie widzimy tego, bo zmienia się równocześnie nasza pamięć.

- Istnieje również teoria - dodał Adrian - mówiąca, że świat trwa tylko moment, przeszłość jest złudzeniem, a przyszłość nie nadejdzie.

- Teorii jest wiele, któraś pewnie zbliża się do prawdy. Oczywiście można to odrzucić, schować głowę w piasek i udawać, że nic się nie stało, że wciąż obowiązuje fizyka klasyczna...

- Kapuję. Gwiazdy w dzień też świecą, tylko nie udaje się ich dostrzec?

- Właśnie tak. Niechże pan powie, co było tam z przodu, zamiast lokomotywy?

- Przecież i tak pan zapomni.

- Ale przez moment będę pamiętał. To jak z jedzeniem lodu - chwilowa przyjemność.

Adrian pokręcił głową.

- Tego się nie da opisać. Tam były... tylko zmiany. To, co widziałem, składało się ze zmian. Nic więcej... Chciałem od tego uciec jak najdalej. Uważa pan, że jesteśmy bliżej Boga,

czy też wydarliśmy kolejny skrawek boskości dla siebie?

- Na to trzeba wielu lat przemyśleń, a my nie mamy tyle czasu. Teoria, wiem, to wszystko tylko teoria. Niepotwierdzona. Zostanie zresztą i tak zapomniana. Myślałem o niej od dawna; teraz, tutaj zyskałem niemal pewność. Zapomnę albo zostanę zapomniany. Może nie pierwszy raz. A może wszystko, co pamiętam, jest fikcją?

Nie rozmawiali już więcej. Adrian sięgnął po notes jasnowłosej, znów leżący, jak gdyby nigdy nic, na fotelu naprzeciwko. Otworzył go i zaczął przelewać na papier całą wiedzę, jaką zebrał tej nocy. Dokończył też historię poprzedniej właścicielki. Może notes i zapisana w nim informacja naprawdę były trwalsze niż wszystko inne wokół? Warto przynajmniej spróbować. Fakty, krótkie przemyślenia, starczyło na kilka stron. Potem dwaj podróżnicy zatopili się w myślach. Na kwadrans, może pół godziny. Profesor zdążył wypalić fajkę.

- Nie powinno się jej zapalać dwa razy w ciągu dnia - powiedział. - Ale co tam, może już nie będzie okazji?

Nagle zrobiło się głośniejsze - wjechali do tunelu. Zamigotała lampa. Adrian spojrzał na swój bilet - stacją docelową znów był Kraków.

- Żegnaj - powiedział profesor, uśmiechając się nieznacznie znad wygasłej fajki. - Chociaż... nigdy nic nie wiadomo...

Nim Adrian zdążył odpowiedzieć, zgasło światło.

Gdy zapaliło się ponownie, pociąg zwalniał, wjechał w gęstsza zabudowę. Kwadrans później wolno bujał się na rozjazdach, zgrzytał kołami i wił się, szukając odpowiedniej drogi. Wreszcie gładko wsunął się między właściwe perony i znieruchomiał, tykając i postukując mechanizmami. Adrian otworzył okno. Zapach kolejowy wwiercał się w nos intensywniej niż w Warszawie, a dworzec, wykończony blachą trapezową, był wprost ohydny.

- Polska... - mruknął Adrian, zamykając okno i sięgając po plecak. - Mówiłem panu, na tej trasie nie ma żadnego tunelu.

- Może, może. - Łysy uśmiechnął się pod nosem. - Ale co się nagadaliśmy, to nasze. Lubię taką atmosferę nieuchwytnego grozy.

Wzdrygnął się przesadnie, robiąc przy tym minę dorosłego dziecka, które ktoś spróbował wykapać w zimnej wodzie. Adrian udał, że szuka czegoś w plecaku. Zaczekał, aż tamten wyjdzie. Trzy godziny nużącej rozmowy w zupełności wystarczyły; nie trzeba było ryzykować przypadkowej kontynuacji w autobusie bądź na postoju taxi. Chuderlak też wyszedł, mruknawszy „do widzenia”. Adrian został sam. Nie ma co, trafił na idealnych kompanów. Zmarnowany czas. Wyjął z kieszeni „Wyborczą” i pobieżnie zerknął na pierwszą

stronę. Zmarszczył brwi - gazeta miała jutrzejszą datę. Potarł w zamyśleniu brodę, nie wiedząc, co o tym sądzić i schował gazetę z powrotem do kieszeni. Dla pewności odczekał jeszcze chwilę i zarzucił plecak na ramię. Miał już wychodzić, gdy kątem oka zauważył podłużny kształt leżący na półce. Nieduża skórzana walizka. Nie mógł sobie przypomnieć, kto z nią wsiadł. Przyjrzał się dokładniej. Trochę zniszczona, ale z pewnością porządna, z krokodylej skóry, z mosiężnymi okuciami. Po chwili zastanowienia wziął ją z zamiarem oddania do biura rzeczy znalezionych. Była ciężka.

Peron lśnił wilgocią osiadłą z powietrza. Wysiadło ledwie kilkanaście osób.

- Nie widział pan mojej córki? - Starsza pani zaszła mu drogę. Pod nos podetknęła zdjęcie. - Miała przyjechać tym pociągiem. Tym samym wagonem.

Adrian przyjrzał się zdjęciu w słabym świetle. Blondynka, szczupła, nawet ładna, choć nie w jego typie.

- Niestety, nie widziałem nikogo takiego - odparł, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

- Może pan o niej chociaż słyszał? - Staruszka patrzyła na niego z nadzieją. - Miała na imię Alicja. Znów nie przyjechała...

Może jest po drugiej stronie lustra, odparł w myślach Adrian. Pchnięty jakimś impulsem oddał kobiecie znaleziony w przedziale notes w czarnej skórze. Przeprósł i skierował się do toalety.

Postawił walizkę na podłodze i ochlapał twarz zimną wodą. Spojrzał w swoje odbicie w lustrze: podkrążone oczy, ziemista cera i zmierzwione włosy. Czuł się strasznie zmęczony i głodny, jakby spędził w podróży cały dzień. Z artykułu nici. Nie należał przecież do ludzi, którzy potrafią z niczego stworzyć sensacyjny materiał. Nie zdarzyło się nic, więc nic nie napisze.

Skrzypnęły drzwi od jednej z kabin. Kroki odbite od kafelkowych ścian rezonowały niczym serie podwójnych klaśnień. Starszy mężczyzna w płaszczu i kapeluszu, pachnący dobrym tytoniem, stanął obok Adriana i zaczął myć ręce. Starannie namydlił wierzch i środek dłoni, potem palce. Opłukał, wreszcie strzepnął wodę, wytarł dłonie w papierowy ręcznik. Schylił się po walizkę, jakby należała do niego, i odwrócił się w kierunku wyjścia. Adrian nie poruszył się, nawet nie mrugnął; odprowadził wzrokiem odbicie nieznanego w lustrze. Został z niejasnym poczuciem, że umyka mu coś ważnego, coś co jest tak oczywiste, że aż niezauważalne.

Czy ktoś tu widział Boga?

Patrzyłem z góry na pogięte blachy wbitych w siebie samochodów. Jakaś pani nie zauważyła czerwonego światła, jakiś napaleniec nie zmieścił się w zakręcie albo może zawiodły hamulce w zdezelowanym gracie. Kto wie... Niewiele było widać przez kłęby pary z pękniętej chłodnicy. Zatrzymywały się kolejne samochody, ktoś próbował zorganizować akcję ratunkową. Jeśli chodzi o mnie, było na to za późno. Unosiłem się coraz wyżej. Kilometr stąd widziałem zbliżające się ambulans i straż pożarną. Nieco dalej Justynę podgrzewającą obiad i nakrywającą do stołu. Dziś zje sama. Ma jeszcze godzinę. Potem się dowie.

* * *

Przede mną stał kudłaty facet w skórze niedźwiedzia. Capiło od niego niemilosiernie. Za mną, śmiejąc się, paliło skręty pięciu żołnierzy amerykańskich - załoga Shermana trafionego gdzieś w Ardenach pociskiem niemieckiego Tygrysa. Widać niektórzy czekali znacznie dłużej niż ja - logistyka wyraźnie tu szwankowała. Kolejka była naprawdę spora i przesuwiała się w ślimaczym tempie. Jak okiem sięgnąć, w prawo i lewo na wierzchołkach nieruchomych chmur wiły się znudzone grupki ustawionych gęsiego ludzi.

Nie miałem ochoty z nikim gadać. Wspomnienie niedawnej śmierci było wciąż żywe. Nie wiem nawet, ile minęło czasu, nim dotarłem do stanowiska odprawy.

- Imię i nazwisko? - zapytał strażnik. Miał wyraz twarzy zblazowanego urzędasza.
- Tomasz Zieliński.
- Data śmierci?
- Szósty stycznia dwa tysiące dwa.
- Prawie końcówka... Wiek?
- Trzydzieści pięć lat.
- To będzie sektor 3487-C. Przyczyna śmierci? Zresztą... no tak. Może pan nie pamiętać. Ściągniemy sobie z centrali.

Wysuwając czubek języka, naskrobał coś gęsim piórem w wielkiej księdze, po czym włożył kartę magnetyczną w szczelinę terminalu. Zauważyłem identyfikator, krzywo przypięty do jego sukni, z nabazgranym imieniem: „Piotrek”. Ciekawe, czy to przypadek, czy też strażnicy przy wszystkich bramach noszą to imię.

- To musi pan zostawić przed wejściem - Piotrek wskazał telefon komórkowy, który trzymałem w dłoni.

I tak się nie przyda. Rzuciłem go na sporą stertę telefonów, laptopów, PDA i pilotów od sprzętu telewizyjnego.

- Obrączkę i portfel proszę włożyć do tego pudełka - ciągnął strażnik. - Tu proszę podpisać.

- Co to jest?! - nie wytrzymałem. - Niebo czy zakład kamy?!

Popatrzył na mnie zaskoczony.

- Niebo, ale porządek też musi być. Proszę podpisać.

- Dlaczego tyle to trwa? - Skrobałem niestarannie podpis, łaskocząc się pierzem pióra w ucho.

- Za dwanaście lat dostanie pan pocztą kartkę z przeprosinami. Nie wyrabiamy się.

- Ale co jest przyczyną tych kolejek?

- Ilość chętnych. Serwer nam padł... - Widząc moje zdziwienie, wyjaśnił dokładniej - najpierw wpuszczaliśmy papieży, z wyjątkiem tego, który okazał się kobietą (zresztą w ciąży), potem biskupów, księży etc. No a potem, to już według stopnia pobożności. Przy jakimś hiszpańskim szlachcicu okazało się, że system nie przyjmuje nazwiska dłuższego niż sześćdziesiąt cztery znaki. Ktoś próbował to ręcznie poprawić i wszystko się wypier...

Strażnik złapał się za gardło i wybałuszył oczy. Z trudem łapał oddech. No tak. To jest Niebo. Brzydkie wyrazy są tu niedopuszczalne.

- Panie - wychrypiał, wciskając mi kartę w dłoń - idź pan już stąd.

Przeszedłem przez bramę. Chodnik doprowadził mnie do przebieralni. Za parawanem zrzuciłem ubranie - to samo, które miałem w chwili śmierci. Jak w ogóle dusza może posiadać ubranie, o telefonie komórkowym nie wspominając? Siła przyzwyczajenia... Ciekawe, czy tu jest zasięg?

Spojrzałem w lustro. Byłem w tym samym wieku, co podczas wypadku i miałem się już nie starzeć. Może więc i lepiej, że zginąłem młodo. Niezbyt to miła perspektywa kroczyć przez wieczność o lasce, zapominając co i rusz własne nazwisko. Z drugiej strony, noworodki też tu mają przesrane.

Jakaś kobiecina podała mi moje nowe ubranie. Była to drapiąca lniana suknia (oczywiście biała) w rozmiarze XL, z jedną tylko kieszenią na kartę identyfikacyjną. Kieszeń była zapinana na rzep.

- Skrzydła pan życzy?

- Będę mógł sobie polatać? - zapytałem z nadzieją.

- To atrapa, żeby ładnie wyglądać. Na prawdziwe trzeba sobie zapracować.
- W takim razie, dziękuję.

* * *

Byłem w Niebie. Hmm... Szczerze mówiąc, większą radość sprawił mi kiedyś zakup łodzi motorowej. Mimo to cieszyłem się, że niebiescy biurokraci przegapili fakt, iż jestem ateistą.

Opuściłem kompleks bramny i znalazłem się na wielkim brukowanym placu. Moją uwagę zwrócił facet trzymający tabliczkę z napisem „Przewodnik”.

- Ile kosztują pana usługi? - zapytałem.
- Panie! Chcesz pan w Niebie płacić?!
- Tak za darmo mnie pan oprowadzi?
- Niezupełnie. Dobry uczynek zwiększy mi współczynnik świętości.
- Co?!

Wskazał ręką nad swoją głowę. Coś tam ledwo widocznie jaśniało. Aureola chyba, ale cieniutka jakaś.

- Cieniutka jakaś, nie? - powiedział. - Oprowadzę kilku takich jak pan, to pojaśnieje. Będzie świeciła, że hej! Gdzie pana zaprowadzić?

- Sektor 3487-C. Postaram się nie sprawiać trudności.
- Nie, nie. Trudności są jak najbardziej wskazane. Chodź pan, będzie mały spacerek.

Jego suknia miała na plecach dwa okrągłe, siepiące się wycięcia. Z łopatek wyrastały mu skrzydełka. Nie za duże, wielkości może gołębic. Odwrócił głowę i napotkał mój wzrok.

- Małe, ale własne. - Uśmiechnął się. - Co mam protezy nosić. Zaczekam, aż mi własne urosną. Na razie to se muchy mogę odgonić. - Zatrzepotał skrzydełkami i zachichotał.

- Tylko much tu nie ma... Pan który rocznik?

- Sześćdziesiąty siódmy...
- Mówię o roku śmierci, oczywiście.
- Dwa tysiące drugi.
- Ja dwa tysiące dwunasty.
- Z Warszawy?
- Skąd pan wie? - zdziwił się.
- Mówi pan „se”. Coś się zmieniło w Warszawie od mojej śmierci?
- Ja wiem... Trochę. Większy ruch. No i zaczęli drugą linię metra.
- Jest obwodnica?
- Gdzie tam!

- A Pałac Kultury stoi?

- Stoi. Umyli go tylko. Mogę zapytać, jak pan umarł?

- Wypadek samochodowy.

- Podobnie jak ja. Sunę sobie IHT na automacie przez MŚD, a nagle jak mnie DSC nie pier...

Przewodnik złapał się za gardło, upadając na kolana. Próbowałem go podtrzymać, ale zaplątałem się w suknię i wyłożyłem razem z nim.

- Ku... leczka zamszowa... - zreflektowałem się w porę, rozcierając stłuczony łokieć. Skończyło się na lekkim łaskotaniu w gardle.

- Nie mogę się przyzwyczaić - wydyszał przewodnik, gdy pomagałem mu wstać. - Zaraz przejdzie.

Usiedliśmy na ławce. Niebo wyglądało tak, jak je sobie kiedyś wyobrażałem. Park. Równe alejki, niebieskie ławeczki bez brzydkich napisów, latarnie bez odłazającej farby i starannie przycięte drzewka. No i snujące się grupki dyskutujących kobiet i mężczyzn w białych sukienkach. Niektórzy mieli słusznych rozmiarów skrzydła, ale czy prawdziwe? Nieco dalej zaczynały się zabudowania. Nawet ładne. Kilku bardziej zasłużonych aniołów polatywało pomiędzy nimi dostojnie. Było słonecznie, choć w powietrzu wisiała delikatna mgiełka.

Nagle mnie olśniło. Zrozumiałem, czego mi brakuje.

- Jak mogę sprawdzić, kiedy przybędzie moja żona? - zapytałem.

- Chodź pan. - Przewodnik odzyskał już głos.

Poprowadził mnie do terminalu wyglądającego jak bankomat. Wziął moją kartę identyfikacyjną i włożył w szczelinę czytnika.

- Jak się nazywała?

- Justyna Zielińska.

Wklepał to na małej klawiaturce.

- Rocznik?

- Śmierci? Nie mam pojęcia. Umarłem pierwszy.

- No to problem będzie. Rocznik to najważniejszy identyfikator.

- Ale... Nie znam go. - Opadły mi ręce. - Ona może jeszcze żyć.

- Wykluczone. Tutaj czas biegnie inaczej. Koniec świata już był. Wszyscy trafili do kolejki w przypadkowe miejsce. Pana małżonka jest tu lub stoi w kolejce. Jeśli umarła druga, to ona musi pana znaleźć. Zna pana rocznik.

- Nie ma innego sposobu?

- Niestety. - Oddał mi kartę i ruszyliśmy dalej. - Niebo jest bardzo skomplikowane. Ma wiele poziomów zależnych od stopnia pobożności, stosunku dobrych i złych uczynków. Niektórzy mówią, że nie sposób nawet ustalić granicy między Niebem a Piekłem. Chociaż... co ja tam wiem o Piekle...

- A my na wysokim poziomie jesteśmy?

- Nie bardzo. Ledwo się prześlizgnęliśmy nad czeluścią piekielną. O! Pana mieszkanie.

Wskazał mi pokój na parterze ośmiopiętrowego błękitnego bloku.

- To ja pana zostawiam...

- Dzięki! - rzuciłem za nim, ale już odchodził.

Pomachał mi jeszcze skrzydełkami na pożegnanie. Jego aureola stała się jakby nieco wyraźniejsza. Uniosłem wzrok, ale nad moim czołem nic nie jaśniało. Właściwie to nawet lepiej - przy świetle trudno zasypiam. Pomacałem się po plecach - też nic. Co tam... Pracuj, pracuj, a skrzydła same ci wyrosną.

Wszedłem do środka małego pokoju i zatkało mnie.

- Trzy poziomowa prycza w rajcu?! - wykrzyknąłem. - Ja pier... wiastkuję takie wczasy...

Zachrobotało mi w gardle mocniej niż poprzednio.

- Niech pan spełnia dobre uczynki, to trafi pan na wyższy poziom - rzucił facet ze środkowej pryczy, nawet nie unosząc głowy. - Tutaj nic nie jest ostateczne. Sam musi pan znaleźć własne Niebo.

- Klasa ekonomiczna? Rozumiem... Jest tu chociaż jakiś prysznic? - zapytałem, rozglądając się.

- Po co? Jest pan bezcielesny.

Spojrzałem po sobie i pomacałem się. Ciało było na swoim miejscu; tylko brzuszek trochę zmałał.

- To złudzenie, żeby nie wariować - wyjaśnił facet. - Kibelków też nie ma.

- Po drodze bar mleczny widziałem. Jak się je, to potem trzeba...

- To złudzenie...

Przelotnie pomyślałem o stopniu skomplikowania programu rzeczywistości wirtualnej pozwalającemu stworzyć taką iluzję. Odrzuciłem jednak te pomysły. To było Niebo, a nie fantomatyka. Nie żyłem. Byłem martwy. Byłem aniołem. A ściślej - na razie aniołem nielotem.

- Są tu jakieś gazety?

- A o czym tu pisać? Tu jest Niebo.
- A pan co? Leży pan tak cały czas?
- Odleżyny mi nie grożą.
- Ale... Ja nie mogę tak wegetować. Chciałbym znaleźć moją żonę.
- Sprawdzał pan przez terminal? Może poszła do Piekła.
- Na pewno nie!
- A to dlaczego? - zainteresował się, unosząc głowę.
- Bo... bo to dobra kobieta była.
- Spokojnie... tu wszystko toczy się bardzo powoli. Wie pan, ile czasu tak sobie leżę?

Osiemdziesiąt siedem lat. I nic mi nie drętwieje. Za życia byłem listonoszem, to teraz leżę. Spotkałem kiedyś faceta, który siedzi w Niebie od siedmiuset lat.

- Od ilu?!

Usiadłem z wrażenia na krzywym stołku. To był jedyny mebel w pokoju, nie licząc pryczy.

- Muszę się przejść - oznajmiłem.
- Niech pan zaczeka. Pójdę z panem.

Zeskoczył lekko na ziemię, jakby leżał od kwadransa. Był chudy, łysawy i miał na oko sześćdziesiąt lat.

- To nie jest tak, jak być powinno... - westchnąłem, patrząc na niego.

- A co się panu nie podoba?

- System. Na przykład... ma pan sześćdziesiąt lat. To nie to samo co czterdzieści albo trzydzieści...

- To się panu tak wydaje. - Uśmiechnął się. - Tak pan widzi ludzi, jak pan chce. Dla siebie mam trzydzieści lat, dla pana sześćdziesiąt. Tu nie ma jednej rzeczywistości. Nie ma nawet gwarancji, że słyszymy nawzajem dokładnie swoje słowa. Mogę zerknąć na pana kartę? Nie jest źle - stwierdził, gdy mu ją podałem. - Status dobrodzieja trzeciej kategorii.

Rzeczywiście. W dziewięćdziesiątym ósmym przekazałem sporą sumkę na jakąś fundację. Ulga podatkowa była.

- Znudziło się panu leżeć? - zapytałem, chowając kartę.
- Jakoś tak mnie pan zaraził tą aktywnością. Gdzie pan chce iść?
- Żony szukać.

- Ho, ho. Nie wie pan, w którym jest sektorze ani nawet w którym Niebie.

Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy alejką przed siebie.

- Kiedyś myślałem, że Niebo jest jedno.

- To bardziej skomplikowane. Widzi pan, odległe obiekty giną we mgle - wskazał palcem. - Wystarczy chcieć gdzieś dojść i po krótkim spacerku to miejsce wyłoni się z mgły. Tak może pan trafić w każde miejsce tego Nieba. Ale żeby dostać się na inny poziom, trzeba awansować w hierarchii.

- Spełniając dobre uczynki?

- Właśnie. Ale popyt słaby. Było jakiś czas temu wielu natrętów, którzy obłapiali ludzi na spacerze, proponując umilenie przechadzki śpiewem albo deklamacją poematów. Dziś są piętro niżej. Za natręctwo właśnie.

- A piętro niżej jest już Piekło. Więc pan po prostu leży?

- Mnie to wystarcza. Heniek jestem. - Podał mi rękę.

- Tomek.

Szliśmy tak przed siebie coś ze dwa dni. Głodu nie odczuwałem, zmęczenia też nie. Mogłem tak iść i iść. W końcu się ocknąłem z błógiego odrętwienia. Tak łatwo się nie dam przerobić!

- Musi być jakiś sposób, żeby odnaleźć Justynę!

Heniek spojrział na mnie kwaśno.

- Ty znowu o tym. Tak fajnie się szło.

Chyba moje czarne myśli doprowadziły nas do jakichś slumsów. Krzywe domki, suknie jakby nieco przyszarzałe. Zatrzymałem się przed wyskrobanym na ścianie napisem „Boga nie ma”. Poniżej zasklepiąta się właśnie dziura w chodniku, przez którą został strącony autor napisu. Literki stawały się bledsze, aż po kilku chwilach znikły całkiem.

- Można jakoś sprawdzić piekielny serwer? - zapytałem Heńka. - Może zrobiła jakieś głupstwo po mojej śmierci i jest piętro niżej?

- Nie wiem, ale Piekło mogę ci pokazać. Totalny chaos. Każdy robi, co chce.

Rozejrzał się, jakby to coś mogło zmienić, i odsunął pokrywę studzienki. Po metalowych stopniach zeszliśmy do ciemnego kanału. Kilka minut dreptaliśmy po omacku po wilgotnych kamieniach, aż mrok zaczął blednąć. Zza kolejnego zakrętu wyłonił się nasz cel.

Szczelina jaśniejąca żółtopomarańczowym światłem była zbyt wąska, by przez nią coś dostrzec. Poruszyłem kamieniem. Lekko drgnął. Wcisnąłem palce i podważyłem go.

Niczego sobie nie złamię. Bezcielesny jestem, tłumaczyłem sobie.

Kamień spadł mi na nogę, ale prawie nie zabołało. W twarz uderzyło mnie gorące powietrze. W błyskach płomieni jakieś półnagie postacie tańczyły w rytm ostrej muzyki.

- Mówiłem ci: chaos - powiedział mi do ucha Heniek. - Tam jej nie znajdziesz. Jak tam w ogóle może działać sieć informatyczna? Nie wiem, co ci turyści tam widzą...

- Turyści?

- Nie warto o tym gadać. Sporo jasności aureoli to kosztuje.

Pociągnął mnie za rękaw w stronę wyjścia.

Zasunęliśmy pokrywę i ruszyliśmy dalej. Za rogiem trafiliśmy na demonstrację. Tysięczny tłum szedł ulicą, niosąc transparenty i skandując jakieś hasła.

Demonstracja w Niebie. Niezły klimat.

Jakiś nieopierzony anioł aktywista, szurając nartami, podszedł do mnie z plikiem karteczek. Podetknął mi je razem z gotowym do użycia gęsim piórem.

- Przyłączą się panowie do naszego protestu? - rzucił bez przekonania.

- Co to za protest? - zapytałem, dyskretnie zerkając na jego niecodziennie obuwie.

Aktywista pokazał palcem transparenty. Przeczytałem kilka haseł: „Amnestia dla zbłąkanych dusz”; „Igrzysk, igrzysk i jeszcze raz igrzysk”; „Otworzyć granice”; „Połączyć rodziny”.

- Połączyć rodziny? - zainteresowałem się.

- Jeśli na ten przykład żona pana zdradzała, to jest w Piekło - wyjaśnił. - To jawne wypaczenie sprawiedliwości. Pan tutaj sam, a żona i jej kochanek baraszkują razem na dole. Bezduszny system rozdzielił rodzinę. Nawet widzeń z dziećmi nie ma, jeśli są na innym poziomie.

- Lepiej się nie przyłączać - ostrzegł mnie Heniek.

- A to czemu?

- Pierwszy człon słowa „demonstracja” brzmi niezbyt świętopoprawnie. Za to można być strąconym.

Miał rację. Odprawiłem aktywistę. Odszedł, szurając nartami.

- Po co mu te narty? - zapytałem.

- Zabezpieczenie antystrąceniowe. Gdy zaczynasz bluźnić, to rozstępuje się pod tobą ziemia, ale narty są długie, więc nie spadasz.

- Pomysłowe...

Przeszliśmy kilka kroków, gdy poczuliśmy silny wstrząs. Odwróciliśmy się natychmiast. Część ulicy zapadła się, pochłaniając aktywistę i większość demonstrantów. Reszta, porzucając transparenty, rozpiechła się w panice. Płomienie piekielne błyskały jeszcze chwilę, po czym ulica sama się naprawiła.

- No to się przejechał na tych nartach - mruknąłem. - Sprawnie jest to tutaj załatwiane, ale co z wolnością wypowiedzi?

- Tu nie o wolność chodzi. Chodzi o szczęście. Szczęśliwym można być tylko w

stabilnym społeczeństwie. Wolność to destabilizator, a przecież nie ma szczęśliwości bez stabilności.

W odpowiedzi przeszkodziło mi światło bijące z góry. Z Nieba sfrunęła promieniująca jasnością piękna anielica w jedwabnej sukni. Miała ogromne skrzydła. Musiałem zmrużyć oczy. Miętko stanęła na ziemi obok nas. Uśmiechnęła się jak dobra wróżka z bajki i powiedziała:

- Wystarczy pomyśleć, dokąd chcesz iść, by tam dojść.

- Dziękuję. Już to wiem - odpowiedziałem, jak tylko umiałem najgrzeczniej.

Anielica, przekrzywiając głowę, patrzyła na mnie jeszcze chwilę, uśmiechając się łagodnie. Wtedy załapałem, co miała na myśli, a ona pojaśniała jeszcze bardziej, wzmocniona kolejnym dobrym uczynkiem. Uniosła się pionowo do góry i jakieś sto metrów nad ulicą zniknęła w jasnym błysku.

- Awansowała piętro wyżej - szepnął z nabożeństwem mój towarzysz. - Dzięki tobie. Co ci powiedziała?

Coś załaskotało mnie na plecach. Sięgnąłem w to miejsce i wyczułem kilka młodych piórek. Szczerze mówiąc, nie obeszło mnie to zanadto. Wiedziałem już, co mam robić. Pomyślałem intensywnie o Justynie, o domu w którym teraz mieszka i ruszyłem przed siebie.

* * *

Siedziała na krześle, gapiąc się w ścianę.

- Justyna! - krzyknąłem.

Odwróciła się. Była młoda, tak jak ją pamiętałem. Patrzyła, nie poznając mnie. Potem wyraz jej twarzy się zmienił, wybuchła płaczem i zerwała się z miejsca. Wpadliśmy sobie w ramiona. Całowaliśmy się i ściskaliśmy.

- Tomek! Siedzę tu i czekam chyba ze sto lat.

Poczułem drżenie podłogi i tynk sypiący się z sufitu. Heniek dopadł nas i rozdzielił, jakbyśmy się bili.

- Nie możecie TEGO robić! - krzyknął.

Justyna spuściła wzrok i odsunęła się pod ścianę.

- Czego?... - zapytałem.

- Przytulać się, okazywać uczuć. W ogóle. Tu jest Niebo. Obowiązują zasady. Mężczyzna i kobieta nie mogą nawet mieszkać w tym samym domu. Na wyższym piętrze nie mogą się dotykać, a dwa piętra wyżej - wręcz patrzeć na siebie!

- Ona jest dla mnie ważniejsza niż zasady!

- Niebieskich zasad nie wolno łamać. Są jak prawa fizyki. Miłość jest zagrożeniem dla

szczęścia.

- To nieludzkie.
- Już nie jesteście ludźmi.
- Dlaczego czuję się, jakbym był w Niebie za karę...?

Usiadłem na stołku i ukryłem twarz w dłoniach. Nie próbowałem dotykać żony. Zresztą, dla mnie rozłąka trwała tylko kilka dni.

- A jak ktoś za życia był niespełnionym pedofilem? - zapytałem ostrożnie.
- Co znaczy niespełnionym? - zdziwił się Heniek.
- Powstrzymywał się nawet przed myślami o dzieciach. Cierpiał całe życie w imię wiary. Taki ktoś w nagrodę tutaj powinien używać do woli.

- Deprawować?! W Niebie?!

- Chyba nie przerabiają tu umysłów? Ludzie są różni. Jedni kochają teatr, a inni woleliby spędzić dwie godziny w zepsutej windzie niż na przedstawieniu.

Justyna stała przygarbiona pod ścianą. Chciałem do niej podejść, przytulić ją, ale wiedziałem już, czym to grozi.

Heniek zamyślił się.

- Może dla was Niebo jest Piekłem, a Piekło Niebem - powiedział po dłuższej chwili.
- Nie rozumiem.
- Nie każdy lubi to samo. Trzeba odszukać swój poziom. Ja, na ten przykład, chcę tylko jednego: zawsze już leżeć na mojej pryczy, nie oglądając żony, nie roznosząc listów, nic nie robiąc. Nie chcę się przenosić ani wyżej, ani niżej. Nie wiem, po co dałem się wciągnąć w to całe spacerowanie...

- Może masz rację... Mnie ta beczynność i spokój doprowadzają do szaleństwa. Tu nawet wiatr nie wieje. Boże! - krzyknąłem w powietrze, wstając i wychodząc przed budynek.

- Co mamy zrobić?

Cisza. Żadnej odpowiedzi. Heniek patrzył na mnie kwaśno. Kilku aniołów przyspieszyło kroku, aby dalej od zagrożenia.

- Co mamy robić?!

Cisza.

- Czy ktoś tu widział Boga?!!! - krzyknąłem na całe gardło.

- To ponoć jego dom! Dlaczego nie odpowiada?!

Heniek podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu.

- Było przykazanie „Nie wzywaj imienia Boga swego nadaremno”? - Patrzył na mnie ze współczuciem. - Było. A wzywali przy byle pierdółce. Wzięło się i przeciążyło. Dawno

temu...

- Nie rozmawiacie z Bogiem? Kto więc tym... zarządza?

- To jest jak automat.

Spojrzałem na Justynę. Zerknęła na mnie płochliwie spod opadających włosów. Miałem tego dość. Chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem na ulicę. Nie łamiąc nawet paznokcia, otworzyłem właz kanału i poprowadziłem ją za sobą w dół. Po kilku zakrętach znalazłem świecąca szczelinę w ścianie. Obruszałem i wyciągnąłem parę cegieł. Czerwony blask oświetlił nam twarze.

- Tam będziemy wolni - powiedziałem.

Patrzyła to na mnie, to na Piekło. Na dole, na środku niewielkiego rynku płonęło spore ognisko. Kilka osób uniosło wzrok, po czym wróciło do zabawy.

- Stamtąd nie ma powrotu... - szepnęła Justyna.

- Powrót jest... trudny. Ale nie chcę tak przeżyć wieczności. Nie mogę leżeć, spacerować i widywać cię tylko w parku. Jest już trochę za późno na zbawianie świata, ale możemy zmienić własne życie. Życie po życiu.

- Mamy skoczyć? To z pięćdziesiąt metrów!

- Jesteśmy bezcieleśni. To jakby skakać we śnie.

- Ale to jest Piekło...

- To kwestia semantyki. Na poważnie Piekło zaczyna się ze dwa poziomy niżej. Tutaj siedzą najwyżej kieszonkowcy i cudzołożnicy. Może tam jest właśnie nasze Niebo.

- Chcesz tego? - zapytała.

- A ty?

Pocałowała mnie. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Złapaliśmy się mocno za ręce i skoczyliśmy.

Wprost w rozbawiony tłum wolnych dusz.

Murzasichle-Warszawa 2002

Wyprawa szaleńców

„Maroon”, trzynasty dzień podróży. Daliśmy im całą mądrość, jaką dać mogliśmy, potem odpłynęliśmy naszymi żaglowcami. Nazwali nas Szaleńcami, bo nie pogodziliśmy się z rzeczywistością. Nie chcieliśmy się przed nią bronić ani się do niej dostosowywać. My chcieliśmy ją zmienić. Niewidzialna siła utrzymująca ten świat w obecnym stanie otacza nas ze wszystkich stron, a jednak nie możemy odkryć jej natury. Dlatego odpłynęliśmy. Oni zostali na skalnym Archipelagu zawieszonym nad wodą. Nie szanowałem ich za to, ale rozumiałem motywy. Chcieli przetrwać. Ludzie zawsze musieli się dostosowywać i dzięki temu przetrwali. Nam chodziło o coś innego, więc zapewne nazwa „Szaleńcy” w jakimś stopniu do nas pasowała. Byliśmy jak umierające niedobitki potężnej armii, próbujące odmienić wynik przegranej dawno bitwy.

* * *

Potężne głazy, wiszące niczym zabawki olbrzyma na linach wertykalnych w licznych archipelagach, zostały daleko za nami. Tamci żyli na nich i już się do tego przyzwyczaili. Ile to lat? Piętnaście, może więcej. Nowe pokolenie uznawało ten stan za najzupełniej normalny, innego świata przecież nie znało.

A jednak musieli coś zrobić, skoro woda wciąż się podnosiła. Jeszcze dwa, trzy lata i będzie za późno na cokolwiek. Mieli parę pomysłów, niektóre z nich wspomogliśmy naszą wiedzą, nie zawsze wierząc w ich przyszły sukces. Ale to przecież lepiej, że próbowali: jeśli nam się nie powiedzie, może kiedyś oni dokończą, co my zaczęliśmy. Byliśmy naukowcami, konstruktorami, artystami. Szlachetna elita. Ale poszli przecież też z nami zwykli marynarze, bez których ta szlachetna elita nie potrafiłaby odbić od brzegu.

Ktoś, zataczając się, wyszedł na pokład i przerwał moje rozmyślenia. Pascal, wybitny naukowiec, choć teraz już raczej alkoholik, przycłapał do mnie i zwałił się na zwój lin, który okupowałem od rana. Nikt nie wiedział, jak przemycił na pokład beczkę trunku. Niektórzy mieli do niego pretensje, ale pewnie raczej o to, że nie chce się z nikim dzielić.

- Svyturys! - zawołał mi wprost do ucha. - Ty będziesz wiedział! Jak to jest, że nie potrafimy go namierzyć?

- Zapytaj Padmovitza. Fizyka to jego działka.

- On nie umie powiedzieć, która godzina, bez zarysowania wzorami tablicy.

- A ja niby potrafię prosto? Prosto nie znaczy poprawnie. Supel wciąż chłonie energię. Chodzi o różne tempo upływu czasu, nie wiem dokładnie. Gdyby błysnął jeszcze raz, zacząłby promieniować. Wtedy odnaleźlibyśmy go z łatwością.

- A nikt nie wie, kiedy błysnie?

Skinąłem głową i dodałem:

- Mam nadzieję, że będziemy wtedy daleko. Nie martw się, jeśli utrzymamy ten kurs, nic nam nie grozi.

Pascal wybuchnął pijackim śmiechem. Esteban, geograf od siedmiu boleści, współtwórca naszego obecnego kursu, który to kurs, moim zdaniem, wiódł nas donikąd, upierał się, że szukanie supła zajmie nie więcej niż tydzień. Trwało już dwa i nie było widać końca.

Pascal rozejrzał się, wyciągnął z kieszeni poprzecieranej marynarki piersiówkę i podsunął mi pod nos. W jego przekonaniu był to pewnie wyraz przyjaźni, więc przyjąłem ją z wdzięcznością.

Siedzisko uwierało mnie, ale nie zmieniałem pozycji. Wiedziałem, że każda zmiana jest na gorsze. Obserwowałem monotonne otoczenie, liny przesuwające się w tył, obłoki... I tyle. Nie było nic więcej. Wiatr pchał nas w kierunku, jaki wyznaczyli amatorscy nawigatorzy - flotylla kilkudziesięciu żaglowców sunęła na północ. Większe, mniejsze, smukłe i obłe, jakby projektowali je ludzie z różnych epok. Ale chodziło o celowe zróżnicowanie, żebyśmy wszyscy nie przepadli w tej samej chwili, jeśli napotkamy trudności.

„Maroon” był okrętem o zwartej budowie. Miał beczułkowaty kadłub, krótki pokład główny, nadbudówkę dziobową i rufową, dwa maszty, drewniane relingi i skomplikowany takielunek. Przeznaczenia poszczególnych lin nie próbowałem nawet rozgryźć. Żaglowiec sprawiał sympatyczne wrażenie i chyba nawet go lubiłem. Trzeszczał i bujał się na niewielkich falach znacznie bardziej, niż powinien. Ale czego się można spodziewać, gdy za projektowanie okrętów biorą się wprawdzie geniusze, ale bez doświadczenia. Podobnie było ze sterowaniem.

Wielu, nawet spośród nas, wierzyło, że ocean nie przypomina tego, co zwykliśmy kiedyś określać tym mianem. Świat tak szalony jak nasz mógł mieć równie szalony ocean. Na wszelki wypadek obsadzono bocianie gniazda. To służba jakby za karę, bo tam przecież najbardziej bujało.

Brakowało jednomyślności, jaki dokładnie kurs należy obrać. Dyktatora nie mieliśmy, ostateczny kierunek był więc wynikiem głosowania, co zapewne rozśmieszyłoby każdego wilka morskiego, gdyby jakiś się tu przypadkiem znalazł. Nie było żadnego, a szkoda.

Prawda wyglądała tak, że zrządzenie losu skazało nas na wspólną podróż morską, ale nie bardzo znaliśmy się na morskim rzemiośle. Inny transport nie wchodził jednak w grę.

Nie mogliśmy również zostać na wiszącym Archipelagu, bo to by oznaczało poddanie się. Tamci mieli inne pomysły. Myślałem nad tym wiele razy - może i były dobre. Ale cele założyli inne.

Supel na linie... Dla wielu brzmiało to jak kiepski żart. A jednak tego właśnie szukaliśmy. W dodatku powinien to być supel, który sami kiedyś zawiązaliśmy. Liny otaczały nas jak okiem sięgnąć. Były nieodłącznym elementem tego świata, może nawet jego podstawą. Strukturą. Wynurzały się z wody i pięły w niebo, dookoła nas, w niezrozumiały sposób i z niezrozumiałego powodu. Załogi żaglowców musiały stale uważać, by w nie nie uderzyć, ale i tak kilka razy, głównie nocą, słychać było, jak któryś z okrętów trze o nie burta.

To naprawdę niezwykle, że przez te kilkanaście lat, odkąd wylądowaliśmy na wiszących skałach, osiągnęliśmy tak wiele. Trzymałem teraz w dłoniach skryptomat i zapisywałem, co miałem w pamięci i co powinno przetrwać. Zapis nie był kompresowany, nie zdecydowaliśmy się na żaden standard, zresztą nie było to jeszcze konieczne ani bezpieczne. Zapisywaliśmy podstawowe informacje, żeby ich nie zapomnieć. To nie zajmowało wiele miejsca. Może ktoś kiedyś przeczyta moje zapiski i ułatwi to jego egzystencję w tym dziwnym świecie.

Skryptomat to bardzo proste urządzenie - wymagał od operatora sporej dyscypliny pracy. Miał klawiaturę, ale nie było żadnego podglądu ani możliwości kasowania zapisu. Jedynie słabym bursztynem jarzył się licznik znaków, które jeszcze mogą się zmieścić w pamięci kryształu kwarcu. Podglądem była moja pamięć. Musiałem pisać, ufając, że to wszystko zapisuje się poprawnie, bo nie było przecież gwarancji, że każde słowo nie ulatuje w niebyt. Nie miałem tego jak sprawdzić, ale nie chciałem zaprzestać pisania. Nie stworzyliśmy jeszcze urządzenia do odczytywania kwarcowej pamięci.

Nie obarczono mnie innymi zajęciami. Nie byłem zbyt sprawny fizycznie, nie mieli więc ze mnie dużego pożytku w podróży.

Reszta była mi wdzięczna za trzymanie się na uboczu. Mój garb zdecydowanie utrudniał jakąkolwiek pracę, prawej ręki nie mogłem nawet podnieść powyżej barku. Umysł był w lepszej formie, dlatego zresztą zostałem jednym z Szaleńców. Na razie pozostawała mi rola kronikarza wyprawy.

Położyłem dłonie na klawiaturze obejmującej z dwu stron niezbyt poręczną bryłę skryptomatu i zacząłem pisać.

* * *

„Maroon”, szesnasty dzień podróży. Wszędzie wygląda to tak samo: liny, uporządkowane w rzędy co 120 stopni, tworzą na planie siatkę sześciokątów plastra miodu. Tu, nad oceanem, porządek gubi się często, ale co jakiś czas niespodziewanie powraca. Przypuszczam, że pod wodą muszą znajdować się skały spinające liny. Czasem widzimy skały na niebie - zawieszone odłamki różnej wielkości, niekiedy płaskie i dość duże, by ktoś mógł na nich zamieszkać. Przez ostatnie lata sami żyliśmy na takiej skale, żłobiąc korytarze w poszukiwaniu surowców, sadząc ziemniaki na cienkiej, wierzchniej warstwie gleby.

* * *

To stało się w nocy. Obudził nas szum wody opływającej liny znacznie szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Dwa okręty na nie wpadły. Słyszałem chrzęst łamanych rej, jakby pękały tuż obok mnie. Zerwałem się na równe nogi. Skryptomat upadł na deski pokładu. Nie mogłem poznać, które to okręty, było za ciemno. Pokład wypełnił się tupotem i nerwowym nawoływaniem. Pospiesznie zapalano latarnie. Nicolai, nasz kapitan, wypadł ze swojej kajuty i w kilka chwil zaprowadził porządek.

- Podnieść żagle! Do skrętu w lewo!

Fale spłaszczyły się, rozciągnięte prądem wody. To już nie było zwykłe żeglowanie, ani nie mogły to być zwykłe manewry. Statek, targany podwodnymi prądami, zaczął się bujać, huk narastał. Widziałem błyszczącą odbiciami gwiazd taflę wody, zawijającą płynnie w dół. Jak brzeg wielkiego przepelnionego naczynia. Przypomniałem sobie legendę o krańcu świata, sprowadzającą się do prostych słów: popłyniesz za daleko, spadniesz. Zacząłem się bać.

Wokół mnie uwijali się ludzie, próbując naciągać jedne liny, a luzować inne. Musiałem wyglądać rozpaczliwie, pół leżąc, pół siedząc, ze wzrokiem wbitym w ten niespodziewany horyzont zdarzeń. „Nokian” właśnie go przekraczał. Próbowali uczepić się liny wertykalnej, ale obróciło ich. Niewiele widzieliśmy, ale jasnym było, że woda przyspiesza, by zaraz spaść w dół.

Włożyłem mój skryptomat do torby i zawiązałem szczelnie. Rzuciłem się, żeby pomagać przy linach.

- Svyturys! - zawołał Nicolai. - Zejdz na bok, złap się czegoś i zacznij modlitwę.

Zrobiłem, co kazał. Dla własnego bezpieczeństwa na okręcie lepiej słuchać rozkazów. Nie modliłem się jednak, bo nie miałem do kogo. Potencjalny adresat modlitw przestał, zdaje się, istnieć wraz z naszym światem jakieś piętnaście lat temu.

Spojrzałem na „Nokiana”. Wiedziałem już, że im się nie uda. Byli w połowie zwrotu, ale przechyleni tak, że oglądałem ich kadłub niemal z dołu. Po chwili zaczęli znikać za

zakrzywieniem lustra wody. Zsuwali się i już nic nie mogło tego zmienić.

Mądrość, zebrana na chwilę przed ostatecznym rozproszeniem, chwiała się właśnie na krawędzi świata, w którą to krawędź sama wcześniej wątpiła. Mogłem tylko gapić się na to, zaciskając dłonie na szorstkiej linie. Wiedziałem, że będę je zaciskał nawet, jeśli spadniemy. Jak to będzie? Polecimy w dół. Dokąd?

Maszty „Nokiana” zniknęły za czarnym, polerowanym grawitacyjnie łukiem.

Nie było łatwo zrobić zwrot pod wiatr, przy silnym prądzie, nie uderzając przy tym w żadną z lin, ale „Maroon” był krótki, więc weszliśmy w zwrot niespodziewanie łatwo. Kwestia raczej szczęścia niż umiejętności, choć i tak to ledwie połowa sukcesu.

Inni tego szczęścia czy umiejętności mieli mniej. Widziałem „Lewiatana”, tylko kilka długości kadłuba od nas, jak przechyla się, łamiąc maszty, i spada niczym kubek z brzegu stołu. „Sector” runął w dół dziobem do przodu, jakby tamci w ogóle nie próbowali uniknąć swego losu.

Właściwie to nie było żadnej łatwej do określenia granicy. Powierzchnia wody opadała pewnie od dawna, tyle że zbyt wolno, by ktokolwiek to zauważył. Teraz spadek stał się więcej niż zauważalny, a kawałek dalej, gdzie zniknął „Lewiatan”, obło przechodził w niewidoczny stąd wodospad. Gdzieś tam, w zasięgu wzroku, istniała niewidzialna linia, poza którą odwrót był niemożliwy. Nasz horyzont zdarzeń.

Nicolai miotał się między ludźmi, krzycząc. Jego potężna sylwetka i donośny głos budziły respekt i mobilizowały do wysiłku. Musieliśmy się spieszyć. Cała sztuka to wyzyskać różnice prędkości powietrza i wody, a potem pokonać obydwie wrogie żywioły, przeciwstawiając je sobie, nim dotkniemy horyzontu.

Gwiazdzista noc, żadnej chmurki. Gwiazdy... Widziałem je w dole, za załomem wodnym. Jakże wysoko musieliśmy się znajdować, skoro zakrzywienie Ziemi... Jakiej Ziemi?! Wielu z nas wierzyło, że ocean jest tylko jednym z obiektów zawieszonych na linach, w czymś w rodzaju wielkiego naczynia. Nie mogłem się zdecydować, czy ja też w to wierzę.

- Trafimy w niego - powiedział za moim uchem otrzeźwiały strachem Pascal.

On też musiał tu tkwić, był za stary na ciągnięcie lin i za gruby, by w tych warunkach utrzymać się na nogach. Po naszej lewej „Diamond” kładł się w ostrym zwrocie na lewą burzę.

- Jest przed nami - odparłem, ale nagle z matematyczną dokładnością zobaczyłem, o czym mówił Pascal.

Płynąc tym łukiem, wciąż spychany prądem wody, „Diamond” trafiłby w linę, którą my mieliśmy minąć z prawej. Przyszłość objawiła mi się w postaci wektorów sił nałożonych

na powierzchnię wody jak na arkusz kreślarski. „Diamond” nie zdoła zacieśnić łuku. Ominie więc linę z prawej i, tracąc prędkość, spotka się z nami.

- Nicolai! - krzyknąłem. Nie słyszał, ale i tak miał teraz większe zmartwienia niż krzyki przerażonego starego garbusa.

Skręcaliśmy. Zwrot pod wiatr wychodził powolnie, ale wychodził. Tygodnie treningów nie poszły na marne.

- Nicolai!

Wisiałem uczepiony olinowania masztu, a okręt leżał w mocnym przechyle i trzeszczał każdą deską, balansując na skraju katastrofy. Gdybym rozwarł palce, zsunąłbym się do wody.

- Tak się rozwali połowa okrętów.

Pascal wodził rozbieganym spojrzeniem po dramatycznym spektaklu, który rozgrywał się wokół. Zapierał się nogami, pociągał z piersiówki i ścisnął moje ramię do bólu. Huk spadającej wody zagłuszał już nawet krzyki.

- Ten sam manewr. Każdy podczas zwrotu napotka choć jedną linę i będzie musiał odbić na zewnątrz. Za gęsto płynęliśmy.

Chciałem zaprotestować, ale w tym momencie „Vector” i „Forward” się zderzyły. Trzasnęły reje, pozbawiając oba okręty napędu. Nie mogliśmy im pomóc. Nikt nikomu nie mógł pomóc. Każdy był zdany na samotną walkę.

Obliczyłem szanse dotarcia do mostka. Prawa ręka, znacznie słabsza, nie zdołałaby utrzymać mojego ciężaru. Zebrałem się w sobie i rzuciłem w stronę małej nadbudówki. Odepchnąłem się od niej i ślizgając po pochyłym pokładzie, dopadłem stopni prowadzących na mostek. Przewróciłem się na koło sterowe i pchnąłem je w prawo. Zrobiłem pół obrotu, nim kapitan złapał je mocniej.

- Oszalałeś?! - W końcu zwrócił na mnie uwagę. - Puszczaj to, kretynie!

Myślał, że mi odbiło ze strachu. Nie puszczałem jednak, musiałem wytrzymać jeszcze kilka sekund. Skręciliśmy niebezpiecznie w stronę przepaści. Wiem, co myśleli inni. Jakies ręce odciągnęły mnie w tył, szczęściem nikt nie sięgnął po żadne żelazo. Kapitan skorygował położenie steru i wtedy wszyscy zobaczyli „Diamonda”, przecinającego nasz kurs, niemal łamiącego nam fokmaszt. Przerażone twarze po tamtej stronie przemknęły w okamgnieniu. Nicolai spojrział na mnie z zaskoczeniem, ale szybko wrócił do steru.

- Złap się czegoś, bo wypadniesz! - krzyknął zupełnie innym tonem. - To nie koniec.

Wróciłem na swoje miejsce u podnóża głównego masztu i złapałem się olinowania.

- Ten świat jest nawet dziwniejszy, niż przypuszczaliśmy - powiedział mi wprost do

ucha Pascal. - To przecież jakieś zapomniane legendy.

- To nie żaden koniec świata - odparłem. - To tylko koniec naszych możliwości. Na razie.

Wciąż jeszcze mogliśmy skończyć źle. Jak halsować w labiryncie chaotycznego układu lin, pomiędzy innymi okrętami rozpaczliwie walczącymi z prądem i przeciwnym wiatrem? Znowu kwestia szczęścia. I przewidywania. Jednak kapitanowie instynktownie zwiększali dystans. Nie patrzyłem już na to, odwinąłem skryptomat z woskowanej torby i oparłem się o maszt. Chciałem od razu zapisać wszystko, nim zapomnę, jak zapomina się złe sny. Powoli stawało się jasnym, że ocaleliśmy.

Dopiero po północy udało się zgrupować okręty w bezpiecznej odległości od wodospadu. Przycumowaliśmy do lin.

Tu nigdy nie panowała idealna cisza, ale tak ją nazywaliśmy. Woda pluskała o liny stale i ze wszystkich stron. Po wielu spędzonych tu latach, można było nauczyć się ignorować ten dźwięk. Teraz towarzyszył nam również dyskretny szum odległego wodospadu i trzaski takielunku.

- Narada! - krzyknął ktoś, a kilka innych głosów powtórzyło.

Byliśmy za daleko od siebie, żeby porozumiewać się wyłącznie głosem. Jakiś marynarz zszedł pod pokład po komunikator. Odwinął z woskowanego płótna drewnianą skrzynkę z kilkoma pokrętłami i pociętym drutem pełniącym rolę anteny. Kapitan pokręcił gałkami i mała soczewka kociego oka rozjaśniła się zielenią. Z szumów i chrobotów powoli wyłaniały się głosy innych kapitanów, testujących połączenie.

- Nie powinniśmy tak ich zostawiać! - krzyknął ktoś.

- Przecież już nie żyją! - odparł inny.

Głos z komunikatora docierał od razu, trzeszczący i płaski, potem dudnił w nocnej ciszy głos właściwy, niesiony falą akustyczną.

- Można podpłynąć na bezpieczną odległość, zaczepić się mocno i wypuścić kogoś na łodzi, na długiej linie z pływakami. Zsunie się po obłości wody...

- To samobójstwo!

Słowa biegały w przestrzeni wokół nas. Nie było wiadomo, kto co mówi.

- Odeszli nasi przyjaciele - powiedział wreszcie Nicolai, a za nim powtórzyło echo z kilkunastu głośników. - Odeszła część naszej mądrości. Pamiętajmy jednak, co przysięgaliśmy. Podjęliśmy decyzję, podpisaliśmy pakt. Jesteśmy tylko nośnikami wiedzy. Część tej wiedzy została właśnie utracona i nie możemy narażać reszty, skoro prawdopodobieństwo, że tamci żyją, jest tak nikłe. Nie rozmawiajmy o ratowaniu przyjaciół,

tylko o ratowaniu wiedzy.

- Beltaine ma w głowie więcej wiedzy niż cała załoga niejednego z naszych okrętów. Był na „Diracu”, spadł.

Nie potrafiłem poznać po głosie, kto to mówi, ale musiałem przyznać mu rację. Beltaine był sawantem, miał w głowie większość znanych wzorów fizycznych, matematycznych, wartości stałych, i nie tylko. Nie był geniuszem, ale nigdy nie wypowiedział słów „nie pamiętam”. Jego pamięć przypominała wielką księgę, w której zawsze można przewrócić karty o kilka lat wstecz i odczytać ją do ostatniego przecinka. Przyłapałem się na tym, że myślę już o nim w czasie przeszłym.

Nie wiedziałem wtedy, co powinniśmy robić. Mogłem być na którymś z tamtych okrętów. Jeśli to był... koniec świata, to nie znaliśmy sposobu, aby im pomóc. Za to jeśli spadli tylko z progu wodnego... Wiedziałem z całą pewnością, że spuszczenie łodzi na długiej linie skończy się katastrofą, bo już w połowie drogi prosta lina zacznie ciągnąć poruszającą się po łuku łódź pod wodę. Dodanie solidnych pływaków zwiększy z kolei opory i też skieruje wypadkowe wektory sił w dół.

Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy zbudować kuszę do wyrzucania rzutek z lekkimi linkami. Oplotłyby się wokół lin wertykalnych i stworzyły rodzaj mostu, układanego w miarę posuwania się naprzód.

- Niech odpłyną ci, co chcą! - krzyknął znów ktoś. - Reszta zostanie i przygotuje akcję ratunkową.

- Nie możemy się rozdzielać! Są wśród nas specjaliści z różnych dziedzin! Tworzymy zespół!

- Każdy z kapitanów przeprowadzi więc na swoim okręcie głosowanie - zdecydował Nicolai. - Potem pozbieramy głosy z okrętów. Jest ich siedemnaście, więc remisu nie będzie. Mniejszość podporządkowuje się większości.

- Ja popłynę - krzyknął do mikrofonu Peretz. - Popłynę szalupą na długim holu. W bezpiecznym miejscu przycumuję do liny wertykalnej i zacznę się wspinać. Wejdę tak wysoko, jak się da. Z góry zobaczę więcej. Jak wrócę, zdecydujemy co robić.

Peretz miał prawie dwadzieścia lat, na „Lewiatanie” był jego ojciec. Patrzyliśmy na siebie. Dłuższą chwilę słychać było tylko szmery rozmów, potem ze wszystkich stron zaczęły dobiegać głosy poparcia.

Załadowaliśmy mu do szalupy komunikator i grube, skórzane rękawice. Młody, sprawny fizycznie, mógł wejść wysoko. To nie był zły pomysł i aż dziw, że na kilkanaście okrętów wypełnionych geniuszami nikt nie wpadł na to wcześniej.

Peretz nie patrzył na nas, tylko w ciemność, w stronę niewidocznego stąd załamania oceanu. Trzech ludzi zaczęło odwijać hol, a prąd wody służył za napęd.

- Dajcie mu czas - powiedział Nicolai. - Svyturys, co dalej?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Rozejrzałem się po niebie, jakby mogło mi pomóc. Daleko na wschodzie czarna plama bez gwiazd zdradzała położenie kamiennej chmury, jak zacząłem nazywać wiszące skały.

- Przejdźmy do kajuty - powiedziałem.

Chwyciłem za rękaw Pascala. Poddał się i pozwolił zaciągnąć po schodkach na mostek, i dalej. Kiedy był trzeźwy, wciąż miał bardzo jasny umysł. A teraz był trzeźwy.

Kajutę kapitana urządzono bardzo skromnie. Stół przyśrubowany do podłogi, kilka krzeseł, małe okienka i półki z książkami. Źródłem światła była mała lampka oliwna zwieszająca się z sufitu. Elektryczność oszczędzaliśmy dla ważniejszych zastosowań.

Zwykle w takich chwilach wszyscy pochylają się nad rozłożoną mapą, tyle że tutaj nie było żadnych map i nie mieliśmy pomysłu, jak je zrobić. Byłem astronomem, fakt, ale gdybym miał nawigować według gwiazd, to musiałbym uznać, że od początku nie ruszyliśmy się z miejsca. Wszyscy o tym wiedzieli. Po tym oceanie nie dawało się nawigować, można było tylko płynąć na azymut i oznaczać wiszące skały lub obszary uporządkowanego układu lin. Reeves na „Diamondzie” robił to dla porządku, ale przecież nie zamierzaliśmy wracać tą samą drogą. Z początku próbowaliśmy liczyć liny, ale szybko okazało się, że te przemieszczają się samoczynnie, myląc nasze rachuby.

- Nie mam pojęcia, co robić - powiedziałem szczerze.

- Ludzie są zmęczeni - zaczął kapitan - i przerażeni. Są wśród nas wybitne umysły, ale są i zwykli marynarze, których jedyną zaletą jest sprawność fizyczna. Nie są szczególnie bystrzy, za to bardzo przesądni. Nie minie jeden dzień, jak zaczną gadać o powrocie. Nie minie tydzień, jak będziemy mieć bunt.

- Obiecaliśmy im prawdziwą ziemię - przypomniałem. - Tylko dlatego z nami popłynęli.

- Inaczej wciąż tkwilibyśmy na tych kamykach zawieszonych w powietrzu. Wiesz dobrze, że sami nie dalibyśmy rady.

- Gorzej będzie, jeśli się okaże, że u celu nie ma żadnego lądu.

- Przetrawanie wiedzy nas usprawiedliwia - wtrącił Pascal. - To nasza misja.

- Ta wiedza jest mocno nieaktualna - odparłem. - Przekonaliśmy się o tym kilka godzin temu.

- Na jakiś kierunek musimy się zdecydować - przypomniał kapitan. - Dla ułatwienia,

północ odpada.

Patrzyli na mnie w milczeniu.

- Zerknijmy na geocjan.

Schyliłem się do stojącej pod ławą niewielkiej, okutej skrzyni i otworzyłem ją. W wyłożonym aksamitem wnętrzu spoczywał błyszczący przedmiot. Na pierwszy rzut oka była to kula nieco większa od ludzkiej głowy, osadzona na metalowym cokole. Pascal pomógł mi, odpiął ramię i postawił ciężki przedmiot na stole. Przekręciłem kilka gałek na cokole. Wewnątrz kuli zajaśniało czerwone światło. Powoli rozpełzało się po całej jej objętości.

Gdyby chcieć być precyzyjnym, trzeba by wyjaśnić, że leżał przed nami tylko monitor potrafiący odczytać wspomnienia starej maszyny. Właściwy geocjan dokonał żywota piętnaście lat temu w dość dramatycznych okolicznościach. Zadanie jednak wykonał.

Urządzenie rozgrzewało się powoli, stopniowo ukazując naszym oczom zapis, jaki zarejestrował kilka minut przed zawiązaniem supła. W czerwonej poświacie ujrzeliśmy białe nitki, symbolizujące liny, oraz blade, chropowate zarysy skał. Na nich pojawiały się rysy, które przechodziły w jaśniejące białymi krawędziami szczeliny. Fragmenty sunęły w górę, inne zapadały się. Woda, ledwie oznaczona mdłą matowością, zdawała się wrzeć, wlewać wodospadami w niewidzialne, podwodne szczeliny. Nagle w samym środku kuli pojawił się błysk, oświetlając nam twarze krwistą czerwienią. Rozszerzał się do postaci bąbla, blednąc jednocześnie i stając się przezroczystym. Teraz to już była wysoce prawdopodobna ekstrapolacja migracji materii po zniszczeniu głównego modułu geocjanu, jego wcześniejsze przypuszczenie. Kulisty podmuch odepchnął wodę, skały sunęły w różnych kierunkach. Wielki, płaski fragment uniósł się w górę i po chwili zniknął poza krawędzią monitora. Wtedy światło wydobywające się z jego wnętrza zaczęło przygasać.

Widzieliśmy to wiele razy, nie wzbogaciło to ani trochę stanu naszej wiedzy. Tak było i teraz.

- W południe dam odpowiedź - mruknąłem bez przekonania.

Kula zgasła, koniec przedstawienia.

* * *

„Maroon”, siedemnasty dzień podróży, przed świtem. W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, i nie mam tu na myśli ostatnich godzin, ale raczej ostatnie lata, najważniejsze jest trwanie w naszym człowieczeństwie i niepoddawanie się pokusom zbyt łatwego rozwiązania skomplikowanych spraw.

* * *

O świetle zaskrzeczał komunikator. W północy nie rozpoznałem słów, ale domyśliłem

się, że Peretz wrócił do szalupy.

Marynarze zaczęli wciągać hol. Trwało to dość długo, kilka razy zmieniali się przy linie.

Kapitan stał na mostku i udawał, że nie drży z niecierpliwości. Spojrzał na mnie przelotnie dziwnym wzrokiem, myśląc zapewne, że się lenię zamiast intensywnie koncytować. Prawda była taka, że do świtu nie miałem nic do roboty. Musiałem rozejrzeć się wokół, żeby posunąć się o krok do przodu.

Szalupa dobiła wreszcie do naszej burty. Peretz był bardzo zmęczony. Inni pomogli mu wejść na pokład. Usiadł i widać było, że marzy tylko o śnie.

- To nie jest żaden koniec świata - oznajmił. - Dalej są liny, jak i tu. Ale wody nie ma. Widziałem gwiazdy w dole... Daleko w dole. Potem niebo.

Nie miałem pojęcia, dlaczego zabrzmiało to tak niepokojąco. Powoli zaczynałem wierzyć w ocean, będący wielką kroplą zawieszoną w bezkresnej otchłani wypełnionej liniami wertykalnymi. Inni zapewne myśleli teraz podobnie. Zapadło milczenie. Widziałem wystraszone twarze marynarzy. Kapitan musiał im dać jakiegokolwiek zadanie, żeby nie zaczęli rozmyślać i rozmawiać o nowej sytuacji. Spojrzał na mnie wymownie, więc wszedłem na mostek i stanąłem obok niego. Teraz wszyscy spojrzeli na mnie. Oczekiwali chyba, że jednym zdaniem wyjaśnię wszystko. My byliśmy umysłem, ale oni ciałem. A ciało ogarnięte paniką nie słucha umysłu i biegnie na oślep ku zgubie. Albo ku ocaleniu. Na pewno nie ku naszemu celowi.

Słońce pięło się ponad horyzontem. Wyraźnie widzieliśmy dwie wysoko wiszące skały tam, gdzie się ich spodziewałem, na wschodzie. Obracałem w głowie ruchomy obraz z geocjanu, próbując dopasować go do tego, na co patrzyłem teraz. Skały są mylące przez swoją nieregularną, pełną cieni powierzchnię oraz wielkość. Ocena kształtu nie była prosta, tym bardziej, że widziałem teraz tylko ciemny kontur na tle seledynowego jeszcze nieba. Jedna większa, a o pół długości na lewo druga, zakończona ostro.

Wiele razy oglądałem już krótki film wyświetlany przez geocjan i wiele razy próbowałem dopasować do niego mijane fragmenty tego dziwnego świata.

- Ona jest pęknięta - powiedział Pascal, wyczuwając, o czym myślę. Wysilił całą swoją wolę, żeby nie upić się tej nocy.

Miał rację. Skały pasowały do siebie. Gdyby je połączyć, tworzyłyby smukły klin. Nagle poczułem gorąco, bo przypomniałem sobie drobną drzazgę płynącą ku powierzchni monitora na chwilę przez jego zgaśnięciem.

- Jesteśmy blisko - powiedziałem głośno. - Przy korzystnych wiatrach kilka dni

żeglowania.

Przez pokłady przeszedł szmer poruszenia, a ja obracałem w głowie czterowymiarową mapę geocjanu i próbowałem wymyślić najważniejsze: w którym kierunku płynąć. Pęknięta chmura mogła się przecież obrócić.

- Muszę... - ciągnąłem, chcąc zyskać na czasie. - Muszę dokonać niezbędnych obliczeń.

Czmychnąłem z mostka. Kapitan już wydawał jakieś polecenia, wykorzystując nieco lepszy nastrój załogi. Inni kapitanowie z pewnością robili to samo.

Geocjanu nie można było teraz uruchomić, musiał się ładować kilka dni. Szkoda, że użyliśmy go w nocy. Teraz pozostawała mi tylko moja pamięć. Spojrzałem w górę. W mojej sytuacji wdrapanie się na bocianie gniazdo było bardzo ryzykowne. Wiele dałbym za możliwość wspinania się po linach. Pozostała mi więc nadbudówka na rufie. Wyciągnąłem z torby małą lunetę i wdrapałem się tam po drabince. Niskie poręcze nie dawały żadnego zabezpieczenia. Usiadłem więc na samym środku i zacząłem systematycznie przeszukiwać horyzont, wychylając się co chwilę w prawo lub lewo, żeby ominąć wzrokiem maszty innych okrętów. Dzięki szarym smugom i pasom strefy uporządkowania lin były widoczne z dużej odległości. Zmieniały barwę nieba, przyciemniając je lub rozjaśniając, zależnie od kierunku padania światła.

Na północy granica oceanu była na tyle odległa, że dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się uderzała nienaturalna ostrość horyzontu. Daleko za nią widziałem kilka niewielkich, kamiennych chmur. To z pewnością nie był koniec świata. Na południowym wschodzie dojrzałem spory obszar uporządkowanych lin i drugi, mniejszy, na południowym zachodzie. Znów przywołałem w umyśle obraz z geocjanu. Tak, to mogło pasować... przy założeniu, że całe te wielkie podwodne skały, przyczyna uporządkowanego układu lin na powierzchni, wcześniej nie przemieszczały się dowolnie względem siebie.

Po kwadransie miałem w głowie pełen szkic otoczenia. Zszedłem na dół, napotykając pytające spojrzenie Nicolaia.

- Kurs sto trzydzieści pięć - powiedziałem. - Plus minus trzy.

- Jesteś pewien?

- Nie ma wśród nas nikogo, kto byłby czegokolwiek pewien.

Zamknął na chwilę oczy i westchnął. Podniósł mikrofon.

- Svyturys proponuje sto trzydzieści pięć stopni - poniosło się echem po żaglowcach.

- Niczego nie proponuję - zaprotestowałem. - Według mnie tam jest cel.

Stałem za daleko od mikrofonu, żeby mój głos słyszał ktoś poza naszym okrętem.

Kapitan uciszył mnie gestem.

- Esteban uważa, że powinniśmy płynąć na zachód - dobiegło z głośnika.

- Dlaczego akurat na zachód?! - krzyknąłem, schylając się do mikrofonu, nim Nicolai zdołał mnie powstrzymać. - Żeby tylko odwrotnie niż ja?!

Zatrzeszczało w głośniku. Esteban musiał wziąć do ręki mikrofon. Nie widziałem, gdzie jest jego okręt.

- Nie masz monopolu na rację! - Tak, to był jego głos.

Nie lubiłem Estebana. Z wzajemnością. W zbyt wielu sprawach mieliśmy odmienne zdanie. Nie przeczę, kilka razy miał rację. Tylko pogarszało to nasze stosunki.

- Ty go na pewno nie masz! - krzyknąłem do mikrofonu znad ramienia kapitana.

- Zachowaj kontrolę nad sobą - ostrzegł mnie, odsuwając mikrofon.

- Spróbuj obronić swoje zdanie! - rozległo się nad zacumowaną flotyllą. - Twoja propozycja jest jak zawsze wyssana z palca!

Kapitan zrezygnował i podał mi mikrofon.

- Nie mam zamiaru bronić mojej... propozycji za wszelką cenę - oświadczyłem - ale nie róbmy tego błędu co poprzednio. Kursu nie można ustalać na zasadzie kompromisu. Po poprzednim kompromisie dotarliśmy tutaj. A niektórzy z nas nawet dalej...

- Powinniśmy głosować - upierał się Esteban. - Wciąż mamy demokrację, jakbyś nie zauważył.

- Po co?! - zdenerwowałem się. - Dlaczego chcesz oddać decyzję ludziom, którzy nie mają pojęcia o nawigacji?! Na morzu demokracja jest zabójcza.

- Podważasz zasady rządzące naszą społecznością - wtrącił się Carelli, przewodniczący Rady, która zawiesiła obrady na czas podróży.

- Teraz już tylko połowę społeczności! - odpałem. - Tu nie chodzi o demokrację, lecz o dotarcie do celu. Ludzie podejmą decyzję zależną od tego, kto ich przekona. To przecież irracjonalne! Nie ma racji ten, kto piękniej mówi. Albo jeszcze gorzej: ta społeczność znów wybierze kompromis, kurs pośredni i nigdzie nie dołyniemy!

Chwilę trwała cisza.

- Co proponujesz? - zapytał wreszcie Esteban.

- Musimy to ustalić między sobą. Bez tego... echa.

Prawie trzystu ludzi przysłuchiwało się naszej rozmowie w milczeniu. Zapewne ich obraziłem, ale nie dbałem o to.

- Na Shellu - zaskrzeczał głośnik. - Za pięć minut.

- Będę.

Uniosłem wzrok, napotykając nieruchome spojrzenia kilkunastu par oczu. Nagle zrozumiałem, że jeśli przekonam Estebana, to wszyscy, dokładnie wszyscy mnie jednego obciążą odpowiedzialnością za nasze dalsze losy. Pewnie lepiej byłoby zgodzić się na ten kurs zachodni. Jak nie dopłyniemy do celu na zachodzie, to jego wyrzucą za burtę, a jak dopłyniemy, to w ogólnej radości nikt nie będzie o mnie pamiętał. Ale przecież nie o to chodziło.

Patrzyli na mnie z nadzieją, odprowadzając mnie wzrokiem do szalupy. Przetawiałem ich umysły z pozycji decydujących podmiotów na oczekujące cudzych decyzji.

Słońce wstało już wysoko znad horyzontu. Jeśli to naprawdę był horyzont. I jeśli to naprawdę było słońce. Usiadłem w szalupie. Młody marynarz, nie znałem jego imienia, pociągnął za wiosła i ruszyliśmy w kierunku „Shella”. Jak on to robił, że manewrował między okrętami, nie zerkając przez ramię? W końcu jednak się odwrócił. Odwrócił się jeszcze kilka razy, nim dobiliśmy. To mnie uspokoiło.

Wszedłem na pokład. „Shell” był większy niż „Maroon”, ale deski trzeszczały znajomo - deficyt materiałów sprawił, że nasze statki nie były solidne. Załoga przyglądała mi się w milczeniu. Z przeciwnej strony dobiła druga szalupa. Esteban zaczął się z trudem gramolić przez wysoką burtę. Nie podałem mu ręki, udając, że obserwuję coś w oddali. Gdy wreszcie stanął na pokładzie, poprawił koszulę i przyglądał siwą brodę. Przywitałem go uniesieniem brwi. Nieznacznym. Weszliśmy do wolnej kajuty. Zamknąłem drzwi i upewniłem się, że nikt nie podsłuchuje.

Dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Kilkoma słowami zdemontowałeś całą naszą demokrację.

- Pokiwał głową. - Brawo!

- Nie rznij głupa. Wiesz, że nie chodzi o demokrację.

- Kto tu rznie głupa?

- To skąd pomysł, że na zachód, panie geografie?

- Przeczucie. - Wzruszył ramionami. - Cóż by innego? Nie mamy żadnych map. Ty też nie możesz udowodnić swojej racji.

Wypuściłem głośno powietrze i spojrzałem w bok.

- W nocy oglądałem zapis geocjanu - powiedziałem cicho.

- Jednak ocalał... - Szczerze się zdziwił. - Dlaczego trzymano to w tajemnicy?

- Może żeby amatorzy się nie wtrącali? Każdy chciałby oglądać i byłoby tyle zdań, ilu oglądaczy.

Sapnął, ale nie skomentował tego. Mierzyliśmy się wzrokiem.

- Mieliśmy rozmawiać o naszym kursie - przypomniałem.

- Wiemy, w którą stronę uciekaliśmy po wybuchu. To był południowy wschód. Teraz żeglowaliśmy na północ przez to kretyńskie głosowanie.

- Więc przyznajesz, że to było głupie! - złapałem go za słowo. - A sam brałeś w tym udział.

- Przynajmniej nie popłynęliśmy na pustkowie.

- Ach, więc zaplanowałeś to sobie... - Wycelowałem w niego palcem. - Z góry wiedziałeś, że tu niczego nie znajdziemy, a jednak się zgodziłeś.

- Chciałem od razu płynąć na północny zachód - wzruszył ramionami - ale inni się nie zgadzali. Nie zabierałeś głosu, to teraz nie miej pretensji. Pokażesz mi zapis?

- Monitor będzie się ładował dwie doby.

- Więc po co uruchomiliście go w nocy, kiedy wokoło nic nie widać?

Wydałem wargi. Trafne pytanie, sam się nad tym zastanawiałem.

- Żeby nie dopuścić do buntu - wypaliłem. - Nasi potrafią się opanować, ale marynarze... - Zawiesiłem głos. - Jak popłyniemy na zachód, a tam niczego nie będzie? Przecież tutaj nawigacja nie istnieje. Widzisz tamtą skałę? - Wskazałem przez okno.

- Widzę dwie.

- To jedna, tylko pękła. W pierwszych chwilach po wybuchu unosiła się w górę. Widzisz te szare paski? - Wskazałem na prawo. - Te jakby interferencje? Pod wodą musi być skała, która ten układ stabilizuje. Trzecia jest tam. - Obróciłem go do okna z przeciwnej strony. - Pamiętam dokładnie zapis geocjanu. Pasuje do tego miejsca.

- Może nadinterpretujesz...

- Ja mam dowód, ty przypuszczenia.

- Poszlakę masz, nie żaden dowód.

Opuścił głowę i myślał intensywnie. Wiedziałem, że chodziło też o ambicje, więc powstrzymałem się przed złośliwościami, które same cisnęły się na usta. Już to, że musiałem współpracować z człowiekiem, którego uważałem - zapewne z wzajemnością - za durnia, było wystarczająco irytujące. Chciałem mieć to jak najszybciej za sobą.

- Nawet jeżeli pamięć wyjątkowo ci nie nawala... - odezwał się Esteban, ale przerwało mu pukanie do drzwi.

- Reeves chce uczestniczyć w naradzie - usłyszeliśmy.

Kolejny mądrała z kolejnymi pomysłami. Otworzyłem drzwi i wyszliśmy na pokład. Musiałem zmrużyć oczy przed jasnością dnia. Reeves właśnie gramolił się przez burzę.

- No nie... - westchnąłem. - Jeszcze jeden.

- Narada zakończona - oznajmił niespodziewanie Esteban, wstrzymując tamtego w pół kroku. - Ustaliliśmy kurs na sto trzydzieści pięć.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Pokiwałem głową i, nie oglądając się na nikogo, zszedłem do szalupy. Na okrętach podnoszono już żagle i odwiązywano cumy.

- Musimy zwiększyć odstęp - oznajmił Nicolai, gdy wszedłem na pokład. - Na wszelki wypadek.

Pascal odciągnął mnie na bok, poza główne zamieszanie.

- Rozmawiałem z Padmovitzem - powiedział. - Najgorsze jest to, że tak naprawdę nikt nie potrafi zagwarantować, czy energia była wystarczająca do zawiązania supeła. Może płyniemy donikąd.

Widać nie tylko ja zastanawiałem się nad tym. Obliczenia wykonywano pośpiesznie i bez pełnych danych. Spojrzałem na niego, już odkręcał piersiówkę. Kryzys przecież minął.

A przynajmniej został odsunięty o kilka dni.

* * *

„Maroon”, dwudziesty dzień podróży. Nikt nie lubi posłańca przynoszącego złe nowiny ani mędrca wieszczącego trudne dni. Wolimy łatwe złudzenia, nawet wiedząc, że prowadzą nas do zguby. Wybieramy krótkoterminową nadzieję jako cel sam w sobie. Nie rozumiem tego.

* * *

Trzeci dzień płynęliśmy wyznaczonym kursem. Ludzie zaczęli zerkać na mnie ukradkiem. Miałem niewdzięczną rolę. Wiedziałem, co nastąpi najdalej za dwa dni, jeśli supeł się nie pojawi: zażądają ode mnie, żeby się pojawił! Jakbym miał na to wpływ... Mogłem tylko wskazać najbardziej prawdopodobne miejsce wybuchu, bez gwarancji, że supeł w ogóle się zawiązał. Ale tego, rzecz jasna, niemal nikt nie chciał przyjąć do wiadomości. Supeł miał tam być i już!

Nie mogłem zrozumieć jednej rzeczy: liny były cienkie, nie grubsze niż męski nadgarstek i rzadko rozmieszczone, ale jednak w dalszej perspektywie powinny zasłonić gwiazdy, słońce, wszystko. Płynęliśmy już dwa tygodnie, wciąż mijając liny, które w oddali powinny stworzyć gęszcz broniący dostępu światłu na podobieństwo muru. To można wyliczyć matematycznie, w jakiej odległości powinniśmy widzieć już tylko szarą ścianę. Cóż z tego, skoro wystarczyło unieść wzrok ponad zeszyt z obliczeniami i ujrzeć błękitne niebo. Lub gwiazdy, zależnie od pory. Kolejny przykład na to, że ten świat nie poddaje się tak łatwo naszym badaniom. Ale kto by się tym przejmował, skoro właśnie odkryliśmy, że żeglujemy po wielkiej kropli. Nie udało się nigdy zmierzyć głębokości oceanu, sonda opadała bez końca.

Teraz nikt już nie miał ochoty na eksperymenty.

- Zastanawiałeś się, jak wygląda supeł? - zapytała Elaine, przysiadając obok. Miała trzydzieści parę lat i była rzeźbiarką. Do wszystkiego, poza rzeźbą, miała dwie lewe ręce. Na czas podróży została kucharką, ale kucharzenie szło jej tak, jak mnie pewnie szłoby rzeźbienie, gdybym kiedyś spróbował.

- Wygląda jak dziura w niebie - odparłem. - Myślę, że widać przez niego, co jest po drugiej stronie.

Długie, czarne włosy opadały jej falami na ramiona. Kiedy nie musiała przygotowywać posiłków, nie robiła absolutnie nic. Myślałem wcześniej naiwnie, że będzie strugać figurki w drewnie, ale nie. Może tylko projektowała w myślach, czekając, aż dotrzemy na miejsce i dostanie w ręce odpowiednio duży kamień? Nigdy jej o to nie zapytałem. Teraz siedziała obok i polerowała jabłko. Co drugi dzień zamiast zjadać owoc do obiadu, zawijała go w szmatę i chowała do torby. Zapobiegliwość zupełnie mi do niej nie pasowała.

- I da się przejść na drugą stronę?

- W to wierzymy. - Wzruszyłem ramionami. - Inaczej podróż byłaby bez sensu.

Rzadko patrzyła ludziom w oczy. Trudno się z nią rozmawiało. W najlepszym razie wodziła wzrokiem po ramionach rozmówcy, jakby rozmowa była tylko jedną z rzeczy, którymi akurat się zajmowała. Najczęściej wpatrywała się w przestrzeń. Kiedy temat przestawał ją interesować, odchodziła albo wyłączała się.

Na samym dnie podróżowała z nami jedna z jej rzeźb przedstawiająca wysokiego mężczyznę z czterema twarzami wokół głowy. Elaine uparła się, żeby ją wziąć. Wszystkie inne, które stworzyła na Archipelagu, zdawały się jej obojętne. Chciała tylko tej. Ostatecznie rzeźby użyto jako części balastu „Maroona”, oczywiście z zamiarem późniejszego przeniesienia w nowe miejsce.

* * *

„Maroon ”, dwudziesty drugi dzień podróży. Może i są gdzieś inni, podobni nam. Podróżują i szukają rozwiązania. Może robią to w ten sam sposób, co my, a może w zupełnie inny. Za wiele dyskusji za nami, zbyt się nawzajem utwierdziliśmy nieodpartymi argumentami, żebyśmy teraz wymyślili coś zupełnie nowego. Musimy iść ustalonym wcześniej torem. Jak się lepiej zastanowić, to nadzieja właśnie w tym, że inni próbują w inny sposób.

* * *

Obudziło mnie uderzenie. Gdy otworzyłem oczy, drewniana miska kręciła jeszcze bączka po pokładzie. Nie wiedziałem, kto rzucił - na tym przecież polegała ta plebejska

zabawa. W pobliżu uwijało się kilku marynarzy. Udawali, że patrzą w inną stronę. Nazywaliśmy ich marynarzami, choć może tylko kilku z nich było wcześniej na jakimś okręcie. Bałem się, ale patrzyłem na nich z pogardą. W końcu to tylko człekokształtne zwierzęta, bo jakże inaczej określić istoty, których sens życia sprowadza się do jedzenia, spania i rozmnażania? To przykre, że my, elita tego świata, byliśmy zależni od takich kreatur.

Podniosłem się i wspiąłem na nadbudówkę rufową. Rozłożyłem lunetę i zacząłem przeczesywać horyzont. Żadnych punktów orientacyjnych. Żadnego supła, żadnej skały. Musiałem przyznać, że dawno już mineliśmy punkt, który określiłem na podstawie wskazań geocjanu. Jeśli nie było tam supła, to mogliśmy przepłynąć przez sam punkt, nie zauważając go. Zaczynałem żałować, że przekonałem Estebana. Jednocześnie czułem, że kierunek jest dobry. Nie potrafiłem uzasadnić tego racjonalnie. Po prostu to wiedziałem.

Chłodny powiew poruszył moimi włosami. Cień odległej burzy. Daleko po prawej rozplaszczony kłębek granatowej waty strzelał piorunami w ocean. Osobliwie wyglądały te iskry. Biegły pionowo po linach wertykalnych, niewidocznych z tej odległości, czasem tylko przeskakiwały na sąsiednią. Słabsze zanikały po drodze, pochłaniane przez same liny.

* * *

Zbudziło mnie zamieszanie na pokładzie. Usiadłem. Stary, zarośnięty i żyłasty marynarz wbijał we mnie przenikliwe spojrzenie. Typ porywczego buntownika, dla którego przyszłość to najbliższa chwila. Ten, kto dobierał załogę, popełnił błąd.

- Gdzie supel? - zapytał chrapliwym głosem. - Gdzie ląd?

To musiało nastąpić. Któreś z tych zwierząt musiało pierwsze stracić cierpliwość. Wstałem. Kilku marynarzy za jego plecami gapiło się na mnie ponuro. Wiedziałem, że do tego dojdzie, a jednak nie przygotowałem żadnej odpowiedzi.

- Jeszcze ze dwa dni - powiedziałem bez przekonania.

- Nie dostaniesz ani godziny.

- Nie stworzę supła. - Przełknąłem ślinę. - Musimy do niego dopłynąć.

Wszyscy porzucili swoje zajęcia i wylegli na pokład. Pascal stanął obok mnie. Zdziwiłem się, bo zawsze uważałem go za tchórza. Stanęła też Elaine. Tamci zatrzymali się, co zaskoczyło mnie jeszcze bardziej. Garbaty astronom, pijany geograf i niezdarna rzeźbiarka, przeciw pięciu barczystym osiłkom. No ale oni mieli mózgi wielkości orzeszków.

- Dlaczego wasi kumple zbczyli na południe? - zapytałem, wskazując głową w nieokreśloną stronę.

Popatrzyli na siebie.

- Żeby... mieć bliżej do domu - powiedział któryś. - Jeśli nie będziesz miał racji. A nie

masz! Supła nie widać.

- Nie widać, bo przez nich zboczyliśmy na południe. Minęliśmy go pewnie ze dwa dni temu.

Zaczynali się chyba zastanawiać, kim są ci „oni”. Chwilę mierzyli mnie wzrokiem. Potem najwyższy zagwizdał na palcach trzy razy. Reszta marynarzy, dotychczas zajętych innymi sprawami, zaczęła zwijać żagle. Na innych okrętach stało się to samo. To nie była żadna spontaniczna solidarność, lecz przygotowana akcja.

Kapitan wybiegł na pokład. Spojrzał na inne okręty i zrozumiał. Nie odezwał się, popatrzył tylko ponuro po marynarzach. Teraz byli tam już wszyscy i patrzyli na mnie, na kapitana i na resztę pasażerów. Nie wiadomo, skąd wzięli noże. Błysnęły w słońcu.

- Nie płyniemy dalej - oświadczył żylasty.

- Supeł nie istnieje - dodał inny.

- Nie chcemy się zgubić!

„Już się zgubiliście”, chciałem powiedzieć. Miałbym krótką satysfakcję, ale okupioną wysoką ceną. Milczałem więc.

- Zastanówcie się dobrze, czego chcecie. - Nicolai podniósł dwulufową strzelbę; musiał ją trzymać od początku. - Zastanówcie się, co jest waszym celem. Czy chcecie znaleźć nowy świat, czy zginać?

Nie celował w nikogo, ale sama obecność broni wystarczyła, by powstrzymać bezpośrednią agresję. Zastanawiałem się, co działo się na innych okrętach.

- Zastrzelisz nas? - zapytał ktoś.

- Co za różnica: ginać teraz czy z głodu? - zawołano z innego okrętu.

- Nie płyniemy dalej - powtórzył żylasty. - Widzieliśmy dość.

Kapitan powiódł wzrokiem po innych pokładach.

- Załatwmy to tak, żeby wszyscy byli zadowoleni - zaproponował.

- Będziemy zadowoleni, jak wrócimy na Archipelag.

- Dzielimy zapasy na pół i oddajemy wam sześć okrętów - oświadczył Nicolai. - Ci, którzy chcą, płyną dalej.

Chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Niech tak będzie - odparł żylasty, patrząc bardziej na broń niż na trzymającego ją człowieka. - Ale bierzemy też „Shella” i „Chargera”.

Dwa najlepsze okręty.

- Zgoda. Przeniesiemy nasz sprzęt i bierzcie je.

- Nie zapominaj się, Nicolai! - krzyknął Granier, kapitan Shella. - Nie dysponujesz

własnym majątkiem! To nasza wspólna sprawa.

- Głosowanie! - zawtórował mu Carelli.

Marynarze na pokładach zaczęli nerwowo pokrzykiwać. Do wybuchu naprawę brakowało niewiele.

- Zaczynajcie głosować! - krzyknął żyłasty. - A podliczymy głosy nożami!

- To doprawdy!... - oburzył się Carelli. Nie dokończył.

- Żadnego głosowania podczas rejsu! - zdecydował za wszystkich Nicolai. - Godzina na wymianę i przeniesienie sprzętu. Potem się rozdzielamy. Koniec dyskusji.

- Zaczynajcie! - polecił żyłasty.

Zapanował chaos, ale przynajmniej nikt nikogo nie próbował zabijać. Teraz już nie można było tego wszystkiego powstrzymać.

* * *

„Maroon”, dwudziesty czwarty dzień podróży. Czasem ogarnia mnie wielki smutek, gdy pomyślę, że tak mało zależy od nas. Najważniejszy jest przypadek, czy może lepiej powiedzieć - zbieg okoliczności. Są dążenia innych ludzi, złośliwość i głupota, są niepełne informacje i błędne decyzje. Gdzieś pod tym wszystkim jest nasza wolna wola, a że dobrze ukryta, nie ma nawet pewności, czy w ogóle istnieje.

* * *

Kilku „naszych” odplynęło z nimi. Jedna prądnicą, ta największa, wpadła do wody i od razu zatonała. Zważywszy okoliczności, i tak wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie.

- Wcale nie zboczyliśmy na południe - powiedział do mnie Nicolai, gdy tamci byli już w sporej odległości.

- Wiem - odparłem. - Nie chciałem, żeby mnie zabili.

Do burty przybiła szalupa. Wzburzony Granier wgramolił się na pokład i podszedł do Nicolaia, celując w niego palcem.

- Złamałeś zasady rządzące naszą społecznością - wycedził. Był niższy, fizycznie znacznie mu ustępował. - Nie miałeś prawa tego robić.

- Połowa z nas już by nie żyła - odparł spokojnie Nicolai.

- Ilu byś zastrzelił, nim by cię dopadli? Przeładowanie strzelby trwa pół minuty. To broń myśliwska.

- Straciłeś okręt, ale ocaliłeś życie - przyznał niespodziewanie Hammond, kapitan „Chargera”, przebywający u nas od kwadransa. - Nie zapominaj, co przysięgaliśmy. Te okręty to tylko środek, nie cel.

- A jak zamierzacie, panowie mędrcy, kontynuować rejs? Zostało może trzech

marynarzy.

- Poradzimy sobie - odparł Nicolai. - Na każdej wachcie będzie co najmniej jedna osoba znająca się na rzeczy. Na sztorm się nie zanosi.

Peretz został z nami.

- Ja ci wierzę - powiedział do mnie. - Mój ojciec zginął za tę sprawę. Nie pozwolę, żeby jego śmierć poszła na marne.

- Dziękuję - odparłem, dodając w myślach: „Tyle, że ja sam nie mam twojej pewności”.

Ułożyłem się na linach i spojrzałem w górę. Maszt celował w błękitne niebo, a takielunek ciął je na geometryczne wielokąty. Wyżej były tylko liny wertykalne rozplywające się w perspektywie powietrznej.

- Jak wrócą na Archipelag, narobią niezłego bałaganu - powiedział Pascal.

- Szczerze mówiąc, wątpię, czy tam dotrą - odparłem. - Ja bym nie potrafił.

Wciąż płynęliśmy kursem sto trzydzieści pięć. Esteban nie odzywał się ze swojej kajuty na „Diamondzie”. Czekałem jednak, kiedy przypuści nowy atak. Znalazł się przecież na jednym okręcie z Reevesem, więc musieli knuć przeciwko mnie. Byłem pewien, że siedzą pod pokładem i naradzają się, jak mi zaszkodzić.

* * *

„Maroon”, trzydziesty dzień podróży. Kiedy robi się już naprawdę ciężko, wciąż masz wybór: poddać się lub uparcie trwać przy swoim.

* * *

Wyjedliśmy niemal wszystko, co nie było rybami. Destylatory pracowały pełną parą, a słodką wodę i tak trzeba było racjonować. Dwa najwolniejsze okręty musieliśmy porzucić, bo nie starczało rąk do obsługi żagli. Nicolai przydzielił mnie do zmywania naczyń i wybierania wody z zęzy. Wykonywałem te obowiązki z przykrością, świadom swego ponizenia. Pod koniec dnia nie czułem rąk ani pleców. Zasnąłem, nie mając siły zjeść kolacji. Kolejny ranek nie zapowiadał zmiany.

Sześć okrętów, na nich ponad dwie setki ludzi, którzy w większości potrafili pracować głową, lecz nie rękami. Wokół wielka pustka, poszatkowana linami wertykalnymi.

Z wyjątkiem Pascala i Elaine nikt się do mnie nie odzywał bez potrzeby. Nie chciałem zabiegać o towarzystwo tych wszystkich pyszałków, mogli się na mnie obrazić. Proszę bardzo! I tak tylko ja wiedziałem, jak dopłynąć do celu.

Gdy zaczęło zmierzchać, Nicolai skinął na mnie i zaprowadził na dziób.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał. - Tylko szczerze.

Spojrzałem w dół na granatową, niemal czarną wodę. Uciekała w tył w białych rozbryzgach.

- Powinniśmy płynąć dalej - odparłem.

- Skąd wiesz? - pochylił się nade mną niemal groźnie.

- Przeczucie.

- Nie możemy polegać na przeczuciu.

- Nic innego nie mamy. - Odsunąłem się minimalnie. - Za lepszych czasów dokonałem kilku odkryć. Obliczenia się przydawały, ale bez intuicji niczego bym nie zdziałał. Kierunek jest dobry.

- Esteban opiera się na wyliczeniach. Wrócił do swojego starego pomysłu.

- O tak... Ale żeby go zrealizować, najpierw musielibyśmy tydzień płynąć z powrotem, niemal tą samą drogą.

- Jutro będę musiał zwołać naradę.

- Po co? - Wzruszyłem ramionami. - Nad czym tu debatować? Nad zmianą kursu? Na jaki? Myślisz teraz tak samo, jak tamci. Dajesz mi jakieś terminy. Możemy rzucać kośćmi o ten kurs. Co za różnica...

Popatrzył na mnie ponuro.

- Zapasy się kończą - powiedział. - Już nie zdołamy wrócić na Archipelag. Nawet gdybyśmy znali kierunek.

Odwrócił się i odszedł.

Oparłem się o reling. Woda w dole była wodą, żyły w niej znane nam gatunki ryb, pluskała zupełnie normalnie. I to był koniec podobieństw do tego, co pamiętałem z dawniejszych czasów. Głęboko pod nami znajdowało się być może rozwiązanie tej zagadki. Doskonale niedostępne. Gdyby ktoś mnie zapytał, byłbym skłonny przysiąc, że Ziemia jest płaska. Po miesiącu żeglugi gwiazdy wciąż były w tych samych miejscach. Obracały się jak przedtem, ale o północy Gwiazda Polarna wisiała wciąż w niezmiennym punkcie nieboskłonu. Nie miałem, rzecz jasna, odpowiednich instrumentów, ale i tak to widziałem. A może to ocean kręcił się pod nami, a my staliśmy w miejscu?

Okręty codziennie zmieniały kolejność w szyku. Tego dnia my prowadziliśmy konwój. Peretz pełnił służbę na bocianim gnieździe. Wystarczył rzut oka w górę, by wiedzieć, że chłopak się przykłada.

Nie chciał podzielić losu swego ojca. A może robił to w imię jego pamięci?

* * *

„Maroon ”, trzydziesty trzeci dzień podróży. Po przekroczeniu pewnej granicy

następuje rozkład organizacji, systemu więzi społecznych. Jak w roztopionym metalu, w którym każda cząsteczka martwi się sama o siebie. Owszem, jeśli sytuacja ulegnie poprawie, nastąpi krystalizacja, ludzie znów staną się uprzejmi, będą się pozdrawiać i pytać o zdrowie. Będą udawać, że nic się nie wydarzyło. To naturalne.

* * *

Znałem te spojrzenia, tak samo patrzyli przedtem marynarze. Więc już wszyscy sprzymierzyli się przeciw mnie. Ale to nawet lepiej, dzięki temu wyraźniej widziałem swoją wyższość nad nimi. Zazdrościli mi, bo tylko ja znałem drogę, a dokładniej mówiąc, tylko ja wierzyłem w kurs sto trzydzieści pięć. Nie, nie tylko ja - wierzyli też Pascal i Elaine. Im mogłem ufać.

Z kajuty kapitana dobiegały podniesione głosy. Mędrkują tam sobie, mnie nie zaprosili. Mędrkują nad własną zgubą, bo tylko mój kurs jest słuszny.

Zająłem się pisaniem, co trochę mnie uspokoiło. Nie zapisałem jeszcze nawet dziesiątej części kryształu, kończył to już będzie kto inny, a może wielu innych.

Wreszcie wyszli na pokład, posłali mi nieprzyjemne spojrzenia i oddalili się. Ostatni wyszedł Nicolai. Podszedł do mnie.

- Esteban i Reeves mają rozbieżne zdania co do zmiany kursu - powiedział. Patrzył gdzieś w bok. - Inni też forsują swoje pomysły. Na razie płyniemy sto trzydzieści pięć. Wieczorem kolejna narada.

Wstałem i odłożyłem skryptomat.

- Widzisz to? - Odgarnąłem włosy i odsłoniłem ucho i kark. Musiał spojrzeć. Skóra wciąż była czerwona. - Ta rana nigdy się nie zagoi, przypomina o sobie tak często, jak tylko może. Byłem blisko, tak blisko, że bliżej już się nie da. Wiem, gdzie to jest. Trafię tam.

- Popatrz na to jeszcze raz. - Pociągnął mnie za łokieć do swojej kajuty. - A potem powiedz, czy masz pojęcie, dokąd płyniemy.

Po raz kolejny oglądałem film zapisany w pamięci geocjanu. Krwisty poblask pełził po ścianach, w miarę dokonywania się przedstawienia teatru bezużytecznych duchów przeszłości. Wróżenie z magicznej kuli. Dawno straciłem wiarę, że to nam pomoże. Skały, jedyne punkty odniesienia, zostały daleko w tyle. Żeglowaliśmy przez pustkę. Albo więc cyfrowa prekognicja geocjanu zawiodła, albo naprawdę zblądziliśmy.

Nicolai towarzyszył mi w obserwowaniu tych nieprzydatnych wspomnień. Nie odezwał się ani razu.

Kulisty monitor zgasł wreszcie i kajuta utonęła w ciemnościach.

* * *

„Maroon”, trzydziesty czwarty dzień podróży. W trudnej sytuacji zaczyna dochodzić do głosu pierwotna część natury. Człowiek powoli zamienia się w zwierzę, instynkt przejmuje kontrolę nad ciałem, spychając umysł w mroki nieświadomości, jesteśmy zbudowani modułowo. Na górze jest zmysł estetyczny, inwencja twórcza, wszystkie uczucia wyższe, pod spodem egoizm, zazdrość i niskie pobudki. U niektórych ten poziom jest szczytem, niezależnie od okoliczności - oni nigdy nie będą w pełni ludźmi. Niżej leżą potrzeby podstawowe, takie jak zaspokojenie głodu, sen. Pod nimi są już tylko odruchy zwierzęce. Teraz spadamy z tej drabiny po kawałku. W końcu runiemy na sam dół.

* * *

Zbudził mnie huk wystrzału i trzask drewna. Zerwałem się na równe nogi i zaspany zahaczyłem o linę. Stoczyłem się z mojego posłania na deski pokładu i to uratowało mi życie. Huknął drugi strzał. Kula świsnęła mi nad uchem. Dopiero wtedy całkiem opuściłem senne krainy. Mohr z rozwianymi włosami i wzrokiem szaleńca naciskał spust raz za razem, ale to była dwururka. Wreszcie zrozumiał, że kolejny strzał nie padnie. Chwycił broń za lufę i ruszył w moją stronę z zamiarem użycia jej jako maczugi.

Kątem oka zobaczyłem Pascala, jak wstaje ze swojego hamaka przy dziobie. Zaczął biec, wkładając w to całą swoją starczą siłę. Dopadł Mohra kilka kroków ode mnie. Nie był zbyt silny ani sprawny, ale miał masę w postaci brzuszyska. Obalił chuderlaka na pokład. Dwururka odbiła się kilka razy od desek i upadła u stóp Nicolaia. Kapitan podniósł ją i spojrzał na Mohra gniewnym wzrokiem.

- On nas tu przywiódł! - dyszał Mohr, celując we mnie drżącą dłonią. - Na zatracenie! Wszyscy zginiemy! Wszyscy!!!

Nicolai podszedł, chwycił go za kołnierz i powlókł pod pokład. Wiem, gdzie go zamknął. Od prawie tygodnia spiżarnia była pusta, a jej drzwi zamykały się tylko od zewnątrz.

Pascal dyszał, wyczerpany tym nagłym wysiłkiem. Podziękowałem mu. Inni patrzyli na mnie wrogimi spojrzeniami. Zapewne solidaryzowali się z Mohrem i żalowali, że nie załatwił sprawy do końca.

Jest taki wiek, w którym człowiekowi śmierć przestaje być straszną.

Ja go jeszcze nie osiągnąłem.

Nicolai wrócił na pokład i spojrzał na mnie tak, jakby sam chciał mnie zabić. Wcisnął mi w dłoń wędkę i powiedział:

- Złów coś.

- Złap befszytk! - zawołał ktoś z pokładu Mirrora.

- Albo jabłoń!

Usiadłem na stołku przy burcie przeciwnej do krzykaczy. Po kilku chwilach umilkli znudzeni. Przynętę stanowiła kulka z rozmoczonego chleba. Mimo wczesnej pory było gorąco. Zapowiadał się kolejny upalny dzień i już zaczynało mi zasychać w ustach.

Pascal przysiadł obok. Przyglądał się moim nieudolnym operacjom wędkarskim. Oczywiście nic nie brało, spławik przykleił się do gładkiej powierzchni.

- Nie upieraj się tak - powiedział po kwadransie.

Woda była spokojna. Wiatr ucichł. Flauta.

- Nie upieram się - odparłem. - Nie zapraszają mnie już na narady, nie pytają o zdanie. Mają pretensję o to, że nie są zdolni wybrać lepszego kursu. Mogłem zrezygnować kilka dni temu. I tak by nie zauważyli.

- Przyznaj publicznie, że kurs sto trzydzieści pięć jest nieaktualny. Dla własnego dobra.

- A jaki jest lepszy? Chcesz losowania? Można rzucać kośćmi o lepszy.

- Przecież gdyby supeł był tam, gdzie przewidywałeś, minęlibyśmy go dwa tygodnie temu. Może zresztą go minęliśmy...

- Nie. Wciąż jest przed nami. Nienawidzą mnie, bo tylko ja mam pewność.

Pascal położył ręce na relingu i oparł na nich brodę. Wiem, co myślał i czego nie chciał mówić. Uważał, że się mylę, ale milczał. Szanowałem go za to.

Wilgotność powietrza stawała się wprost nieznośna. Pot spływał po mnie strumieniami. Słońce prażyło zza delikatnej mgiełki. Łaźnia parowa. Nigdy nie przypuszczałem, że tuż nad wodą może panować tak paskudna aura. Tym bardziej nad tak dużym jej obszarem. Od kilku dni nie widzieliśmy kamiennych chmur ani regularnego układu lin. Pustka.

Peretz upłócił sobie, nie wiem z czego, daszek nad bocianim gniazdem. Co pół godziny przerywał przydzielone mu zajęcie i wdrapywał się na górę. Dałem mu swoją lunetę, miał lepszy wzrok. Omiatał horyzont i schodził na dół. Cały wolny czas spędzał na górze. Właściwie przeprowadził się tam. Nie traktował mnie jak inni, kurs go nie obchodził. Z zacięciem wypatrywał naszego celu, gdziekolwiek miał on się znajdować.

* * *

„Maroon”, trzydziesty siódmy dzień podróży. Wiem już, na czym to polega. System dba o własne istnienie, mniej go interesują tworzące go jednostki. Pragnie przetrwać i jest skłonny dla tego celu poświęcić niektóre swoje składowe. Nawet większość z nich. Ważne tylko, żeby składowych jednostek zostało dostatecznie dużo, by system mógł nadal istnieć.

System to kolejny istotny element ograniczający wolną wolę. Jeśli ona w ogóle istnieje.

* * *

Nicolai przestał zmuszać wszystkich do pracy. Inni kapitanowie zrezygnowali już wcześniej. Nastąpiło całkowite rozprężenie. Każdy sam zdobywał pożywienie, w najlepszym razie powstawały dwu-, trzyosobowe grupki pilnujące swoich interesów. Większość czasu ludzie leżeli w cieniu, nie mając siły się ruszyć i nie chcąc tracić wilgoci. Gdy trzeba było zmienić konfigurację żagli, kapitanowie zbierali ospałą załogę, tych, którzy gorzej się ukryli, i zapędzali do pracy. Większość dnia spędziłem pod pokładem, kręcąc kołowrotem pompy zęzowej. Cuchnęło tu niemiłosiernie, ale było przynajmniej chłodniej.

- Zrezygnuj... - rozległ się gdzieś z ciemności ledwo słyszalny szept.

Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem niczego.

- Wiesz, że kurs jest zły - ciągnął. - Zrezygnuj.

- Nikt mnie już o nic nie pyta - odparłem w mrok. - Oni mogą zrezygnować. Każdy może.

- Zrezygnuj...

Pokręciłem szybciej kołowrotem, żeby zagłuszyć te słowa, ale się nie powtórzyły. Spodziewałem się uderzenia zniecka. Nie nastąpiło. Narastający gdzieś w łopatkę ból zmusił mnie w końcu do zwolnienia pracy. Zresztą czerpaki wychodziły już niemal puste.

Na schodach minąłem się z Mohrem. Odsunął się pod ścianę, jakby bał się mnie dotknąć. Może i tak było, przesiedział w spiżarni do bę.

Zmrużyłem oczy przed jasnym i gorącym słońcem. Nicolai wyszedł ze swojej kajuty, wyciągnął w moją stronę szczotkę i wiadro ze sznurem. Wziąłem je i spojrzałem na pokład.

- Karzesz mnie?

- Może odraczam lincz?

Przyglądały mi się przekrwione oczy. Wiele par przekrwionych oczu. Zacerpnałem wody z oceanu i chlusnąłem na deski pokładu. Ignorując ból w barku i krzyżu, opadłem na kolana i zacząłem szorować. Myślę, że ten ból trzymał mnie przy rzeczywistości. Szorowałem długo i dokładnie. Ja, astronom, odkrywca pięciu planet podobnych Ziemi.

* * *

„Maroon”, czterdziesty dzień podróży. Reszta energii uwięzła w suple na czas nieznan, który dla obserwatora wewnętrznego byłby może i milisekundą. Tym samym echo promieniste tej reakcji będzie ponownie widziane przez potomków pozostałych na zewnątrz, w postaci uwolnionego nagle jasnego błysku. Nie wiemy, kiedy to nastąpi.

* * *

Pascal złowił jakąś rybę, nie wiem jaką. Patrzyłem z obrzydzeniem na rzucający się na haczyku srebrny kształt, ale wiedziałem, że i tak ją zjem. Pięć minut później smród smażonej ryby snuł się przez pokład. To już był ten etap: nie chciałem jeść, ale ukryte we mnie zwierzę chciało. Nie miałem dość siły, by mu się przeciwstawić. Przyjąłem pokarm, przyglądając się sobie z boku. Potem powlokłem się pod pokład.

Nie przychodzili tu i to nawet nie z mojego powodu. Woleli upaść od dusznej stęchlizny. Oddychałem z trudem i chyba też wolałbym być na górze, ale po raz kolejny wybrałem samotność. Kręciłem kołowrotem cierpliwie, czy może raczej bezmyślnie. Trwałem, tego nie dawało się uniknąć.

Szept rozległ się tuż za moim uchem:

- Przynaj, że kurs jest zły...

Odwróciłem się, ale wzrok napotkał tylko grę głębokich cieni. Światło z otwartej klapy docierało do wąskiego podnóża schodów. Nie paliłem lamp naftowych, żeby nie zagęszczać zaduchu.

- Kim jesteś? - zapytałem ostrożnie.

- Zrezygnuj... Svyturys...

- Nawet gdybym zrezygnował, co to zmieni?

Zatrzymałem kołowrót, przeszedłem kilka kroków.

- Oni przestali wierzyć nie tylko w mój kurs, lecz także w sam supeł. Oczekują, że porzucę moją wiarę, a jednocześnie tego nie chcą. Mają przecież wygodnego wroga publicznego i przyczynę całego zła. Jeśli przyznam, że płyniemy donikąd, co poczną? Stracą oparcie. Sami boją się podjąć jakąkolwiek decyzję, więc płyną moim kursem! Te narady są wyrazem ich bezsilności! Słyszysz?! Bezsilności! Tylko ja mam wiarę!!!

Powróciło echo mojego krzyku i nic więcej. Leniwie trzeszczało poszycie kadłuba, pluskała woda z opadających pod własnym ciężarem czerpaków.

Wyszedłem na pokład. Przy schodach czekały już na mnie kubel i szczotka.

Jakieś pół godziny później charakterystyczne chrupnięcie wyrwało mnie z bezmyślnego oczekiwania, aż moje ciało dotrze ze szczotką do końca pokładu. Uniosłem głowę, bokiem, bo na wprost nie dałbym rady. Elaine jadła jabłko. Stała blisko dziobu, wpatrując się w dal. Znów uniosła rękę i odgryzła kęs. Wcześniej rzeźbiarka była niewidzialna dla innych, nie zauważali jej. Teraz znalazła się nagle w centrum uwagi. Leżący po kątach ludzie zaczęli wstawać. Patrzyli na Elaine jak głodne zwierzęta. Tym się w istocie już stali. Nie rozpoznawałem konkretnych osób, chociaż jeszcze trzy tygodnie temu byli moimi przyjaciółmi. Witaliśmy się rano, rozmawialiśmy, snuliśmy plany. Teraz zamienili się

w bezosobową zgrają.

Pierwszy już się skradął. Wyrwał jej z ręki jabłko i wpakował sobie do ust. Torba zsunęła się z ramienia zaskoczonej kobiety. Po deskach pokładu potoczyło się kilka jabłek, dwie gruszki i cebula.

- Chowala je cały czas!

Rzucili się na Elaine z nieoczekiwaną szybkością. Trochę zajęło mi, nim podniosłem się z klęczek. Dopadłem ich i zdrową ręką zacząłem odciągać od rzeźbiarki. Nie zważali na mnie, nawet się nie bronili. Wracali do torby i wyciągali skarby. Ktoś gryzł cebulę razem z łupiną. Elaine z przerażeniem odsuwała się od nich. Już się nią nie interesowali. Pożarli wszystko, ale i tak zaglądali do torby, jakby coś tam się mogło jeszcze pojawić. Wreszcie rozszarpali ją na strzępy.

- Co się dzieje?!

Na mostku pojawił się Nicolai. Przygarbiony, z szatą i włosami w nieładzie. Nie przypominał kapitana sprzed kilku dni.

- Chowala owoce! - krzyknął ktoś z pełnymi ustami.

- To były jej owoce - wyjaśniłem. - Odkładała je od początku. Oszczędzała.

- Chowala je przed nami!

- Nie broń jej! - warknął ktoś inny. - To przez ciebie! Wszystko przez ciebie!

Awantura wywabiła z zakamarków statku chyba wszystkich. Już zapomniałem, że było nas aż tyle. Otepiali, patrzyli obojętnie. Jeszcze dwa, trzy dni i będą się zachowywać jak ci przed chwilą. Ale te dwa, trzy dni to przyszłość zbyt odległa do analizowania. Teraz liczyły się najbliższe minuty. Owoców już nie było. Tylko agresja na skraju wybuchu. I ja w jej centrum.

- Gdyby nie ty, moglibyśmy zawrócić już dwa tygodnie temu!

- Mogliście w każdej chwili - odparłem.

Elaine siedziała wciśnięta między skrzynie, schowana za własnymi włosami. Ludzie podchodzili do mnie wolno ze wszystkich stron.

- Sąd - powiedział niespodziewanie Nicolai.

- Sam mówiłeś: „żadnych głosowań podczas rejsu”. - Rozpoznałem głos Pascala.

Z trudem przepchnął się przez tłum. Nicolai spojrzał na niego przeciągle.

- Zmieniłem zdanie.

Inni zgodnie przyjęli to milczeniem, tylko na ich twarzach widziałem uśmiechy mściwej satysfakcji. Dopiero później zaczęły się dyskusje na pokładach. W sumie Nicolai miał rację, dłużej nie można było tego ciągnąć. Od tak dawna przyjmowałem na siebie ich

złość, ale wszystko musi kiedyś się skończyć.

- Chcą cię powiesić na rei - szepnął mi do ucha Pascal. - Przyznaj, że kurs jest zły.

Przyznaj od razu, że nie ma żadnego supła.

- Co to zmieni? - zapytałem.

- Oni tylko chcą to usłyszeć. Dadzą ci spokój. Dlaczego tak się upierasz?

- Jestem przecież szaleńcem. Jak my wszyscy. - Wcisnąłem mu w dłonie skryptomat. -

Kontynuuj dziennik. To ważne.

Ustawili różnej wysokości stoły, nawet skrzynie i zasiedli za nimi. Dwunastu, może więcej, samowwanych sędziów. Ja stałem na pustym pokładzie, między masztem a burzą. Reszta trzymała dystans.

- Dlaczego nas tu przywiodłeś? - zaczął Esteban, unosząc dłoń. - Do tej pustki, do tej nicości.

- Od długiego czasu nie pytacie mnie o zdanie. Sami decydujecie o kursie.

- Nie gadaj! - Esteban uderzył pięścią w stół. - Płyniemy kursem przez ciebie wybranym. Sto trzydzieści pięć, wszyscy pamiętają.

- Nie przywiązywałem się do steru.

- Wyznaczyłeś kurs - odezwał się Granier. - Zaufaliśmy ci, a ty nas zawiodłeś.

- Starczy tego! - zawtórował mu Reeves. - Przyznaj, że kurs jest zły.

- Boicie się sami zmienić kurs? - zapytałem. - Boicie się razem i każdy z osobna. Ten, kto teraz wyznaczy kurs, będzie zbawcą i nową nadzieją. Przez tydzień. Potem sam zawiśnie na rei, bo nie macie żadnego pomysłu, a zatrzymać się w miejscu nie możecie.

Półowa milczała od początku. Milczeli Nicolai, Hammond, Carelli i paru innych. Reszta powtarzała po kilka razy i na różne sposoby, żebym zrezygnował. Tak naprawdę chcieli usłyszeć, co mają robić. Chcieli, żebym to ja podał nowy kurs. Ale ja już nie odpowiadałem. Nagle zamieszanie przy prawej burcie odwróciło uwagę wszystkich.

- Elaine wyskoczyła! - krzyknął ktoś. - Zabiła się!

Wychylali się za burtę, ale nikt nie próbował jej ratować.

Biedna Elaine...

- Ona nie umiała pływać.

- Dlatego wyskoczyła. To samobójstwo.

- Miała tego dość.

Odwracali się kolejno i patrzyli na mnie z nową wrogością, choć przecież nie uczyniła tego przeze mnie. Myślę, że o tym wiedzieli, ale nie dopuszczali tego do siebie. Uwaga na powrót przesunęła się do stołu sędziowskiego. Popadłem w dziwny stan, którego nie

potrafiłem nazwać. Jakbym stał obok i patrzył na wszystko z jakiegoś bezpiecznego miejsca.

- Uważam, że obecny kurs jest dobry - oświadczyłem.

Pascal opuścił z rezygnacją głowę. Przez pokłady przebiegły pomruki niezadowolenia.

- Zatem sąd uda się teraz na naradę - ogłosił Carelli.

Esteban szeptał mu coś do ucha i Carelli przeproszającym tonem zwrócił się do mnie:

- Ty lepiej zejźdź pod pokład. To... przyspieszy i usprawni.

Zamknęli za mną klapę i wszystko pochłonał najczarniejszy z mroków. Nie wiem, czemu to zrobili, i tak bym niczego nie usłyszał. A nawet jeżeli... Chyba kierowała nimi zwykła złość.

- Nienawidzą cię... - Znów ten szept.

Odwrociłem się, choć źródła głosu nie potrafiłem określić. Może podświadomie szukałem płonących czerwienią oczu?

- Zrezygnuj, Svyturys... - powtórzył szept.

- Za późno.

- Wykrzycz to głośno. Zrezygnuj. Zanim ogłoszą wyrok... Ciemność przyjęła kształt zgarbionej postaci, a najciemniejsze były w niej oczy.

- Kim jesteś?... - Zamrugalem i ciemność znów stała się tylko gładką czernią. Odszukałem po omacku kołowrót i zacząłem nim kręcić. Łańcuch poskrzypywał, ciągnąc w górę pełne czerpaki. Ktoś musiał to robić, żeby Maroon nie zatonął.

- Zrezygnuj...

- Tylko to potrafisz?

- Powieszają cię. Koniec życia, kres istnienia. Zrezygnuj... Wykrzycz to.

- Nie, nie podam innego kursu. Niech sami to zrobią. Chcą złożyć ofiarę jakiemuś morskemu bóstwu? Moja śmierć za wiatr? Za morską jabłoń?

Spojrzałem w górę i krzyknąłem:

- Witamin chcecie?!... Wypijcie moją krew!

- Chcą nowego kursu...

Mrok znów gęstniał. Tym razem mu nie przeszkadzałem. Zmusiłem się, żeby nie mrugnąć, przetrzymałem go. Czerń wreszcie rozplynęła się sama w milczeniu.

Klapa otwarła się, zalewając moje katakumby światłem południa, które utworzyło jasny tunel. Wskazywał mi drogę. Wyszedłem na pokład i stanąłem przed sądem lub też ludźmi, którzy kazali się sądem mianować.

Carelli wstał, na pokładach zapadła cisza. Znów oglądałem siebie z boku i dziwiłem się, dlaczego trwam w tym uporze. Nie rozumiałem tego, choć wydawało mi się to słuszne.

Naprawdę dziwne uczucie - już od kilku dni byłem bardziej obserwatorem własnych poczynań niż ich sprawcą.

Prawie słyszałem, jak spod pokładu dobiega mnie szeleszczące „zrezygnuj...”.

- Kurs jest prawidłowy - oznajmiłem w ciszy.

Pomruk wzburzenia przeszedł przez pokłady.

- Sąd ustalił wyrok... - Carelli patrzył na mnie z dramatycznym wyrazem twarzy. - Śmierć. Przez powieszenie.

Nie odpowiedziałem na to. Nie odezwałem się wcale. Nigdy więcej już się nie odezwałem. Wszystko zostało powiedziane i żadne słowa nie były potrzebne. Tłum wiwatował. Nie wszyscy, niektórzy siedzieli dalej, na nadbudówkach i rejach, patrzyli na mnie. Nie potrafiłem wyczytać uczuć z ich twarzy, byli za daleko. Widziałem tylko, że wcale się nie cieszyli. Peretz też porzucił swoje obserwacje i patrzył smutno z góry.

Silne ręce pochwyciły mnie od tyłu i pociągnęły na prawą burtę. Ktoś przerzucił przez reję linę z pięknie zawiązaną szubieniczną pętlą. Jasne, że przygotowali to wcześniej, wyrok był przecież formalnością. Każdy inny sprowadziłby agresję na sam sąd.

Nie opierałem się, sprawa i tak była przesądzona. Jedyna ucieczka prowadziła w zimną toń. Dogoniłbym może Elaine, ale już bez świadomości. Miast tego posłusznie wszedłem na stołek i pozwoliłem założyć sobie na szyję szorstką pętlę. Mój brak oporu wyraźnie psuł im przyjemność. Nie wiedzieli, co myśleć, więc powoli cichli. Jednak wyrok zamierzali wykonać. Miała to być kulminacja tragedii ostatnich dni.

Ktoś zacisnął pętlę, ktoś inny ustalił węzeł na górze. Nie umieli tego robić, ale nabiorą jeszcze wprawy.

Więc tak to wygląda, tak wygląda koniec. Zamknąłem oczy i wciągnąłem głęboko powietrze. Mimo upału pachniało oceanem. Mimo obcości struktur.

- Czy masz ostatnie życzenie?

Nie wiem, kto pytał. To bez znaczenia.

- Mam. Nie zmieniajcie kursu.

Stołek uciekł mi spod nóg.

* * *

„Maroon”, czterdziesty dzień podróży w nieznane. Niszczymy się sami, słabością i całą masą antyzdolności, a jednak nadal istniejemy. Drobne zachwiania wartości stałych fizycznych nie zaszkodziły organizmom żywym, ale układy kwantowe, a nawet niektóre starsze, kwarcowe straciły prawne podstawy pracy. Została nasza pamięć, najbardziej odporna. I nasze wartości, ponoć niezachwiane.

* * *

To naprawdę przykre patrzeć, jak przyjaciel dokonuje żywota. „Przykre” właściwie nie jest dobrym słowem, wiem, ale lepszego nie potrafię w tej chwili znaleźć. Pamiętam dokładnie, jak go powiesili. Nie cierpiał - jego chory kręgosłup po prostu pękł, kończąc ten żałosny spektakl. Wszyscy patrzyli na bujające się bezwładnie ciało i czuli chyba zawód, bo dopiero wtedy uświadomili sobie, że stracili kogoś, kto skupiał na sobie ich wszystkie pretensje i smutki. Teraz już nie mieli uniwersalnego pochłaniacza nieszczęść. Nie było na kogo narzekać, na kogo pomstować. Jeszcze kilka minut i zaczęliby reanimację.

Stali nieruchomo, wpatrzeni w wisielca. Wyglądało to prawie jak uroczystość religijna. Nawet barwa światła stała się popielatożółta, jeśli można tak w ogóle określić światło. Mohr zerknął w górę, ponad maszty i został już tak - z uniesioną głową i rozdziawionymi ustami. Potem popatrzyli tam Carelli, Esteban, Reeves, Nicolai, a za nimi następni. Wreszcie spojrzałem i ja.

Wyglądał jak wielka kula żywego, opalizującego żeluz. Obiekt nie z tego świata. Super.

Wilno-Warszawa 2006